
3 1761 08117282 7

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE

POD REDAKCYĄ

WILHELMA FELDMANA.

ROK XIII — TOM XXXI

(DZIAŁ POLITYCZNO-SPOŁECZNY).

KRAKÓW.

NAKŁADEM REDAKCYI. — Z DRUKARNI LITERACKIEJ

POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.

1911.

I. Sprawy kultury.

II. Polityka.

III. Etnografia.

IV. Socyologia.

V. Wychowanie.

V. Nowele.

VI. Przegląd.

VII. Sprawozdania.

Dodatki artystyczne.

Do Nru X: Fra Angelico: Zdjęcie z krzyża. Raj.
Do Nru XI: Delacroix: Dante i Wirgiliusz. Rzeź w Scio. Kobiety algierskie.
Do Nru XII: Wyspiański: Portret własny. Boruta.



PRZEWIDYWANIA WOJENNE.

(f) W Austryi niema opinii publicznej. Przyczyną słaba demokratyzacya państwa i walka między zamieszkującymi je ludami. W stosunku do polityki zagranicznej tak dalece odbiegają od siebie tendencye Czechów i Niemców, Słoweńców i Włochów, Polaków i Czechów (odnośnie do Rosyi) oraz Niemców (odnośnie do Niemiec), że niema mowy o jakimś wspólnym mianowniku. Korzysta z tego dynastya. Austrya jest jedynem państwem, którego parlament nie zajmuje się polityką zagraniczną (Węgrzy tego prawa nie dają sobie odebrać); ekstrakt tylko tego parlamentu w ciągu kilku dni do roku udaje, że politykę tę robi. Faktycznie robią ją niepodzielnie „sfery“, które nie ulegając parciu ze strony opinii publicznej, jak za najlepszych czasów absolutystycznych prowadzą politykę wyłącznie dynastyczną, wyłącznie gabinetową. W dodatku nie ma państwo szczęścia do dyplomatów. Przez pierwszą połowę XIX wieku, po Napoleonie, górował nad Europą Metternich, którego „geniusz“ zgotował państwu rewolucye wewnętrzne i najnieszczęśliwsze wojny zewnętrzne. Następcy jego zapisali się w historyi umiejętnością niekorzystania z żadnej sytuacyi. Najwięcej zmysłu przewidywania — a tym, podług określenia Talleyranda, ma być dyplomacya — okazał jeszcze Węgier Andrassy, oceniając groźne dla państwa machinacye Rosyi i zamierzając maszerować na Warszawę; gdy to się nie powiodło — przygotował aneksyę Bośni i Hercegowiny. Najmniej tego zmysłu okazał hr. Gołuchowski (syn), któremu Rosyanie powinni pomnik postawić za bierność podczas wojny rosyjsko-japońskiej. P. Aehrenthal zdobył się na czyn więcej efektowny, niż realnie-polityczny: na przyłączenie obu okupowanych krajów do państwa; gdy z wiosną 1909 roku wojna z Rosyą wisiała już na włosku, p. Aehrenthal w ostatniej chwili uległ interwencyi pokojowej Niemiec, nie zwa-

żając, że ona właśnie najwymowniej świadczyła o słabości i nieprzygotowaniu Rosyi.

Geniusze polityczni, jak wogóle geniusze, są rzadkością, ale nie ich brak jest nieszczęściem, lecz kastowość i ekskluzywność dyplomacyi austryackiej. Jest ona dotąd odcięta od życia, tajemnicą cechu, przywilejem arystokracyi. Stany Zjednoczone mianują ambasadorami adwokatów, przemysłowców, uczonych, ludzi obdarzonych bystrym rozumem praktycznym. Interesy zagraniczne Francyi były zaniedbane i prestige wielkiego narodu stała nizko, gdy nad nią do niedawna czuwali potomkowie „historycznych" rodów; od kilku lat dopiero, gdy blok republikańsko-socyalistyczny oczyścił ambasady i ministerstwa ze starej arystokracyi i powierzył je nowym ludziom, Francya święci w polityce swej sukcesy. Seignobos opowiada: Kiedy po stłumieniu przez kamarylę wiedeńską ruchów wolnościowych 1848 roku rozprawiano o reorganizacyi rządu, Windischgraetz pisał: „Monarchia nie może istnieć bez szlachty; złudzeniem jest szukać innych czynników dla poparcia zasady monarchicznej". Schwarzenberg odpowiedział mu: „Nikt nie czuje lepiej ode mnie, jak pożądanem byłoby pozwolić na panowanie czynnika arystokratycznego w nowej formie naszego państwa. Ale ponieważ formy czerpią życie swoje i siły w jednostkach, nie widzę sposobu urzeczywistnienia tego życzenia. Nie znam w klasie naszej tuzina ludzi o dostatecznym rozumie politycznym i z potrzebnemi wiadomościami, aby powierzyć im znaczną część władzy bez obawy". Sześćdziesiąt lat minęło od tej chwili, z pośród arystokracyi, zwącej się „austryacką", nie wykwitł żaden wybitniejszy talent w dziedzinie administracyi wewnętrznej, wogóle życia publicznego, natomiast zachowała ta arystokracya wyłączność roli najwyższych doradców w sprawach, rozstrzygających o bycie narodów, o wojnie i pokoju w Europie.

Zdala od jakiejkolwiek kontroli publicznej, w starych zamkach, obwieszonych portretami i zbrojami, symbolizującymi średniowieczczyznę pojęć, knuje się kombinacye przymierzy, zaczepek, zdrad i interesów, o których narody dowiadują się, gdy się od nich żąda kroci milionów na broń, a nieraz żywotów dziesiątków tysięcy młodych ludzi. Co my, zwyczajni wyrobnicy, możemy wiedzieć, jakie dyalogi się toczą między starymi, średniowiecznymi portretami, a siedzącymi w ich cieniu panami z gentry? W zaciszu tych rezydencyi, między polowaniem a przygodą buduarową, układa się plany, których wynikiem bywa napad „camelotów du

roy" na prezydenta republiki francuskiej, uczestnictwo zblazowanych panków w wyprawie dla zduszenia republiki portugalskiej; tam żyją dotąd nieprzedawnione sny o powrocie do starych, dobrych czasów rządów patryarchalnych; tam król włoski jest dotąd przywłaszczycielem, a żywą jest tęsknota do lagunów Wenecyi, po których pływał orzeł dwugłowy, tęsknota do wskrzeszenia niejednego drobnego państewka włoskiego i do osadzenia w najważniejszym grodzie włoskim tyary na tronie władzy świeckiej. Nie wystarcza arystokracyi potęga, jaką jej daje stanowisko towarzyskie, finansowe, przywilej na najwyższe urzędy; o przywrócenie zasad z przed 1848 marzy. Pod tym względem Austrya jest najkonserwatywniejszem państwem w Europie, gdyż Niemcy podobnych mrzonek już nie znają, a i król hiszpański nie chce jakoś pozbyć się Canalejasa, gdy ten nawet prosi o dymisyę. Pogrążone w walce ze sobą narodowości nie mogą wytworzyć opinii jednolitej; spóźniony pochód rozwojowy, konserwujący drobnomieszczaństwo i chłopstwo pod wodzą klerykałów, sprzągniętych najściślej z arystokracyą, sprzyja wszelkim planom reakcyi.

I oto w tych warunkach Austrya, a z nią i Polska stanęła w momencie przełomowym.

O „dwoistości" rządów w Austryi mówi obecnie zagranica. My z łatwo zrozumiałych względów mniej o tem możemy mówić. W sferach najwyższych walczą z sobą dwa potężne prądy. O jeden opiera się obecny — może lada chwila już przeszły — minister spraw zagranicznych hr. Aehrenthal; stoi przy ostatnich zdobyczach i obecnych granicach państwa, spokojnie znosi niezadowolenie po-aneksyjne Rosyi i dąży do zachowania w całej Europie status quo; drugi łączy się z nazwiskiem szefa sztabu generalnego, bar. Conrada v. Hoetzendorf, który niedawno został usunięty, gdyż stanowisko jego wobec Włoch było wprost prowokujące. Przy sposobności jego ustąpienia czytelnicy zagranicznych gazet mogli się dowiedzieć, że między Austryą a „sprzymierzeńcem" włoskim panują stosunki więcej niż naprężone, że oba mocarstwa mają na granicach zwrócone przeciw sobie paszcze armat i bagnety zmobilizowanych korpusów, etc. Kurs pokojowy na razie zwyciężył, ale rzecz jasna — nie na długo. Co może przynieść dzień następny? Ciche gabinety milczą, ale tem wymowniejsze są zgromadzenia i czasopisma chrześcijańsko-socyalne. Pełno tu brzęku szabel przeciw Włochom, a uśmiechów w stronę

Rosyi. Czyż istotnie należy przypuszczać, że wojny z Włochami gorąco pragnie chłop tyrolski, którego trzody najprędzej gotowe paść jej ofiarą? czyż wojny z Włochami rzeczywiście namiętnie łaknie grajzler i mały urzędnik wiedeński, z natury swej „ein gemüthlicher Kerl" i niechętnie ryzykujący dobry stosunek z Wenecyą, do której tak chętnie jeździ na Zielone Święta za swoje 50 koron? Skądinąd przychodzi natchnienie wojenne; jakimi ono rozporządza wpływami, świadczy fakt, że i Albanię podbudza, Albańczyków prowadzi do konsulatów austryackich z prośbą o protekcyę, by w ten sposób drażnić i prowokować Włochy. Niecierpliwość nowego kursu jest trochę nieprzywoita, a jednak trzeba z nią się liczyć, jako z pierwszorzędną podstawą kształtowania się najbliższych losów Austro-Węgier, może i Europy. Boć w naszych czasach powszechnych, doniosłych zmian, w duszy młodszego, ale nie młodego władcy hasło „status quo" nie może znaleźć oddźwięku. Zrozumiała żądza czynu jest potęgowana przez błędnych rycerzy dyplomacyi, odciętych od życia i postępu ludów; szuka i będzie szukała dla siebie „pola chwały". Otwierają się tedy widoki bajeczne: ministrem spraw zagranicznych ma zostać albo hr. Szecsen, dawny ambasador przy Watykanie, albo hr. Berchthold, ambasador w Petersburgu, znany z sympatyi dla Rosyi. Baron v. Hoetzendorf prawdopodobnie wróci na najwyższe stanowisko militarne. Front ma być zwrócony przeciw Włochom, a miejsce nowego trójprzymierza ma zastąpić nowa kombinacya: związek trójcesarski, „święte przymierze". W wewnętrznej i zewnętrznej polityce miałby zmartwychwstać duch Klemensa Metternicha.

* * *

Na tle tych kombinacyi nabiera odpowiedniego znaczenia ustęp z mowy p. Jaworskiego, wygłoszonej w parlamencie dnia 13 grudnia. „Nie czynimy różnic między polityką polską a dynastyczną polityką państwową".

Jest to rekomendowanie się konserwatystów pod adresem przyszłego rządu, zaprzągnięcie się do rydwanu — bez zastrzeżeń. Innemi słowy tosamo powiedział był prezes Koła, p. Biliński.

Potrzeba całej perfidyi „Nowego Wremieni", które potrzebuje argumentów z zewnątrz dla atakowania Polaków na wewnątrz, aby powiedzieć, że Polacy podżegają Austryę do wojny z Rosyą. Kiedy i gdzie? Był czas, byli kiedyś Polacy, którzy w tym du-

chu pracowali. Stańczycy, przypisujący sobie bezpodstawnie zbliżenie Polaków do tronu, zapominają, że Ziemiałkowski i Gołuchowski ugodę tę przeprowadzili pod milczącym warunkiem, że Austrya klęski z roku 1859 i 1866 zechce wynagrodzić sobie Warszawą. Jak bajkę czytamy dziś w protokołach z sejmu galicyjskiego, że c. k. urzędujący namiestnik hr. Gołuchowski w debatach „rezolucyjnych" z roku 1868 z miejsca swego poselskiego wołał: „Trudnoby było nam, jako Polakom, powiedzieć, że my żadnej łączności i nic wspólnego z współbraćmi naszymi mieć nie możemy i że my tylko w Galicyi zamieszkali, chcemy po wszystkie czasy być wyłącznie uważani, jako część do Austryi należąca. Byłoby to poniekąd zrzec się wszelkiego przyrostu i postawić zaporę sobie samemu wobec przyszłości, która wprawdzie zapewne nie jest tak bliską, ale o której nie wolno powiedzieć, aby była niemożebną". Jeszcze wyraźniej przemawiali inni. „Listy polityczne" Fr. Smolki, wydane z początkiem wojny rosyjsko-tureckiej, c. k. prokuratorya skonfiskowała, ale krążyły po kraju obficie. Koło polskie było polem starć zdań różnych; oportunizm zwyciężył, ale Grocholski aspiracyom polskim wyraz dawać musiał. I od tego czasu, od lat przeszło trzydziestu, myśl ogólnopolska wśród polityków kierujących polskich zamarła. Gdzie N. Wremia widzi podżeganie polskie do wojny z Rosyą? Hrabia Gołuchowski-syn miał podczas wojny rosyjsko-japońskiej sposobność, jaka się raz na stulecia zdarza, by oderwać dowolny szmat ziemi od Rosyi i tego nie uczynił. Podczas najwyższego napięcia wojennego za czasów aneksyjnych (marzec 1909 r.) Polacy głosowali za pokojem. Namiestnik hr. Potocki dbał — okazało się: więcej niż o życie własne — o dobry stosunek z Rosyą i w kraju protegował zakusy rosyjskie. Obecni przedstawiciele Koła i stańczyków wyrzekają się wszelkiej własnej myśli politycznej i z góry oddają się wszelkiej polityce dynastycznej. Bez zastrzeżeń — a można przypuszczać, że z pośród konserwatystów polskich dużo znalazłoby się ochotników w obozie walczącym o przywrócenie władzy świeckiej papieża, jakkolwiek wojna taka jest możliwa tylko w oparciu o „święte przymierze" z Niemcami i Rosyą.

— Polacy prą do wojny? W Austryi wielka część Niemców otwarcie dąży do połączenia się z państwem Hohenzollernów. Partya chrześcijańsko-socyalna gwałtownie nawołuje do walki z Włochami. Przeważna część Czechów pragnie sojuszu z Rosyą,

gdy Rusini głośno popierają hr. Aehrenthala, torującego drogę idei ukraińskiej, antirosyjskiej. Tendencye te wszystkie występują w prasie, na zgromadzeniach, we wspólnych delegacyach: są przewodniemi myślami polityki żywych narodów. Gdzież te akty woli w obradach Koła polskiego, na zgromadzeniach galicyjskich, u członków polskich delegacyj wspólnych?

Myśli przewodnie? Czytaliśmy treść kilkudniowych obrad polskiego Koła poselskiego we Lwowie. Nie można sobie wyobrazić niższego poziomu dyskusyi politycznej. W czasie gdy narody całego świata przebudowują swój ustrój od podstaw — w duchu ultra-demokratycznym, — gdy na całym świecie dokonywa się wielka przemiana granic i bytowania narodów, wolni reprezentanci Polski okazali, że niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Obłuda górowała zarówno u tych, którzy skarżyli się na „nieczyste wybory", jak i u obrońców tych wyborów; żadnej nie sformułowano myśli odrodzenia demokratycznego kraju; zamiast złączyć się z Rusinami, mającymi te same co my interesy polityki zagranicznej, walczy się z nimi o kilka procentów mandatów poselskich, jakoby te procenty, a nie wewnętrzna energia i kultura narodowa decydowały o przyszłości każdego społeczeństwa. Cała ta epokowa dyskusya daje się streścić w dwóch słowach: nie ty! zamiast: nie to! Stąd twórczość i idea przyszłościowa nie wypłynie. Królestwo Polskie jest skneblowane. To bolesne. Istnieje jednak coś boleśniejszego. Gdy niewolnik całuje swe kajdany, gdy wyśmiewa tych, co chcą je rozbić. Czytajcie artykuły konserwatywno-nacyonalistycznego „Głosu warszawskiego" i postępowo-demokratycznej „Myśli niepodległej". P. Dmowski natrząsa się, że nierealną ideą niepodległości zajmują się „Feldmany" (sprawa Polski = intryga żydowska) i Studnicki; organ p. Niemojewskiego, nie chcąc rozumieć, o co chodzi, perfidnie wydrwiwa myśl ubojowienia społeczeństwa. Faktyczna ugoda, duchowa, obawiająca się nawet w myśli walczyć z wrogiem, nigdy nie święciła takich orgii, jak w tym czasie reakcyi, gdy nietylko w Rosyi góruje „tryumfująca świnia". I rozpacz ogarnęłaby umysł, gdyby nie genialne widzenie Mickiewicza, iż trzeba plunąć na powierzchnię lawy i zstąpić do głębi. I w czasie, gdy Niemojewscy jako ultra realiści i fachowcy wyśmiewają ideę przygotowania się do walki w Królestwie, my wiemy, co przygotowywał sztab austryacki z początkiem 1909 roku, a w gotajskiem piśmie „Petermanns geograph. Mitteilungen" kapitan Kuchinka oblicza wielkie szanse po-

wstania ludowego w Królestwie (przez nas upragnionego, jako ruch posiłkowy. Oczywiście głos tego kapitana będzie uważany za najlepszy dowód, iż działamy pour le roi de Prusse, może za marki pruskie).

* * *

Nie trzeba chyba dowodzić, że dojście do skutku „świętego przymierza" byłoby dla wszystkich trzech zaborów nieszczęściem, a najgorzej odbiłoby się na zaborze austryackim — skutkiem grzecznego naciskania obu sprzymierzeńców. Zbrodnię popełnia też polityk, który pozostawia sfery rządzące we Wiedniu pod tym względem w jakiemkolwiek złudzeniu; zbrodnię popełnia kto ma sposobność a zaniedbuje powiedzieć nietylko ze stanowiska polskiego, ale i z życzliwości dla Austryi: ostrzegamy przed wojną z Włochami, a doradzamy natomiast walkę z Rosyą.

Wojna o „mare nostro" jest we Włoszech popularna i Austrya miałaby tam do walczenia z fanatyzmem ludności, z flotą dwa razy liczniejszą, z pomocą użyczoną Włochom przez Anglię. Irredentyzm tamtejszy prze do wojny z Austryą, to prawda, ale Włochy nawet po zwycięskiej kampanii trypolitańskiej będą tak wyczerpane, że na dalszy modus vivendi z Austryą się zgodzą. Szanse zwycięstwa są tu dla Austryi słabe, widoki zdobyczy żadne. Ina l- czej — we walce z Rosyą. Nieznane są warunki umów, łączyc w ją z Francyą, Niemcami i Anglią, ale nie może Rosya snać licz o- na odsiecz, skoro w roku 1909 wyciągnięty prawie miec ...cl aj- wała do pochwy i upokorzona prosiła o pokój. Cofnięcie wzbo- obronnej aż po Bug czyni marsz Austryi do Warszawy łatw po- prawie tryumfalnym. Wojsko rosyjskie w ostatnich czasach skorzy li- stało dużo z doświadczeń wojny z Japonią? bardzo być może, ale jeszcze więcej z nauk tej wojny skorzystał sztab Austryi, informowany przez swoich attachés, mało zaś skorzystał w ostatnich czasach charakter dowódców i oficerów rosyjskich, a na wojnie decyduje siła moralna, inteligencya i samodzielność podoficerów i żołnierzy, uczciwość i sprawność intendantury — nie mówiąc już o znaczeniu, jakie dla armii ma zachowanie się środowiska.

Demokratyczny dziennik lwowski z natchnienia bodaj pałacu pod Kawkami starał się w tych dniach lać wodę na zapalające się umysły niektóre i dowodził, że niema obecnie widoków wojny, gdyż o wojnie decydują nie uczucia, lecz interesa sprzeczne, a tych między Austryą a Rosyą niema. Metoda typowego „Beschwichti

gungshofrata". Więc doprawdy nie ma sprzeczności interesów między Austryą a Rosyą? w takim razie Austrya chyba dla efektu zadziwiania świata „czarną niewdzięcznością" krzyżowała plany Rosyi podczas wojny krymskiej, tylko dla fantazyi w roku 1886 gotowała się do wojny, zupełnie niepotrzebnie ma w Galicyi twierdze i armię. Między interesami Austryi i Rosyi niema sprzeczności? Więc tylko dla ćwiczenia się w rysowaniu widokówek sztab i ochrana rosyjskie zalewają Galicyę szpiegami i całkiem niepotrzebnie deranżuje się tych poczciwych ludzi, zamiast oprowadzać ich gościnnie po fortyfikacyach i dla ich aparatów nadstawiać plany i systemy broni; zaś tylko dla świętej wiary poświęcają się apostołowie prawosławia w Galicyi. Wogóle konstatowanie braku sprzeczności między Austryą, do której na razie przecie i my należymy, a Rosyą, dziwnie brzmi na łamach dziennika polskiego. Sprzeczność ta jest i powinniśmy ją we Wiedniu na każdym kroku akcentować. Dla Rosyi są możliwe dwie tylko drogi. Albo ekspanzya centralizująca, a ta obecnie już siecie zarzuca na całą Galicyę, albo reformy w kierunku autonomiczno-decentralistycznym, a wówczas — jakkolwiek na to się nie zanosi — Austrya może się doczekać, że niektóre ludy słowiańskie zaczną z większą niż kiedykolwiek siłą tęsknić pod berło niarskie. Nareszcie ważnym jest fakt, że chwila obecna jest jedną wy tych, które Austrya... nieraz już pominęła. Rosya jest w Azyi jedangażowana aż na kilku punktach, olbrzymie jej cielsko rośnie gdy w[illegible]nie, wchłania obecnie część Persyi i Mongolii. Na co serw[illegible]rya czeka? Aż Rosya istotnie tak wzrośnie, że ją udusi swym poężarem? Aż dzięki przyjaciołom Rosyi Wiedeń coraz bardziej będzie tracić kredyt na targu międzynarodowym? aż ludy zaczną bankrutować pod ciężarem militarnym? Lepiej już wczesna wojna, niż odkładana. Dzisiaj Rosya wojny na kilku frontach prowadzić nie może; łatwiej zaś jej będzie ustąpić w Europie, niż w Azyi, gdyż tam po raz drugi poniósłszy klęskę — na długie czasy upadłaby w znaczeniu ogromnej liczby azyatyckich ludów.

Pozostaje jeszcze kwestya stosunku Niemiec. W ostatnich czasach ogłoszono rozmowy Bismarcka z Crispim. Bismarck powiedział był: „Jedyny tylko wypadek mógłby się zdarzyć, któryby dał powód do zerwania wszelkiej zgody pomiędzy Austryą a Niemcami: to różnica między politykami obu rządów w Polsce". Bismarck sprzeciwiał się kategorycznie odrodzeniu Polski. Ale to mówił Bismarck w połowie lat siedmdziesiątych, na szczycie po-

tęgi Niemiec. Dziś sytuacya się zmieniła. Dziś Niemcy Austryi więcej potrzebują, niż ta ich. Niemcy zresztą już w marcu 1909 dały dowód, że akceptują plany polskie Austryi; wtajemniczeni zapewniają, że Niemcy wówczas wymówiły sobie tylko uczestnictwo w zdobyczach: zaanektowanie jednej czy dwóch gubernii z Królestwa. To byłby dla nas cios: ale dlatego przecie propagujemy utworzenie polskiego pogotowia militarnego, aby mocarstwa nie mogły rozporządzać nami bez nas, abyśmy nasze interesy mogli poprzeć czynnie.

* * *

Niewdzięczną jest rola pisarza publicznego, chcącego przewidywać przyszłość i propagować wolę do czynu. Nic łatwiejszego, jak być ptakiem burzy — bez burzy. W dodatku ze strony wszystkich „realnych" ludzi padają gromy za odciąganie od bieżących zadań życiowych, od pracy etc. Gdyby w Niemczech, w Anglii, żyjących przecie dzisiaj pod bardzo surową grozą wojny, ktoś powiedział, że wynika stąd zaniechanie pracy codziennej — uważanoby go za półgłówka. U nas jednak zawsze się trzeba bronić przed najniedorzeczniejszymi zarzutami. Jakoby naród, myślący o przyszłości, musiał przez to zapominać o obowiązkach bieżących. Przecie to elementarna rzecz, że bez wypełniania tych obowiązków nie masz nietylko przyszłości, nietylko niepodległości, lecz wogóle — życia. Przecie to elementarna rzecz, że musimy jaknajintenzywniej pracować ekonomicznie, kulturalnie, musimy wzbogacać się materyalnie i duchowo — gdyż bez tego będziemy poprostu paryasami i nikt się z nami nie będzie liczył. Myśleć politycznie, myśleć o przyszłości, toć przecie nie znaczy wyprowadzać cały naród z warsztatów normalnych zajęć — na bezustanny w nieskończoność idący wiec. Ale niemniejszem złem jest zajmować się wyłącznie kwestyą chleba i oświaty — bez zrozumienia wypadków światowych i przygotowania się do czynnej w nich roli. Taka bierność może w jednym tygodniu cały naród pozbawić owoców długoletnich jego wysiłków kulturalnych — Rosya i Prusy nieraz już pierwszorzędnych instytucyj nas pozbawiły — i wstrząsnąć wszystkimi fundamentami bytu.

Takim dla nas ciosem groźnym, najgroźniejszym, jaki sobie możemy wyobrazić, byłoby dojście do skutku „świętego przymierza" trójcesarskiego. Wszyscy ludzie wpływowi stają teraz w obliczu najwyższej odpowiedzialności narodowej. Natomiast

przewrotem z krótkiem wstrząśnieniem złączonym, ale otwierającym widoki potężnego rozwoju, byłoby złączenie Galicyi z Królestwem. Nie paraliżujmy się tchórzostwem, wypowiedzmy to, gdzie potrzeba, głośno. Nie tłómaczmy się obawą zaszkodzenia braciom w zaborze rosyjskim. Rosya w stosunku do nich kieruje się swoimi planami, nie naszymi. Nie bał się myśli aneksyi wypowiedzieć głośno c. k. namiestnik Gołuchowski, i to kiedy? w pięć lat po powstaniu, kiedy Królestwo było jedną zbolałą raną — nie obawiajmy się i my. W Europie, na całym świecie czas dzisiaj robienia historyi, nie mówienia o niej — na wieczorkach kasynowych. Przygotowujmy się do tego, siłami realnemi i stworzeniem potężnego prądu opinii, z którą musieliby się liczyć ci, co zwykli kierować historyą w interesie swoim egoistycznym, w dodatku rozumianym zwykle źle, bo w oderwaniu od interesów żywych narodów.

DOŚWIADCZENIE RELIGIJNE.

(Dalszy ciąg).

Pod określenie materyalizmu lekarskiego podpadają również krzykliwe teorye Lombrosa, który usiłował sprowadzić geniuszy do spólnej klatki z kretynami i urodzonymi zbrodniarzami.

Teorye takie zbyt rażąco są w niezgodzie z najzwyczajniejszym zdrowym rozsądkiem, aby trwały wpływ mieć mogły; nieprawda ich zbyt bije w oczy. Zamknąć do spólnej klatki geniuszy z moralnymi degeneratami jest prawie tem samem, co zaliczyć Sokratesa do grupy ludzi o spłaszczonych nosach i dążyć do zdyskredytowania jego filozofii na zasadzie tego, że z zestawień naszych wypada niższość rozwojowa płaskonosych. Prosty zdrowy rozsądek oburzy się przeciwko takiej klasyfikacyi — i ostatecznie filozofia sokratesowa nic na tem nie ucierpi, bo zbyt wyraźną jest prawda, że wielkość i wpływ Sokratesa nie jego płaski nos warunkował, jeno coś takiego, czego właśnie normalny płaskonos nie posiada. Tak samo o wielkości, o wpływie i sile św. Pawła nie jego epilepsya stanowiła, jeno coś takiego, czego właśnie normalny epileptyk, ani wogóle przeciętny człowiek nie posiada.

Jeśli więc wybierzemy sobie za przedmiot badań np. świętego Pawła, to przedewszystkiem winniśmy zwrócić uwagę na tę jego szczególną oryginalność, uwydatnić ją i wreszcie postarać się wypowiedzieć o niej to, co James nazwał sądem duchowym.

Tych sądów duchowych jednak o poszczególnych doktrynach religijnych, czy o enuncyacyach wybitnych osobistości religijnych, James nie wypowiada. Nie to jest jego zadaniem. Jakeśmy już zaznaczyli, sztucznie wyodrębnia on psychologiczne zjawisko religijne z całokształtu życia religijnego i usiłuje zapomnieć o różnicach między poszczególnemi religiami. Dla celów swoich wyłącznie psychologicznych badań James określa religię „jako uczucia, czyny i doświadczenia indywidualnych ludzi w samotności, o ile uznają oni, że znajdują się w jakimś stosunku do tego, co mogą uważać za boskie".

James doskonale wie, że tak ograniczony przedmiot badań daleki jest od objęcia całości zjawisk religijnych i powiada zaraz w zdaniu następnem: „Wziąwszy pod uwagę, że stosunek (do boskości) może być moralny, fizyczny lub obrzędowy, widoczną jest rzeczą, że poza religią w przyjętem przez nas znaczeniu, swobodnie mogą rosnąć teorye, filozofie kościelne organizacye".

Zastrzega się tylko jeszcze przeciwko zbyt ciasnemu pojmowaniu „boskości". — „Istnieją systemy myślowe — powiada — powszechnie zwane religiami, które jednak, pozytywnie biorąc, nie uznają żadnego Boga. Takim jest np. buddyzm. Dla mas wprawdzie sam Budda zajmuje stanowisko Boga, ściśle biorąc jednak buddyzm jest systemem ateistycznym. Współczesny idealizm transcendentalny, np. emersyonizm, także rozwiewa Boga w Ideał abstrakcyjny. Przedmiotem kultu transcendentalistów jest nie bóstwo *in concreto*, nie jakaś nadludzka osobistość lecz boskość immanentna we wszystkich rzeczach, zasadniczo uduchowiona struktura wszechświata"[1]).

James zastanawia się nieco obszerniej nad Emersonem i jego bezboską religią. My zaś dodać możemy, że nawet niektóre systematy religijne t. zw. politeistyczne na szczytach swego rozwoju naprawdę są ateistyczne. Takim jest np. brahmaizm w Upaniszadach i grecki poganizm w tragedyi.

Jakkolwiek dziwnem może się wydać to ostatnie twierdzenie wobec bogów, biorących tak żywy udział w tragedyi greckiej, przecie rola ich jest zasadniczo różna od tej, która w analogicznych wypadkach przypadłaby w udziale semicko-chrześcijańskiemu jedynemu Bogu. Bogowie w tragedyi greckiej są tylko postaciami dramatu. Potężniejsi od ludzi, nieraz nimi kierują lub przyszłość przewidzieć są zdolni, ale bynajmniej nie są wyrazem tego najpowszechniejszego prawa

---

[1]) O. c. p. 31—33.

etyczno-religijnego, które unosi się nad tragedyą jako t. zw. fatum. Bogowie sami podlegają prawom fatalnym, tym religijnym, najpierwotniejszym, najbardziej zasadniczym wyrazom porządku przedustawnego. A fatum nie jest prajedynym osobistym Bogiem.

I jeśli w tym wypadku chcielibyśmy zastosować James'owy termin „boskości“, to atrybut ten nie przynależałby ani Zeusowi, ani Appolonowi, ani innym bogom, jeno wyłącznie byłby on własnością „fatum“. W tak szerokiem znaczeniu James używa terminu boski i boskość. I na takich filozoficznych podstawach stanąwszy, zabiera się do badań nad doświadczeniami religijnemi.

Owe doświadczenia religijne — to opisy przeżyć wewnętrznych najrozmaitszych ludzi; nie martwe dokumenty historyczne, jeno żywe, poufne wyznania ludzkie; szczere, prawdą tchnące osobiste listy. Jedni opisują jak utracili wiarę religijną i jaką to zmianę w nich wywołało, inni — jak ją odnaleźli; jedni wierzą w Boga osobistego, drudzy należą do wspomnianego wyżej typu transcendentalnych idealistów. Duże bogactwo żywych, ciepłych dokumentów, świadczących spólnie o wielkiej doniosłości religii, jako czynnika życiowego. To nie scholastyka, ani racyonalistyczne gabinetowe rozumowania, to doświadczalne, powiedziałbym namacalne fakty. Większość podanych przykładów, pochodzi od ludzi bardzo przeciętnych, nie posiadających ani talentów ani specyalnych uzdolnień, wyróżniających się jedynie wysokim rozwojem poczucia religijnego. Większość też odnosi się do Boga osobistego — są to doświadczenia chrześcijan.

Oto jeden z takich opisów. Autorem jego jest osobisty znajomy James'a, pracownik naukowy.

„Między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia stopniowo stawałem się agnostykiem i coraz bardziej bezreligijnym; jakkolwiek nie mogę powiedzieć, abym utracił tę „nieokreśloną świadomość“ Istności absolutnej poza zjawiskami, którą Herbert Spencer tak dobrze opisuje. Dla mnie ta Istność nie była czystem Niepoznawalnem filozofii spencerowskiej, gdyż — jakkolwiek zaprzestałem mych modlitw dziecinnych do Boga, a do tego Czegoś nigdym nie modlił się w sposób formalny — moje późniejsze doświadczenie wykazało mi, że, praktycznie biorąc, mój stosunek do tego Czegoś nie był niczem innem, niż modlitwą. W chwilach zmartwienia, a szczególnie w domowych czy zawodowych nieporozumieniach, lub też w chwilach depresyi duchowej i kłopotów finansowych, przyznaję dzisiaj, miałem zwyczaj szukać pomocy w dziwnym stosunku do tego, co — jak sam czuję — jest owem Czemś kosmicznie podstawowem. I zawsze znajdowałem tam pokrze-

pienie, jakby spływała na mnie moc życiowa, jakbym poczuł oporę i podtrzymanie. Czy było to oddziaływanie z mojej strony, czy z tamtej — to już jak wam się podoba. W rzeczywistości była to niewyczerpana krynica żywej sprawiedliwości, prawdy i siły, ku której w chwilach słabości zwracałem się instynktownie i która zawsze mię ratowała. Teraz wiem, że pozostawałem w pewnym osobistym stosunku do tego Czegoś, ponieważ w ostatnich czasach utraciłem zdolność tej komunikacyi i wiem, że ta utrata jest ostateczna. Dawniej nie zdarzało mi się doznać zawodu, gdym zwócił się ku temu Czemuś w poszukiwaniu go. Potem przyszło kilka lat, kiedy czasami znajdowałem to, a innym razem byłem zupełnie niezdolny do wejścia w ten stosunek. Przypominam sobie, że nieraz w nocy, leżąc na łóżku, nie mogłem zasnąć w poczuciu czegoś złego. Przewracałem się w ciemnościach z boku na bok, usiłując przyczepić się umysłem do znanego uczucia wyższego stanu duchowego, który przedtem zwykle jakby stał na zawołanie, kończył wysiłek i przynosił ulgę; — lecz nie było już prądu elektrycznego. Na miejscu owego Czegoś była pustka i nic znaleść nie mogłem. Obecnie, w wieku lat około pięćdziesięciu, zupełnie utraciłem zdolność wchodzenia z tem Czemś w stosunek i muszę wyznać, że życie moje straciło wielką oporę. Stało się ono dziwnie martwe i obojętne. Widzę teraz, że moje dawniejsze doświadczenia były zapewne czemś zupełnie tem samem, co modlitwy prawowiernych, jeno nie nazywałem ich tem imieniem. To zaś, co nazwałem owem Czemś, było, praktycznie biorąc, nie spencerowskiem Niepoznawalnem, jeno moim własnym, instynktownym Bogiem, na którym opierałem się w poczuciu wyższej sympatyi, lecz któregom w jakiś sposób utracił" [1]).

Mamy tu bardzo ciekawy przykład utraty religii z przyczyn zupełnie niewiadomych, religii niejako formalnego wyznania, czy przynależności do jakiegoś kościoła, jeno religii jako żywego i dodatniego czynnika w życiu indywidualnem. Zniknęła ona, jak zniknąć może np. talent, lub zdolność do uniesień miłosnych; zgasło coś, co było jak zdrowie i co jak zdrowie ceny nabiera dopiero wtedy, gdy go braknie. Opis powyższy jest tem godniejszy uwagi, że autora nie można posądzć o występowanie w obronie jakiegoś w ten lub inny sposób pojętego bóstwa.

Nieco dalej znajdujemy opis doświadczenia religijnego pewnego pastora. Tu już jest wyraźny Bóg osobisty.

„Przypominam sobie tę noc, miejsce i ów szczyt góry, gdzie dusza

---

[1]) O. c. p. 64—65.

moja rozwarła się w Nieskończoność; a było mi, jakby dwa światy, wyższy i niższy, szły na siebie. Dwie otchłanie krzyczały w siebie nawzajem: — otchłani, którą moja własna walka rozwarła w mojem wnętrzu, odpowiadała aż do gwiazd sięgająca, bezdenna otchłań zewnętrzna. Stałem sam na sam z tym, kto zdziałał mię — i całe piękno świata i miłość i smutek i nawet pokusy. Nie szukałem Go, jeno czułem doskonały spółdźwięk mego ducha z Jego duchem. Zbladło zwykłe znaczenie otaczających mię rzeczy. W tej chwili nie zostało mi nic, oprócz niewypowiedzianej radości i uniesienia. Jakżeż opisać takie doświadczenie? Było to coś jakby efekt wielkiej orkiestry, kiedy wszystkie oddzielne tony zlały się w jedną olbrzymią harmonię, która nie pozostawia słuchaczowi innej świadomości, prócz tej, że dusza jego została zachwycona wzwyż i jakoby spala się w swojem własnem wzruszeniu. Doskonałą ciszę nocną przecięło milczenie jeszcze bardziej uroczyste. W ciemnościach był ktoś obecny i obecność tę tem mocniej wyczuwałem, że widać nic nie było. Jego obecność była dla mnie równie niewątpliwa, jak moja własna. Więcej — czułem się, jeśli to możliwe, mniej rzeczywistym z nas dwóch.

„Wówczas narodziła się we mnie najwyższa wiara w Boga i najprawdziwsza Jego idea. Nieraz potem stałem na szczycie Góry Widzeń i czułem Wiekuistego dookoła siebie; lecz nigdy już nie przyszło to samo wzruszenie serdeczne. I mniemam, że jeśli kiedy, to wtedy właśnie stanąłem twarzą w twarz Boga i powtórnie narodziłem się z Jego ducha. We wspomnieniach moich nie znajduję wówczas żadnej raptownej zmiany myśli lub wierzeń, jeno raczej jakby moje poprzednie grube pojęcia spaliły się w kwiaty. To nie było zburzenie rzeczy starych, lecz błyskawiczne, cudowne rozwinięcie się. Od tej chwili żadna krytyka dowodów istnienia Boga nie mogła zachwiać mojej wiary. Poczuwszy raz obecność ducha Bożego, nigdy potem na długo jej nie traciłem. Moja najbardziej niewzruszona pewność Jego istnienia tkwi korzeniami w tym momencie wizyi, we wspomnieniu tego najwyższego doświadczenia i w przekonaniu, do którego doszedłem przez czytanie i rozmyślania, że czegoś podobnego doznać musieli ci wszyscy, którzy znaleźli Boga. Wiem, że słusznie to może być nazwane mistycyzmem, nie jestem jednak dostatecznie obznajmiony z filozofią, abym mógł się bronić od takich lub innych zarzutów. Czuję, że w tym opisie raczej nagromadziłem tylko słowa, niż wiernie oddałem to, co wówczas we mnie zaszło. Lecz dałem opis najstaranniejszy, na jaki mię stać“ [1]).

Szczerość i wzruszająca niemal prostota tego wyznania, mówią

---

[1]) O. c. p. 66—67.

więcej i mocniej, aniżeli mogłyby to uczynić olbrzymie tomy uczonych wywodów. Bóg przejawił się tu niewątpliwie. W doświadczeniu tem Bóg jest równie niewątpliwym czynnikiem, jak prąd elektryczny w pierwszem lepszem doświadczeniu laboratoryjnem. Możemy uznać ten czynnik za dodatni lub ujemny, możemy zwalczać go lub potęgować umyślnie, ale nie mamy prawa odmówić mu istnienia. On jest — i oto widzieliśmy go.

Opisane tylko co doświadczenie należy do kategoryi doświadczeń religijnych, które możnaby nazwać objawieniami. Bóg, czy raczej — boskość, ujawnia się tu tylko w pewnych szczególnych momentach życiowych.

Nie jest to wszakże jedyna forma doświadczenia religijnego. James podaje długi szereg wyznań najrozmaitszych ludzi, którzy opowiadają, jak Bóg jest jednym ze stałych czynników w ich życiu powszedniem. Niekiedy przejawia się on jako piękno przyrody, czy dobro życia; innym razem jako doradca, opiekun, przyjaciel, czy jako przedmiot miłości — a to zależnie od indywidualnego usposobienia i szczególnych warunków życiowych każdego z opowiadających. Ale zawsze jako coś, co „jest bardziej rzeczywiste niż jakabądź myśl, rzecz lub osoba“ — jak zapewnia jeden z nich; i zawsze jako coś przejawiające się pewnymi czynami, pewnym widocznym i dającym się określić wpływem na życie ludzkie: słowem — jako jeden z niewątpliwych czynników życiowych.

Zaznaczyć tylko warto, że podane przez James'a przykłady odnoszą się wyłącznie do wypadku, kiedy Bóg odgrywa w życiu ludzkiem rolę czynnika dodatniego; nie znajdujemy zaś u James'a ani jednego przykładu nienawiści do Boga. A przecie takie uczucia także bywają — i to bardzo silne i wyraźne. Bóg w doświadczeniu religijnem bywa nietylko drogim opiekunem, lecz także znienawidzonym władcą i tyranem; zjawia się jako potęga, przeciwko której wszystko, co ludzkie, co wolne i dostojne, podnosi rokosz. Bóg w doświadczeniu religijnem jawić się może nietylko jako dobry ojciec, lecz także jako najpotężniejszy wróg człowieka.

Szkoda wielka, że James nie zna takich doświadczeń, bo nie byłby zapewne pominął całej jednej strony życia religijnego; zobaczyłby, że człowiek względem bóstwa może żywić nietylko uczucia synowskie lub wiernopoddańcze, lecz także uczucia niewolnika, który raptem poczuł swoją niewolę i uświadomił sobie cały ciężar stojącej mu na karku pańskiej stopy. Jednostronność James'owego stosunku do religii spowodowała, że pominął on zupełnie walkę człowieka z bóstwem — tę walkę, która na niższych szczeblach rozwojowych występuje jako kult Szatana, a na szczytach jest przejawem ludzkiego dążenia do samodzielności.

Czy Bóg, przejawiający się w doświadczeniu religijnem, jest odpowiednikiem jakimś objektywnej rzeczywistości? czy istnieje on poza

człowickiem, doznającym go? Na te pytania James zupełnie nie odpowiada, ponieważ podług niego, są to pytania zasadniczo źle postawione. Subjekt, doznający na sobie samym działania Boga, jest tu czemś w rodzaju przyrządu laboratoryjnego, który pozwala dostrzedz działanie jakiejś siły. Naprzykład elektroskop ujawnia nam działanie prądu elektrycznego: ale cóż moglibyśmy odpowiedzieć na pytanie: — czy istnieje prąd elektryczny i czem on jest, poza elektroskopem i poza wszystkimi wykazującymi go przyrządami?

Nazwaliśmy elektrycznością siłę, która tak oto się ujawnia; podobnie nazwaliśmy Bogiem czynnik, który w doświadczeniu psychologicznem tak oto się ujawnia. Czem zaś on jest poza tem doświadczeniem i poza doświadczeniem wogóle, o tem nic powiedzieć nie możemy, ponieważ o samem jego istnieniu tylko doświadczenie nas przekonało.

Że to jest ściśle naukowe postawienie kwestyi, o tem nie można wątpić, lecz także, że taki stosunek do religii bynajmniej jej całości nie tłómaczy, z tego sam James zdawał sobie sprawę. Poza indywidualnem religijnem doświadczeniem wewnętrznem, religia przejawia się jeszcze jako doświadczenie społeczne i jako pewnego rodzaju kosmozofia.

Nie możemy również wytłómaczyć racyonalistycznie, w jaki sposób powstało w nas dane doświadczenie religijne. Podobnie jak nie możemy wytłómaczyć, jak powstają dzieła sztuki.

Doświadczenia religijne wypływają na powierzchnię świadomego naszego życia z tych tajemniczych głębi podświadomej, czy jeśli kto woli, nadświadomej jaźni, które zupełnie są niedostępne dla racyonalistycznego rozumowania. Tam tkwią korzenie religii, niepotrzebujące wyrozumowanych „dowodów istnienia Boga“, ani też niedające się naruszyć racyonalistycznymi t. zw. wolnomyślnymi argumentami.

(Dok. nast.) *Jan Hempel.*

WSPÓŁCZEŚNI POLITYCY POLSCY.

XXXI. ALEKSANDER BABIAŃSKI.

Siedząc w loży prezesa Dumy, skąd równie źle się słyszy mówców, jak i ze wszystkich innych lóż, przypominam sobie stary sztych Chodowieckiego: Ta sama biała sala, te oto kolumny, a wśród nich smukła „Semiramis Północy“, przerastająca naturalnie o głowę wszystkie wyfiokowane frejliny, — chociaż malarz współczesny wiedział za-

pewne lepiej od nas, że Katarzyna była w rzeczywistości kobietą małej i grubej statury.

Oprócz starych złoconych pająków, sypiących w te dni ponure, jak i sto lat temu, skrami kryształów, oprócz kilkunastu białolakierowanych banquettes Louis XV, nic już chyba nie zostało z potemkinowskich splendorów. Ćwierć wieku temu rozdrapano, wyrzucono stąd resztę pysznych antyków, jako stare graty, i tylko część ich niewielką odkupił później od antykwaryuszów jeden z wykształconych wielkich książąt.

Teraz w olbrzymiej hali głównej odgrodzono kwadrat środkowy wysokiemi przepierzeniami, i w tej klatce odświeżonej zamknięto rosyjskich prawodawców wraz z rosyjską konstytucyą. Tutaj zachowali się jeszcze ludzie, którzy o niej przypominają sobie i światu.

Tak, sale taurydzkie przybierają różną postać, stosownie do mody panującej, lecz atmosfera fałszu i obłudy panuje w nich i dzisiaj, tak jak za czasów „Imperatorowej Jejmości".

Ta sama przecież ręka Katarzyny, z której proponowała ona chirurgowi wytoczyć „ostatnią kroplę krwi niemieckiej" — odbierała od milionów włościan, ku zachwytowi ich panów, ostatnią możność ludzkiego istnienia, a jednocześnie podpisywała — ku aplauzowi paryskich filozofów — wolnomyślne „Nakazy" dla zwołanych do stolicy deputatów — quasi reformatorów życia rosyjskiego.

Wkrótce już kończy się kadencya 3-ciej Dumy, zasiadającej już lat kilka na mocy liberalnego ukazu 17 października, będącego już taką samą fikcyą, jak w swoim czasie „Nakaz" Katarzyny.

Żadna chyba kategorya ludzi, figurujących na forum świata, nie potrzebuje w tym stopniu odpowiedniego piedestału, aby się uwypuklić we właściwych rozmiarach, jak kategorya polityków. Coraz niższym, coraz nędzniejszym piedestałem stawała się każda z trzech dum rosyjskich, coraz niklejsi też poczęli się wydawać widzom i słuchaczom i ci nawet, którzy posiadają jednak w sobie cechy twórców historycznych.

Nie mam obecnie na myśli tych polityków, którzy się przenosili bezpośrednio z ław skrajnej lewicy do różnych worków kamiennych. Mieli odwagę, poświęcenie, nie brakło im talentów, lecz hasła ich tkwiły w zbyt odległych horyzontach.

Czynu twórczego po burzy spodziewano się raczej po tych, którzy oprócz wyjątkowych cech osobistych, oprócz zapatrzenia się w ideały wolności i sprawiedliwości, posiadali też znajomość życia realnego, mieli za sobą przeszłość trudu społecznego — w ziemstwach, organizacyach ekonomicznych, kulturalnych, oświatowych; tembardziej, że trud ten

w państwie tutejszom był zawsze nieodłączny od śmiałej walki z bezprawiem, z despotyzmem.

Ale nie doczekaliśmy się ich czynów, skuto ich i zamknięto w klatce — z jakimi towarzyszami!

Cóż się tu dzieje ze skrzydlatą siłą Rodiczewa? I po co tej Dumie nieprzeparta logika wysłańca Moskwy — Makłakowa? I „zmysł całości“ — Milukowa?

* * *

Jednym z najruchliwszych posłów partyi demokratów konstytucyjnych jest poseł Babiański.

W gronie tem, któremu zarzucają często skłonność do uogólnień abstrakcyjnych, reprezentuje on właśnie tendencye realne, praktyczne. Wyznawca ideologii partyjnej, ocenia zarazem trafnie wartość rzeczywistości. Nie chcę bynajmniej powiedzieć przez to, aby był skłonny przenosić korzyści chwilowe, pozorne, nad trwalsze dobro w przyszłości. Nie efemeryczne motywy przejściowe, lecz głębsze kombinacye zasadnicze stanowią zwykle podłoże jego wystąpień.

Dobrze przygotowany wstępował do Dumy ten ziemianin kowieński, reprezentujący z woli losów okręg wyborczy... gubernii permskiej. Przynosił z sobą doskonałą znajomość rosyjskiego świata, arkanów machiny administracyjnej, rządzących i rządzonych — i, jak już zaznaczyliśmy, umysł nie doktrynerski, lecz otwarty na wymowę rzeczywistości. Stąd — przymioty tak ważne w polityce — łatwość oryentacyi w potrzebach czasu i solidna równowaga pomiędzy teoryą a życiem.

Wymowa łatwa i płynna posła Babiańskiego nie odznacza się ani oryginalnością treści i formy, ani szczególnym nastrojem; zdrowa logika jednak, znajomość przedmiotu i przyrodzony optymizm wypełnia je zawsze.

W pierwszym już brzasku ostatniego ruchu wolnościowego — uczeń szlachetnego myśliciela Kawelina, blizki znajomy Włodzimierza Sołowiewa, prawnik z wychowania i działalności w Petersburgu — generał Babiański pośpieszył do szeregów opozycyi. Kiedy zaś zwierzchność jego wojskowa wyznaczyła go do składu sądu wojennego nad sprawcą zamachu na gubernatora wyborskiego Miasojedowa, podał się natychmiast do dymisyi — i znalazł się już ostatecznie w zastępach lewicy.

Po bezskutecznej kandydaturze w gubernii kowieńskiej, w której posiada majątek, poseł Babiański został wybrany do 3 ciej Dumy przez żywioły demokratyczne z innej gubernii, gdzie również posiada własność ziemską, mianowicie z gubernii permskiej.

Jednym z najważniejszych momentów w działalności posła Babiańskiego była znana mowa jego przeciw karze śmierci podczas debatów nad sądami wojennymi, w marcu 1910 r.

Partya konstytucyjno-demokratyczna z tem większem zaufaniem dawała mu się wypowiedzieć, że, jako sędzia wojskowy z epoki przedrewolucyjnej, mógł on porównywać funkcye normalne sądów takich z owemi nadzwyczajnemi funkcyami, z owym krwawym chaosem, który zapanował w latach ostatnich w celach t. zw. „pacyfikacyi".

Występował zaś z tem większą śmiałością, że i za czasów swego sądownictwa był przeciwnikiem kar surowych i nie miał na sumieniu wyroków śmierci. „Skasowanie kar śmierci — mówił Babiański w marcu 1910 r. — przybrało rozmiary niesłychane. W ciągu czterech lat skazano na śmierć przeszło 6000 osób; z nich wprawdzie połowa uniknęła śmierci. Lecz w jakich warunkach odbywa się to ułaskawienie? Panowie, jest to jedna z okropności najcięższych do zniesienia. Ułaskawienie odbywa się przeważnie po przejściu 1, 2, 3, 4 miesięcy. Jest to znęcanie się nad duszą ludzką. Jeżeli nawet państwo rozciąga swą władzę na życie człowieka, nie ma ono jednak prawa zadawać mu tych strasznych mąk psychicznych, które przeżywa skazaniec w oczekiwaniu swego losu. Ci nieszczęśliwi, jeżeli im się udaje, spalają się, przekłuwają swe ciało gwoździami, w oczekiwaniu stracenia giną nieraz najbardziej wyrafinowaną w swych mękach śmiercią. I ciągnie się ta groza czasem kilkanaście miesięcy..." „...Kara śmierci stosuje się dzisiaj zarówno względem niepełnoletnich, jak i kobiet. W r. 1908 w Królestwie Polskiem stracono 71 osób — w wieku od lat 15 do 21! niedość tego, został stracony i 65 letni starzec — Kasprzak..." „...Prezes rady ministrów rzekł tutaj, że jeżeli ręce ich zbroczone są krwią, to jest to krew sumiennego lekarza, a nie kata... Rosya to kiedyś osądzi, dziś już zresztą was osądziła. Do waszych uszu, panowie, powinien dojść jęk ludu, trwoga, aby przyszłość cała nie stała się demoralizacyą, zezwierzęceniem, zdziczeniem... Egzekucye te odbywają się głównie w imię istnienia 3-ej Dumy; potomkowie wasi, panowie, i historya uczynią z was współwinowajców tych zbrodni. Powinniście podnieść głos wasz i wydać okrzyk: Dość już kar śmierci!"

Dla skazańców pojedyńczych Piotr syn Arkadyusza Stołypin obstalowywał swe „krawaty", według pamiętnego wyrażenia Rodiczewa, dla „inorodczych" zaś narodowości — obroże praw wyjątkowych i systemu kuryalnego. Opozycya w Dumie zużyła, jak wiadomo, niemało sił, aby je rozluźnić na szyjach narodów — niestety, wiemy też, z jakim skutkiem...

Jeszcze w naiwnej dobie nadziei, kiedyto wszystkie plemiona ujarzmione wyciągnęły nagle do siebie ręce, śniąc na jawie ten sam sen różowy, który się dziś iścić zdaje — w Chinach, sen federacyi wolnych z wolnymi, — Babiański, jako członek związku autonomistów-federalistów, stanął już odrazu na tym gruncie, na którym stoi obecnie, broniąc w Dumie i w prasie praw finlandczyków, litwinów, żydów — i, naturalnie, własnych rodaków.

Stołypinowski projekt ziemstw w prowincyach zachodnich, ów projekt grabarza narodowości naszej, z którym tak energicznie walczyło Koło polskie, stojąc na gruncie sprawiedliwości ogólnej, a więc oponując przeciw kuryom narodowościowym, oddawał najżywotniejsze interesy ludności na terytoryum Litwy historycznej, Wołynia, Ukrainy i Podola — interesy 17 milionów, w ręce karjerowiczów, przybyszów.

...„Chodzi tu o przedstawicielstwo ludności polskiej, mówił Babiański na posiedzeniu Dumy w czerwcu 1910 r. Tylko co prezes ministrów powiedział, że na kraj zachodni spadł huragan, który obezwładnił szlachtę rosyjską. To był nie huragan, lecz 500-letnia era historyczna, w którym to czasie przerobiły się różne zasady... Jeżeli mamy mówić o huraganie, to rozszalał się on w prowincyach zachodnich po r. 1863, gdy naprawdę polski stan posiadania był do połowy zniszczony, ziemie skonfiskowane, sprzedawane za bezcen. Dzięki jemu też powstała sztucznie ta rosyjska własność ziemska — i w jej ręce właśnie chcecie panowie oddać ziemstwo tych prowincyj.

„Nie chodzi tu wcale o wzmożenie dobrobytu różnoplemiennej ludności miejscowej, chodzi jedynie o to, aby oddać władzę w ręce tej niewielkiej grupy rosyjskich właścicieli ziemskich, którzy zawsze zresztą są w swych majątkach nieobecni. Będzie ona trzymała kraj cały w swem ręku z pomocą żywiołów napływowych, gdyż tak zwany „element trzeci“ (t. j. funkcyonaryusze ziemscy) ma być importowany z Rosyi. Wszystkie źródła bogactw krajowych znajdą się w ich ręku — bez żadnej kontroli. Lepszą już jest gospodarka urzędnicza, niż takie ziemstwo. Urzędnik jest przecież odpowiedzialny choćby przed swoją zwierzchnością, projektowane zaś ziemstwo będzie się składało z ludzi nieodpowiedzialnych, a jednocześnie obdarzonych prawem ściągania podatków według swego widzimisię,.. Wasz projekt stwarza nie samorząd, ale samokarmienie się...

...„Panowie, „kraj zachodni“ stanowi więzienie, zbudowane na granicy Europy; ludzi tam rozstawiono poza kratami i doprowadzono do wzajemnej nienawiści. Trzeba otworzyć podwoje więzienne, zdjąć kraty, stworzyć atmosferę prawa, jawności i pracy społecznej.

Nawołuję was, panowie, do głosowania za prawem sprawiedliwem

względem ogółu ludności miejscowej, sprawiedliwem względem tej ludności polskiej, ktora w ciągu pięciu wieków pracuje dla dobra kraju...“

Pamiętne są dzieje dalsze projektu tego i zatarg z jego powodu Stołypina z większością Izby wyższej, Rady państwa.

Obrońcy zasady równouprawnionego współżycia obywateli różnych narodowości zbyt trudno widocznie było pozostawać jedynie w roli niemego świadka niemego kompromisu w chwili, kiedy zabrzmiały na łamach Puriszkiewiczów, Markowów, Zamysłowskich radośne fanfary gratulacyjne pod adresem „Koła polskiego“ po deklaracyi posła Grabskiego, motywującej uchylenie się deputowanych polskich od udziału w dyskusyi nad projektem o samorządzie miejskim w Królestwie.

Względy wyższe, słusznie czy niesłusznie nakładające kaganiec na ich usta, kazały im słuchać w milczeniu kompromitującej aprobaty czcigodnych kolegów z prawicy, lub owego wykrzyknika przywódcy ich, biskupa Eulogiusza: „Polacy dziś ani mrumru, bo nowe prawo ogranicza żydów, a jak tylko o i c h ograniczeniach mowa — zaraz krzyczą: n i e p o z w a l a m !“

Polak, poza Kołem stojący, a więc nie związany dyscypliną partyjną, stanął w obronie tradycyi naszej wolnościowej. Przypomniał on tej Izbie, zlekka uśmiechniętym panom z centrum i ironizującej skrajnej lewicy, że „naród polski nie opasywał żadnego plemienia drutami kolczastymi — linii osiedlenia, że i dawna tradycya nasza historyczna i nowsza — Wielopolskiego — to tradycya równouprawnienia, że i teraz wreszcie całe społeczeństwo polskie życzy sobie gorąco, aby kwestya równouprawnienia żydów została zdecydowaną w sposób najbardziej sprawiedliwy i racyonalny, przez otworzenie im granic całego olbrzymiego państwa...“

Z pochyloną głową nad papierkiem czytał potem z trybuny nową, naprędce zaimprowizowaną deklaracyę poseł Jaroński. Wytężałam słuch, aby pochwycić sens jej ogólny, lecz tylko pojedyńcze słowa dochodziły z dołu do miejsc naszych. I oto znowu radośne wykrzyki prawicy: „brawo Jaroński!“ pouczyły mię o jej treści.

Pisząc o pośle Babiańskim, nie mogę pominąć roli jego w petersburskiej kolonii polskiej. Wiążą go z nią od długiego lat szeregu stosunki bardzo ścisłe. Był on zawsze jednym z najczynniejszych członków wpływowej instytucyi tutejszej: Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności, stojącego na czele różnych instytucyi filantropijnych i kulturalnych, a także klubu, skupiającego rodaków. Następnie w latach ostatnich prezydował w sekcyi polskiej uniwersytetu ludowego, jako też w Towarzystwie demokratycznem „Promień“, powstałem z jego inicya-

tywy, a chroniącem liczną rzeszę robotników i rzemieślników polskich od zagłady na obcym im gruncie. Wiele też zawdzięcza p. Babiańskiemu Związek równouprawnienia kobiet polskich; występował on bowiem nieraz, między innemi i ostatniemi czasy, w Dumie, jako zwolennik sprawiedliwości i pod tym względem.

Nietylko kolonii petersburskiej, lecz i ogółowi rodaków, rozsianych w głębi Rosyi, dobrze się zasługuje poseł Babiański, dwa lata już trwając w roli wydawcy „Dziennika Petersburskiego“. Nie mówiąc już o znacznych stratach materyalnych, wydawanie w warunkach obecnych postępowej gazety polskiej w Petersburgu, bez odpowiednich kapitałów i prawie bez sił literackich miejscowych, — to umartwienie nielada! Koło czytelników jednak rośnie; rośnie więc koło tych, którzy, żyjąc na obczyźnie, pragną mieć stale przed oczyma obraz ogólny spraw polskich [1]).

R. Baudouin de Courtenay.

PRACE LIMANOWSKIEGO O EMIGRACYI PO R. 1831 [2]).

Skończył się już na szczęście czas legend o emigracyi, kiedy ogół traktował ją tylko jako jakieś bardzo dziwaczne i pogmatwane „tło historyczne“ romantycznej epoki w literaturze, a informował się o niej prawie wyłącznie z podręczników historyi literatury, przeważnie płytko i tendencyjnie sprawę przedstawiających. Książka Śliwińskiego o Mickiewiczu jako polityku, wydanie artykułów z „Trybuny ludów“, cztery monografie o Maurycym Mochnackim, M. Sokolnickiego: Les origines de l'emigration polonaise en France, i inne z rokiem i miesiącem niemal każdym pojawiające się monografie i artykuły, przedewszystkiem

---

[1]) Podzielamy w zupełności uznanie, jakie szan. autorka ma dla osoby posła Babiańskiego. Musimy jednak z naszego stanowiska zaznaczyć, że zasadniczo poseł polski może należeć tylko do stronnictwa polskiego; oddajemy sprawiedliwość kulturalności i szlachetności partyi konstytucyjno-demokratycznej, ale partya to rosyjska i nieraz przy całym swym zmyśle równouprawnienia, staje w poprzek naszym interesom, np. gdy głosowała za językiem rosyjskim w ustach przewodniczących rad miejskich przyszłego samorządu, albo gdy głosowała za upaństwowieniem kolei warszawsko-wiedeńskiej. Bo też płonnym jest „optymizm“ polityków w rodzaju szanownego p. posła: tylko zupełne wyzwolenie się z pod państwowości rosyjskiej może zapewnić nam przyszłość. *Red.*

[2]) „Stanisław Worcell“, życiorys. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“, „Szermierze wolności“... Kraków, Spółka nakładowa „Książka“ 1911.

zaś książki Limanowskiego, otwierają przed nami coraz to szersze perspektywy tych czasów, coraz to zbliżają nam i przysuwają wielką ową epokę formowania się nowoczesnej ideologii polskiej i wyrabiania się oryentacyi polskiej niepodległościowej polityki. Już książki polityczne, jak Studnickiego: „Sprawa polska“, K. M-ckiego: „Sprawa armii polskiej“, bogatsze są o dziejowe doświadczenie tych czasów, już nawet artykuły dziennikarskie wyrażać zaczynają zrozumienie łączności polityki polskiej z tym wypracowanym podówczas systemem państwowotwórczych oryentacyj ideologicznych.

Książki Limanowskiego posiadają jedną nieocenioną zaletę. Obok ogromnego materyału źródłowego, obok gruntownego zrozumienia zagadnień epoki, stawiają sprawę konkretnie, tak jak tylko jeden niemal Limanowski dziś pisać może, sam z konkretnego życia owych czasów wyrósłszy. Tu leży sens i zaleta biograficznego sposobu pisania obu omawianych książek. Worcell, Heltman, Mierosławski, Darasz, Sztolcman Wróblewski, nawet Lelewel lub Podolecki, przestają być dla nas jakimiś opętańcami doktryny, jakby wyobrazić sobie mógł czytelnik książki Gadona, a stają się żywymi ludźmi, o konkretnych uczuciach, przekonaniach, dążeniach, nawet słabościach. I nie usłyszymy już z tej emigracyi niezrozumiałego jakiegoś gwaru i sporów o rzeczy nierealne i doktrynerskie, lecz zrozumiemy poważną, głęboką. najkonkretniejszych zagadnień się tyczącą pracę.

I możemy teraz, gdy już tych ludzi znamy, wysnuć z ich myśli i czynów ideologiczną przędzę, która przez wysiłek całego ich życia. zmagań się, obłąkań, cierpień i męczeństw została stworzona, a która jest osnową nowoczesnej ideologii polskiej, obowiązującą każdy w tym względzie nowy wysiłek.

Przez owocny trud ideologów i myślicieli z epoki księstwa i królestwa, którzy straciwszy grunt państwa pod nogami doszukiwać się musieli nowych podstaw samowiedzy narodowej, aby uzasadnić myślowo fakt istnienia swojego jako Polaków i temu istnieniu zapewnić trwałość — założona została w tradycyi dziejowej ta opoka, która dźwigać na sobie miała cały bieżący i przyszły dorobek kultury narodu. W tem leżała moc i prawo tych ludzi do uważania się nadal po upadku państwa za Polaków, że pamiętali oni zbiorowo i żywo cały bieg i dorobek dziejów, w tem leżało zadanie ich jako wychowawców narodu, żeby tę samowiedzę tradycyi dziejowej umacniać i pogłębiać. I nie tak tylko, konkretnie, stała sprawa tej samowiedzy, że kultywowano pamięć królów, bohaterów i wypadków, ale w tem także, że starano się uświadomić sobie dorobek dziejowy we wszelkich dziedzinach, od religii po-

cząwszy, na zwyczajach narodowych skończywszy, aby założyć w ten sposób jakby pedagogię charakteru narodowego, jako wewnętrzną, bytową, niespożytą narodowości ostoję. Tu jest geneza nietylko studyów historycznych członków Tow. Przyj. nauk, nietylko usiłowań popularyzowania ich przez pieśni i poemata, ale także stąd poszedł ów zwrot do literatury ludu, jako najbardziej czystej krynicy narodowości, którego zewnętrznym jeno bodźcem był romantyzm zachodni, z ludowością Niemcewicza, Chodakowskiego, Brodzińskiego, a nawet Mickiewicza powierzchowne jeno mający związki.

Mimo rodzącej się wcześnie krytyki owego kultu tradycyi, żyją i na emigracyi jeszcze ideolodzy tego typu. Stanąć w opozycyi do tradycyi, było to kwestyonować wartość podstaw narodowości, stwarzanie nowych było trudnem, bo nie o kombinacyę myślową tu chodziło, ale o zastąpienie dziejów minionych dziejami żyjącemi, konkretnymi wysiłkami czynnymi. A nie każdy mógł zdobyć się na tę rozpaczną zuchwałość, jak Krasiński, który poza tradycyą, więc szlachtą, nie mógł widzieć narodu [1]) — a w samej tradycyi ważył się dostrzedz pustkę. „Byliśmy najbłędniejszym narodem w historyi... nie mieliśmy nic polskiego prócz rubaszności... literaturka nasza z konceptów włoskich, maksym Cycerona, z wierszyków francuskich wyarlekiniona“ [2]). Ludzie tacy, jak Michał Grabowski, Henryk Rzewuski, Stefan Witwicki pogłębiają ideologię tradycyonalistyczną na emigracyi. Rzewuski szerzy w powieściach kult szlacheczyzny, Witwicki w swych „Wieczorach pielgrzyma“, nie stawiając w zasadzie żadnych zadań rozwojowi narodu, troszczy się tylko o trwanie jego w obyczajach przodków, o zachowanie tradycyjnych form, szlachecko-ziemiańskiej kultury, którą uważa za ogólnie obowiązującą dla kultury narodowej. Lud jest tego stanu rzeczy bytową podwaliną, jest poto, aby trwał: „lud jest prawie druga Ziemia“.

Ale przełom następuje już oddawna. Nie będę się tu zatrzymywał nad stosunkiem owego tradycyonalizmu do racyonalizmu w umysłach takich ludzi jak Staszic, Czacki, czy Kołłątaj — poruszone zostało to już na innem miejscu — tu chodzi bezpośrednio tylko o buntownicze usiłowania wyzwolenia się z pod władzy tradycyi i gruntujących na niej swą powagę autorytetów (obraz: „Kordyan“, scena spiskowa w grobach królewskich). Symbolicznym dla tych usiłowań jest okrzyk M. Mochnackiego w klubie patryotycznym 1830 r.: „Precz z nazwiskami historycznemi!“, a symbolicznem jest również, że okrzyk ten w opinii ówczesnej

[1]) List do Reeve'a 14 lipca 1832.

[2]) List do ojca 26 stycznia 1836.

go zgubił. Jaśniej staje ta sprawa na emigracyi. Demokraci polscy wywiózłszy z kraju świadomość tego faktu, że powstanie dla ludu nic zrobić nie chciało, a przez to ludowi temu na ogół zostało obcem. owiani teraz zachodnio-europejskimi prądami rewolucyjnymi, lud uznają za naród, jego interes za podwalinę sprawy narodowej, a jego wyzwolenie za nierozdzielny warunek zbudowania niepodległego państwa. A przez to samo już w założeniu, występując wrogo przeciw szlachcie i jej przywilejom, przeciwstawiają się tradycyjnemu porządkowi społecznemu w Polsce i nie mówią już o odbudowaniu Polski, lecz o zbudowaniu na nowym porządku. z nowych sił i elementów społecznych nowej Polski ludowej.

Tradycya więc. brana za podstawę samowiedzy kulturalnej narodu. przestaje wystarczać. Lecz, jak się rzekło, wyzwolić się nie było tak łatwo, bo myśl stawała wtedy w obliczu pustki; historycy demokratyczni nawiązują przeto dzisiejsze czasy do republikanizmu dawnej Polski. Niektórzy, jak Lelewel, widzą w Polsce corazto szerzej rozwijające się gminowładztwo, którego rozrost schodzi z normalnej drogi dopiero wtedy, gdy gminowładztwo szlacheckie zasklepia się egoistycznie w interesach stanowych, kosztem stanów innych; inni, jak Darasz, uważają, że monarchizm sprowadził Polskę z torów normalnego rozwoju i jednocześnie przedstawiają ten monarchizm, jako wpływ obcy, narzucony narodowi polskiemu. Inni jeszcze, jak Mickiewicz. idąc śladem Lelewela do ostatnich czasów zdają się doprowadzać owo stopniowe demokratyzowanie się państwa i społeczeństwa, a we wrogich siłach państw zaborczych widzą przyczynę zatrzymania się rozwoju. Nie trudno nam jednak dostrzedz, że w usiłowaniach tych zupełnie już inaczej sprawa stoi. Nie tyle chodzi o usprawiedliwienie dziejów dla uczynienia z nich podwaliny narodowości, ile (biorę tu oczywiście ideowy jedynie wydźwięk badań objektywnych. dla tego zestawiać się poważam te nazwiska) o nadanie wagi programowym i aktualnym dążeniom. Nawet Mickiewicz, tak daleko w tym czasie stojący od demokratów, doszukując się „ducha narodowego“ w tradycyi domowej, doszukuje się właściwie czynników, mających przekształcić walący się gmach współczesnego społeczeństwa.

Coraz bardziej jednak i te mosty zaczynają się zapadać. Manifest Towarzystwa Demokratycznego (r. 1836) ogłaszając „rozbrat z przeszłością“ takie zuchwałe wypowiada słowa: „Ohydną byłaby ta przechwalona przeszłość starej Polski, gdyby czas i przesądy wieków z niejakiem usprawiedliwieniem nie rzucały na nią zasłony“. Gromada Grudziąż „Ludu polskiego“ powiadamiając emigracyę o swem zawiązaniu.

oświadcza, że ich ojczyzna, lud polski, zawsze była odłączona od ojczyzny szlachty, a wszelkie zetknięcie miało zawsze podobieństwo do tego, jakie zachodzi pomiędzy zabójcą a ofiarą, a w innem miejscu głosi: „Szlachecka Polski narodowość w trumnie na wieki spoczęła, teraz więc do ludu polskiego, do kmieci należy pojęcie innej narodowości dla naszej ojczyzny wyrobić“.

Nawet takie momenta dziejów, jak Konstytucya 3 Maja, przestają imponować nie tylko „gromadzianom“, ale np. Heltmanowi i młodzieńczemu „Związkowi wolnych Polaków“ jeszcze przed powstaniem; „Demokrata polski“ do „półśrodków“ ją wraz z powstaniem Kościuszkowskiem i listopadowem zaliczał, a Jan Alcyato, członek centralizacyi, w rozprawie historyczno-krytycznej: „O rozumie stanu w Polsce“ uważa Konstytucyę 3 Maja za nieznacznie tylko zmieniającą dawny stan rzeczy w Polsce. Dowodzi on, że pozostawia ona dawny wadliwy ustrój rządu, bo król nie ma prawa mianowania i zawieszania ministrów, i dawny ustrój społeczny, bo ustępstwa na rzecz mieszczaństwa były mniej niż połowiczne; jedyną gruntowną zmianą było, według niego, zniesienie „liberum veto“.

I tak dalej. Przykładów możnaby mnożyć w nieskończoność, jak dzieje i tradycya przestawały być dla lewicy demokratycznej autorytetem. Lud przestał być uważany za trwającą, przyrodzoną podstawę narodowego bytu, za drugą ziemię tylko, a stał się z jednej strony splotem zagadnień o rozwiązanie się dopominających, który Tow. Dem. przez uwłaszczenie, gromady Ludu polskiego przez uspołecznienie ziemi rozwiązywały; z drugiej strony ukazywał się jako rzeczywista siła, świadomie oddziałująca. „Lud na scenę politycznego życia występuje i inicyatywę sprawy narodowej polskiej na się bierze“ — tak przemawia Gromada Grudziąż.

Nie wynika jednakże z tego wcale, jakoby demokraci nasi historyę lekceważyli, uważając ją za zbiór błędów, przewin i przesądów. Twórczy wysiłek ideologów Tow. Przyj. nauk stał się dla nich obowiązującym, odziedziczyli jego wyniki jako metodę historycznego rozumowania w kwestyach politycznych i socyalnych. Świadczy o tem ogromna ilość prac historycznych, które podejmowali, świadczy o tem każdy niemal ich artykuł i odezwa. Nietylko Lelewel i Moraczewski, lecz Mickiewicz i działacze, jak Alcyato, Heltman, Darasz, Janowski, Mierosławski, mimo nieustannych zajęć, mimo oderwania od źródeł, czynili studya historyczne niepośledniej wartości, świadczące o ogromnem wżyciu się w dzieje i umiejętności myślenia ich kategoryami. Dlatego np. Worcell zdobyć się może na tak nowoczesny sposób przedstawienia sprawy rozwoju

własności, dlatego potrafi się zastrzedz przeciw stawianiu obok siebie praw przyrodzonych i praw społecznych, stanu natury i stanu społeczeńskiego i przeciw wyciąganiu prawideł z jednego względem drugiego, dlatego wreszcie zdoła narodowość określić jako „wspólność urządzenia się, bez względu na rodowość, w celu wyrobienia jednej myśli i woli; wspólność czynu na zewnątrz wskutek tak pojętej potrzeby, czyli łączne narodowe życie bez obcego przymusu“, ojczyznę zaś jako „narodowość z całą swą przeszłością, teraźniejszością i przyszłością“.

Więc źródłem wiedzy tylko stawały się dzieje dla przyszłości, dla myślenia i działania choćby wbrew ich tradycyom, szkołą metody rozumowania w ideologii i polityce. Państwa niema, a myśl traci teraz ten surogat podstawy dla samowiedzy kulturalnej, którym była tradycya państwa historycznego, jego urządzeń i tej kultury społecznej, która na gruncie jego wyrosła. W myśli tych ludzi staje teraz naród, ojczyzna już nie w trwałej bytowej formie, lecz, jak genialnie określił Mickiewicz w wykładzie literatury słowiańskiej, jako idea, której nie można wyrazić w formule scyentyficznej, wielka, rozległa, niezmierna i j e s z c z e n i e s p e ł n i o n a. „Za podstawę narodowości dla Polski nie położymy ani języka, ni s ł a w y i rzek, ni żelaznych Chrobrego słupów“ głosi odezwa „Ludu polskiego“. Ojczyzna przestała być wskutek tego ideałem samoistnym, dla siebie wystarczającym, stała się dorobkiem — i organem pracy dalszej, podporządkowana musiała być ideałowi. „Naród o tyle tylko istnieje, o ile byt jego, użytecznym się staje dla całej rodziny ludzkiej“. Takie są źródła i drogi myślowe międzynarodowości demokratów emigracyjnych, wyrażającej się w akcie założenia Towarzystwa demokratycznego, przebijającej się w „kwestyach“, które swym członkom do rozwagi stawiała, każącej Daraszowi należeć do komitetu centralnego dem. europ. i podpisać wraz Mazzinim, Ledru-Rollinem i Ruggem takie słowa: „Myślą rodzicielką narodowości jest organizacya ludzkości w jednorodne gromady, celem dopełnienia wspólnego obowiązku: postęp zatem powszechny i rozwinięcie ku dobru wszystkich sił danych rodowi ludzkiemu“.

Jest to ta ideologia cudowna, całą emigracyę, całą epokę przenikająca w różnych odcieniach, ideologia posłannictwa narodowości. Niejednokrotnie chodzi o ocalenie jednak jakiejś wiecznej, — od czasu i wypadków niezależnej ostoi narodowości. Nie jest naród samoistną, dla siebie wystarczającą istnością, podporządkowanym musi być ludzkości przez rolę, jaką wobec niej spełnia, ale jest zarazem wieczny i święty, bo istotę jego stanowi ta właśnie rola, ta misya, którą on tylko jeden może wypełnić. „Naród jest to myśl w r o d z o n a, którą

członkowie jego w jedno spojeni starają się realizować“, mówi Brodziński 3 maja 1831 roku, a za nim powtarza te słowa cała prawie emigracya; każda grupa inne wartości podstawia pod ten niewidomy znak: misya. Dziś nam uspokojonym w niewoli trudno odczuć nawet możliwość tego ogromu wiary i entuzyazmu, który w ideologii tej tkwił, dziś przedstawia nam się ona w zbyt prymitywnej postaci, a alegoryczny zwrot o Chrystusie narodów zdaje się wyjaśniać kwestyę jakiegoś religijnego, pół-fanatycznego omamienia. Lecz ci ludzie, nim odważyli się rozwiązywać w ten sposób kwestyę podstaw narodowości, uczuli wpierw cały ciężar odpowiedzialności wysiłkami swych czynów, wiedzieli czemu witają ich exodus z Polski entuzyastycznie rzesze ludu miast europejskich, wiedzieli, czemu okrzyk „vive la Pologne!“ brzmi razem z okrzykami wolności, włożyli sprawę polską we wszystkie problemy sprawy wolności. Dlatego w idei posłannictwa tkwiła cała skala dążeń, cała skala realności programów. Dziś... jakże jest smutnem wrażenie. którego się doznaje z koncepcyi Kwaszewskiego, z „Jaskółki“ Daniłowskiego.

Lewica emigracyjna, działając pod wpływem idei solidarności z ogólno-europejską rewolucyą, widziała z nią razem wspólne postępowe cele. W spełnianiu tych celów widząc posłannictwo, nadawała narodowości charakter organu w wypracowywaniu z siebie coraz doskonalszych form ustroju społecznego, a więc doskonalenia ludzkości i społeczeństwa w samym sobie, a nie widziała w narodzie posłannika dobrej nowiny wobec innych narodowości. Tak należy rozumieć zdanie Worcella: „Polska posłannictwo ma wielkie, przeważne, dla ludzkości potrzebne; Polska spełnić je chce i dlatego potrzebuje być niepodległą... Polska żyje ludzkością, jak ludzkość postępem“. Stąd idea posłannictwa krystalizuje się w lewicy emigracyjnej jako program społeczny, całą strukturę kulturalną ludzkości obejmujący, słowem jako socyalizm. Worcell w mowie pogrzebowej Bounarottiego aprobuje zdanie, że celem ostatecznym dążeń ludzkich jest porównanie kondycyi socyalnych, ku któremu porównanie praw politycznych za środek tylko zbliżenia się ma służyć, a owo porównanie kondycyi socyalnych konkretnie przedstawia, mówiąc w rozprawie o własności, o uspołecznieniu narzędzi i warstatów pracy i o pracy jako odpowiednim prawu własności obowiązku. a demokraci. jak Heltman także dążą co zaprowadzenia „nowej organizacyi własności i pracy“. nie mówiąc już o późniejszych czasach, gdy (po roku 1848) centralizacya Tow. Dem. uważa, że na stosunkach ekonomicznych opiera się każda budowa polityczna i cywilna, kształci się religia i moralność, a konkretyzując sprawę, zwraca uwagę na „komorników. zagrodników.

przemysłowców". Trudno jest tu, gdzie tylko najogólniejsze schematy stawiamy, zajmować się socyalizmem polskim tej epoki; zaznaczę jednak że z tak rozległego i głębokiego podłoża zmagań się psychiki narodowej, wyrósłszy dosięgał takich szczytów myślowych, że dziś nie jeden marksista mółgby ich pozazdrościć. Oprócz rozprawy Worcella warto zwrócić uwagę na artykuł w poznańskim „Roku" 1845 p. t.: Socyalizm.

Zjawiały się postacie światopoglądów, które straciwszy wszelkie podstawy samoistne, wszelką wiarę w „prawo niezmienne, na którem się Polska rozwinęła", uznawały, że „życie teraźniejsze, obok piętna czasowego, znajduje swą twórczą przyczynę w duchu ludzkim" (wspomniany artykuł „Roku"), że naród, jak życie, ciągle się staje. Aby był, dźwignąć go musi ciągle i ciągle nowy czyn, nowy wysiłek: w ciągły postęp wzrastając, w bezustannych wysiłkach dziejowych żyjąc, dźwigać będziemy się jako naród — inaczej nie. Bytowe, raz na zawsze dane podstawy narodu się nie utrzymały, oparciem sta je się tylko ten przed chwilą dokonany czyn. Takie postawy duchowe zajmują ludzie, których wieszcz „żadnego nie klął ruchu", którzy ważąc się wszczynać powstanie 1846 r. myśleli słowami Mierosławskiego: „Postanowiliśmy jakie nie bądź powstanie na rok następny, jako heroiczny, lecz jedyny ratunek od wieczystego zamrożenia pokoleń w kołyskach szlacheckich i Sybirach zaborców". Czyn jest jedyną rzeczą, która nietylko istnienie narodu, lecz racyę jego bytu stanowi, a czyn ten — jak słusznie rozumie Sokolnicki — coraz to bardziej staje się odległy i paradoksalny; wszelka metoda jest tu wykluczona, wszystko odrazu postawione musi być na jedną kartę, czy chodzi o koło oświatowe, czy o powstanie, nie do pomyślenia stają się wszelkie systematyczne przygotowania. Gorączka czynu za wszelką cenę ogarnia tych ludzi. Partyzanci 1833 r. idą po kilku i kilkunastu budzić w uśpionym od wieku ludzie entuzyazm wojny, Dembowski w roku 1846 pomawia centralizacyę, decydującą za Mierosławskim „heroiczne" powstanie, o zbytnie obliczenia i namysły.

A rozpierało im dusze ciągłe pragnienie, czynne pożądanie tego organu, któryby wygnańcze ich entuzyazmy realizował: państwa.

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy o tych czasach myślimy, gdy mówią one do nas niezałatwionymi swymi problematami, musimy też myśleć o tym osiwiałym pracowniku-entuzyaście, który stanąwszy między nimi a nami, ich słowo nam ogłasza. Przypominam sobie jubileuszowe uroczystości Limanowskiego. Czuło się ogromnie poważny ton w całem zachowaniu się ludzi, przeważnie młodych, przeważnie odnoszących się sceptycznie do osiwiałych autorytetów. Patrzyli na starca tego: mówił im postacią swą, za-

równo jak każdą swą książką, każdem swem słowem o przeszłości tej, z którą ich praca się łączy — dawał tej pracy jakby sankcyę lat ubiegłych, które jej drogi ideowe wypracowały. I wtedy od jednego ze współuczestników usłyszałem jedno z takich słów, jakich mało słyszy się w życiu, a które nastrój chwili łapać się zdają za loty: ci ludzie jednak kontemplują starość i doświadczenie, czują nad sobą ich uświęcające słowa — tkwi w tem niebezpieczeństwo, boć to jest istotą każdej oryentacyi konserwatywnej. — Słuchałem i myślałem zarazem o emigracyjnej ideologii. Czyżby? — Nauczmy się raz dorobek przeszłości rzetelnem przemierzać okiem, wyzbądźmy się uroczystościowo-jubileuszowego punktu nań patrzenia, nauczmy się tak zeń wyrastać, tak go krytycznie w siebie wżywać, by z nim stanowić pełny, za siebie odpowiedzialny organizm psychiczny: wtedy uczujemy, że naszą własną, dzisiejszą jest ta, z dorobku historyi wynikła siła i bez nieśmiałości i wynikających z niej zastrzeżeń spojrzeć zdołamy w oczy tym czasom i temu przez nie przysłanemu starcowi — znajdując dlań szczerą i swobodną cześć. — *Adam Płomieńczyk.*

CO TO JEST ROSYA?

Ile razy zachodzi potrzeba zastanowić się nad sprężynami działalności dziennikarza, tyle razy przypomina się pewna teorya krajowców z wysp Markezas. Wyspiarze ci z wielką pewnością siebie i z głębokiem przekonaniem zapewniają, że śmiesznem jest utrzymywać, iż narządem myślenia u człowieka jest mózg, wobec tak oczywistego faktu, że narządem myślenia człowieka są brzuch i flaki. Nie biorąc tego „à la lettre“, a raczej figurycznie, należy przyznać słuszność kolorowym obywatelom z Markezasów. Wobec potrzeby oświetlenia zjawisk z innego stanowiska, niż własny brzuch, chcemy wypowiedzieć szereg niedziennikarskich opinii.

Polityka na łamach dziennikarskich ścierek, o ile nie jest koteryjną intrygą przeciw komuś lub czemuś, jest interpretacyą politycznych plotek, puszczanych przez wynajętych dyplomatów. Oligarchie finansistów, mniej lub więcej zręcznie ukryte za puklerzem, utworzonym z władzy i przemocy państwowej, są reżyserami wewnętrznej i zewnętrznej polityki państw, niezależnie od tego, czy jest to państwo o ustroju przedstawicielskim, pseudoprzedstawicielskim czy autokratycznym. Innej polityki, jak tej, która jest

na usługach dywidendy i renty, niema. Tak, jak grzyb drzewny przerasta budulec, tak kapitalizm wrósł we wszystkie fibry życia współczesnego, więcej pustosząc niż tworząc, więcej uśmiercając niż uzdrawiając, więcej upadlając niż uszlachetniając, więcej uwsteczniając niż posuwając naprzód rozwój. Kapitalizm, pod działaniem którego dzisiejsze społeczeństwa we wszystkich sferach geograficznych rasowo-obyczajowo, społecznie, moralnie i umysłowo nikczemnieją, stoi pod pręgierzem hańby w obliczu cywilizacyi. Dzięki kapitalizmowi święci dziś swój renesans barbarzyństwo wszechstronne zamierzchłych czasów, które kapitalizm obiecywał pogrzebać na wieki, a z którem dziś jest sprzymierzony i z którem się afiszuje, chodząc z niem w biały dzień pod rękę, bez odrobiny zakłopotania. Podług historyozofii gazeciarzy, historyę jeszcze ciągle robią szalbierstwa zawodowych polityków, ministrowie, dyplomaci, armie i ich wodzowie. Tymczasem wszelkie przeobrażenia w losach narodu zawisły od ilości i jakości stanowiących go ludzi, od własności przyrodzonych opanowanego przez nich terytoryum, od rodzaju codziennych, pospolitych, milionowych wydarzeń. Krótko mówiąc, treść i sposób życia ludności rozstrzyga o konieczności i możliwości działań ministeryalnych, powtarzających się i mnożących się lub zanikających. Ten splot milionowych wydarzeń codziennych dopiero rozstrzyga o konieczności i możliwości zamierzeń dyplomatycznych i ministeryalnych. Losy dzisiejsze narodu francuskiego mniej zawisły od klęsk Bourbaki'ego lub od machinacyi Thiersa, znacznie zaś więcej od faktu, że wieśniak francuski nie przestawał uprawiać i sprzątać swego pola, nie zważając na to, że nieprzyjacielska pruska armia w 70 roku nadciągała, wykonywując operacye wojenne. Wszystko to musimy sobie uprzytomnić, poszukując odpowiedzi na pytanie: „Co to jest Rosya?“ Struktura polityczna Rosyi przy całem swem skostnieniu nie okazała się zdolną oprzeć naporowi kapitalizmu. Przy zachowaniu starej formy, przy zupełnem, jak to się w mineralogii określa, izomorfizmie pod względem form politycznych treść wewnętrzna i zawartość powstała nowa.

Parodya konstytucyonalizmu rosyjskiego w postaci „Dumy państwowej“, która mogłaby pozornie przeczyć twierdzeniu o niezmienności formy politycznej w Rosyi, nie może być brana na seryo przez nikogo, świadomego stanu rzeczy. P. minister Kokowcew który lepiej wie od innych, czy w Rosyi jest konstytucya czy nie, wcale nie dwuznaczny pogląd wypowiedział publicznie w tej sprawie. Despotya typu azyatyckiego, wzorowana na chańsłwach tatar-

skich, jako forma polityczna, trwa dotąd; inna rzecz, czy treść zdołała się ostać. Despotya, jako metoda życia gromadzkiego, z jednej strony obezwładnia i unieruchamia rozwój społeczny, z drugiej strony znieprawia despotów, w rezultacie więc jest szkodliwą pod względem wychowawczym i szerzy spustoszenie. Ważniejszą jednak jest okoliczność ta, że autokratyzm jest utopią, chimerą, nie dającą się urzeczywistnić i zamieniającą się z tego powodu w praktyce na rodzaj konwencyonalnego kłamstwa. Człowiek, uzbrojony nawet w dzisiejsze najpotężniejsze środki techniczne, jak telegrafy, samochody, samoloty, telefony, byłby zdolnym sprawować rzeczywistą władzę, zarząd i kontrolę nad swymi pomocnikami najwyżej w promieniu 300 wiorst. Bieg spraw na terytoryach większych już wymykałby się mu z pod kontroli i panowania. To też próba Piotra Wielkiego, ażeby być naprawdę autokratą, pomimo, że posiadał wszelkie osobiste dane po temu, wywołała tylko autokratyczne awanturowanie się samowładcy ze stanem urzędniczym. Usiłowanie Mikołaja I zostania rzeczywistym samowładcą odsłoniło temu monarsze tylko tę rzeczywistość, że Rosyą rządzą „stołonaczàlniki“ Z natury rzeczy wyniknąć musiało, że teoretyczna samochwalcza dyktatura samowładcy w praktyce bardzo prędko musiała się przeobrazić w samozwańczą dyktaturę stanu urzędniczego. Ale i ta treść wciąż jednej i tej samej formy politycznej, począwszy od Mikołaja I musiała się przeobrazić, gdyż dyktaturę samowładcy i stanu urzędniczego zastąpiła dyktatura wszechmocnego i przenajświętszego pieniądza. Ta okoliczność odbiera wewnętrznemu życiu politycznemu w Rosyi zasadniczą różnicę w porównaniu z życiem politycznem państw zachodnich, gdzie również objawia się dyktatura pieniądza, jako usiłowanie i dążność najczęściej urzeczywistniona. Różnice są tylko ilościowe. W Rosyi dyktatura pieniądza jaskrawiej się uwydatnia, w zachodnich państwach mniej jaskrawie, gdyż znajduje przeciwwagę w tem, że parlamentarne gabinety są w niejakiej krępującej ich zależności od sfer pracujących, wymuszających na nich akty polityki socyalnej, hamujących ich zapędy w usługach spiskującego kapitału. Tego wszystkiego nie znajduje się w Rosyi. Biurokracya rosyjska dlatego tak zapalczywie ochrania nienaruszalność i nietykalność swej dyktatury wiadomymi środkami, ażeby za tem większe pieniądze mogła sprzedać lub wydzierżawić swą dyktaturę na użytek żerującego w Rosyi kapitału.

Zakusy pustoszycielskie i spiskowe drapieżnego kapitału w ustroju politycznym państw zachodnich znajdują przeciwwagę

w przeróżnej postaci. Zorganizowani konsumenci, jako kooperatywy spożywcze, mogą się bronić, gdy kartele, trusty lub syndykaty zechcą ich opodatkować i wypróżniać zbyt bezczelnie kieszenie współobywateli; kooperatywy wytwórcze zmuszają kapitał prywatny do przybierania społecznych dążeń, dzięki im musi uwzględniać w swych machinacyach publiczny interes, miarkować swą stopę procentową, i z tem się godzić. Dopuszczalne organizowanie się mas pracujących oraz ich uświadamianie zmuszają kapitał do podtrzymywania z niemi słomianej choćby zgody, gdyż zatargi ze zorganizowanemi i świadomemi masami stają się zbyt dotkliwe i uniemożliwiają zbyt ponętne, zaborcze, usidlające łupiestwo kapitału poza granicami ojczyzny. Zatargi te zbyt poglądowo nauczają, że jeśli kapitał jest siłą, to praca też jest siłą niemniejszą i że obie te siły naczelne zbyt są zależne od siebie, by ścieranie się ich „à outrance" mogło wytrzymywać krytykę literacką i krytykę praktyki życiowej. To samo zorganizowanie się i uświadomienie mas pracujących narzuca władzy państwowej politykę socyalną, która pod postacią obowiązkowej hygieny fabrycznej, obowiązkowych odszkodowań za kalectwa i choroby, obowiązkowego zabezpieczenia starości obniża rentę i dywidendę na rzecz interesu publicznego. Do tego dla łupiezkiego kapitału dołączają się hamulce, „inponderabilia" pod postacią narzucających się nastrojów masowych opinii publicznej, tworzącej się w atmosferze względnej swobody i w atmosferze wysokiej kultury umysłowej, społecznej i moralnej, zmierzającej do pacyfikacyi poważnionych klas i stanów. Wszystko to razem odnajduje się w większej lub mniejszej mierze w życiu zachodnich społeczeństw, lecz nigdy w takiej mierze, ażeby uniemożliwiało polityczną preponderancyę kapitału. W Rosyi jednak nie odnajduje się ani śladu tych krępujących więzów i ograniczeń, jakie kultura nakłada kapitalizmowi w Europie i w zachodnich krajach. Kapitalizm w Rosyi jest zazyatyzowany; wszelki europeizm w tej dziedzinie starannie jest wylapisowany. Z tego powodu wszelki zagraniczny kapitał drapieżny, antispołeczny, dla którego europejskie stosunki okazują się zbyt trudnemi, z wielką lubością rzuca się na tereny eksploatacyjne, objęte państwowem terytoryum rosyjskiem. Tu znajduje on wymarzony swój raj na ziemi. Na każde skinienie sotnie dońców lub kubańców oddadzą proletaryat państwa rosyjskiego inorodczy i iście rosyjski na łaskę i niełaskę kapitału amerykańskiego, belgijskiego, francuskiego, niemieckiego. Polityki socyalnej, owego wykwitu t. zw. „kathedersocyalizmu", ministerya rosyjskie nie uprawiają. Życia,

zdrowia i bytu mas robotniczych nic w Rosyi nie zabezpiecza prócz tego, co szyderczego śmiechu warte. Organizacye i związki wszelkie w łonie mas pracujących, które je zamieniają na świadomą siłę samoobronną, są zakazane, co te masy rozbraja i obezwładnia. Nędza i barbarzyństwo, w jakich państwowość rosyjska je podtrzymuje, do reszty masy te osłabia i obezwładnia. Tak spreparowane masy pracujące nietylko są doskonałem „Kanonenfutter" i Pfaffenfutter, ale także i „Kapitalfutter". Taki stan rzeczy obok ludnościowego przerostu dostarcza robotnika, który jest „schlecht, aber billig", jak towar, który on wyrabia na warsztacie fabrycznym. To też wszelakie męty i szumowiny społeczeństw europejskich, uzbrojonych w kapitał, ściągają na ucztę i żer, ażeby jeść padlinę rosyjską, dostarczając sobie złudzenia patryotycznego, że im więcej będą grabić i pustoszyć Rosyę, tem więcej się przysłużą swej ojczyźnie, w której nie swojsko się czuli. Kapitał cudzoziemski, żerujący w Rosyi, ma tylko jeden haracz, który go pozornie obarcza. Haraczem tym są łapówki, płacone rosyjskiej biurokracyi, łapówki homeryczne, bynajmniej nie banalne, jeśli łapownikiem jest minister lub dygnitarz z wysoką rangą i licznymi orderami, lub gdy w grę wchodzi gruby interes. Ale jestto, jak powiedzieliśmy, haracz pozorny. Rosya jest zbiorem syndykatów głośnych i cichych, które według upodobania mogą opodatkować konsumentów państwa rosyjskiego. To daje im możność zwalania na barki rosyjskich poddanych głowo-zawrotnych łapówek, wypłacanych biurokratycznej szajce, począwszy od ministeryalnych hersztów, a skończywszy na podrzędnym czynowniku. Tym sposobem w rezultacie Rosya opłaca łapówki biurokracyi rosyjskiej tylko rękami cudzoziemskich kapitalistów, ale kieszeniami poddanych rosyjskich, to jest Rosyi. Rosya dzisiejsza jest kloaką, do której zlatują się wszelkie szumowiny zachodnio-europejskich społeczeństw, wiedząc, że w „świjatoj Rusi" można sobie na wszystko pozwolić; wiedząc, że w Rosyi żadne więzy, społeczne, etyczne, prawne, kulturalne nie będą krępować. Wobec tego najazdu cudzoziemskiego pod postacią kapitału, Rosya znajduje się w zupełnej prostracyi. Obcy kapitał jest to p a ń s t w o w p a ń s t w i e. Dzięki temu nawet w polityce wewnętrznej, a tembardziej zewnętrznej, Rosya jest skrępowaną i jowiszowe gesty i frazesy rosyjskich ministrów nikomu nie zamydlą oczów, chyba tylko głupim próżniakom-dyplomatom. Jaskrawym objawem politycznego ubezwłasnowolenia Rosyi jest to, że nie może ona wprowadzić w czyn hasła „Rosya dla Rosyan!" Niema ona ani kim, ani

czem utworzyć tamy przed zalewem widomych objawów cudzoziemskiej inteligencyi, cudzoziemskiej energii, cudzoziemskiej inicyatywy. pomysłowości, ruchliwości, ochoczości do czynu wypielęgnowanych w atmosferze wolności, swobodnego współzawodnictwa, wolnego od znieprawiających przywilejów. Napór fali obcokrajowców na Rosyę datuje się od dawna. Naprzód skandynawscy Waregowie opanowują władzę. Następnie bizantyjczycy i Grecy, jako duchowni, pisarze, nauczyciele i uczeni wpływają na przeróżne koła i dzierżawią ich mózgi. Do tego zespołu dołączają się Tatarzy, którzy napływają do Rosyi jako dozorcy, urzędnicy administracyjni, namiestnicy, szpiegowie i agenci chanów; począwszy od chytrego Iwana III, szlakiem przez Bałtyk na Nowogród napływa fala emigracyjna germańska. Za Wasyla III drogą przez morze Białe przenikają do Rosyi Anglicy. Odtąd fala emigracyjna wciąż rosła, za Piotra Wielkiego olbrzymiała i w tej postaci trwa dotąd. Wszelki napór ludnościowy odbywa się w kierunku najmniejszego oporu, w kierunku najłatwiejszego i najobfitszego żeru. Jest złudzeniem i głupkowatością mniemać, że bój na życie i śmierć narody dziś ze sobą staczają tylko armatami i orężem na polach bitew. Odwyknięcie od wysiłków, zaniedbanie lub obniżenie fachowości, upadek charakterów jest dotkliwszą klęską, niż Sedan lub Waterloo. Narody dziś walczą więcej na pracowitość, na wynalazczość techniczną, na energię, na inteligencyę, na charaktery, na odwagę, na mistrzostwo zawodowe, na pieniądze i technikę, niżeli na bagnety, karabiny maszynowe i torpedy. Z wszelakiej tej nowoczesnej amunicyi Rosya jest ogołoconą i stoi naga, mizerna, ze swoim prawie trzymiliardowym budżetem i niedołężną milionową armią od urządzania pogromów, szerzenia postrachu pośród bezbronnych i mordowania bezbronnych. Stoi zatem Rosya bezbronna i tej bezbronności, streszczającej się we wszechstronnej indolencyi, potrzebuje system państwowy rosyjski, z obawy, ażeby nie zginął nagłą śmiercią. Jeżeli dahomejski despotyzm pierwszych carów rosyjskich mógł być koniecznością chwili dziejowej, potrzebną do zrzucenia jarzma tatarskiego, to przedłużanie tego rozpaczliwego środka ratunkowego, gdy potrzeba jego minęła już, jest niebezpiecznem, nieokrzesanem chamstwem politycznem. Postępujący w ten sposób podobny jest do tego nieokrzesanego pacyenta, który zażywając leczniczą morfinę lub koniak i po minięciu choroby staje się morfinistą i pijakiem. Takim pijakiem politycznym jest Rosya, dławiąca się obecnie despotyzmem z akcesoryami, który w swoim czasie był jej potrze-

bnym, jako „secours accelere“ do obalenia jarzma tatarskiego. Antropologia już nieraz stwierdziła przeobrażenie się typu rasowego pod wpływem historyi. Azyatycki system państwowy Rosyi, uprawiany zapamiętale przez 600 lat, spodlił mieszkańców tego kraju tak radykalnie, że to przybrało postać znikczemnienia rasowego. Rządy wychowują takich ludzi, jacy im są potrzebni, a ludzie mają takie rządy, na jakie zasługują. Popi, całe urzędnictwo, dla swego istnienia, rozkwitu i panoszenia się pożądają takiego indolentnego typu Rosyanina, którby obezwładniał społeczeństwo rosyjskie, a to właśnie czyni je niezdatnem do swobodnego współzawodnictwa w zetknięciu z każdem nowoczesnem społeczeństwem europejskiem przestrzegającem wolnościowej metody życia i biegunowo przeciwnych ideałów. Dlatego biurokracya rosyjska nie może przez instynkt samozachowawczy wyrzec się np. niemocy kulturalnej, letargu umysłowego mas ludowych. Obecnie próbuje ona demagogicznie się opierać na nich i zyskiwać je za pomocą rzucania bosjakom ochłapów, z uczty wyprawianej kosztem podbitych „okrain“ i „inorodców“. Spodziewa się ona za pomocą tego współuczestnictwa w grabieży wzbudzić w nizinach apetyt na iście państwowy patryotyzm i jednocześnie nic nie uronić ze swego panowania nad masami.

(Dok. nast.). *Szpon.*

PRZEGLĄD.

Z PRASY.

„Życie“, tygodnik polityczny, społeczny i literacki. Lwów.

Redakcyę pisma objął były redaktor „Odrodzenia“ warszawskiego, p. Stefan Gacki.

W ostatnich numerach spotykamy niedokończone dotąd artykuły pułkownika Miłkowskiego „O powstaniach rzecz krótka“ i Wł. Studnickiego „Sprawa polska w dobie obecnej“, „Nowy czynnik w polityce wszechświatowej“ widzi W. Lis w socyalizmie, w zwróceniu się (dotąd niesprawdzonem) rządu niemieckiego do międzynarodowego Biura socyalistycznego o zapobieżenie wojnie niemiecko-francuskiej, w proteście robotników włoskich przeciw wojnie trypolitańskiej. Ten ostatni, zdaniem naszem, jest przeceniony, a z usposobienia antiwojennego socyalistów nie mamy się czego cieszyć. Znający trochę zakulisowe sprawy wiedzą, jak z wiosną 1909 r. socyaliści wiedeńscy agitowali przeciw wojnie z Rosyą. Minęły czasy, kiedy proletaryat Francyi i Anglii żądał od swoich rządów wojny w interesie wolności Polski. — Dr M. Janik omawia „Nowe

iale antysemityzmu". Polska kwitnąca, kulturalna Jagiellonów antysemityzmu nie znała; widoczny on dopiero za czasów saskich. Nadzwyczajnie ciekawy w tym względzie przytacza autor materyał. Z odrodzeniem się Polski od Konarskiego ustaje antysemityzm ślepy, wyrastają idee uformowania żydów na użytecznych krajowi obywateli. Prąd idealizacyjny przesuwa się przez całą wielką literaturę polską. Na teraz dr Janik jest zwolennikiem asymilacyi; często „ma się wrażenie, że społeczeństwo chrześcijańskie żąda od żydów więcej, aniżeli od siebie samego. Grubemi literami wypisuje się każdy błąd żydowski, największe grzechy własne przemilcza się, lub poczytywa za cnotę". Słusznie powstaje autor przeciw używaniu przez żydów języka niemieckiego; to absolutnie nie powinno być tolerowane; niezrozumiałym dlań pozostaje syonizm i jego objawy separatystyczne. A jednak różniczkowanie się narodowe jest procesem zrozumiałym, a cała kwestya sprowadza się do zagadnienia mniejszości narodowych, z którem ma do czynienia każda państwowość. — Z. Klinger rozbierając sprawę żydowską twierdzi, że prawdziwa asymilacya żydów szła i idzie w Polsce drogą socyalizmu, a w każdym razie drogą przezeń stworzonego opozycyjnego a raczej rewolucyjnego myślenia; niestety — życie okazało, że socyalizm nie wyłącza „separatyzmu", a rewolucyjne myślenie istniało i przed nim. Żądania nowej Żydowskiej Partyi S. D. autor uważa za „wiele hałasu o nic". Optymizm przedwczesny! — Grabowiec piętnuje dynastyczną austryackość Koła polskiego; kilku autorów zaleca — słusznie — czujność wobec zmian w stosunkach międzynarodowych. — W dziale literackim: powieść Kleczyńskiego, poezye Zahorskiego, Savitri, Crataegusa, ciekawa impresya Kadena z „Nocy listopadowej".

Więzień polityczny. Kraków. Adres: Wiślna 8.

Potworne barbarzyństwo, zdawałoby się, niemożliwe w XX wieku. katowanie i smaganie więźniów politycznych, nie znalazło dotąd echa w sercach wielkich polityków, szczególnie polskich, jakkolwiek wiedzą, że między cierpiącymi jest mnóstwo Polaków; myśliciele i artyści innych narodów wnieśli już przeciw tym okrucieństwom protest — wiemy, z jak małym skutkiem. Prasa prawie codzień przynosi wiadomości o nowych aktach znęcania się zbirów carskich. „Tortury w Orle" uprzytamnia nam jeden z byłych katorżan; nawet „N. Wremia" opowiada straszne rzeczy, jakie się dzieją przy budowie kolei amurskiej. Na dwudziestu kilku szpaltach opowiada szereg korespondentów o aktach dzikiego obchodzenia się naczalstw z zesłańcami i więźniami; martyrologia straszna.

Książki i pomoc pieniężna — ogromnie pożądane.

Składki na rzecz więźniów przyjmują prócz redakcyi „Więźnia": redakcya „Przedświtu", Kraków, Rynek A—B, l. 44, oraz „Polskie Towarzystwo dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym we Lwowie".

Wolna szkoła. Lwów.

Redakcya słusznie podnosi dodatnie znaczenie „Krajowego Związku nauczycielstwa ludowego" i organu jego, którym jest „Głos nauczyciel-

stwa ludowego". W grudniowym zeszycie „Krytyki" wspominał Lux o wolnych szkołach, zainicyowanych przez Ferrera; rozstrzelanie niewinnego nie było śmiercią dla jego idei: międzynarodowa liga dla racyonalnego wychowania dzieci żyje dalej. Zasady jej pedagogii: zbliżanie dziecka do żywej, bezpośredniej rzeczywistości, budzenie pragnienia wiedzy (szkoła może dać tylko ograniczoną cząstkę), niezawisłość wychowawcy, neutralność szkoły. Ten punkt ostatni najwięcej wywoła dyskusyi. Z jednej strony chciałoby się w dziecku wzbudzić pragnienie społeczeństwa ludzi prawdziwie i pełnie wolnych, równouprawnionych płci, ludzi równych w swych prawach ekonomicznych i społecznych — z drugiej jest się zdania, że nie mamy prawa narzucać ideałów. Zdaje nam się, że odpowiedzią będzie, iż ideały w dziecku budzić należy, lecz nie dogmaty.

Dr Z. Leser zaznajamia z historyą walki między wolną szkołą a klerem w Austryi. Okres konstytucyjny przyniósł zasady swobodnej zmiany religii, prawo porzucenia wogóle jakiegokolwiek wyznania. Dozwolone są dzisiaj swobodne związki osób, nie poddających się władzy oficyalnych religij; gminy wolne: małżeństwa takich gmin są cywilne, rozwiązalne, metryki prowadzą magistraty, względnie starostwa. Ustawodawstwo jest mimo to dotąd owiane duchem klerykalnym; szkoły bezwyznaniowe nie są dozwolone; nawet dziecko bezwyznaniowych rodziców — tak interpretują ustawę władze szkolne — musi uczęszczać na naukę religii jednego z wyznań aż do 14-go roku życia, w którym służy mu prawo zmiany religii; wiemy jednak, że szczególnie w Galicyi uczeń lub uczenica bezwyznaniowa staje przed niemożnością złożenia egzaminu dojrzałości. — M. Orsetti podnosi potrzebę bibliotek ruchomych dla nauczycieli ludowych. — Obfity i wysoce zajmujący „Przegląd" i dział „Pokłosie pedagogiczne" zamyka treść każdego zeszytu tego nader potrzebnego i coraz lepiej rozwijającego się czasopisma.

Przyrodniczy pogląd na świat i życie. Miesięcznik pod redakcyą Dra Aug. Wróblewskiego. Kraków.

Nowe to czasopismo może być placówką postępu myśli polskiej i ogólnoludzkiej. Z wydaniem sądu wstrzymujemy się, dopóki nie będziemy mieli większej liczby zeszytów.

O „przyrodniczym poglądzie na świat i życie" ze stanowiska filozofii współczesnej rozpoczynamy dyskusyę na innem miejscu. Radzibyśmy dyskusyę utrzymać na wyżynie, na jakiej postawił ją p. Błeszyński. Sympatycznie uderza ton redakcyi, gorący, pełen zapału i wiary w myśl, w wiedzę, w wolność. To jest podstawa, na której powinni spotkać się ludzie, zgodni w bezpośredniem dążeniu do czynów społecznych, choćby odmiennych przekonań filozoficznych.

Prof. B. Dybowski analizuje główne cechy instytucyj klerykalnych, które czynią je niemożliwemi dla umysłów krytycznych. Cechami temi: cudowność, cudotwórczość, despotyzm, fanatyzm, wyłączność, kastowość kapłańska. — P. M. J. Walewska-Wielopolska surowo powstaje przeciw zakorzenionej u nas czci dla fetyszów; są nimi rozmaici święci i patronowie klerykalni. Czy autorka ma słuszność, zaliczając do fetyszów królową Jadwigę? Zdaje nam się, że jej poświęcenie miało charakter

polityczny, państwowo-polski, nie religijny, choć i dla religijnych celów zostało wyzyskane. Taksamo, mimo wszystko, zasługą pozostaje założenie Wszechnicy krakowskiej. Oczywiście nie wynika stąd konieczność zaliczenia Jadwigi w poczet świętych, jak tego pragnie ks. Bandurski. Być królową serc polskich — to więcej znaczy, niż być celem westchnień babek z kruchty kościelnej. Taksamo nie zgadzamy się, gdy autorka pisze, iż oderwanie Chełmszczyzny następuje „dzięki robocie katolickiego kleru, fanatyzującego lud chełmski"; motyw ten p. Niemojewskiego usprawiedliwia poniekąd nacyonalistów rosyjskich, a jest niezgodny z prawdą; rząd myślał o tej akcyi oddawna. popi i czynowniki mają w tem interes oddawna, „ekspanzya" ta jest rządowi potrzebna, by zamaskować brak istotnej twórczości. Słusznie natomiast autorka wyrzuca rozmiłowanie się w typach kościelnych, jak ks. Kordecki, lub ks. Skarga. Polemizując z prof. Chrzanowskim przypomina, że z ust Skargi padły wołania: „Pierwej kościoła i dusz ludzkich bronić, niźli ojczyzny!" — „Jeżeli zginie doczesna ojczyzna, to przy wiecznej się ostoim" — „Kto bluźni imię pańskie, niech śmiercią umrze" i t. d. „Nie dajmy się znowu, po raz setny, odurzyć jezuickim haszyszem, którego dystrybutorem Jagiellońska Wszechnica" — konkluduje autorka. — Dr Wróblewski przeprowadza granicę między patryotyzmem zaborczym, egoizmu narodowego, a polskością, którą on pojmuje, jako „wielkie idee zbratania ludów, upadek militaryzmu, granic państwa, wyznań religijnych, wszelkiego wyzysku i ciemięstwa". Dobrze, ale człowiek podległy nie może pracować dla żadnej idei, tem mniej naród, a gwarancyą może być tylko własna państwowość. Z czasem ludzkość wyda wyższe formy bytowania, ale bez tych pośrednich nie będzie dalszego rozwoju. Tenże autor w artykule „Niema nadnaturalności" odrzuca rozróżnianie zjawisk na przyrodzone i nadprzyrodzone, zaprzecza istnieniu duchów, aniołów, piekła etc. Słusznie, i jeśli tak walkę z przesądem pismo chce prowadzić, powinno znaleść w Galicyi jeszcze setki tysięcy potrzebujących tej nauki.

Trzy zjazdy młodzieży.

„Tu pójdziesz — utracisz serce; tam pójdziesz — utracisz duszę".

Słowa te bajki ludowej, jakiemi tajemnicze siły witają młodzieńca, dążącego do ideału, a stojącego na rozdrożu, dadzą się w zupełności zastosować do sytuacyi, w jakiej się znalazł III zjazd „Filarecyi", który w ostatnich dniach grudnia ukończył w Krakowie swe obrady. Zostały one wypowiedziane w powitalnej mowie przez najwybitniejszego przedstawiciela socyalizmu polskiego, który, mówiąc te słowa, charakteryzował drogę, jaką szła polska myśl polityczna w tym czasie, kiedy socyalizm u nas, wyzwoliwszy się z powijaków beznarodowości, wypłynął na szersze wody i stał się siłą twórczą, zdolną do wykonania wielkich rzeczy. Młodociany nasz socyalizm kusiły przeróżne siły, a nie wolno było odchylać się od linii prostej, bo tu groziła herezya, tam — zdrada. Herezyą było odbieganie od linii socyalistycznych zasad; zdradą — pogodzenie się

z polityczną niewolą. Socyalizm przezwyciężył te trudności, uniknął zdrady, która zabija serce, i herezyi, wypaczającej „duszę“ — ideału przyszłości, pod którą pojmować należy te pierwiastki rozumowe, które składają się na pojęcie socyalizmu — doktryny naukowej. Trzeba było usunąć na bok szkodliwe dla ruchu pierwiastki, a pogodzić ze sobą te, które stanowiły istotę ruchu, powiązać je ze sobą nie mechanicznie tylko, ale zlać w syntezę i wytknąć, dzięki temu, pewny gościniec na przyszłość. W drodze, którą szedł nasz socyalizm, spotykał się on nieraz z szyderstwem ludzi małego ducha, którzy mianem „romantyzmu“ i donkichoteryi chrzcili ciężkie, często beznadziejne prawie zapasy. Ale z szyderstwem on się nie liczył, szedł, ciągle szedł naprzód, podbijał sobie serca i zwyciężał.

Myśli swoje nawiązał mówca do pracy młodzieży i wspomniał, że jeśli dziś nazywa się ona postępową i niepodległościową bez stawiania kropki nad „i“, to dzieje się to w znacznej mierze dzięki temu, że poczucie łączności haseł niepodległości i postępu jest rezultatem pracy socyalizmu polskiego, który młodzieży pracę ułatwił, wyprowadził ją na bity gościniec. Swego czasu, w okresie walk porozbiorowych, łączności tych dwóch haseł nikt nie kwestyonował. Wszystko, co było w naszem społeczeństwie konserwatywnem, konserwowało zarazem niewolę polityczną; co było postępowem, dążyło do wolności i niepodległości. Dopiero po roku 1863 postęp sprzeniewierzył się swoim hasłom; pod postacią „pracy organicznej“ sprawę Polski postęp zdradził. I w zarodku socyalizmu polskiego tkwiło to „odium“ zdrady. Ale zło zostało przezwyciężone. Dawny chaos ustał. Minęły czasy, kiedy pod pojęcie „ideowości“ podkładano dokładną znajomość historyi Polski, a reakcyonizmu — przyznawanie się, że ją się zna. Młodzież dzisiejsza ma dziś łatwiejszą drogę od starszego pokolenia, które oczyszczało zachwaszczone ścieżki. Jest ona szczęśliwszą, bo pracom jej przyświecają większe nadzieje.

Nawet po ustaleniu ogólnych wytycznych postępowania, niepodobna jednak uniknąć wahań. I oto młodzież, zebrana na III zjeździe, stanęła wobec zagadnienia, jak określić swój stosunek do innych grup młodzieży. Młodzież, dążąc do ogólnych celów niepodległości Polski i socyalizmu, działa w określonym czasie i w przestrzeni. Styka się ze „Zjednoczeniami“, styka się ze „Związkiem młodzieży postępowej“, z którym na Genewskim zjeździe utraciło łączność organizacyjną. „Tu pójdziesz — utracisz serce, tam pójdziesz — utracisz duszę“. Jaką iść drogą, aby zapewnić tryumf wyznawanym hasłom.?

Część młodzieży (przedstawicielem jej był delegat z Brukseli) stała na tem stanowisku, że niepodobna iść w pojedynkę, nie oglądając się na nikogo. „Sami — mówił — niepodległości nie zdobędziemy. Nie rozmnożymy się cudownie, a samym filaretom nie starczy siły. Życie — to nie tetralogia Wagnera; Zygfryd z łatwością zwycięży papierowego smoka na scenie, ale w życiu zwalczać wroga trzeba zbiorowemi siłami. Powinniśmy o tem pamiętać, że obok nas w społeczeństwie są inne jeszcze siły. Z ludźmi, mówiącymi po polsku, a nie uznającymi niepodległości, nie ma punktów stycznych — jak twierdził mówca. Porozumieć się z nimi nie można. Są jednak inne żywioły niepodległościowe. Stoją one daleko od nas pod względem przekonań społecznych, ale wspólne dążenie do

walki czynnej o niepodległość nas łączy. Możemy iść razem do słupa granicznego, jakim jest uzyskanie niepodległości, a potem rozejść się. Nie obawiajmy się o całość naszej ideologii. Jeżeli wierzymy w to, że głosimy prawdę, to prawdą tą podbijemy innych. Szerzmy propagandę wśród społeczeństwa. Zwróćmy się do współobywateli ze słowami: „Zrozum, Polaku, co to Polska ludowa", a znajdziemy oddźwięk. Wchłoniemy w siebie wszystkich, którzy umieją myśleć i czuć".

W konkluzyi mówca domagał się zbliżenia do „Zjednoczeniowców". Należy się wzajemnie poznawać. Znajdziemy mnóstwo spraw wspólnych. chociażby taką sprawę bojkotu szkoły rosyjskiej, która nas łączy.

W stosunku do „Związku młodzieży postępowej" mówca zajmował postawę nieprzejednaną. Najpoważniejszą dla nas jest sprawa naszej śmierci — niepodległość Polski. Kto się jej przeciwstawia, ten jest moim wrogiem, gdyż pozbawia mnie tego, co dla mnie jest kwestyą istnienia, bez czego życia nie można sobie wyobrazić. Czyż można ze Związkowcami tworzyć wspólne instytucye? Ależ one zamienią się w sądy nad łamistrejkami, gdyż, jak już wiadomo, najbliższy zjazd Związku ma za zadanie zasadę bojkotu szkoły rosyjskiej przełamać. Będziemy musieli więcej jeszcze się zwalczać, niż dotąd.

Stanowisko powyższe, choć zaznaczone z wielką siłą argumentacyi i w sposób ponętny, nie pozyskało uznania większości delegatów. Nie na to — twierdzili mówcy — wśród ciężkiej pracy ducha zdobywaliśmy sobie ideologię — aby ją zachwaszczać. Ideologia nasza stanie się i stać się musi przystanią dla wszystkich, szukających prawdy, a nie umiejących jej znaleźć. Do nas będą napływać jednostki z jednego i drugiego obozu, a napływać będą tem chętniej, im więcej widzieć w nas będą stałości i skonsolidowania. Organizacya młodzieży nie może się zamienić na wyłącznie propagandystyczną. Musimy wewnętrznie się wyrabiać w gronie ludzi, wyznających jednolitą ideologię. Od Zjednoczeńców odgranicza nas cała przepaść przekonań. Nie trzeba się łudzić radykalizowaniem się znacznej części tego obozu. Dawni „narodowcy" z przed lat 20 byli też ludźmi o radykalnych dążeniach politycznych, ale brak stałego gruntu. na którymby oprzeć można poglądy społeczne, pchnął ich na tę drogę, po której dziś kroczy narodowa demokracya, na drogę neo-ugody. To samo i z dzisiejszą młodzieżą narodową zdarzyć się może. Zresztą zapominać nie należy, że „Zjednoczenie" wchodzi w skład „Ogniwa", a „Ogniwo" nieraz występowało, jako ekspozytura partyi (n. d.) i było narzędziem w rękach pierwotnych menerów neo-ugody. Zupełne ignorowanie kwestyi społecznej jest po dawnemu cechą członków Zjednoczenia. Są punkty styczne — to niewątpliwe — jak np. kwestya bojkotu, ale punkty styczne mamy również i ze Związkowcami. Gdy chodzi o takie sprawy, jak walka z klerykalizmem i nacyonalizmem na uniwersytetach. gdy chodzi o teoryę społeczną, o szerzenie zasad socyalizmu, tej jedynej dźwigni postępu ludzkości, ze Związkowców mamy pożądanych sprzymierzeńców. Chwilowe sojusze można więc zawierać z tymi lub drugimi, zależnie od okoliczności, ale do tego niepotrzeba łączności organizacyjnej, ani nawet zbliżenia organizacyjnego. Dowodem tego sprawa Zimmermana. dowodem — sprawa ruska. Do Związkowców nie żywimy bezwzględnej

nienawiści, pomimo ich stanowiska antyniepodległościowego i złamania bojkotu, o czem wiadomości lada chwila oczekiwać należy. Był czas, kiedy więcej między nami było wspólnych punktów. Ale była to pora, gdy w sprawie niepodległości nie wypowiadali się otwarcie, gdy tę sprawę przemilczali. Wprawdzie „qui tacet, consentire videtur“, jak nasi przodkowie na sejmie grodzieńskim, którzy milczeniem zaaprobowali naszą niewolę, po dziś dzień trwającą. Ale póki milczeli, możliwe było współpracownictwo. Deklaracya genewska położyła koniec temu węzłowi niedobranego małżeństwa. Teraz pójdziemy własną drogą. Obejdziemy się bez kompromisów, czynionych którejkolwiek stronie.

Ten ostatni punkt widzenia uzyskał aprobatę większości zjazdowej, można nawet powiedzieć, całego Zjazdu, gdyż rezolucya, mówiąca o zawiązaniu ściślejszych stosunków ze Zjednoczeniem, została cofnięta. Trwałość postulatów postępowo-niepodległościowych została w ten sposób zabezpieczona.

Wogóle na Zjeździe dała się zauważyć większa jedność wśród stowarzyszonych, większa dążność do ustalenia typu organizacyjnego. Pod tym względem młodzież od czasu zjazdu paryskiego poczyniła wielkie postępy. Wtedy dała się zauważyć większa rozbieżność; niektóre organizacye odbiegały od przeciętnego typu, co dało się, między innemi, tem wytłomaczyć, że przebywało w nich wielu byłych członków Zjednoczenia. Teraz działalność stowarzyszeń sharmonizowała się więcej, co odbiło się korzystnie na pracach Filarecyi. Pracami temi organizacya może śmiało się poszczycić. Wprawdzie nie wszędzie dorobek jest jednakowy' lecz bardzo rzadko spada niżej przeciętnego poziomu. Najlepiej przedstawia się działalność zagranicy. Jak widać ze złożonych sprawozdań, stowarzyszenia zagraniczne poważnie pojmowały swe obowiązki. Poza pracą samokształceniową, która, jak np. w Brukseli, wydała rezultaty świetne, stowarzyszenia stawały się ogniskami kultury i promieniowały szerszą wiedzę wśród zamieszkałych w okolicy robotników polskich. Młodzież stowarzyszeniowa informowała prasę polską o tem, co się dzieje w kolonii polskiej i wogóle w miejscu pobytu zagranicą, a zagranicę o życiu polskiem we wszystkich trzech zaborach. Młodzież starała się poznać wszędzie urządzenia zagraniczne, kooperatywy, uniwersytety ludowe, aby po powrocie do kraju módz zużytkować swe doświadczenie, szuka pamiątek polskich za granicą i przyczyniała się do ich kolekcyonowania, lub do powiększania już istniejących zbiorów. W takiej Brukseli np. stowarzyszenie filareckie im. Joachima Lelewela bardzo wiele się przyczyniło do rozpowszechnienia i wzbogacenia wiadomości o tym wielkim historyku i twórcy numizmatyki światowej. I Leodium i wiele innych miast zagranicznych nie pozostawało w tyle. Zbierano ankiety, z powodu ważnych wypadków w naszem społeczeństwie zawsze głos zabierano, aby rzecz należycie oświetlić.

W gorszem świetle, niż zagranicą, przedstawia się działalność stowarzyszeń w Galicyi. Więcej tu sił, większa liczba stowarzyszonych, ale więcej też gnuśności i ospałości. Gdy tam, za granicą, wszyscy pracują, gdy niema członka stowarzyszenia, któremuby nie przypadła w udziale jakaś robota, tutaj przeważnie kilku pracuje, a reszta stanowi bierną masę, której działalność niczem się nie uwydatnia, niekiedy nawet pła-

ceniem podatku organizacyjnego. Budzi się stowarzyszenie w czasie, gdy jakieś ważne wypadki pobudzą zebranych do zwołania wiecu. „Tenor“ stowarzyszeniowy przemawia na wiecu, sprawiając tem sobie większą przyjemność niekiedy, niż zgromadzonym, poczem wszystko powraca do zwykłej drzemki. Czasem wybory przerwą okres chronicznej gnuśności. Ten i ów weźmie w nich udział, przekona się naocznie, jaka dokoła panuje straszna ciemnota i to pobudzi go do pracy dla ludu. Ale „wybierać“ ciągle niepodobna. Potrzeba ciągłej pracy, nietylko przy wyborach, które często zresztą bywają czynnikiem wysoce demoralizacyjnym. a do niej niekażdy ma ochotę. Między królewiakami, zamieszkałymi w Galicyi, jest dużo jednostek, zdemoralizowanych przegraną, i siejących dokoła zarazę zniechęcenia i zwątpienia. Niedługo jednak tak będzie. Jak stwierdził na podstawie zebranych danych prezes Filarecyi, najmłodsze pokolenie, wychodzące ze szkół polskich, przedstawia się nader korzystnie. Ostatni rok np. przysporzył stowarzyszeniom bardzo wiele jednostek ideowych. Skutek to w znacznej mierze oddziaływania atmosfery szkoły polskiej w Królestwie: jeden więcej argument za bojkotem.

W sprawie bojkotu dyskusya toczyła się niedługo, gdyż jasnem było dla wszystkich zebranych, że nic zasadniczo się w tej sprawie nie zmieniło. Skonstatowano raz jeszcze, że bojkot nie słabnie, że szkoła polska nie jest tak drogą, za jaką uchodzi, że wzrasta chęć stosowania czynnego bojkotu, czego dowodem kilka aktów, dokonanych w bieżącym roku w Warszawie, i uchwalono jednomyślną rezolucyę.

Po dyskusyi w tak aktualnej sprawie Rapperswilskiej wyrażono w rezolucyi życzenie, aby wybrano inną komisyę, złożoną z członków instytucyi kulturalnych, gdyż dotychczasowa komisya, która zatwierdziła Rużyckiego na stanowisku, nie dawała dowodów bezstronności a nawet uczciwości.

W sprawie stypendyów Rapperswilskich uchwalono rezolucyę, która mówi, że niewolno pozbawiać kogokolwiek przynależności do społeczeństwa polskiego ze względu na jego przekonania społeczno-polityczne i wyraża życzenie, aby przy decydowaniu sprawy stypendyów liczono się z ogólną reprezentacyą młodzieży.

W dalszym ciągu zaprotestowano przeciw wydzieleniu Chełmszczyzny, wreszcie w sprawie ruskiej uznano słuszność ukraińskich postulatów narodowych, zastrzegając się jednak przeciw utrakwizacyi uniwersytetu, jako szkodliwej dla obu narodowości.

W tym samym czasie obradowano w obozach młodzieży, od których młodzież filarecka pragnęła się odgraniczyć: odbył się w Paryżu XI Zjazd „Związku młodzieży postępowej“, w Genewie Zjazd „Zjednoczenia“.

„Związek“, utraciwszy na zeszłorocznym Zjeździe wielką ilość członków, którzy, wskutek negacyi postulatów niepodległościowych przeszli do „Filarecyi“, stanął obecnie na gruncie wyłącznie partyjnym. Odrzucono na zjeździe nawet takie ogólne zasady, że „Związek“ ma stać się terenem rozwoju społecznego. Gdy wreszcie wniosek, głoszący, że Związek nie wysuwa ścisłych postulatów programowo-politycznych, upadł znaczną większością głosów, dla wszystkich stało się jasnem, że Zjazd stał się ekspozyturą partyjną (przeważnie Socyaldemokracyi i „lewicy“ P.P.S. *Red.*).

Chodziło tylko o to, która z dwóch partyi pokrewnych, a dążących do zupełnego zjednoczenia, zatryumfuje na Zjeździe. Sprawa stosunku do bojkotu szkolnego zdecydowała tę kwestyę. Obóz, który na wiosnę zeszłego roku w namiętnych odezwach zwalczał zasadę bojkotu, znalazł wśród zebranych na Zjeździe najwięcej zwolenników. Wypowiedziano się otwarcie przeciw bojkotowi i postanowiono w tej sprawie zwołać Zjazd ogólny. Po raz to pierwszy w okresie porewolucyjnym część młodzieży oświadczyła się publicznie za powrotem do szkół rosyjskich: dotąd ten wątpliwy zaszczyt był udziałem ludzi ze starszego pokolenia.

Na Zjeździe Zjednoczeniowym, który odbył się w Genewie, zaznaczała się pewna rozbieżność w kierunkach: narodowo-niepodległościowym i narodowo-konserwatywnym. Starano się jednak usilnie o to, aby wiadomość o rozbieżności zdań nie przedostała się do kół szerokich, ubijając sporne sprawy w komisyach i na poufnem kole delegatów. Sprawę Rapperswilską załatwiono w duchu poglądów Miłkowskiego i opozycyi przeciw Zarządowi Muzeum; w sprawie jednak Skarbu Narodowego wyrażono zaufanie do Zarządu. Czyniono więc wzajemne kompromisy, ale w tych obradach mało było rozpędu młodości.

Obrady młodzieży na trzech Zjazdach wykazały, że obóz filarecki, choć najmłodszy, wyróżnia się korzystnie wśród tych grup młodzieży, w których pracując, zagubić można serce lub duszę. Obóz ten, który na Zjeździe Związkowym piętnowano, jako reakcyjny, choć miał on sposobność w uchwale w sprawie stypendyów rapperswilskich zaznaczyć swą bezstronność i zupełny brak ciasnoty politycznej, wykazuje coraz bardziej swą żywotność. Dużo wiary w siebie i nadziei na przyszłość ożywiało zebranych na Zjeździe Filaretów. Tego jednak byłoby zamało. Aby zbliżyć się do wcielenia w życie swych ideałów, aby wytworzyć typ nowego Polaka, hartownego wobec przeciwieństw, jakich nam los nie skąpi. a zdatnego do poświęceń względem ojczyzny w takim samym stopniu, w jakim skłonne były do czynienia z Polski podnóżka dla osobistych ambicyi dawne polskie pokolenia, za winy których dziś pokutujemy, potrzeba konkretnej pracy; nie tej pracy organiczników, która w imię nauki deptała wyzwoleńcze zapały, lecz pracy, skoordynowanej z dążeniami i ideałami społeczeństw dzisiejszych czasów. I jeżeli młodzież galicyjska nie dość intensywnie pracuje, to ogromny zasób pracy, pożytecznej a celowej, wykazał cały szereg stowarzyszeń zagranicznych. Ludzie mają świadomość swych celów i w imię tych celów pracować umieją.

Innego zdania będą naturalnie przedstawiciele „Głosu Warszawskiego“, lub sekundującej mu stale od pewnego czasu „Myśli Niepodległej“, która w całej Filarecyi, w całej pracy porewolucyjnej młodzieży widzi „żydowską intrygę“. Część młodzieży, zdaniem tych gazet, odżegnała się w dzisiejszej dobie od wszelkiej pracy społecznej w rozszerzonych (?) dziś warsztatach, część hołduje frazesom, związanym z ideą niepodległości ojczyzny i wyzwolenia proletaryatu. Tych ostatnich mianowicie do „polityki frazesów“ mieli popchnąć żydzi, radzi, że w ten sposób oderwą Polaków od tak licznych placówek życia narodowego bujnie w Królestwie rozkwitłego zwłaszcza dziś, w dobie reakcyi.

Obóz, któremu służy organ p. Dmowskiego ma krótką pamięć.

Czyż to nie on w ciągu paru lat ostatnich, gdy spostrzegł, że batuta nad młodzieżą wymknęła mu się z ręki, wzywał młodzież, aby się zrzekła już nietylko polityki frazesów, lecz wogóle wszelkiej polityki, a tylko się uczyła, uczyła, uczyła...? I czyż ci rolnicy, o których mówi p. Kiniorski, że o niczem innem, prócz o sprawach swego rolniczego zawodu słyszeć nie chcą, nie są duchowymi spadkobiercami programu bankructwa, programu ugody? Kiedyś, gdy miało się za sobą całą młodzież, uprawiać było łatwo „politykę frazesu", tym razem prawdziwego, dziś obowiązuje inna dyrektywa. I jeżeli część prawdy jest w aforyzmie Baudouina de Courtenay'a, że polityka to kloaka, w której zabrudzić się musi każdy, kto się nią zajmuje, to prawdą ta da się zastosować w całości do praktyk politycznych dni minionych. Bo gdy się młodzież szkolną zapędza do udziału w wyborach, w tej wstrętnej, choć nieuniknionej formie życia politycznego, jak to miało miejsce kilka lat temu w Warszawie, to traci się prawo do występowania przeciw demoralizowaniu młodzieży frazesem politycznym. O tych, co z entuzyazmem podnoszą sztandar niepodległości, wierząc, że przy pracy wytężonej można podołać temu na pozór niedoścignionemu zadaniu, niech się obóz neo-ugody nie troszczy. Znajdą oni dość siły, aby słowo stało się ciałem, zwłaszcza, że pracują w lepszych i korzystniejszych, niż minione pokolenia, warunkach. I gdy rozlega się dokoła tylko syk wężowy tych, którym panowanie nad społeczeństwem się z rąk wymyka, może oni, idąc własną drogą i nie wchodząc w żadne kompromisy, doczekają się nowej „wiosny ludów"! *J. Krzesławski.*

Sprawa rapperswilska.

Pojawiło się drukiem dra F. Kopery, dyrektora krakowskiego Muzeum Narodowego, „Sprawozdanie o stanie Muzeum narodowego w Rapperswilu, na podstawie badań na miejscu w sierpniu 1911 r. dokonanych z polecenia Rady m. Krakowa". Dokument to pierwszorzędny, nie osoby interesowanej, nie dyletanta, lecz eksperta niejako urzędowego.

Autor zna Muzeum lat 15; przez ten czas rozwinęły się wspaniale muzea w każdem większem mieście niemieckiem i szwajcarskiem; jedną z przyczyn jest wszędzie urzędowanie personalu o fachowem, poważnem wykształceniu; w Rapperswilu sprawuje rządy od śmierci Bukowskiego urzędnik, któremu najżyczliwsza dlań Rada odmawia warunków do kierowania instytucyą. Stąd poważny szereg zarzutów, stawianych Muzeum i kustoszowi, które dr Kopera potwierdza z całą stanowczością; potwierdza też czynione przez Żeromskiego p. Rużyckiemu zarzuty wandalizmu. Szczegółowo zajmuje się dr Kopera sprawą sprzedaży drowi Sokolnickiemu dubletów.

„Co się tyczy — pisze — taniego sprzedawania dubletów, nie można, mojem zdaniem, czynić z tego zarządowi zarzutu. Ceny książek i rycin są niestałe, zwłaszcza, jeżeli się pozbywa biblioteki ryczałtowo. Nie znamy katalogu sprzedania biblioteki i trudno nam ją ocenić. Przyniesione i przedstawione Komisyi dwie małe skrzynie książek, nabytych przez p. Sokolnickiego, nie upoważniają do tego zarzutu, dlatego, że

w tych skrzyniach, otwartych bez udziału p. Sokolnickiego, były nadto jego własne, gdzieindziej nabywane książki. Kronika Stryjkowskiego, druk z r. 1582, jeśli się tam znalazła, a nie była dubletem, jest to dowodem lekkomyślnego sortowania dubletów." Tu dr Kopera udowadnia, że Komisya niektóre jego orzeczenia fałszywie przedstawiła i dalej kontynuuje: „Fakt omawianej sprzedaży dubletów p. Sokolnickiemu poza Kroniką, nie może mieć wielkiej wagi z tego względu, że dublety były już poprzednio wybrakowane przez zawodowych antykwaryuszy. Nie kupił ich antykwarz Igel, ani fachowy antykwarz i znawca cen p. Wilder z Warszawy. Wybrakowanych w ten sposób druków pozbyto się ryczałtem i kto wie nawet, czy nie dobrze zrobiono. Inaczej bowiem w takim Rapperswilu dublety trudnoby było sprzedać, jak przez sporządzenie katalogu, którego układ, druk, korekty, koszta administracyi pociągnęłyby za sobą wydatek paruset, jeśli nie kilkuset franków, a w każdym razie pieniądz za sprzedane dublety płynąłby powolniej. Tymczasem zajmowałyby one miejsce i przeciążały nieliczny personal." Przytacza też dr Kopera opinię fachową, wydaną przez polski antykwaryat Hieronima Wildera i Ski w Warszawie, który po szerszem umotywowaniu dochodzi do konkluzyi, że „sumę 500 franków zaofiarowanych za dublety rapperswilskie uważamy za dostateczną, zwłaszcza, że sprowadzenie ich do miejsca przeznaczenia, n. p. do Warszawy, wynieść może drugie tyle".

Orzeczenia powyższe powinny być dla p. dra Sokolnickiego dostateczną satysfakcyą i palić czoła tych, którzy poniewierali jego dobre imię, a wobec wszystkich głosów krytycznych zachowują konsekwentne milczenie. Co zaś owe „miarodajne koła" wogóle czynią, aby usunąć wszystkie ohydy, jakie im wykazano — niewiadomo. P. Rużycki dalej urzęduje, fachowego kierownictwa Muzeum nie posiada, opinia publiczna, sprzykrzywszy sobie jedną sensacyę z wakacyj, przeszła już nad nią dawno „do porządku". Oh, ten porządek, i referat dra Kopery, i omówiona tu niedawno książka Stefana Żeromskiego! Dla kogo się u nas pisze krwią?

Nie spoczęła dotąd garść „wichrzycieli" i w podzięce za doznane dobro wprowadzili w życie Towarzystwo przyjaciół Muzeum narodowego w Rapperswilu. Celem jego „szerzenie znajomości polskiej kultury wobec zagranicy, a w kraju krzewienie poszanowania zabytków, utrzymanie całości zbiorów muzealnych i bibliotecznych Muzeum narodowego w Rapperswilu, oraz dobro tej instytucyi pod każdym względem". Środki działalności Towarzyswa są następujące: „Urządzanie wystaw polskich za granicą, ideowe i materyalne popieranie interesów Muzeum drogą prasy, odczytów, wydawnictw i t. p. Rozbudzanie zainteresowania i ofiarności publicznej dla celów Muzeum i obracanie własnych funduszów na cele tegoż Muzeum".

Członkowie Towarzystwa dzielą się na: 1) założycieli, 2) honorowych, 3) wspierających, 4) zwyczajnych. Wkładka członka założyciela jest jednorazowa i wynosi kwotę 200 K. Wkładka członka wspierającego wynosi kwotę 20 K rocznie, zaś członka zwyczajnego 2 K rocznie. Zarząd tymczasowy przyjmuje już wkładki osób pragnących się wpisać

na członków Towarzystwa. Wkładki nadsyłać można pod adresem skarbniczki Towarzystwa p. Heleny d'Abancourt, Kraków, ul. Karmelicka 36.

Młode Towarzystwo nie frazesami, nie negatywnie chce działać i przystąpiło już do czynów. Zarząd organizuje wystawę sztuki polskiej w Rapperswilu na sezon letni b. r. Gmina tamtejsza przyrzekła subwencyę, Związek turystyczny ofiarowuje odpowiedni lokal. Będzie więc świat turystyczny, snujący się w lecie po Szwajcaryi, miał sposobność do zaznajomienia się z żywą gałęzią kultury polskiej, nie z tą, którą pokazuje, oprowadzając p. Rużycki. Szwajcarzy na pierwsze wezwanie dali pomoc; niechże społeczeństwo polskie zasili przynajmniej szeregi młodego Towarzystwa licznym zastępem członków.

SPRAWOZDANIA.

„Kultura Polska". Obrazy i opisy. 435 rycin. Lwów, nakładem Macierzy Polskiej.

Zasłużona „Macierz Polska" po wydaniu Encyklopedyi popularnej, opublikowała dwa duże tomy po 1000 str. liczące, pod tytułem „Polska, obrazy i opisy". Mamy przed sobą stanowiący odrębną całość tom drugi, dający całokształt kultury polskiej.

Oto treść jego: Dr Konstanty Wojciechowski „Dzieje literatury polskiej"; dr Feliks Kopera: „Dzieje budownictwa i rzeźby w Polsce"; dr Zdzisław Jachimecki: „Muzyka w Polsce"; dr Adam Szelągowski: „Rozwój ekonomiczny i społeczny w Polsce od roku 1795"; Ad. Zakrzewski, St. Koszutski, Michał Łempicki, St. A. Kempner: „Stosunki społeczne i ekonomiczne w Królestwie Polskiem"; Wł. Studnicki: „Stosunki społeczne i ekonomiczne na Litwie i Rusi"; dr Witold Skarżyński: „Stosunki społeczne i ekonomiczne w Prusiech Królewskich"; dr F. Koneczny: „Stosunki społeczne i ekonomiczne na Śląsku polskim"; dr St. Głąbiński: „Stosunki społeczne i ekonomiczne w Galicyi"; dr Ludwik Finkel: „Ostatnie lata 1904—1908".

Kto wie, jak trudno w naszych warunkach stworzyć podobnie encyklopedyczne dzieło, w dodatku popularne, z uznaniem przyjmie pracę redakcyi. Nazwiska wymienione współpracowników świadczą o chęci uniknięcia jednostronności i stronniczości. Z tem wszystkiem prace poszczególne bardzo nierównej są wartości. Nawet w rozprawce szanownego rektora Finkla o dziejach politycznych lat ostatnich, znajdujemy zadziwiające ustępy. Czytamy o początkach ruchu rewolucyjnego w Królestwie 1904 roku. „Partye socyalistyczne, jedna międzynarodowa tak zwana Socyaldemokracya (pod komendą niemiecką), druga najliczniejsza i najczynniejsza z zabarwieniem narodowem tak zwana socyalna demokracya Królestwa Polskiego i Litwy poczuwały się do solidarności z robotniczym ruchem rosyjskim" (874); czytamy, że patryotyczna manifestacya w Królestwie „szła bardzo na rękę rządowi", niedocenienie bojkotu szkoły rosyjskiej etc. Ogromna liczba portretów księży do upiększenia działu artystycznego się nie przyczynia, świadcząc zarazem o tendencyi.

Mimo to może ów tom wyświadczyć niejedną przysługę zarówno pracownikom, jak i ludowi. Poraz pierwszy mamy zestawiony obszerny materyał, szereg cyfr i dat; błędy powinny w drugiem wydaniu być usunięte.

Ludwik Gumplowicz: Zarys życia i pracy, skreślony przez Stanisława Posnera. Warszawa, Księgarnia E. Wende i Spółka.

Na cmentarzu ewangelickim Matzleinsdorf we Wiedniu wznosi się pomnik, przedstawiający „Przeznaczenie“: groźnego męża, z mieczem w jednej ręce, gdy druga nieubłaganie dławi wznoszący się z ofiarnika ogień. Pomnik ten dłuta Stan. R. Lewandowskiego zdobi grób Ludwika Gumplowicza (oraz żony i syna ś. p. Maksymiliana). Drugi pomnik wzniósł obecnie zmarłemu Stanisław Posner swoją monografią.

Niewiele książek czytaliśmy tak interesujących z wielu powodów. Autor odnosi się do Ludwika Gumplowicza z całym krytycyzmem. Zderzyły się tu z sobą dwie wybitne indywidualności pod wieloma względami przeciwne sobie. P. Posner analizuje dzieła i teorye Gumplowicza z zakresu socyologii, umiejętności prawniczych, pisma jego polityczne; w osobnym rozdziale analizuje poglądy zgasłego na socyalizm. Prawie na wszystkich tych polach przeciwstawia mu się, nieraz wygłasza sądy wręcz mu przeciwne. W socyologii, przyjmując ze zmarłym prawa naturalne, nie podziela bodaj najważniejszych uogólnień jego, nie podziela jego teoretycznego pesymizmu, negacyi znaczenia jednostki i bohaterstwa. Jeszcze surowiej wypada sąd p. Posnera — jednego z najuczeńszych i najwszechstronniejszych prawników polskich — o pracach prawniczych Gumplowicza. Zdawałoby się, że wobec tego nie było o kim pisać monografię. Przeciwnie. Książka p. Posnera jest ilustracyą, jak można i należy podobne monografie pisać; zachowując wobec swego przedmiotu zupełną swobodę — odnosić się do niego z miarą sprawiedliwości. Odrzucając mnóstwo hypotez, jednostronności i wybuchów temperamentu Ludwika Gumplowicza, dużo jeszcze w nim zostaje objektywnych wyników naukowych, wysoko cenionych przez cały europejski i amerykański świat naukowy, aby zasługiwały na opracowanie. P. Posner ma nadto inny jeszcze motyw. „Miarą wartości pisarza, czy uczonego — wywodzi — nie może być jedynie ta suma prawdy objektywnej, o którą on świat nauki powiększył. Gdzież bowiem jest miara objektywna tych prawd? Świat, który teraz we wszystkich punktach swoich myśli pracuje umiejętnie, bada po bibliotekach i laboratoryach, podlega ciągłym wahaniom i zboczeniom. Pierzchnęła nawet ułuda objektywnej wartości podstaw nauk ścisłych“... Znaczenie uczonego należy zatem cenić także podług tego, o ile stwarza teorye, które w swoim czasie na wyżynie danej wiedzy tłómaczą nam dane zjawiska, dają uogólnienia żywe i płodne na przyszłość. W ten sposób pobudzają pokolenia, posuwają naukę.

Pogląd to jedynie mądry i sprawiedliwy.

W jego świetle Ludwik Gumplowicz staje się jednym z najzasłużeńszych mężów nauki. Nadto p. Posner zbliża nas do niego, jako do człowieka. Nie kusząc się o szczegółową biografię, kilkoma rysami maluje nam Gumplowicza-polityka, nauczyciela, mędrca i wywołuje głębokie, pełne sympatyi wzruszenie. *Ch.*



Wit Stwosz: Środkowa grupa ołtarza Maryackiego w Krakowie. Wydawnictwo „Krytyki".

DRUK. LITERACKA
KRAKÓW



Wit Stwosz: Grupa Ukrzyżowania w kościele św. Sebalda w Norymberdze. Wyd. „Krytyki“.

W WALCE O ŚWIATOPOGLĄD.

II. MONIZM A FILOZOFIA.

OD AUTORA.

Dorywczo, niemal od ręki napisana rzecz niniejsza jest właściwie okolicznościową. W październikowym zeszycie „Krytyki“ z roku ubiegłego zamieściłem był obszerniejsze sprawozdanie krytyczne z Hamburskiego Kongresu monistów, odbytego we wrześniu 1911 roku. W jakiś czas potem „obrany przez Kongres“ ten do „formowania Towarzystw w Polsce i reprezentowania polskiego ruchu monistycznego w (powstającym właśnie) Związku Międzynarodowym“ p. Aug. Wróblewski wyłożył na łamach tegoż miesięcznika najogólniejsze podstawy najbardziej dziś rozpowszechnionego monizmu przyrodniczego. — Wobec tego, że ruch monistyczny w Europie się wzmaga; że się organizuje w związek międzynarodowy pod przewodnictwem człowieka tej miary, co znakomity chemik, laureat nagrody Nobla, energetyk Wilhelm Ostwald; że w Polsce grunt pod światopogląd ten przygotowuje od dawna ruch wolnomyślicielski, a obecnie, jak się dowiadujemy, ma powstać i oficyalny oddział polski pomienionego Międzynarodowego Związku Monistów, — chciałem był w odpowiedzi na wywody p. Wróblewskiego rozpatrzeć sprawę nieco szczegółowiej. Jest ona na czasie i nie bez znaczenia, a mam sposobność w Niemczech, gdzie jest ognisko ruchu, bliżej go obserwować. — W ten sposób mimowoli urosła pod piórem rzecz niniejsza. Rozpatruje ona ruch monistyczny zarówno od jego więcej teoretycznej strony, jak i w związku z najogólniejszemi tendencyami i możliwościami kultury współczesnej, a po części i naszego bytu narodowego. Że zaś zawiera, jak sądzę, stronice, z których mówi głos przeżyć i przekonań osobistych, przeto — pomimo, że wybiega niekiedy w dziedziny nieco problematyczne i roztrząsa chwilami niektóre zagadnienia pod kątem widzenia nieco zbyt za-

chodnim i dla nas praktycznie dziś mniej aktualnym — ale, jak wszystko, nietylko pomyślane, lecz i przeżyte, nie będzie ona może całkiem obojętną. Niechaj więc służy jako popularnie-praktyczny przyczynek do walki z nieomal wszechwładnie dotychczas panującym wśród szerszych kół inteligencyi t. zw. światopoglądem naukowym, przyrodniczym, albo naturalistycznym.

K. Bł.

Lipsk, w styczniu 1912 r.

A) Mania jednościowania i wielość monizmów. Monizm przyrodniczy.

a) Niema terminu filozoficznego, któregoby więcej dziś nadużywano, niż terminu monizm. Dążenie do jedności jest wprawdzie, jak wiadomo, w człowieku przyrodzone i w pewnych granicach słuszne i potrzebne; ale dążenie to przybiera częstokroć w kulturze współczesnej rozmiary i cechy jakiejś poprostu manii.

Monizm ekonomiczny na przykład [1]) usiłuje z pasyą, nieuznającą żadnych przeszkód ze strony logiki ani doświadczenia, wydedukować wszystkie, choćby najoczywiściej różnorodzajowe zjawiska kulturalne, wyłącznie z procesów produkcyi i wymiany, a tak jest w tem zajadły, że „tłumaczy" czasem filozofię nieświadomości Edw. v. Hartmanna przez proces zanikania „świadomości klasowej" we współczesnem mieszczaństwie niemieckiem, albo naukę o predestynacyi Kalwina przez warunki rynku, który w nieuregulowanych stosunkach produkcyi odgrywa rzekomo rolę przeznaczenia [2]). Najpopularniejszy z monizmów — przyrodniczy — sprowadza świat cały do ruchów materyi lub przemian energii. Teoretyczna myśl społeczna marzy (choć ostatnimi czasy już nie tak gorąco) o wszechogarniającej nauce socyologii. W dziedzinie artyzmu znane jest — rozpowszechnione zwłaszcza w Polsce przed niewielu laty — sprowadzanie wszystkich sztuk do jednej, pisanej wówczas przez dużą literę (a nie mamy tu na myśli jednej nauki o sztuce). W dziedzinie wiedzy narzuca się wszystkim naukom bez wyjątku jedną wspólną metodę badania — przyrodniczą. W dziedzinie praktyki społeczno-politycznej zdradza się tendencya do zaniedbywania, a na-

---

[1]) Tak nazywa marksista Plechanow materyalistyczne pojmowanie dziejów; rewizyonista Bernstein pyta złośliwie, czemu nie wprost symplicyzm.

[2]) Obacz Edwin R.-A. Seligman. L'interprétation économique de l'Histoire, str. 146, i Georg Simmel. Probleme der Geschichtsphilosophie, str. 165.

wet zacierania różnic narodowych na rzecz idei jednej — o wiele zawcześnie dziś śnionej — ludzkości. I tak dalej bez końca. Gdziekolwiek się zwrócić, wszędzie nieomal wielość jest uważana tylko za rzekomo powierzchowną szatę postulowanej i dekretowanej ukrytej jedności.

Przyczyny tej tak ostrej manii jednościowania (mania monistica acuta) są naturalnie w różnych dziedzinach bardzo różne — inne, gdy w grze jest świadoma siebie i swych tradycyi myśl filozoficzna, dla której też wogóle należy pod tym względem, jak pod wielu innymi, uczynić wyjątek, a inne tam np., gdzie mamy do czynienia z conajmniej w trzech czwartych dowolnem i maniackiem określaniem przez poetów barwy dźwięków i samogłosek, lub, jak ktoś rzekł dowcipnie, odtańczenia uśmiechu Mony Lizy. Lecz skoro, jak nam tutaj, chodzi nie tyle o sfery poszczególne, ile raczej o szerszy ogół inteligencyi i jego pół-bezwiedne odruchy duchowe, czyli o wspólne podłoże tych wszystkich tendencyi monistycznych w najogólniejszym fakcie bezpośredniego życia, to na powstawanie ich wpływają głównie bodaj-że dwa zjawiska: pewna atmosfera społeczno-psychiczna, pozostająca w najściślejszym związku z coraz szersze kręgi dziś obejmującą centralizacyą życia zbiorowego, oraz — i co ważniejsza — pewne obniżenie poziomu żywotności, pewna dekadencya psycho-fizyczna, nieodłączna od wszelkiej kultury wielkomiejskiej. (A kultura nasza jest wskróś wielkomiejska). Pierwsze z tych zjawisk jest aż nadto znane, o drugiem — słów kilka.

Wszelkie silne życie, wszelka mocna, świadoma i wytężona wola, stwierdzając istnieniem swojem sama siebie, ustanawia przez to i widzi przedewszystkiem różnice — między sobą i światem i między zjawiskami świata. Wszelka słabość i bezwład, będące zawsze mimowolnem staczaniem się w dół i bezwiednem dążeniem do nicości — wszelka niemoc i nicość są z natury rzeczy do siebie podobne, różnic nie widzące i różnic nie znoszące, jak wogóle dystansów, których najczęściej nie potrafią one ani przezwyciężać, ani w poczuciu siły własnej, jako przejawów siły obcej — uszanować. Istnieje nieskończona ilość możliwych odmian mocy i woli życia — ale niwelacya różnic jest cechą słabości. Silna wola popycha do czynu, działania, a dla wszelkiego czynu niezacieranie różnic przeciwstawiających się sobie dziedzin i zjawisk świata, jego „kawałkowanie“ (Bergson) jest pierwszą koniecznością. — Ale dusza współczesna — zwłaszcza w inteligencyi — żyje dziś przeważnie tylko wymuszonym i bezmyślnym czynem, albowiem

żyje pod przekleństwem pracy i współzawodnictwa. A przeto nużona i wyczerpywana coraz szybszem tempem gorączkowego życia, szuka ona bezwiednie spoczynku i wytchnienia w marzeniach o nazbyt łatwo znajdowanej, bo upragniony spokój niosącej — wszechjedności, w pewnego rodzaju tanim panteizmie, lubi bezwiednie rozpływać się i gubić w kosmicznych deklamacyach i chętny daje posłuch przeróżnym doktrynom, tak łatwo tłómaczącym to, co jest tak trudno mieć, zdobyć, opanować i stać się tem realnie.

Tak więc np. dla wyczerpywanego ciężką o byt walką członka odsuniętych właściwie od wszelkiego udziału w jakiejś wyższej kulturze narodowej tak zwanych — i niestety! tak słusznie dotąd zwanych — klas wydziedziczonych jest rzeczą poprostu nad siły nieraz trudną i niemożliwą wyrobić sobie istotne poczucie i zrozumienie pojęcia, znaczenia i roli ojczyzny; ale za to jak łatwo — uwierzyć, że właściwie niema różnych ojczyzn, lecz jest tylko jeden interes klasowy. — Albo: nie każdemu dano jest posiadać, lub pracą i wysiłkiem znaleźć sobie cel życia, znaleźć silną, jasną i określoną, własną poszczególną wolę; ale właśnie tem łatwiej, im mniej ma się jej w sobie, im bardziej się przeto potrzebę jej odczuwa, jest przyjąć objawienie jednej metafizycznej, poza złudną wielością zjawisk, jako właściwa ich istota skrytej woli Schopenhauera i w niej się rozpływać. — Albo: osiągnąć naprawdę harmonię światopoglądu, uwzględniającego wszystkie strony życia i istoty ludzkiej, to w naszych czasach ciężki do zgryzienia orzech; ale zaprzeczyć w sobie i świecie, albo nie widzieć wszystkiego, co nie pasuje do szematu jednej wszechwładnej nauki — cóż może być prostszego! Co jest łatwiejszego nad wyczuwanie w poezyi, malarstwie, muzyce i t. d. „czegoś", co się podoba, co się roztapia we mgle mniej więcej jednakowych, nieokreślonych wrażeń artystycznych i co się na tej zasadzie ogłasza za istotny pierwiastek sztuki przez „s" duże, albo niekiedy nawet za sam Absolut; ale prawdziwe, choćby tylko odtwórcze zrozumienie arkanów, kunsztu i znaczenia jakiejś poszczególnej sztuki jest rzeczą o wiele trudniejszą i rzadszą. I t. d. — podobne przykłady z łatwością gromadzićby można jeszcze bardzo długo, tropiąc w przeróżnych, najdalszych od się sferach i dziedzinach życia objawy jednej wspólnej dekadencyi współczesnej, która, jak mówimy, stanowi bodaj że główne prywatne, indywidualne źródło pomienionej manii jednościowania. — Człowiek

współczesny z jednej strony widzi dokoła w społeczeństwie coraz większe skupianie się i uzależnianie wzajemne różnych dziedzin życia, z drugiej — cała ta coraz jednolitsza i uwagę jego coraz wyłączniej pochłaniająca maszyna zbiorowości, ssąc zeń siły żywotne, wytwarza w nim samym źródło osobistych — rzekłbym, organicznych — skłonności do szukania i upatrywania we wszystkiem, choćby ze szkodą życia i prawdy — cech jednolitości. A przytem niesłychanie złożone i zawiłe, tysiącami przeróżnych strumieni płynące życie nasze poprostu zmusza dziś jednostkę do najbardziej nawet krzywdzących poszczególne zjawiska uogólnień, w przeciwnym bowiem razie grozi jej dezoryentacya w jego labiryncie. Jakie powstają stąd niebezpieczeństwa dla kultury naszej, poniżej zobaczymy.

Tymczasem — z tych czy innych przyczyn wynikające, owe współczesne tendencye monistyczne nie mogły oczywiście nie zrodzić reakcyi, i protest przeciwko nim z różnych stron już dzisiaj rozbrzmiewa coraz głośniej. Poszczególni myśliciele, jak np. znany psycholog i filozof Oswald Külpe, dochodzą do wniosku, że dualizm jest „możliwym, a nawet prawdopodobnym kierunkiem metafizycznym". Inni, jak Chamberlain, oznajmiają poprostu, że „wszelki monizm prowadzi ostatecznie do zapatrzenia się we własny pępek. Skoro subjekt i objekt są jednem, czyn znika... Smutne to, że takie rzeczy znów się pośród nas budzą i tumanią słabe głowy". Jerusalem nazywa monizm „hipertrofią popędu poznawczego". Neo-witalizm występuje stanowczo przeciw łączeniu w jedno przyrody martwej i ożywionej. W psychologii monistyczna hipoteza parallelizmu psycho-fizycznego coraz częściej zaczyna ustępować miejsca teoryi wzajemnego oddziaływania na się ducha i ciała (Busse, Stumpf, James, Rehmke, pr. Wartenberg ze Lwowa i inni). Pluralizm zyskuje wielu zwolenników; w jego obronie, a przeciw „przesądowi jedności" (la superstition de l'unité) rozbrzmiewa poważny głos niedawno zmarłego sędziwego mistrza neo-krytycyzmu francuskiego — Renouvier'a. Metafizyka pragmatyzmu wraz z James'em upatruje w jedności dopiero końcowy stan świata, który urzeczywistnić trzeba. Irracyonalizm współczesny przenosi wogóle całe zagadnienie na inną płaszczyznę. Za filozofią i nauką idą dziedziny praktyczniejsze. Ba! nawet socyalizm już się dzisiaj zróżnicował i ze zgoła narodowości nie uznającego staje się istotnie we właściwem znaczeniu międzynarodowym. Przyjście do skutku tak ostentacyjnie zapowiedzianego przez Ostwalda „stulecia monistycznego" napotka

z pewnością niemałe trudności — zwłaszcza też wobec tego „renesansu filozoficznego“, o którym coraz częściej mówi się już dzisiaj nawet u nas, w Polsce.

Ale współczesne życie kulturalne jest bardzo złożone i płynie nie jednem, lecz wielu łożyskami, które prawie nic nieraz o sobie nie wiedzą; głębsze prądy filozoficzne, nie mające za sobą popularnych „schlagwort'ów“ przyjmują się z trudnością wśród szerszych mas (Goethe mówił nawet, że niema wogóle o czem marzyć, aby rozum stał się kiedy popularnym); przyczyny sprzyjające centralistycznym, że się tak wyrazimy, skłonnościom duchowym, trwają i trwać będą, a jak są liczne, silne i poniekąd usprawiedliwione, będziemy jeszcze mieli sposobność sięprzekonać: — zapewne przeto monizm jeszcze niejeden tryumf w przyszłości święcić będzie.

b) Monizm — ale właściwiej będzie rzec: monizmy. Bo pod odpowiednio lub nieodpowiednio używaną nazwą tu występuje wiele systematów, doktryn, kierunków i światopoglądów. W filozofii np. od monizmu Haeckla poprzez monizm Ostwalda, Jodla, Drewsa, Hartmanna do „filozoficznego monizmu“ Riehla i aż do Euckena— droga prowadzi poprzez etapy mało, albo nawet zgoła do siebie niepodobne. Kierunków monistycznych jest wogóle więcej, niż ich wymienił „obrany do formowania Towarzystw w Polsce i reprezentowania polskiego ruchu monistycznego w Związku Międzynarodowym“, p. August Wróblewski, zabierając imieniem „tworzącego się obecnie w Krakowie... Towarzystwa Monistów“ głos w „Krytyce“ dla wyłożenia podstaw najbardziej dziś rozpowszechnionego monizmu przyrodniczego. Pan Wróblewski nie wspomniał np. ani słówkiem o tak ważnym ośrodku ruchu monistycznego, jakim jest grupa Drewsa, reprezentująca więcej idealistyczny monizm Hartmanowski, i o jej stosunku do reszty ruchu — a byłoby to rzeczą wielce zajmującą, bo ta grupa właśnie, mająca o wiele więcej, niż inne, praw do nazwy monizm, łączy resztę t. zw. monistów z filozofią; nie zajął stanowiska wobec bardzo poważnego w filozofii monizmu gnoseologicznego (teoryo-poznawczego) i t. d. Sama nazwa monizm nie mówi dziś nic zgoła: jest tak nadużywaną, że przestała oddawna oznaczać coś więcej ponad najogólniejszą postawę duchową, wyrażającą się w dążeniu do odnajdywania i ustanawiania jedności w wielości.

Stąd też nic dziwnego, że moniści, nawet tylko przyrodniczy — bo tylko o nich, o tej najpopularniejszej z odmian światopoglądu naturalistycznego mamy zamiar mówić — nie posiadają szczęścia

do jakiegoś ściślejszego określenia teoretycznego siebie i swych dążeń. Panuje wśród nich wprawdzie tendencya do jedności i jednolitości, ale o pokrewieństwach, które pomiędzy sobą a innymi kierunkami myśli wynajdują, wiele powiedziećby się dało. Haeckel np. wyprowadza ród swój od Spinozy, jest jednak rzeczą wysoce wątpliwą, czy myśliciela tego naprawdę rozumie; a nieboszczyk Comte, którego wymienia p. Wróblewski, wstydziłby się z pewnością towarzystwa ludzi, którzy nie wyszli jeszcze poza okres metafizyczny. Ale są to rzeczy podrzędne, albowiem — jak zaraz zobaczymy — łączność pomiędzy monistami jest natury nie tyle teoretycznej, pojęciowej, co uczuciowej i praktycznej.

Za czasów Haeckla wprawdzie było to inaczej — monizm Haecklowy miał i ma dotychczas ściśle określoną, że się tak wyrazimy, platformę teoretyczną: mechanistyczne pojmowanie przyrody. Lecz zamaskowany materyalizm ten, nawet z poprawkami panteistycznemi, był na nasze czasy, jako podstawa szerszej działalności, zbyt naiwny i musiał ustąpić miejsca świeższym prądom, jak energetyka Ostwalda i umizgi w stronę pozytywizmu, a ostatnio i etycyzm Jodla. Gdy zaś na dodatek Drews pod nazwą monistów skupiać zaczął ludzi o dążeniach i pojęciach wybitnie metafizycznych a nawet religijnych, gdy ludzie tego typu znaleźli się w Związku (drugi przewodniczący, p. Horneffer!), zapanował chaos, który pragnie wprawdzie rządzić, ustanawiać wartości w świecie ducha i nadawać ton stuleciu[1]), ale nie potrafi ująć pojęciowo nawet samego siebie.

Pan Wróblewski np. — jako że Polska nas tu obchodzi przedewszystkiem — znalazł tylko jednę cechę charakterystyczną, wszystkim monistom wspólną, mianowicie uważanie nauki, sprowadzonej do typu nauk przyrodniczych, ich metod i wyników — za jedyny probierz prawdy i realności. Pisze on dosłownie: „...łącznie, dla wszystkich, uznających ten rodzaj zapatrywania się na świat i mogących pogodzić się z sobą na tem tle ogólnem i iść ręka w rękę — charakterystycznem jest: przyjęcie praw przyrody i całokształtu wiedzy przyrodniczej z jej teoryami i niezbędnemi jej hipotezami, za najpewniejszy dla nas wyraz podstaw bytu i jego przejawów". Brzmi to na pozór dosyć ściśle i określenie, jednakże w gruncie rzeczy równie nic nie mówi, jak definicya Ostwalda, który mniej

---

[1]) Tytuł zmienionego na tygodnik miesięcznego organu monistów niemieckich brzmieć będzie: „Stulecie monistyczne" (Das monistische Jahrhundert).

więcej w tym samym sensie powiedział był na Zjeździe, że monistą jest każdy, kto nie uznaje nic nadprzyrodzonego i wierzy, że wszystko da się wytłómaczyć w sposób naturalny. Podobnie bowiem, jak owo powiedzenie zgoła nie wyjaśnia, dlaczego wierzący w przyrodzony porządek świata ma wierzyć również w jedną i to w dodatku materyalną lub energetyczną podstawę owego porządku, a nie może np. przypuszczać, że wszystko w bycie zachodzi w sposób równie przyrodzony, ale pomiędzy dwiema substancyami, albo w łonie jednej substancyi duchowej, słowem dlaczego monista Ostwaldowy nie ma być dualistą lub spirytualistą, — podobnie określenie p. Wróblewskiego nie mówi nam zupełnie, jak mamy rozumieć owe jednoczące monistów „prawa przyrody" i „całokształt wiedzy przyrodniczej". Na takich, jak powyżej, nawet pluralistycznych, byle przyrodniczych współwyznawców, moniści (p. Wróblewski) zdają się już godzić, — pozostawałaby tu tylko podrzędna kwestya nazwy, — ale oto niewiadomo znowu, co rozumieć pod tą przyrodniczością. Boć np. nie może ulegać wątpliwości, że prace neo-witalistów, jak Driescha lub Bungego, należą bezsprzecznie do „całokształtu wiedzy przyrodniczej", a o „prawach przyrody" Driesch powiedział w swych książkach z pewnością znacznie więcej od przeważnej większości mechanistów razem, tymczasem neowitaliści monistami nie są. Wiedzę przyrodniczą można rozumieć rozmaicie, najoczywiściej przeto określenie powyższe nie wystarcza nawet do zdania sprawy z empirycznego stanu rzeczy, a cóż dopiero mówić o jakiemś ujęciu istoty zjawiska. — Analiza pojęciowa nie może wszak tutaj przed wiedzą przyrodniczą niespodziewanie stanąć, boż skoro się wszystko traktuje naukowo, to należałoby i dla nauki nie robić wyjątku. Zaś gdy się go robi — to zrzec się otwarcie w tym względzie krytycyzmu i istotę nauki oraz jej stosunek do bytu określić dogmatycznie. Powiedzenie np., że prawdy naukowe są najpewniejszym dla nas „wyrazem podstaw bytu i jego przejawów" i tym podobne umizgi w stronę pozytywizmu są tylko oportunistyczną maskaradą; wiadomo bowiem doskonale, że dla Haeckla i tysięcy jego zwolenników — zarówno jak w gruncie rzeczy i dla Ostwalda — prawdy, odkrywane przez nauki przyrodnicze, nie stanowią „wyrazu p r z e j a w ó w bytu", ale sięgają do samej t r e ś c i jego: wszystko według nich j e s t w swej i s t o c i e ruszającymi się atomami lub energią. Ale przy tak dogmatycznem postawieniu sprawy zniknąłby dla wielu światopoglądowy czar nauki, jednoczącej tak różne i często sprzeczne żywioły i zapatrywania moni-

styczne jedynie dlatego, że podzielający zapatrywania te nie chcą i zresztą najczęściej nie potrafią świadomie i do końca myśli swoich myśleć. Albowiem należałoby i do nauki właściwie zastosować punkt widzenia krytyczny, któryby pozwolił określić jej źródła, istotę, wartość i granice. O ścisłości pojęciowej dopiero wtedy mogłaby być mowa — tylko, że monizm przyrodniczy musiałby wówczas zniknąć.

Ale — jak się o tem poniżej jeszcze dokładniej przekonamy — jakiejś jasnej, ścisłej i konsekwentnej myśli od monistów wogóle wymagać niepodobna. Musimy przeto radzić sobie sami i starać się pod takiemi, jak powyższe i tym podobnemi niefortunnemi próbami ich samookreśleń wykryć właściwe sprężyny ich ruchu. Zadanie to zresztą do trudnych nie należy. Moniści już sami dzisiaj powiadają, co i p. Wróblewski w artykule swym podnosi, że „monizm, jako nazwa ruchu społecznego, jest terminem nie tyle filozoficznym, ile właśnie — społecznym“. I tak jest w istocie. — Ale w takim razie — p o p i e r w s z e, monizm przestaje właściwie być jakimś określonym i jednolitym światopoglądem, a staje się ruchem społecznym, jak inne, gdyż byłby to dosyć zabawny światopogląd, którego pojęcie samo stanowiłoby termin społeczny: chrześcianinem np. jest ten, kto wierzy w Boga, Chrystusa i t. d., ale nie ten, kto — i nie dlatego, że — należy do jakiejś organizacyi kościelnej, jakiegoś zrzeszenia, którego cele nieraz zupełnie świeckie, stoją zaledwie w bardzo dalekim związku z najgłębszym duchowym stosunkiem danej jednostki do świata, Boga, bytu: światopoglądy tworzą wprawdzie czasem podstawy ruchów społecznych, ale zjawiskami społecznemi b e z p o ś r e d n i o nie są; a p o d r u g i e — skoro monizm jest terminem społecznym, to źródeł i istoty ruchów i pojęć społecznych szukać należy, jak wiadomo, nie tyle w poszczególnych czyichś określeniach i formułkach w rodzaju „przyrodniczy pogląd na świat“, „nieuznawanie nadprzyrodzoności“ i t. p., bo te z natury rzeczy już tu wystarczyć nie mogą, ile raczej właśnie w dziedzinie społecznej, albo ściślej mówiąc — społecznie-kulturalnej. I tu przeniesiona sprawa wyjaśnia się odrazu.

Współczesny ruch monistyczny w najbardziej rozpowszechnionej swej odmianie monizmu przyrodniczego ma dwa wyraźne źródła: jedno — natury więcej praktycznej i negatywnej — to opozycya przeciwko religiom i kościołom panującym, walka z teizmem wogóle i chrześcijaństwem w szczególności; drugie — natury więcej pozytywnej i z dziedziną teoryi związane — to również społecznie

uwarunkowany, bezkrytyczny i ślepy kult nauki, albo właściwiej nauk przyrodniczych. Obydwa te zjawiska dałyby się połączyć przyczynowo jeszcze dalej z dziedziną życia społecznie-historycznego, ale tego już tutaj poruszać nie będziemy. Pierwsze z nich dla monistów olbrzymie ma znaczenie. Nie ulega np. najmniejszej wątpliwości, że ludzi o tak wysokiej kulturze filozoficznej, jak Drews i inni, łączyć może z monistami tylko ta właśnie walka z kościołem i Chrystusem (Drews jest autorem dwutomowego dzieła p. t. „Christus-Mythe“ à la p. Niemojewski, tylko znawcy mówią, że głębszego). Można rzec nawet, że bez tej strony swej działalności moniści nie zdołaliby osiągnąć żadnego większego powodzenia, gdyż nie wzbudziliby zainteresowania w masach, a wyższym sferom inteligencyi niewiele mają oni do powiedzenia: nie jest to doprawdy wcale tak wielką dziś nowiną, że się atomy ruszają, a człowiek jest blizkim krewnym małpy. — Lecz o tej stronie sprawy, jako więcej praktycznej i dla nas mniej tu ważnej, wypowiemy się później na właściwem miejscu. Natomiast z drugiem źródłem ruchu monistycznego — z tą religią nauki, jak ją reprezentuje np. Miecznikow ze swą wiarą we wszechmoc wiedzy, lub Ostwald, czyniący z nauki wprost Boga— poznać się musimy bliżej od nieco innej strony, niż nam ją moniści ukazują.

B) Źródła kultu nauki i jego znaczenie.

Religia nauki, którą moniści dziś głoszą, nie jest niczem nowem. Stary kult rozumu wieku XVIII w tej nowej swej postaci nie przestał być społecznie i filozoficznie równie, jak był, naiwnym. ale przyznać należy, iż jest on dziś praktycznie o wiele bardziej usprawiedliwiony, mając na swe poparcie cały wiek XIX, a zwłaszcza drugą jego połowę z jej rozkwitem nauk przyrodniczych. W tym rozkwicie leży jego główne źródło, albo, ile że chodzi o rzeczy społeczne — w tej roli, jaką nauki przyrodnicze odegrały, odgrywają i jakiej już odtąd nigdy odgrywać nie przestaną — w rozwoju techniki i zewnętrznej cywilizacyi naszej, jako środek opanowywania przez nas świata zewnętrznego. Wiek XVIII wielbił rozum platonicznie i składał mu hołdy niejako na zadatek — nasi naukowcy ze swą religią wiedzy mają się na co powołać i trudno im się dziwić. Byłoby dziwniejsze, gdyby ich nie było. Jednakże biorąc rzeczy głębiej, sprawa nie jest bynajmniej tak prostą, jak się monistom zdaje.

Jest już dzisiaj rzeczą wysoce wątpliwą, czy to tak donośnie rozbrzmiewające w naszych czasach hasło opanowywania przyrody przez człowieka jest wyrazem procesu, posiadającego same dodatnie strony. Jego konieczności zaprzeczyć niepodobna, ale do zachwytów wyniki jego dają coraz mniej powodów. Staje się dziś rzeczą z dziesięciolecia na dziesięciolecie coraz wyraźniejszą, że w miarę tego, jak uniezależniamy się od opanowywanych przez nas sił przyrody, dostajemy się w moc własnych swych urządzeń społecznych i technicznych, niezbędnych do tego jej opanowywania, popadamy w niewolę społeczną — i to nie tą, od której mógłby i ma nas wyzwolić znany Engelsowy skok z państwa konieczności do państwa swobody.

Zcentralizowanie i zbiurokratyzowanie społeczeństwa, nawet ewentualnie socyalistycznego, nadmierna dyferencyacya i integracya poszczególnych gałęzi pracy i jej zabójcze dla ducha następstwa, przemoc maszyny społecznej nad jednostką i t. d. — oto wyniki coraz wyraźniejsze ustroju współczesnego i przewidywanych jego dalszych ciągów. Ten jeden jedyny zwrotniczy, od którego uwagi, sumienności i akuratności zależy los i życie tysięcy podróżnych, oddanych na łaskę i niełaskę własnych urządzeń przewozowych, jak ongi na łaskę wilków lub pogody, staje się z roku na rok coraz znamienniejszym symbolem życia cywilizacyi naszej i jej swobód, w porównaniu z któremi dziki albo wieśniak jest istotą wprawdzie stokroć zależniejszą, ale i wolniejszą. Coraz większe masy wciągane zostają w ten wir zautomatyzowanego, a gorączkowego i wyczerpującego życia współczesnego i jest rzeczą wątpliwą, czy zracyonalizowanie jego, jeśli wogóle okaże się możliwe tak, jak jest pożądane, na wiele się tu przyda, zwłaszcza z punktu widzenia wymagań jakiejś wyższej kultury duchowej.

Cały rewolucyjny syndykalizm francuski i włoski jest jednem płomiennem ostrzeżeniem przed temi złowrogiemi niebezpieczeństwami kultury współczesnej, a względnie — i może nawet bardziej — przyszłej; ale czy wskazuje równie skuteczne środki zaradcze, jak słuszną jest krytyka jego, trudno dziś rozstrzygać.

Powyższy stan rzeczy widoczny jest jednak bynajmniej nie dla wszystkich, a nawet rzec można, że naogół panuje szczęśliwe przekonanie o niezwykłych zaletach i doskonałości urządzeń nowoczesnych, o chwale i tryumfie dzisiejszej ludzkości. I to zarówno wśród tych, coby chcieli urządzenia współczesne w ich najgłębszych podstawach zachować bez zmiany, jak i tych, którzy pragną wpro-

wadzić do nich poprawkę w postaci zniesienia własności prywatnej na środki produkcyi.

A że powstanie i rozkwit tej najnowszej cywilizacyi naszej są, jak wiadomo, nierozłącznie związane z tak wspaniałym rozwojem nauk przyrodniczych w drugiej połowie ubiegłego wieku, upojenie i zachwyt nad potęgą człowieka współczesnego przenosi się, rzecz prosta, i na te nauki. O stosunku odwrotnym, o zależności nauk od życia społecznego — i to nietylko praktycznej zależności — prawie się nie myśli. Nieomal wszechwładnie panuje mniej więcej takie przekonanie o związku tych zjawisk: Istnieje statyczna, wieczna, niezmienna Prawda, zwana zwykle Przyrodą (skłonniejsi do uniesień dodają: lub Bogiem!); nauki doświadczalne prawdę tę po kawałku odkrywają; technika stosuje wyniki ich odkryć; stąd, jako rezultat ostateczny, powstaje rozkwit cywilizacyi, albo jak zazwyczaj mówią naukowcy, kultury. Hierarchia jest wyraźna: Bóg = Prawda = Przyroda — nauka i uczeni — wynalazki i przemysł — w dole szczęśliwa ludzkość. Tak szczęśliwa, że W. Ostwald jest przekonany, iż dzisiaj już nawet „niepozorny robotnik" ma czas się oświecać, czytywać energetykę, przejmować się jej duchem i stawać świadomym członkiem ludzkością zwanej kooperatywy do nieograniczonego zwiększania „koeficyentu ekonomicznego [1]). Że ten robotnik i ludzkość wogóle mogą posiadać jeszcze i inne potrzeby, i to o wiele głębsze, o wiele ważniejsze — nawet pod względem praktycznym — od zwiększania zasobu wiadomości naszych o świecie zewnętrznym i troski o „koeficyent ekonomiczny", wielki chemik zdaje się, że dopiero zaczyna to dzisiaj powoli spostrzegać, gdy z laboratoryum niezwykle szczęśliwego w życiu uczonego wszedł i zetknął się z morzem rzeczywistości ludzkiej — no i z opozycyą. Lecz że związek pomiędzy nauką i życiem społeczeństwa, kulturą i cywilizacyą nie jest wcale tak prosty ani racyonalny, jak się to powierzchownym (albowiem są i inni) przyrodnikom zdaje; że pogląd powyżej skreślony jest najnaiwniejszą z odmian racyonalizmu; że w pomienionym zespole nauki i życia nauka jest nietylko przyczyną, ale i wynikiem [2]); że życie społeczne stanowi rzeczywistość od nauki wcześniejszą; że prawda nie jest pojęciem statycznem,

---

[1]) Tak nazywa Ostwald tę część energii, którą udaje się przy pracy przetworzyć celowo z jednego rodzaju w drugi, pożądany — i w której zwiększaniu upatruje on jedno z głównych zagadnień i zadań kultury.

[2]) Już Marks zwracał uwagę, że ludzkość zbiorowo nigdy nie stawia sobie zadań, do których rozwiązania nie dorasta.

a byt nie posiada — iż się tak obrazowo dla krótkości wyrażę — płotu z praw przyrody; słowem, że podobnie, jak praktycznie ze względu na ilość szczęścia w świecie i urzeczywistnionych przez nas ideałów nie mamy bynajmniej tak wielu znów powodów do tryumfowania z ustroju obecnego, kryjącego w sobie tyle nędzy, cierpień, zboczeń i niebezpieczeństw, zupełnie tak samo i teoretycznie napotykamy i tu, jak i wszędzie, raczej dopiero zagadnienia, niźli rozwiązania i łatwe szematy: nad tem wszystkiem, mówimy, zastanawia się dzisiaj ledwie znikoma mniejszość. Większość, jak wiadomo, o rzeczach teoryi nie rozmyśla wcale; zaś ton nadający życiu duchowemu ogół inteligencyi klas posiadających — a i oficyalnie proletaryackiej również — żyje dotychczas w błogiem upojeniu potęgą nauki i w zachwycie nad naukowością swego poglądu na świat.

Zagadnienie stosunku do świata zewnętrznego, czyli zagadnienie wyłącznie przyrodnicze — a potrafiono uczynić zewnętrznemi i przyrodniczemi przez „odpowiednią“ metodę traktowania nawet najgłębsze dziedziny uczucia, woli i wartości — jest zagadnieniem dominującem w świadomości ogółu współczesnego.

Przyczyniły się do tego i — jako że w zespole społeczno-duchowym wszystko jedno drugie wzajem warunkuje — ze swej strony znalazły w tem dla się zarazem najdoskonalszy wyraz trzy powszechnie znane zjawiska współczesne, jednako świadczące o zaniku głębszego życia duchowego: po-pierwsze, upadek istotnej, nieformalnej i niezewnętrznej, szczerej religijności nawet wśród warstw oficyalnie dotychczas wierzących; po-drugie, upadek wszelkiej głębszej myśli filozoficznej w epoce po-Heglowej; po-trzecie, upadek poezyi w większym stylu, opanowanej, jak i wszystko inne, przez prąd naturalizmu. Powrotna fala uczuć i myśli religijnych daje się wprawdzie dzisiaj w Europie zauważyć, lecz przyszłość jej jest jeszcze wielce problematyczna[1]). Odrodzenie filozofii przyszło wprawdzie już dość dawno (w Polsce się właśnie dzisiaj na dobre rozpoczyna), ale filozofia, wyparłszy się wszelkich dociekań metafizycznych, jako wrzekomo bezpłodnych, ile

---

[1]) Dalekie jej echo dobiega i do nas (Stanisław Brzozowski!), ale naogół inteligencya nasza jest albo zbyt prawowiernie katolicka, lub zbyt mądra; prawowierni mają religijność przeważnie formalną, zewnętrzną, której na seryo brać nie sposób, a mądrzy — teologię monizmu, naukowość, lub co najwyżej pozytywizm. I ci i tamci stoją właściwie poza obrębem żywych i płodnych prądów, wytwarzających według wszelkiego prawdopodobieństwa przyszłą świado-

że nie dają wyników matematycznych, odtrąciwszy z pogardą wszelką t. zw. filozofię popularną (która mimo to żyje i w pismach Tołstoja, Ruskina, Maeterlincka i innych — w Polsce Brzozowskiego — olbrzymi wpływ wywiera) i ugrząźłszy sama również w „naukowości“ krytycyzmu i pozytywizmu, zrzekła się dobrowolnie wpływu na szerszy ogół, porzucony przez nią na pastwę teologii materyalistycznej, lub ortodoksalnej, zaś zwrot lat ostatnich jest jeszcze zbyt młody i przyszłość jego również niepewnie się przedstawia wobec niebezpieczeństw, jakie irracyonalizm współczesny w sobie kryje; filozofia zresztą jest dziś tak zawiłym chaosem kierunków najróżnorodniejszych, że upłynie zapewne dłuższy przeciąg czasu, zanim zdoła ona stać się znowu podstawą jakiegoś głębszego i szerszego prądu społecznie kulturalnego, jak w swoim czasie kantyzm albo heglizm. Wreszcie, co się tyczy sztuki, to kierunki neoromantyzmu, symbolizmu i t. d., będące reakcyą i protestem przeciw naturalizmowi, albo z najrozmaitszych przyczyn, w które wchodzić tu nie możemy, nie zdołały się przedostać głębiej, albo — co ważniejsza — tam nawet, gdzie się przedostały, godzą się w duszach współczesnych w jakiś zgoła niepojęty sposób z najpłytszemi przekonaniami w sferze umysłowej, jakgdyby sztuka nie miała w tych duszach żadnych, ale to dosłownie żadnych dalszych ciągów, żadnych poważnych następstw, jakgdyby była jakąś zamierającą zwolna pozostałością przeminionych epok. Nauki przyrodnicze i wyłącznie na nich zbudowany najpłytszy pod słońcem światopogląd przeważają też dotąd w świadomości szerszych warstw inteligencyi — i to, jak zaraz zobaczymy, na wiarę, zupełnie na wiarę, bez najmniejszego związku z istotnie ścisłą myślą, ba! nawet wbrew niej — ot tak, jak prądy podobne zazwyczaj pośród krótkowzrocznych i bezkrytycznych, jakiemś jednem zjawiskiem olśnionych mas powstają.

Tak więc wznawiany dzisiaj przez monistów kult nauki, zwany też czasem scientyzmem, jest dzieckiem społecznie uwarunkowanego i prądy społeczno-kulturalne wzajem warunkującego jednostronnego uwielbienia dla nauk przyrodniczych, jako narzędzia walki ze światem zewnętrznym, jest owocem tego właśnie skierowania całej uwagi na zewnątrz, a zaniku głębszego życia wewnętrznego, pod

---

mość kulturalną, i ogłaszają czasem prace filozoficzne. do których odnośne prądy myśl swą nawiązują, za „najpustsze“ albo „grafomańskie“, jeszcze zanim nawet całokształt myśli autorów ich poznali. Przypomina to mimowoli powiedzenie Dostojewskiego: dajcie uczniakowi rosyjskiemu mapę nieba, a zwróci ją wam nazajutrz — z poprawkami.

względem którego, jeśli nie brać w rachubę obojętnej tutaj sumy wiadomości o świecie, przeciętnie oświecony inteligent współczesny stoi o wiele niżej, niż pierwszy lepszy ciemny sekciarz, czytacz biblii. Hegel rzekłby zapewne, że zwróciwszy się całkiem ku rzeczom naturalnym, świadomość współczesna stała się, jak natura — duchem w stanie swego poza-sobą-bycia.

b) Rzecz prosta, że społecznych przyczyn zjawiska tego dowolnie i od ręki usunąć niepodobna: życie wielkich, z dnia na dzień rosnących mas współczesnych wymaga ciągłego rozwoju techniki, a więc i uwagi w tę stronę skierowanej. Ale w zasadzie nie zmienia to postaci rzeczy i nie czyni zjawiska powyższego ani trochę słuszniejszem i ani trochę mniej szkodliwem nawet z punktu widzenia tego właśnie życia społecznego, o które tu chodzi, i nawet dla niego, dla świata pracy i jej przyszłych urządzeń społecznych przedewszystkiem. Toż nie czemu innemu, jeno temu właśnie przesadzonemu kultowi nauki i naukowości, ideologia klasy pracującej zawdzięcza tyle śmiesznych i szkodliwych doktryn, tyle chorób dziecięcych, z których dopiero dzisiaj wyrastać zaczyna.

Że stan ten nie jest wiecznym, że odrodzenie i pogłębienie życia duchowego przyjdzie, wolno się spodziewać. Jeden z najgłębszych umysłów i duchów współczesnych, Jerzy Sorel, zda się być nawet o tem najmocniej przekonany, gdy pisze w ostatnim, do drugiego wydania „Refléxions sur la violence“ dodanym rozdziale p. t. „Grandeur et décadence“ te znamienne słowa: „Chwila obecna nie sprzyja idei wielkości, lecz przyjdą inne czasy. Historya nas uczy, że wielkość nie może zaginąć na stałe w tej części ludzkości, która posiada niezrównane skarby kultury klasycznej i tradycyi chrześcijańskiej“. Czy i o ile przekonanie to jest usprawiedliwione i jakie są możliwości, przed któremi stoi kultura współczesna, poniżej zobaczymy. Jedna rzecz wszelako nie ulega dziś już najmniejszej wątpliwości: że pierwszym warunkiem przezwyciężenia tak płytkiego kultu nauk przyrodniczych i sprowadzenia ich do odpowiedniej dla ich roli jest zwrot ku filozofii i jej tradycyom w wielkim stylu.

Ale oto tutaj spotykamy w świadomości wykształconego inteligenta współczesnego pewne wprost zabawne nieporozumienie, które bliżej rozpatrzyć musimy, gdyż pozwoli nam to zarazem zaglądnąć do najgłębszych zakątków myśli monistycznej.

(Dok. nast.). *Kazimierz Błeszyński.*



JUTRO.

Duch krzesze dzieło czarnej nienawiści,
Duch umęczony zabijać ma prawo,
Co dziś szaleństwem, jutro będzie sławą,
Jutrzejsze słońce sen tej nocy ziści.

My — noc narodu — rewolucyoniści —
My twoi wierni synowie, Warszawo —
Przechodzim dzisiaj przed tobą kurzawą,
Jutro wstaniemy promienni i czyści.

Duch krzesze dzieło ciosami błyskawic,
Duch idzie groźną piorunową nocą —
Lecz patrz — tam świta nowy szereg mgławic —

Patrz — drgnęły mury i wierzeje ciemnic —
Słuchaj, jak burze nad tobą łomocą:
Brzemienne jutrem słonecznych tajemnic.

Eugeniusz Zahorski.

PANICZE.

Rozwidnił się, rozświetlił strop zachodzący, jasną tęczą chwalebny i pochwalony, wyrżnięty chyba z perłowej macicy i koralu, wysłany jeszcze piękniej niż opalem, wykuty chyba z jakiegoś cudu miłości.

Rycerz, co harmonie te przebudził i ziemi podarował, właśnie odchodzi precz, obsłużyć radością drugą półkulę świata. Twarzy jego nad granatową kryzą lasów nie ujrzeć, albowiem nie poziera chełpliwie na dokonany zaszczyt. Jeno widnieje hełmu płonącego mosiądz, kita piór, lśnień, strzał promienistych, co mu — gdy oto tak zstępuje w dalekie straszliwe niepoznaki — na hełmie drżą, cudną rozwartość światów ostatni raz poczesując.

Jeszcze nie wkrzesła noc. Jeszcze czarną nagonkę cienie nie tropią i blasków uradowanych nie trapią.

Światło ustraja pospólstwa drzew, a między czarne ich konary wścibia złote kawały nieba gromnicznym blaskiem tchnące.

Światło się ciska między chałupy, rumiankiem wonności zlewa ich uniżone ściany, serdecznie iska zlepioną chyrę strzech, ciapami złota ciepłego wyleguje się w gnojówkach. Czerwonym miodem łuny napoi zsiniały od orki pług, co się nad rowem zmiłowania czekający zastanowił. Wyłoni z drzewek, z warzywa ubogiego, z kwiatków głodnych, choć wedle wszystkiej możności protekcyą nawozu syconych wszelki zapach i wonność zaskarbioną przez cały dzień. Strawi oną woń, i niewiadomo, czy bardziej wonne, czy bardziej świetliste leci dalej.

Leci, dzieciom na drodze przyświeca, w przełaz się im uwija pod samo niebo wysoki, a przez najmniejszego zawsze łacno okraczony. Leci, babom przy stawie na desce pralnej położy się, a ty babo zawzięta, choć z całych sił pierz i łup — nie zgonisz go. Leci, chłopu wracającemu kosę zorzą umai, bydłu zgonionemu zagapione ślepie ucałuje.

Wynudziło się w rowach wilgotnych, wśród pokrzywy i chwastu, przed sierpem głodnej łapczywości chłopskiej zazdrośnie pilnowanego. Żelaznemi włóczniami pańskiego parkanu zranione—hycło w park. I tu skończyła się samowola.

Szły ścieżki uczesane, zgrabione (na plewie ich niejedne się ręce zdarły), pudrowane grzeczną, równiutką kaszką żwiru. Zmordowany żywopłot jałowym ciemnym wyłogiem zieleni chronił je, strzegł i zabezpieczał. W głębi, z trawników, bieliły się wyniosłe kopce kwiecia w elipsę strzyżonego. Jak w szpinak wetknięte jaja białe na twardo. Sztywny, zapięty na krępe guzy kamiennych słupków, twardy kołnierz żywopłotu, wygiąwszy się, bramował wielkie kosmate wypukłości kwietnego ronda, przerżniętego w połowie spieczonym rowkiem owiędłych wrzosów. Dalej za klombem; przez płyty kamienne cedził się posłuszny, zabiegiem ogrodników dobrze wychowany, strumyk. Od brzegu do brzegu nad batystową falbaną strumyka wyciągał swe kształty, pełne zgibów i ukłonów, drewniany most, podobny do foremnego pudełka od cygar.

I znów rozwijały się po bokach alei gładko ulizane pośladki klombów. Tu i tam smęciły się chude postacie chochołów. Tu i tam, na kij wsadzone, niby z orbit wydarte, szalonym podziwem nabrzmiałe gały oczne — świeciły wielkie szklane banie. Krwawe blaski latały w nich dookoła, dookółka, żglistym kręćkiem, wydłużając pionowo poziome łachy trawników, kręcąc zawrotnie prosty bieg ścieżek i strzelisty rost drzew.

Żywopłot urwał się. Zamieniły go wysokie drzewa, poprzez

usty złotogłów zwiądu, tężące ku niebu czarne strudzone ramiona. Na ziemi usłanej liśćmi, co jak znaki zwątpienia odrywają się z góry i lecą w dół zwątpieniem przekwitu ziemię ścieląc, w żywej trumnie ziemi i drzew, zrośniętych szczytami, leżała głucha cisza. Kołysały ją zagubionych wczasów oddechy. Za wezgłowie miała kamienną stopę pałacu, płaską posadą w głowach trumny stojącą. Od stopy bliższej do dalszej, skroń pagórka okraczającej, szły wzdłuż odnogi pięter, nito uda kamienne, płasko na ziemi rozpostarte. W ich kroku, w zbiegu pachwin, posadzone było cudne, rozległe okno, w półkole szklanego wachlarza rozwinięte — oko tęczy, pożogą czaru z miejsca wykwitłe. Blask z niego leciał mocny, skośny i gorący poprzez kamienną werandę i zmarszczki schodów na czerwony klomb, co, niby krwawa jarmułka kardynalska, wyokrąglał się pod zajazdem.

Wtem pękła jasna tkanka szyb, małe skrzydła rozwarłszy się poleciały na boki, a u podstawy wachlarza wynikł czarny prostokąt, w pokojów głąb wiodący. Otwarto drzwi.

Z wnętrza wysypał się, wyperlił, wylśnił zgiełk rozmowy, pomieszany durzącą wonią cygar i dźwięcznym szczebiotem cienkiego kryształu. Hałas dostatku dmuchnął przez meble wiedeńskie na terrasie. Długie piszczele bambusowych krzesełek, związane obrzękłemi kolankami sęków, niby pstrokate wątłe pająki, zatrzęsły się w przeciągu. Dyskretna wrzawa, ominąwszy poczwarną gromadę laskonogich mebli, rozpękła w grząskim wieczorze wilgną okiścią echa i zgasła daleko na fryzowanych koafiurach ogrodu.

Wybiegli trzej panicze i stanąwszy u skraju werandy, zachwycali się widokiem. Ziemia opadała stopniami ku samej granicy parku. Stąd rwały skołtunione nieużytki aż do parowu, który, jak świeżo rozerwana rana, dymił obficie. Tam właśnie leżała głęboko wciśnięta wieś. Wciśnięta, ściśnięta, zwinięta w kłębek, z oddali podobna do szarej ogromnej wyżlicy, półwzniesionej, pół-płaszczącej się przed spodziewanem uderzeniem.

— Dobrze jest wszędzie, ale najlepiej w domu — westchnął panicz blondyn, pieszcząc swe herbowe płuca błękitnym wdechem wonnego cygara.

— W domu — podchwycił panicz szatyn i wyrzuciwszy monokl w górę, złapał go w swe złote zęby. — W domu, a przecie ciągle się jest we fraku!

— Do obiadu, i przeciw temu się nie buntujcie — wypłynął

perfumowany głos kobiecy z głębi pokoju — chcę was mieć, moi panowie, zawsze we frakach.

Machinalnie wszyscy trzej obrócili się tyłem do otwartych drzwi. Stali, kołysząc się na czarnych, sprężnych pochwach, wylakierowanych tak gładko, że w błyszczącej skórze można się było przeglądać, jak w lustrze. Dalej do góry biegły dwie wąskie trzciny, schowane w czarnych, powiewnych nogawkach. Na takiej podstawie dłużyły się spłaszczone walce tułowiów. Ozdoba walców białe podobieństwo krowiego sera — gors koszuli — puszył się bezczelnie, zrodzony szczęśliwie w gościnnym trójkącie kamizelki. Pod szyją, w gardło wpięty, drżał jedwabny motyl krawatki. Szyje mieli białe kołnierzykowe, starannie wyprasowane. Na nich to właśnie dojrzewała niewielka szypułka głowy, z trudnością wszystkie przybory twarzy, jak oczy, nos, uszy, lub czoło pomieścić mogąca. Za twarzą z tyłu ciągnęła się pusta przestrzeń ściśle sklepiona. Sklepienie nakryte było dwoma wonnymi plastrami złepionych włosów. Dzielił je na pół równy szpagat szarego rozdziału. Szpagat wyrywał się z czoła, dobiegał wierzchu szypułek, stamtąd toczył się w dół ku białym, wyprasowanym szyjom, związując tym sposobem mocno i pewniej, niż głowy cukru, obie półkule włosistych szyszek.

Gdy po białych, szerokich schodach schodzili w dół, niecąc wiotkimi lakierami seplenienie żwiru — z poza przepaści horyzontu wyrastał już żałobny marsz czarnych chmur nocy.

Szli wolno między tresowanym ogrodem, aż przyjęła ich stara, zapomniana toń ciemno-zielonej drogi modrzewiowej. Tu, w głębi usiadłszy na kamiennej ławie, owitej bluszczem, w sąsiedztwie starej urny, rozwiedli szeroko wstęgę dymu i rozmowę.

Ze smakiem, z pożądliwą suchością oczu, z pomlaskiem nerwowo skubanych powiek, z apetytem cieniutkich słabych palców. O odsadzie szyi, o zadach końskich i niewieścich, o chrapach i nozdrzach, o ogonie rysaka, plecionego staranniej, niż warkocz dziewczyny. O siodłach, spódnicach, sztylpach, uzdach, ostrogach i najnowszych gumowych prezerwatywach. Wytargał się z niemrawych ust cierpki chrzęst i gnuśny chrobot kieszonkowych brudów, wzorowej stajni i buduarowego smrodu, oblanego gryzącą wonią „dżokiej klubu“.

Dzika perfuma, koński pot, zniewieściałych porywów żądza wszeteczna...

Wymienili między sobą znak, myśli, hasło, potocznej uciechy szyld — w staropańskiej orgii, purpurowej, bułany zad półkonia,

pół-kobiety... Obmieniwszy się tak sportowym herbem klasy, przeszli dalej.

Rozmowa zstępowała w dół, ku tajniejszym apetytom, ku zakusom ponęty przekornej, pielęgnowane piersi, robaczywe serca smarą piołunu zalewającej.

Poszła ściśnięta, siekana śmiechem rzecz o rozkoszy miejskiej a najtańszej, o brudzie sprzedażnym, kupnym za grosz.

Bawił paniczów prostoduszny niedostatek tej rozwiązłości, bawiła taniość rozpaczliwa i to, że oni tacy czyści, tak wymyci, tak na każde zachcenie wonni, jedwabiem gaci szeleszczący — mogą ująć, w ręce wmieścić, zawrzeć i mieć potworne kukły. Mogą swe wątłe, anemiczne usta miażdżyć na twardych, skopanych jabłkach ulicznego zapotrzebowania.

Wystąpiła w całej krasie wiedza międzynarodowa i patryotyzm francuski.

Polecieli daleko, swiądem łakomej pamięci odnowili wspomnienia podróży. O tem, jak jest w Paryżu, a jak w Bukareszcie, jak po berlińsku, a jak po wiedeńsku.

Długo oglądali różnice ludów rozmaitych, porównując maść ciał, zapach lub fetor, prężność kształtów, ogień ataku, spryt wyzysku, porównując dokładnie ceny, nadwyżki, płace i napiwki.

Długo i smakowicie oglądali różnice ludów, węsząc z entuzyazmem ludów sromotę i srom rozdrapany, rozbity, w torturach posiadacza zwyrodniały.

Dowcip cuchnący, rozkraczony, przeplatał coraz męszoną sprawę, wyciągając z niej długie, cuchnące węże cichych chichotów.

Palce białe, żywo gestykulujące i wilgotne, skrobiąc, migdałowymi paznokciami krusząc coś w powietrzu, zdawały się gdzieś wpychać głęboko, rozrywać, coś drzeć i pruć.

Występne porozumienie otwierało świadomości, pełne straszliwych, skwapliwie tuczonych gnid.

Nie sztuka zorać ciało pługiem twardych wymogów, nie sztuka broną gwoździstych pocałunków pokruszyć, nie sztuka grabiami dreszczów rozgrabić na niem szeroko krupę gęsiej skóry. To wszystko to jeszcze powściągliwość jest i klasztor cnót. Ale sztuka — ducha upokorzyć, duchowi człowieka w beznadziejne oczy plunąć. Sztuka — nieszczęście wydziedziczonych, jak miękki piernat pod siebie podścielić, z rozpaczy cudzej poduszkę, jasiek uczynić. Poduszeczce, która pierze oskubanej nadziei wypycha, rogów przycierać. Ludzkim

buntem, rokoszem smaganego serca podnóżek usłać — to jest sztuka. To jest rzadkie i drogie ptasie mleko niebywałe.

Dla zabawy mieć, do nogi uwiązanego. W udo rękawiczką trzepnąć, by na czworakach duch człowieczy przypełzł i jęzor błagalnej skargi wywalił. Ten jęzor w ręce białe chwycić, dla pośmiechu, niby na rzemieniu brzytwą na nim poigrać, w żartach kształtną łydusię, strachem podkoszoną, ogolić...

Więc się zwierzali z klejnotów okrutnego szlachectwa, rzadkich, kosztownych, najkosztowniejszych, więc te liczyli, za ile komu udało się cudzą żałobę sponiewierać, zaufanie oddanej kopnąć, wiarę zdobytą obrzygać.

W mroku rzewnym, pod starą urną, na ławce falami zielonego bluszczu płaczącej, skuleni chichotliwie, pili, czego pono ludziom nie dostaje — pili drogie, rzadkie, niebywałe ptasie mleko.

Noc już szła. Pałac rozejrzał się blaskiem tylko co oświetlonych pokoi. Bazyliszkowem wejrzeniem szyb bryznął obficie w mrok zachodu. Z okien wysnuły się ciężkie, tkane poświatą nieba, złote promienie, jak bogate, sute pasy słuckie.

Na deseniu szlacheckiego pasa, co wysłał słodkiem migotaniem wonną nawę modrzewiowej alei, dostrzegli panicze nagle wiejską dziewczynę.

Szła wolno, rozkołysana w biodrach, biodrami zwiewny kielich spódnicy kołysząca — żywy dzwonek polny z łąki do parku przybyły.

Zmówili się, naradzili.

Widać ją było dokładnie. Głowa otoczona powrósłem złotych włosów w wieniec aureolny. Twarz prosta, twarda, posłowna, kłopotem roli, wychowana. Do rąk — mocnych więźb trudu wszelkiego — uczepione konewki. Czarną stopą, rozczapierzając zgięte palce nóg, szła żywo niby właśnie tymi palcami drogą umniejszająca.

Z otwartego okna pałacu wyfrunęło coś nagle nieobjęte, bezsłowne. Ptak — nie ptak, czy sama tęcza piór — samograjów. Struny — nie struny, czy serce żywe kroplami bolesnej krwi w przetak strun płaczące.

Umrze czy wskrześnie? Zatraci się, czy zakwitnie? Drogo tańcząca, mazurska dolo wyboista, mazurek tobą pędzi, u zawartej bramy kołacze, lute wrzeciądze targa. Mazurek strasznej klątwy maczugę z komory wziął!

Zaduma ciężka, porwaną siermięgą niedoli nad grobem nędzy

zwisła. Przez tę siermięgę wzorzy się chłopski pas, cudami łez przemienionych nabijany. Zaś w łzach nadzieja, w nadziei taniec.

Pytania duszne niesie, skargi kradzionych skib miecie, strasznego śmiechu sierp w zębach trzyma.

Taniec nad grobem nędznym, po niwach szlacheckich chłopski pląs — mazurek strasznej klątwy maczugę z komory wziął.

Fortepian — Szopena gra.

Podkowy hartu bezbrzeżnego skrzeszą taneczne skry, te się dwoją, troją, zapalne mnożą się. Słodkie mateczki wielkiego ognia rozbiegły się, na kanwie strun piszą znak tego, co zbyć się ma. A przecie załamało się, jakowąś zdradą zachłysnęło, nie zbyło się, nie, nie — niemrawstwem czyimś zduszone.

Mazurek dolą wyboistą pędzi, u zawartej bramy kołacze, blaski krzyżów mogilnych z serca mu tchną. Runęła muzyka z nieba potęgi na gnój rozpaczy.

Z za węgła rytmów przysadzistych szczerzy się podarta głodem twarz, ziemie wydarte węsząca.

Tupie mazurek w bezdomny los.

Amarantowa krew świta na białych, chłopskich świtkach i krwawe podania pisze, czerwonym krasnorostem po nurtach płynie, w doły śmierci ojczystej przyklękiem oberków zapada, póki nie stanie. Stanie mazurek na rozgwiezdnym zakrętasie dróg, pytajnikiem tonu ostatniego odpowiedź hardo wyzywający.

Podczas tej srogiej muzyki, gdy już byli wzięli dziewczynę w maszczone pieszczotą obroty, karesy, uszczypnięć cierpkie frykasy, łasującemi rękami po ciele, plądrujący, gdy ona w targu wydziwiań broniła się zachętliwie kuksami, curaniem się, czy półobrotem pleców — powzięli jeszcze coś nowego.

Podniósłszy dziewczynę z ławy, ręce związawszy, wypsnęli z pod niej szary łach spódniczyny, zarzucili na głowę, a na głowie w worek związali. By szła, jak poszedł w świat ich kraj z rękoma skrępowanemi, z głową i z sercem w worku niewoli, na pośmiewisko — ze sromotą.

Jeszcze raz spłonęła krzykiem kryształowo głośna pierś fortepianu. Jeszcze raz prawdomowne tony poderwały krwawą kartę chłopskiej doli, ciskając źrący żar na gnój rozpaczy.

Nim oszołomiona dziewczyna drgnąć zdążyła, odskoczywszy, jeszcze raz w mroku rzewnym, pod starą urną, na ławce falami zielonego bluszczu płaczącej, ujrzeli nogi stulone w kształt zbielałego ze wstydu serca...

Pobiegli przed się ku schodom, które jak cichy, kuty, nieludzki śmiech, spływały kamienną białą kaskadą z pałacu w dół, na rozranioną pierś ziemi. *Jul. Kaden.*



Bogusław Butrymowicz.

CZARNE MOTYLE...

„a kiedy w moich gorączkowych snach światy kurzawą się pokryły, pryskających jak szkło tanie ścian, wyłoniły się nagle w przerażonej duszy mojej olbrzymie, czarne motyle"...
Caillac „Sąd ostateczny".

Popod błękitu olbrzymiem szkłem
goreje słońcem polana:
zryta promieni złocistym kłem —
jedna, ociekła krwią rana.
Z traw — pył, a drzew szkielety
zgarbiły starcze grzbiety —
nad niemi, w złotobrunatnym pyle,
czarne latają motyle...

Od rozpalonych błękitu szyb
płomieni leje się strumień —
Cisza... li z drzew się dziwny skrzyp
wydziera, jakby się sumień
milion tu ludzkich zeszło,
co w dobę patrząc przeszłą
jęczą. Nad niemi we krwi i pyle
latają czarne motyle...

Powietrze — węgiel... Potworny blask,
jak morze jaskrów się mieni —
zawarczał zdala głuchy wrzask:
gromada szalonych cieni,
skądś od nadbrzeżnych widm
pędzi, jak tabun widm —
za chwilę tu, już tam za chwilę —
olbrzymie czarne motyle...

Pożar i pustka... jakby się glob
rozpękał, łupał w kawały,
jakby weń gromów tryskał snop
i ścięgna ziemi się rwały
i szła od pustych nieb
śmierć w ogniu w głuchy step —
koło niej w złoto brunatnym pyle
olbrzymie, czarne motyle...

Olbrzymie skrzydła chwieją się w takt
jak śmigi sieką powietrze — —
O serce! Życia tragiczny akt
komedya śmierci w proch zetrze.
Pośród Golgoty pól
jak błazen pląsa Ból
pod rękę z śmiercią; za nimi w tyle
Bez jutra czarne motyle...

SAMOTNOŚĆ.

(Według Johna Keats'a).

O, samotności ma, która odpycha
ciżbę miast, ulic cieśń i zgiełk posępny,
na szczyt, ku skale mnie wiedź niedostępnej,
co jak natury warta sterczy cicha!

Tu łęg nad zdrojem kwietny się uśmiecha, —
zda się, chwycisz go w dłonie; Tu głęboki
szum gajów słychać i gemz lotne kroki,
płoszące pszczoły od kwiatów kielicha.

Lecz choć to czar jest li z tobą zapłonąć
światłem piękności, — ach! większą rozkoszą
jest duszom bliźnim wzajemnie utonąć

w sobie. Duch ducha, kiedy wita bratem
i razem ku swym wyżom się unoszą: —
ludzkiego szczęścia najczystszym jest kwiatem...

GORĄCZKA.

Gorączka... Czaszka jak dach cały z blachy,
pod którym gorą ognia wielkie stosy —
szum i trzask głuchy i syk... dziwne głosy!
Czyżby się świata już waliły gmachy?

... Zębami kłapie tu ktoś... Jakieś strachy
pełzną... Precz!.. Ręce się topią we włosy,
ciągną gdzieś, wloką przez ogród bez rosy
pod rozpalone, ołowiane dachy...

Na progu jakiś człowiek szary... Nie! — to tylko
cień, może upiór? strzyga, co wypadła
z grobu, za wstrętna i ziemskiej skorupie...

Nagły ból, jakby długą, cienką szpilką
ktoś przekłuł serce... Patrzę do zwierciadła
i widzę, przebóg! — twarz i oczy trupie...

SEN ŻYCIA.

Ekstazy chwile
prześnione dawno, a gdyby obrazy
stare, na wspomnień jawiące się pyle —
chwile ekstazy
wonne, upojne, jak trucizn nargile,
obłędem krwawe dusz gojące skazy —

Fantomy szału,
wytryskujące jak światła załomy
z wnętrza czarnego Tęsknoty kryształu —
szału fantomy,
karmię przesytu rzucające ciału,
a dusz głodowi garść płonącej słomy...



WIT STWOSZ [1]).

Podziw Thorwaldsena dla ołtarza maryackiego, urok, jaki dzieła Stwosza wywierały na Matejkę, mnożące się studya historyków sztuki Stwoszowi poświęcone, świadczą, że sztuka jego wyrasta nietylko ponad poziom współczesnej sobie produkcyi cechowej, ale ma zalety artystyczne, nie przemijające z czasem i zmianą smaku. Bije z niej szczere i głębokie umiłowanie życia, zdecydowane zbliżanie się do natury, choć często jeszcze na pół świadome celów i środków. Stanowi ona jeden z bardzo wybitnych objawów odbywającej się w całej kulturze reakcyi przeciw ideologii średniowiecznej, biorącej rozbrat z doczesnością, w sztuce zaznaczającej się zwrotem ku rzeczywistości, zerwaniem z manierą XIV w.

Rodzajowość i portret święcą tryumf w miejsce konwencyonalnych kompozycyi i schematycznych, ogólnikowych typów. Tematy religijne, ciągle jeszcze główną stanowiące treść sztuki, przedstawiane bywają na obraz i podobieństwo codziennego życia. Realizm panuje wszechwładnie, a jakkolwiek redukuje się, a często się zatraca monumentalność rzeźby, zyskuje prawda życiowa. Zasadniczy to zwrot w plastyce drugiej zwłaszcza połowy XV wieku po tej i tamtej stronie Alp, tylko że we Włoszech styczność z antykiem łagodzi skrajności realizmu, dochodzącego na północy łatwo do przesady i maniery.

---

[1]) Wit Stwosz urodził się, według pamiętników Neudörfera, w r. 1438. W Krakowie żeni się z Polką Barbarą. Tu rodzi mu się w latach 1462—4 syn Stanisław, obejmujący z czasem warsztat ojcowski. Roku 1474 oddaje go ojciec w naukę do krakowskiego złotnika Wojtka. W latach 1486—9 przebywa Stwosz sam w Norymberdze, poczem wraca do Krakowa. W roku 1496 przenosi się z całą rodziną — z wyjątkiem syna Stanisława — do Norymbergii, gdzie przyjmuje obywatelstwo i umiera w późnej starości w r. 1533. W Norymberdze spadają na Stwosza nieszczęścia. Przyprawiony podstępnie o znaczną kwotę pieniędzy a nie mając dowodu winy swych oszustów, z których jeden zdołał się wczas ulotnić, Stwosz w niepohamowanej mściwości podrabia dokument i wytacza im proces. Fałszerstwo się wydało i sąd skazał Stwosza na wypalenie oczu. Barbarzyński ten wyrok złagodzono jednak i napiętnowano Stwosza publicznie, rozpalonem żelazem na obu licach w r. 1503. W trzy lata później toczy Stwosz długo trwający spór z radą norymberską o cały szereg spraw, czując się pokrzywdzonym. — Daty z życia Stwosza w Krakowie, dalej list niemiecki pisany przez Stwosza własnoręcznie bardzo nieudolnym stylem, fakt, że w Polsce żył szeroko rozgałęziony ród Stwoszów (według materyałów p. Stasiaka), wreszcie tradycya utrzymująca się uporczywie w Norymberdze przypuszczać pozwalają, że Stwosz był Polakiem i z Krakowa rodem, skoro dowody przeciwne nie wytrzymują krytyki.

Jako artysta i jako człowiek jest Wit Stwosz jednym z najciekawszych przedstawicieli schyłkowego gotyku, niosącego w zarodku wszystkie już aspiracye nowej epoki, mimo wielu jeszcze rudymentów średniowiecza. Granica między artystą a rzemieślnikiem zaczyna się dopiero w tych czasach zarysowywać, stąd ciągłe jeszcze mieszanie tych kategoryj w ówczesnej świadomości i hierarchii społecznej. Artyści malarze i rzeźbiarze tworzą, na równi z rzemieślnikami, swoje własne cechy, takie zorganizowane gromady raczej rzemieślników niż artystów, o znikomem zróżniczkowaniu indywidualnem, produkujących w regule szablonowe dewocyonalia. Stwosz bywa w Krakowie kilkakroć wybierany starszym swego cechu, cieszy się powszechnem uznaniem, ale jako primus inter pares — choć po wykonaniu ołtarza maryackiego w Krakowie sława jego już „słynie po całem chrześcijaństwie". A chociaż po jarmarkach obwozi swój „towar" artystyczny i kupczy nim w czasie odpustów, lubo nie mógłby powiedzieć z Michałem Aniołem: „Nigdy jako malarz czy rzeźbiarz nie miałem rzemieślniczej pracowni", wątpić możemy, aby tak wybitna indywidualność artystyczna pozwoliła Stwoszowi samemu kiedykolwiek zniżyć się do poziomu rzemieślniczej wytwórczości.

Artysta Stwosz zarówno obciążony jest niejednym atawizmem średniowiecznym, zwłaszcza w pierwszej epoce swej twórczości, jaka przypada na pobyt w Krakowie. Jeszcze wtłacza kompozycye swoje w ramy ciasnych szaf, przypominając tem upośledzone do niedawna stanowisko rzeźby, służebnicy architektury, a nadewszystko wielka jeszcze abstynencya w stosunku do aktu ludzkiego, przedewszystkiem kobiecego.

Artysta grecki zżył się z aktem ludzkim do tego stopnia, że całą jego plastyczną treść odczuwał kompletnie. Tylko helleńska plastyka, kwiat kultury i obyczajów rasy, mogła ostatecznie rozwiązać problemy ruchu i postawienia ciała ludzkiego, skoro w samem jej zaraniu pojawia się nagi akt. Średniowieczny rzeźbiarz, którego sztuka bierze początek z ascetyzmu i negacyi świata, nie rozumie aktu i nie umie go odtworzyć. Nagość jest ze sztuki wyklęta, a postacie, zwłaszcza kobiece, przedstawia się umyślnie o kształtach wątłych, nierozwiniętych. Raz wraz — niby podmuchy wiosenne — docierają na północ dość zresztą powierzchowne tradycye plastyki klasycznej, i one to prawdopodobnie wnoszą — przedewszystkiem w połowie XIII wieku — do tego świata rychło wyczerpujących się form ożywienie, lecz nie budzą stałego rozwoju.

Cechą czasów pozostaje wypadek w Trewirze, gdzie wykopany tors klasyczny Wenery powieszono u bram kościoła, aby nabożni demonstracyjnie kamieniami weń ciskać mogli.

Stwosz więc, choć widocznie studyuje modela, nie może jeszcze odczuwać ani rozumieć wszystkich tajemnic aktu, jak współcześni mu artyści włoscy, obcujący z rzeźbami Hellady i studyujący anatomię na trupach (Michał Anioł), ale brak ten zastąpi do pewnego stopnia genialną obserwacyą, godną największych mistrzów świata. Nagie ciało przedstawia na krucyfiksach, analizuje je, rozkłada skrupulatnie na części anatomiczne, z zatratą linii. Żywy zaś akt widzi i przedstawia w szatach, najczęściej ukrywających strukturę ciała. Draperya przytłacza je, rzadko służy do podkreślenia ruchu, w zasadzie traktowana dekoracyjnie, oddzielnie prawie od postaci, z mnóstwem pogmatwanych lub rozwichrzonych gwałtownie fałdów, nieumotywowana ruchem i układem ciała. Ten „styl“ właściwy epoce, który wyrósł z techniki snycerskiej, rozwija Stwosz do absurdu, stosując go także w rzeźbach kamiennych. W żywiołowej dążności do osiągnięcia głębokiego wyrazu psychicznego w całej postaci, artysta, nie rozporządzający kinetyką ciała ludzkiego, mijać się musi często z zamiarem. Postacie Stwosza poruszone są namiętnym, nie zawsze umotywowanym afektem, a ich kontrapost, przywodzący niekiedy na pamięć ową gotycką krzywiznę czasów maniery czternastego wieku, nie wypływa z artystyczną koniecznością z momentu kompozycyjnego, ani z wewnętrznych wzruszeń postaci.

W podobnych warunkach interes artystyczny skupia się na twarzach i rękach, życie tu znajduje swój wyraz najistotniejszy.

Do tego zadania przystępuje Stwosz z całym prymitywnym aparatem skrajnie realistycznych środków. Odtwarza każdą zmarszczkę, każdą brodawkę z przesadną pointą, opracowuje bezlik szczegółów, nawet w zagłębieniach, gdzie dłutem lub nożem snycerskim już sięgnąć nie można i specyalnego po temu trzeba narzędzia. Są te szczegóły niedostępne dla oka, atoli można je namacać. Pod mnóstwem detalów zaciera się często właściwy wyraz i twarze przy bliższej obserwacyi stają się dość zastygłe; w tej lękliwej prawie, małostkowej reprodukcyi ginie nerw życia. Twarze młode (jak u Madon), wymagające modelacyi płynniejszej, anatomicznie nie tak wyraziste, nie są wolne od konwencyonalności. Tem doskonalszy daje Stwosz obraz śmierci na obliczach Ukrzyżowanego. To najbardziej mistrzowskie kreacye jego. Srodze ska-

towany człowiek, oczy martwe, bielmem zachodzące pod obwisłemi powiekami, szczęka bezwładnie się osunęła, wykrzywiając rozchylone usta, lica zapadły się, na twarzy zoranej zmarszczkami — śmierć. Do realistycznego traktowania nadają się szczególnie typy chude i takie też najczęściej spotykamy u Stwosza. Ręce u nich zawsze kościste, nawet u młodych kobiet, pełne wyrazu, coraz inaczej komponowane; stanowią tak nieprzebrane bogactwo motywów ruchu, że warto im poświęcić osobne studyum.

Postacie Stwosza to już nie typy sumaryczne, idealne, ale portrety, brane z otoczenia, których znaczny szereg przekazała nam tradycya. Wyobraźmy sobie tylko całą niewyczerpaną rozmaitość figur ołtarza maryackiego, aby uświadomić sobie tę, nietylko na owe czasy, olbrzymią zdolność charakteryzowania, indywidualizowania człowieka.

Kompozycye tych ogromnych ołtarzy szafiastych traktuje artysta zupełnie po malarsku. Wprowadza kilka planów (por. illustr.). i daje często w tle krajobraz skomponowany z gór, na których dojrzeć można mury, łąki, drzewa, budynki, a do tego przyczepione są figurki ludzkie. Draperye dają kontrastową grę świateł i cieni, ruch postaci rozwija się w przestrzeni, a wrażenie obrazu malowanego podnosi jeszcze naturalistyczna polichromia. Kompozycye choć logicznie pomyślane, nie są konsekwentnie przeprowadzone, co utrudnia zresztą pomieszczenie ich w ciasnej szafie ołtarzowej. Na płaskorzeźbach osiąga artysta rezultat lepszy, mimo naiwnej jeszcze perspektywy i nieumiejętności odtwarzania ciała w skróceniach, których widocznie unika ze szkodą dla całości obrazu. Chwilami jednak zabłyśnie wielką plastyczną wyobraźnią i stworzy kompozycyę figury lub grupy świetną i oryginalną. Apostoł w ołtarzu maryackim, pełen skargi załamujący ręce, to jedna z najpiękniejszych kreacyj ówczesnej plastyki na północy.

Żywot i męka Chrystusa, sceny z życia N. Panny dostarczają tematów wysoce dramatycznych, które Stwosz przenosi w środowisko mieszczańskie, tłomaczy je rodzajowo, opowiada ich treść rozwlekle, czerpie pomysły z obserwacyi życia codziennego w domu, na ulicy, niekiedy znajduje może gotowy pomysł na widowiskach ówczesnych misteryj pasyjnych w interpretacyi pauprów i bakałarzy.

Stwosz jest na swoje czasy jedną z najwybitniejszych i najznamienniejszych osobistości, jest zapowiedzią nadchodzącej epoki, a jako typ przypomina wielkie charaktery odrodzenia. Charakterystyczny to fakt, że w Krakowie zbliża się do grona humanistów,

w którem przebywa Kallimach, i tu niewątpliwie poznaje świat, któremu jest tak pokrewny temperamentem i aspiracyami. O jego życiu wiele szczegółów znajdujemy w aktach miejskich Norymbergi, za mało jednak, aby pozwoliły wniknąć głębiej w wewnętrzne przeżycia Stwosza. Dochował się atoli między innemi jego list, którego słowa jak błyskawica rozjaśniają na chwilę mrok, w jakim się dla nas kryje dusza artysty. Cechowy majster Stwosz ma świadomość i gest twórcy z łaski bożej, indywidualności przerastającej tłum współzawodników, gdy w zatargu z radą norymberską o naprawę filaru, w r. 1506 żąda sądu innych miast, twierdząc, że w Norymberdze nikogo niema, ktoby się znał na jego sztuce i że trudnej tej pracy dokonał dzięki sztuce, danej mu od Boga. Przypominają się tu słowa Michała Anioła: „Stworzę dzieło, jakiego niema dotąd w Rzymie i jakiego żaden z żyjących artystów lepiejby nie wykonał".

Nie ogranicza się Stwosz do jednej gałęzi twórczości, jest malarzem, rzeźbiarzem, sztycharzem, odlewaczem w bronzie, architektem, co mu w Krakowie przynosi tytuł: magister mechanicorum.

Stwosz dzieli swą działalność artystyczną między Kraków i Norymbergę, zarówno więc dla nauki polskiej jak niemieckiej sztuka jego jest od lat dziesiątków przedmiotem badań. Przy braku konkretnych danych o jego pochodzeniu wywiązał się spór o narodowość Stwosza, przyczem historycy niemieccy, opierając się na datach bardzo hypotetycznych, anektowali Stwosza pospiesznie dla swego narodu (Daun), ze strony zaś polskiej postawiono sprawę właściwiej, twierdząc, że miejsce urodzenia i narodowość artysty są niepewne (Kopera). Ostatnimi czasy wystąpił p. Ludwik Stasiak z obszernemi pracami [1]), z długim szeregiem fejletonów, a celem tych wywodów jest wyświetlenie kompleksu kwestyj, związanych z osobą Wita Stwosza. Nauka polska zajęła się tylko dziełami Stwosza, jakie dochowały się w Polsce, a w tej interpretacyi osobistość artysty nie mogła wystąpić plastycznie, skoro zupełny rozkwit jego sztuki datuje się od czasu stałego przesiedlenia się do Norymbergi, i z tej ery jego życia mamy dość obfity materyał biograficzny. Uczeni niemieccy, usiłując od niedawna całokształt twórczości artysty objąć, mało lub źle oryentowali się w rzeczach historyi i kultury w Polsce. P. Daun, niemiecki monografista Stwosza, podczas swego

[1]) 1) Prawda o Piotrze Vischerze. 2) Rewindykacye własności naszej.

Zamknięty oto na wrzeciądzów spust,
Nie pokój widząc już, lecz grób —
Całunkiem drżącym swych żałobnych ust
Popiołów szukam z twoich stóp.

SMUTEK UTRATY.

Zgasł w duszy mojej w mrok płonący znicz
I runął w gruzy moich rojeń chram.
Dzierżąc pokutny flagellanta bicz,
Bluźniący życiu, na ruinach łkam.

Lecz jakaż skrucha może zmazać grzech,
Żem sam jest sprawcą tych potwornych zgliszcz?
Przecz zwarzył kwiecie me — mój własny dech?
Czy złoto było to, com miał za łyszcz?

Pamiętam chwilę dziwną, — płonną skruch, —
Gdy lęk ostrzegał, że coś tracę snać...
Ach, smutne dzisiaj serce me i duch,
Że nie mam już się o co bać!

Sydir Twerdochlib.

DWA WARSZTATY.

(Organizacya Shaw'a i Strindberga).

Są to ludzie dostatecznie mądrzy, by obliczyć nieznaczną możność oporu wobec sił, które rzucają nimi wkrąg wielkiego pobojowiska współczesnego życia. Obmyślają więc środki, idące ku pomocy nie całemu człowiekowi, tylko cząstkom jego istnienia. I jak nic w swem życiu nie przekreślają, tak też ustawicznie uczą się w niem pisać. Zapasy te o olbrzymią, a wymyślną ortografię budzą w nich wszystkie siły duchowe tak, że nieraz w ułamku swej twórczości mogą obliczyć walory przebywanej drogi. Czynią zaś swe rzeczy w sposób gruntowny i szeroki i tę z sobą przynoszą wielkość, że w samym środku ogólnego wiru postawieni, nie są odbłyskiem fal lub piany, tylko sami są źródłem światła. Powtarzając, powtarzają tylko samych siebie. Niezmiernie od siebie od-

ległych jednoczy wspólne i wyłączne zajęcie kwestyami etyki w ich stanie surowym, pierwotnym, a także chęć i możność ostatecznego i konsekwentnego ich rozstrzygania na tle załomów bieżącego, konkretnego życia. Oddzieliwszy nawet aktualność od samego szkieletu rozważań, znajdziemy poza wszelkiemi usiłowaniami charakterystyki i Shawa i Strindberga, u pierwszego prawdopodobieństwo, że ten pisarz w pozorze przypadkowości podaje najwyższe swe kompozycye, a u drugiego pewność, że artyzm jest dlań jedną z form miłości, z jaką wpijał się w nierozwiązane pytania.

Shaw pisze o konieczności nauki, a Strindberg o jej sprzecznościach. Shaw układa farsy na temat idyotyzmów kłamstwa konwencyonalnego, Strindberg wydaje traktaty, ukazujące tragiczne powikłania kłamstwa konwencyonalnego. Shaw jest sybarytą dowcipu, Strindberg kazuistą blagi. Gdy Shaw zebrał pieniądze, kupił sobie willę podmiejską, Strindberg subwencyonował teatr swego imienia i odbywał dalekie podróże po kontynencie. Pierwszy uśmiechał się serdecznie, czytając kłamliwe recenzye swoich sztuk, drugi w odpowiedzi na oszczerstwa, pisał autobiografie męczeńskie otwartością i ekstatyczną żądzą dojścia do źródeł swojej twórczej natury. Gdy Shaw wyczerpywał się pisaniem, szedł na zgromadzenia uliczne, Strindberg natomiast poświęcał się studyom oryentalnym i przyrodniczym. Shaw z miną poważną wskazywał siebie jako wzór niezależności w myśleniu, Strindberg, niezależniejszy od niego, całe życie poszukiwał autorytetu wiedzy, kobiety, systemu. Gdy Shaw wypędza z kryjówek, Strindberg ich poszukuje. Z wykryciem kłamstwa dla Shawa sprawa się kończy, dla Strindberga dopiero zaczyna. Etycznego równouprawnienia ludzi domagają się sofisterye Shawa. Strindberg wyraża beznadziejność takiego zrównania. Żaden z nich nie cofnął się przed następstwami walki piśmienniczej. Gdy chodziło o zrealizowanie jakiegoś postulatu Shaw pisał obszerne komentarze. Strindberg, unikając wyjaśnień, był zdolny do rozszerzania swej działalności piśmienniczej na dziedziny dotąd przezeń nie tykane (Dramaturgia).

Wobec ludzkiego nieszczęścia Strindberg stara się okazać obojętnym, tłómaczy zbędność współczucia, Shaw ośmiesza nieszczęście, ujawnia jego płytkość i filisteryę, rzecze, że t a k i e nieszczęście nie jest nieszczęściem. Strindberg w mistyce i jej pomocniczych umiejętnościach, w historyi i biologii, matematyce i anatomii znachodził środki do wsparcia swojego poglądu na świat, uważał je za wskazaną pomoc — Shaw w muzyce i ekonomii, w krytyce

sztuki i literatury obmyślał sposoby dotychczas nieznane dla propagandy swojego paradoksu. Więc, gdy Strindberg eksploatował wiedzę na rzecz systemu, Shaw pewne części swej działalności poświęcił także temu i innemu działowi pracy ludzkiej. Strindberg pewnemi teoretycznymi zdobyczami przepajał swój pogląd na świat — Shaw tę i inną umiejętność na swój sposób reformował. Stąd pochodzi ta, wielu pomyłek w krytyce będąca przyczyną, właściwość, że pisma Strindberga właściwej wagi i oświetlenia nabywają dopiero przy próbach ogarnięcia całości i nieraz całkiem inaczej wyglądają samoistnie, a inaczej w zespole z innemi. Natomiast dzieła Shaw'a układają się zawsze tak samo, choćby odrębnie i w odmiennym porządku czytane. Każda książka jest taka sama i ze względu na siebie i ze względu na ogół pism. Shaw jest wielki w swych definicyach i parodyach — Strindberg w argumentacyi i illustracyach. Shaw był często jednostronny, a nigdy zaślepiony. Strindberg zawsze jednostronny, a często zaślepiony. I charakterystyczna: Shaw popularności nie szukał nawet w początkach, Strindberg sławy zawsze był chciwy. W technice swojej twórczości Shaw doszedł szybko do mistrzostwa (używając co prawda tylko dwóch sposobów pisania: swojego dramatu i essay'u — kilka początkowych powieści nie wchodzi tu w rachubę). Strindberg jest — według wiarogodnych zapewnień — największym stylistą swojego kraju, opanowawszy wszystkie modły — od liryki do prozy naukowej.

Ludzi Shaw'a właściwie jest nie wielu, a każdy z nich ma tego samego suflera: Gustawa Bernarda Shawa, ciągle zmieniającego się, a przecież jednakiego. Ludzi Strindberga jest moc, wyraźnych i niewyraźnych, starych i nowych, dostępnych i niedostępnych. Podpowiada mi — jeśli wogóle podpowiada — ta synteza, która w pewnym okresie oplątała mózg Strindberga. Scena Shawa jest sceną genialnych maryonetek, teatr Strindberga wielką sceną dla autochtonów, którą ci odwiedzają z uporczywością ludzi, pragnących czegoś się dowiedzieć. Na scenie Shaw'a ma swój ciekawy kącik egzotyczność umiejętnego effekciarza, na scenie Strindberga dokonują się czasem brutalne czyny ludzi pierwotnych. Shaw'owi chodzi o genre rodzaju ludzkiego, Strindbergowi o jego rozwój.

Shaw ujrzawszy jeszcze jeden wykręt, którego każdy człek używa dla zadokumentowania swojego braku logiki, konsekwencyi — spożytkowuje go dla nowej maskarady. Niejednokrotnie przekonywał się (pisze o tem w „Człowieku i Nadczłowieku", w „Essays"), że się mylił, że powinien wracać do punktu wyjścia. Mimo to

w końcu zawsze wygrywała jego filozofia „nieuregulowanego systemu wewnętrznych praw“ i ułatwiała mu dalszą twórczość.

Strindberg niepowodzeń nie znosił (a jakże często musiał przegrywać!), pobudzały one jego wolę do stanu dzikości w dochodzeniach. Stawał się bezwzględnym wobec swego irracyonalizmu i szedł coraz dalej w pomysłach aż do wyczerpania. Powiedzmy: Shaw, znakomity szyderca, musi kończyć przy oklaskach, Strindberg, apostoł, pozostaje samotny.

* * *

Cokolwiek August Strindberg napisał, to, przy swej często powracającej fantastyczności, wiernie zachowywało prawa natury. Historycznych dramatów, „Czerwonych pokoi“, „Wyspy szczęśliwych“, nie trzeba przekładać na towarzyski język czytelnika, ni ściągać z wyżyn, na których sadowią się allegoryczne figurki i emblematy. W „Legendach“ i „Inferno“, w „Ojcu“ i „Marzycielach“ odkrywa się specyalny ton Strindbergowskich prac, łączący dramaty „dwudziestoletniego“ z utworami sześćdziesięcioletniego. Dzisiaj obojętnym już jest lokalny nastrój tego „geograficznie“ ponurego Szweda. (Z naleciałości takich otrząsa się łatwo, tem łatwiej, im wyżej nauczyło się cenić np. obrazy Liljeforsa lub opowieści Selmy Lagerlöf, wychodzących właśnie z łona szwedzkiej ziemi). Strindberg postawiony oko w oko z obcą kulturą, obcemi pojęciami, z właściwym sobie zgrzytliwym gestem („Wychowanie“, „Cud“) zatapia się w rozpatrywaniu gnuśności ludzi, których stwarza. Uzasadnia ją nieraz szeroko, ukazując szeroki prospekt na to, czego mógł był człowiek w rzeczach ducha dokonać, a nie dokonał.

Wymawia zbożne słowa na przemian z przekleństwami biblijnemi. Gnuśność ludzi Strindbergowskich rozciąga się na ich zewnętrzne i wewnętrzne życie. Gdyby nawet doszli do poznania niektórych praw — prawdziwemu pogłębieniu się przeszkadza pewien rodzaj instynktu samozachowawczego człowieka. W „Trzech opowiadaniach“ pogruchotany fizycznie człowiek wysnuwa całą naukę o rodzajach i stopniach instynktu samozachowawczego. A Eryk XIV i Gustaw Waza, królewscy bohaterowie Strindberga, szli na oślep za przewodem tej istotnej władzy wewnętrznej, broniącej ich przed spoufaleniem się z tłumem. Potrzeba im obrony, gdyż inaczej swoboda ducha sczezłaby do dna. Muszą sterczeć nad poziomem i o wysokości tego poziomu wiedzieć.

Do nieba przekłamać się nie można, jak nie można przesadzić wy-

razu własnej duszy. „Panna Julia“ Strindberga wyrosła na granicy krzyku człowieka, który żył bez znajomości swoich własnych zadatków. Gdy przerażająca następstwami granica się odsłoniła — krzyk zamarł, jak zamiera każdy nie kolportowany przez nikogo błąd. Gdy Ibsen w „Heddzie Gabler“ wobec podobnego znalazł się zagadnienia, omawiać je począł w chwili tej, w której Strindberg urwał. Ibsen rozumował: najgrzeszniejsze życzenia dają nieraz życie mocy twórczej, powinny dawać, jeśli już muszą być, życie mocy twórczej. A Strindberg: najgrzeszniejsze życzenia milczą, przytłumiane pokładami życia codziennego. Gdy wybuchną, okazuje się, że z owych pokładów nic nie zostanie.

Przy współżyciu z drugimi doszliśmy do wyodrębnienia. Niema pośród nas ostoi, siły, ni prawa. Jest li gdzieś w zaułkach czająca się groteskowa wspólnota. Zwyciężamy przez porównanie, kształcimy się przez poniżanie drugich. Groteskowo wypada ta wola wzrostu wewnętrznego, gdyż nikt jej pełni nie jest świadom i nikt nie oświadczy, że jest jej oddanym, rycerskim zwolennikiem. Chyba, że stanie się rozbijającym bezbronnych, „raubritterem“. Nauczyciel z „Książki o miłości“ Strindberga coraz zawilsze wymyślał możliwości, kiedy to człowiek nie przeżywa, tylko układa dramaty. Słowa jego stają się tam coraz bardziej ciche, tak, że jeden i ten sam aktor nie rozeznaje już, co się stało z jego układanym, a w głębokie, namiętne odczucie porwanym dramatem, a z drugiej strony traci miarę w tęsknocie za przeżyciem dramatu i układa jego podstawy, rozwój i całą dyalektykę.

Miniemy poszczególne stacye: człowiek, spełniający wolę wszechświata (człowiek niewolnikiem praw natury), człowiek wyrozumowanej, człowiek odczutej religii i dopiero teraz docieramy do miejsca, z którego przepatruje Strindberg cały widnokrąg. Myślisz o sobie — pracując dla drugich. Egoizm twój nie daje nawet w przybliżeniu poznać prawdziwych znaków, jakie wycisnęła na tobie twa praca dla drugich. Pośród uśmiechu jedynej chwili radosnej, w której hasasz, rodzi się żal otoczenia za tobą, za człowiekiem, który mógł żyć pracując. A gdy wydobędziemy na wierzch cały zapas sił zwierzęcia i drugim moc naszych kłów i pazurów ukazać potrafimy, rozpocznie się walka o obecność naszą, o obecność istoty rabującej. Wyrzucać ci będą krzywdę ich, zwierząt, przez wolę twą krzywdzonych. Pozbywszy się trosk o swe istnienie, ciągle przeklinany, odczujesz radość z rzeczywistości, którą żyjesz. Nie staje nic na zawadzie potwierdzaniu życia, wyzwolonego od jedno-

czenia się z drugimi. Gdyby natomiast miejsce zupełnej władzy zaczęła chyłkiem zajmować najobrzydliwsza z tajemnic: rezygnacya, wyzwala się człowiek tylko przez nowy trud *ab ovo* poczynany. Toczy się przez mózg koło pojęć, z którego obwodu nie zdajemy sobie sprawy. Nie wiemy dokładnie, kiedy stanie, lecz wiemy, że kiedyś się zatrzyma. I w nieprzewidzianej chwili zastanowione, wrzyna w mózg jedno z pojęć ludzkiego świata. Strindberg składa stosy poglądów na obwód tego koła i pragnie jego całości, wyobrażając sobie, że będzie jakimś Pięcioksięgiem ludzkości. Naturalnie wiara jego nie długo trwa, przychodzą chwile zupełnego upadku i Strindberg pragnie się zoryentować w nowym stanie rzeczy („Trzy nowożytne opowiadania"). Rozdziałów podobnych w biografii Strindberga musi być wiele. Znaczy je niemal każdy lat dziesiątek. Z zapalczywością trybuna i rozmachem talentu pisywał Shaw różne autorecenzye, które — co się rozwoju autora tyczyło — wszystko przewidywały, określały i zamykały. Strindberg, wzywając drugich na stół kliniczny, sam czynił siebie objektem wiwisekcyi. Shaw, mówiąc o wartościach życia przyszłych ludzi, harcował z żonglerską pewnością siebie, Strindberg w pismach ostatnich pożąda siły wystarczania sobie przez skryte żucie ideału.

Rzymski imperator, Napoleon, kilku kelnerów, pogromicielka dzikich zwierząt — to wszystko wprowadza Shaw dla stwierdzenia, że umiejętny takt w życiu zastępuje nawet potrzebę aktorstwa, oczyszcza jednostkę od naleciałości, które nie leżą w jej naturze. „Wielki strategik" nie jest rewelacyą historyczną, wymierzoną przeciw kultowi Napoleona. Pewne składniki indywidualności czystej — w rozumieniu Shaw'a — poddane są tam wytrawnej krytyce. Z tego samego powodu wędruje Shaw aż w czasy przesileń historycznych za Antoniusza. Znaczącem w tem wszystkiem jest brak stylistycznej monumentalności, która tak często ocala różne fikcye najlepszych współczesnych twórców (np. Hauptmann). W dramacie Shaw'a niema osoby, którąby zeń ośmieszoną nie wychodziła. Zewnętrzna technika tych utworów jest jakby piętrzeniem ośmieszeń. Po kolei poddaje się tej operacyi wszystkich, jacy się tam zabłąkali. Shaw w dramacie nigdy nie wypowiedział tego, co chciał pozytywnie powiedzieć. Seans autora z czytelnikiem dokonuje się jakby na podstawie wspólnego porozumienia poza ramami dramatu. Shaw'owi łatwo jest ośmieszać recenzentów: ma za sobą czytelników. Specyalny charakter niektórych przedstawień Shaw'a wyraża się w informacyi, której autor udziela czytelnikowi. Na przedsta-

wienia dramatu przychodzi się czasem także ze względu na zagadnienie utworu, na aktora i ze względu na autora. Na przedstawienia Shaw'a przychodzi się tylko dla niego. Ten znamienity pisarz zaciekawia. Wszelka konstrukcya całości jest zbędną. Gdyby ją ułożyć — zwróciłaby się przeciw pisarzowi. Siła jego leży w możności nowego oświetlenia wszystkich rzeczy, jakie napotka na swej drodze przenikliwy umysł społecznego korektora. Samo zagadnienie, jego walory i pochodzenie zaciemnia się i traci na wartości, gdyż interes skupia się na rodzaju pomysłu, jaki doń zastosuje Shaw. Nie dyskutuje się nad wartościami; nie próbuje się ich wykształcać lub przekształcać — wystarczają, że są. Śledzimy za takimi węzłami i po skonstatowaniu faktu istnienia następuje próba ognia. Shaw jest jednym z tych, dla których wystarcza przypadek, aby poruszyć ich do najogólniejszych wniosków. Nie było pytania, któreby Shaw zadał sam od siebie, mówi w imieniu swych ludzi, którzy najczęściej są kalekami. Na dnie tych wszystkich przypadków nie odkrywamy istoty zagadnienia, jedynie taki lub inny stan rzeczy, doprowadzający do zniekształcenia jednostek.

Inaczej Strindberg. Konkretność dramatów Shaw'a jest mu najzupełniej obcą. Gdy u tego dopiero oswoiwszy się z fabułą pojedynczego ustępu, możemy badać objektywność wysiłku autora — Strindberg obdarza swych ludzi pewnemi zagadnieniami, które w nich rosną i rozszerzają się. Śmiesznością u Strindberga jest, gdy ktoś na podorędziu „znalazłszy“ jakąś treść życiową, poczyna się do niej z trudem dopasowywać (kapitan z „Tańca śmierci“). Różnicę metod uchwycić można następująco: u Shaw'a mięśnie obrastają szkielet (wartość życiową) i wykrzywiają go w sposób dowolny. U Strindberga szkielet jest czemś stałem i on to formuje resztę organizmu. Shaw prześwietla, jakby promieniami Roentgenowskimi człowieka, i wydziwia nad deformacyą. Oto, co się stało z wartościami życia w tym szeregowcu z waszego społeczeństwa — konkluduje Shaw. W Strindbergu konkluzyi niema. Grunt przeorała sama fabuła. To znaczy brak u niego zdefiniowanych charakterów. Nie potrzeba też ich zupełnie. Narost rozumowań odbywa się poza wszelkim konkretnym wypadkiem. Przeciwnie niż u Shawa, dostrzegacza mikroskopijnych ułomności. A te występują jedynie na tle ostro zarysowanych konturów towarzyskiego życia.

* * *

Mimo świetnych pozorów czegoś innego — Shaw ciągle mówił to samo.

Mimo uporczywych pozorów tego samego — Strindberg ciągle mówił coś innego.

Gdy samodzielność twórczości rozumiała się w pismach Shaw'a sama przez się — Strindberg uzasadniał, że niema chwili, w którejby jej posiadania był pewnym i w zdobywaniu jej nigdy się nie zestarzeje.

Shaw mówi: Poszukujesz wiązadeł tego, co widzisz, o najprawdziwsza z naiwności. Młodzieńcze, czy po to wezwałem cię do siebie, by narazić się na śmierć ze śmiechu? Przypomnij sobie, jak to było, gdy uczono cię alfabetu. Powtarzałeś! Powtarzałeś! Czyż sądzisz, że ze zmianą treści nastąpi zmiana metody uczenia?

A Strindberg: Uczę cię, byś wiedział, że nie spragniony spoczynku, kiedyś w najwyższym rozkwicie uczynisz z swych własnych sił zarzut samemu sobie. Zwrócisz się przeciw własnym możliwościom.

Co nużyło wewnętrznie jednego — dla drugiego właśnie stawało się problemem.

Shaw — nie wynajdywał niczego, a przecież tworzył. Strindberg — wynajdywał wszystko, a jednak tylko tworzył.

Miecz. Rettinger.

PRZEGLĄD.

Z PRASY.

Pamiętnik literacki, zeszyt I i II—III za rok 1911. Lwów.

Zanosiło się w czasach ostatnich na małą rewolucyę w lwowskiem Tow. lit. im. Ad. Mickiewicza; „młodzi" w imię dość nieokreślonych haseł „ruchu" (i — spraw osobistych) ruszali wśród konspiracyi, tajemniczych szeptów i min na zdobycie Zarządu i Tow. „...nascitur ridiculus mus". Skończyło się na sprawach osobistych: wymianie redaktorów. Po drze Bernackim objął redakcyę „Pamiętnika" dr Hahn. Poziom i kierunek pisma nie zostaje przez to zmieniony ani na lepsze ani na gorsze; zresztą czekajmy rezultatów.

W zeszycie I-szym z r. 1911 znajdujemy dokończenie rozprawy p. M. Dynowskiej o „Sumaryuszu" Hier. Morsztyna; autorka omawia „wiersze rozmaite", wykazuje wpływy obce, podaje ogólną charakterystykę poety — słabo nakreśloną — wreszcie zestawia przyczynki do życiorysu Morsztyna. Dr Hahn wykrywa dwa nowe źródła komedyi Zabłockiego

(Corneille). W dziale rozpraw spotykamy dalej dokończenie pracy dra R. Dyboskiego p.t.: „Romantyzm a krytyka dzisiejsza w Anglii". Jest to przedstawienie stanowiska, jakie zajmują reprezentanci współczesnej krytyki angielskiej Courthope i Symons nie wobec romantyzmu jako zagadnienia, lecz wobec poetów romantycznych. Rzecz ma charakter informacyjny. Najciekawsze bez wątpienia w całym zeszycie „materyały": Dr Bernacki rozpoczyna publikacyę nieznanych listów Zygmunta Krasińskiego do Stan. Koźmiana; początek korespondencyi (która zostanie ogłoszona w 4 Nrach „Pamiętnika" 1911) datuje się od r. 1846; adresat Koźmian, przepisując te listy przyjaciela w r. 1873, opatrzył je wstępem kreślącym dzieje stosunku swego do Krasińskiego i uwagami objaśniającemi tekst. Omówimy obszerniej tę korespondencyę po ogłoszeniu całości; obecnie zaznaczamy, że zawiera ona wiele ciekawych danych o socyo- i teozofii Krasińskiego, o ludziach i stosunkach emigracyjnych, i t. d. W dziale „recenzyi": dr Ujejski omawia prace Kallenbacha, Szyjkowskiego, Kridla o „młodym Mickiewiczu" w świetle „Nieznanych Pism", wydanych przez prof. Kallenbacha. Recenzent zbyt surowo ocenia piękną rzecz dra Kridla, będącą najlepszem syntetycznem ujęciem przedmiotu, a zarazem rozporządzającą najszerszym, wśród omawianych prac, horyzontem myślowym. „Pisma" Mochnackiego, ogłoszone przez Artura Śliwińskiego (1910), ocenia, pod względem bibliograficznym, bardzo szczegółowo p. St. Wasylewski. W Nrze niniejszym rozpoczyna się zarazem druk „Bibliografii hist.-lit. i krytyki lit." za rok 1907.

Na czele „rozpraw" zeszytu II—III mieści się początek pracy prof. Brücknera o „Pieśniach polsko-ruskich" z XVII wieku; niestrudzony badacz wyszukuje ze starych druków (głównie z pośród t. zw. „literatury frantowskiej)" i rękopisów przez Polaków pisane śpiewy ruskie i omawia je wyczerpująco, oparłszy się na szerokiej literaturze przedmiotu i olbrzymiej w zakresie staropolszczyzny własnej erudycyi. Rozprawa dra St. Turowskiego p. t. „Wiersz w Panu Tadeuszu" wkracza na zaniedbane u nas w ostatnich czasach pole naukowych badań nad wersyfikacyą polską: samo zbieranie i klasyfikowanie materyału jest ogromnie trudne. jeszcze większej ostrożności wymaga wyprowadzanie ogólniejszych wniosków, a tu przecie praca dopiero zyskuje wartość przez ogólne teorematy; z tem większem zainteresowaniem przeglądamy materył, zebrany przez autora — na razie w odniesieniu do wymowy Mickiewicza w czasie pisania „Pana Tadeusza" i jej wpływu na rym i rytm. Zestawienia p. Turowskiego mają tylko, jak sam autor zaznacza, charakter prawdopodobieństwa. wymagałyby dlatego drobiazgowego sprawdzenia ze strony przyszłego recenzenta. Z ciekawością czekamy dalszego ciągu (rytm, średniówka i rym) — i wniosków. Równie ścisłej kontroli domaga się i próba nowego układu fragmentów „Beniowskiego", według trzech redakcyi, proponowana i uzasadniona w następnej rozprawie przez dra J. Kleinera. Wśród tych metodycznych, opartych na szczegółowej analizie badań, nieporozumieniem wydaje się być ostatni szkic, noszący tytuł: „Mieczysław Romanowski i przedzgonne chwile romantyzmu polskiego". Autorką jest p. J. Dicksteinówna. Rzecz ładna, żywa, z czuciem pisana, stylem może nazbyt rozpoetyzowanym — lecz chętniej widzielibyśmy tę pracę w „Sfinksie",

„Krytyce“ czy „Bibliotece Warszawskiej“, niż w „Pamiętniku“: wszak autorka sama nazywa zarys swój „skromnem preludyum“, wyrzekając się badania przy pomocy „cyrkla i wagi“, a przecie tylko badaniom tego ostatniego rodzaju służyć powinien „Pamiętnik“ [1]). — Lwią część zeszytu zajmuje dalszy ciąg korespondencyi Z. Krasińskiego ze St. Koźmianem. Zamykają zeszyt recenzye pióra pp. Brücknera, Magiery, Hahna, Kallenbacha, Rawity-Gawrońskiego i Turowskiego. Omawiane Nra „Pamiętnika“ pochodzą jeszcze z pod redakcyi dra Bernackiego. *Z. Z.*

Sztuka. Miesięcznik ilustrowany, poświęcony sztuce i kulturze. Lwów.

We Lwowie, mającym za sobą dawną i piękną tradycyę cywilizacyjną polską, mocno jednak w ostatnich dwu wiekach przygasłą (wyjątek należy uczynić dla kilku zjawisk literackich!), powstał w ostatnich kilku latach wzmożony ruch kulturalny. Mnożą się instytucye, od uniwersytetu wychodzi inicyatywa mnóstwa prac naukowych, założono Galeryę narodową, Muzeum Narodowe im. Sobieskiego, Towarzystwo miłośników oraz upiększenia miasta etc. Ruch to piękny i użyteczny, wyrósł jednak z gruntu nie miłości i potrzeby czysto artystycznej, nie z aspiracyj nauki i piękna, mającego w sobie samem swoje kryterya, lecz z gruntu, zatrutego smutną obawą i troską. Inicyatorzy ruchu przypuszczają, że grodowi ich grozi zruszczenie, pragną więc wzmocnić kulturę polską, rozumiejąc słusznie, że w ten sposób wzmacniają polskość.

Troska ta nadała pracy kulturalnej we Lwowie tempo i barwę, częstokroć psującą najpiękniejsze usiłowania. Pracuje się z pośpiechem nie dopuszczającym artyzmu, badania, skrutynium. W ten sposób przedostało się do Galeryi narodowej miasta Lwowa mnóstwo zakupów, pozbawionych rzetelnej wartości, a sprawiających przykrość tem dotkliwszą, że dla umotywowania ich potrzeby musiano z niesłychaną przesadą je reklamować. W ten sposób spełnia swe zadanie tamtejsze Towarzystwo Sztuk Pięknych, protegując miernoty, trzymając miasto zdala od traktu wielkiej sztuki europejskiej, byle tylko pielęgnować „sztukę lwowską“. Z tego źródła wypłynęły znane, nie przebierające w środkach starania o przeniesienie do Lwowa biblioteki rapperswilskiej. W ten sposób powstał nareszcie miesięcznik „Sztuka“.

Mamy przed sobą pięć zeszytów tego wydawnictwa, w wielkim formacie, drukowanych czysto, pięknie, na pięknym papierze, a szablonowo, bez zrozumienia tajników nowoczesnej grafiki, ozdobionych mnóstwem ilustracyj, także kolorowych, odbitych przeważnie zupełnie porządnie. Pismo to jest organem Galeryi narodowej, Muzeum Narodowego im. Sobieskiego, Muzeum przemysłu artystycznego, Towarzystwa Sztuk Pięknych, Koła architektów, Towarzystwa miłośników Lwowa, Towarzystwa upiększenia m. Lwowa i okolicy, Towarzystwa miłośników fotografii artystycznej. Organizatorzy tych usiłowań okazali uznania godną

---

[1]) Przeciwnie, jesteśmy zdania, że „rzecz ładna, żywa“, a zbudowana na materyale naukowym, ożywia łamy „Pamiętnika“, który przecie nietylko materyały naukowe przynosi, lecz także prace syntetyczne. *Red.*

wytrwałość i talent niemały, skupiając te siły około wspólnego celu i zapewniając wydawnictwu pokaźne środki. W wykonaniu występuje jednak pięta achillesowa: owa tendencyjność, chcąca imponować ilością, efektem, swojskością, lecz gardząca tym kardynalnym warunkiem, którym powinien być artyzm i jedynie artyzm, jako charakter, jako kryteryum, jako cel. W ten sposób pismo częstokroć osiąga cel wręcz przeciwny zamierzonemu: świadczy — nie zawsze o kulturze.

Jako organ całego szeregu instytucyj lwowskich pismo ma zadanie piękne i wyraźne: właśnie być ich organem. Tam, gdzie je spełnia, jest „Sztuka" żywotną, zajmującą, niezastąpioną. Każdy zajmujący się sztuką, dziś i jutro, swój czy nie swój, z zajęciem będzie oglądał reprodukcye przedmiotów, cechujących Lwów i tylko Lwów, lub znajdujących się jedynie w tamecznych zbiorach. Widzimy więc ciekawe portrety Zygmunta III i Władysława IV z Muzeum Narodowego im. Jana III; cały szereg nieznanych rysunków Grottgera i portretów osób z jego rodziny; poznajemy bodaj cząstkę bogatych zbiorów tamtejszego Muzeum Narodowego i wspaniałych (podobno — bardzo!) zbiorów Wład. Łozińskiego. Starożytności lwowskich mamy kilka widoków. Zamało nam jednak tego, zamało. Organ tylu instytucyj w mieście, posiadającem dużo zbiorów prywatnych, powinien więcej mieć do opowiedzenia o nich, skarby wydobywać, a tylko to będzie świadczyło o L w o w i e i ma znaczenie trwałe. Boć przecie o kulturze Lwowa nie będzie świadczyła praca p. Chłędowskiego o rodzinie Cencich. Takich niepotrzebnych n a t e m m i e j s c u rzeczy jest dosyć, a, co gorsza, dużo tu rzeczy niepotrzebnych na żadnem miejscu. Występuje lwowskość w mniej sympatycznem znaczeniu słowa. Polityka lwowska, której owocem smutny artykuł p. Dra Rutowskiego o Rapperswilu, omówiony już w „Krytyce". Znakomitości artystyczne lwowskie, o których poza rogatką nikt nie wie, i dobrze to dla Lwowa, że nikt o nich nie wie. Reprodukcye aż obu Styków; obrazów Żmurki, stworzonych dla widokówek, z głowami, i nietylko głowami pustych kobietek. W ten sposób nie utrwali się charakteru ni artystycznego, ni polskiego stolicy. Brak poczucia i ideału artystycznego nikogo jeszcze nie zbawił. Trudno o smutniejsze w tym kierunku świadectwo nad to, jakie sobie wystawia „Sztuka", gdy w ostatnim zeszycie drukując ciekawy artykuł p. Baslera o Salonie jesiennym paryskim z tuzinem reprodukcyj dzieł artystów polskich (Żaka, Kuny, Merkla, Mutermilchowej, Gottlieba, Rubczaka, Kramsztyka), artykuł ów pełen istotnie myśli i znawstwa, redakcya zaopatruje w dopisek: „Podajemy szereg fotografij polskich dzieł z Salonu jesiennego w Paryżu. Widoczny nieokiełzany pęd za *modą* i poddanie się wszystkim skrajnościom aż do samozatraty. Na niektórych polskich talentach znać wprost upadek". Reprodukować obrazy artystów, by im — młodym poszukiwaczom i prawdziwym talentom — to powiedzieć: świadczy to może o kulturze lwowskiej, ale nie o tej, którą się w turniejach międzynarodowych zwycięża.

Znajdzie się tu i ówdzie w piśmie poryw artystyczny. Poznajemy niespożyty temperament, który znalazł słowa zapału dla rzeźby Szymanowskiego; znajdujące się tutaj reprodukcye z „Pochodu" lepiej ilustrują

dzieło, niż fatalne te fotografie, jakie dotąd pomieszczały inne pisma. Na ogół jednak — zamało tego dobrego Lwowa, a zadużo tego Lwowa, którego ni bronić, ni konserwować niepodobna. Młodością i siłą, wchłaniającą dawne zabytki po to, by iść naprzód i tworzyć nowe — tem musimy walczyć. Ideałem etycznym i artystycznym, tym ideałem, o którego zaniku p. Gawiński w „Sztuce“ prawi tak wymownie...

Teatr krakowski.

(x.) Faktem górującym w życiu teatru krakowskiego jest powodzenie „Legionu“. W ciągu jednego miesiąca siedmnaście przedstawień przy podniesionych cenach — rzecz to w dziejach sceny krakowskiej niebywała. Powodzeniu materyalnemu towarzyszy literackie. Oddawna żadna sztuka nie obudziła takiego ruchu umysłów, wymiany zdań co do znaczenia dzieła i sposobu interpretacyi. We Lwowie na ten temat kilka wygłoszono odczytów. W poprzednim referacie wspomniałem o fatalnem przykrojeniu i okrojeniu tekstu Wyspiańskiego. Wtajemniczeni opowiadają, że uczyniła to w znacznej mierze cenzura krakowska. Gospodarowanie tej cenzury w literaturze polskiej staje się prawdziwą plagą i niebezpieczeństwem; sprawą tą trzeba będzie szczegółowo się zająć. Pomijając atoli brutalną dłoń osób, od których nie żąda się znajomości literatury i ducha polskiego, zostaje jeszcze dobrowolna cenzura, rzekomych znawców, a ta najwięcej, niestety, tekstowi dzieła zaszkodziła. Dyrekcya dążąc do udoskonaleń, zaprowadziła w dalszych przedstawieniach szereg ulepszeń; skoncentrowała wizyę w katakumbach, usunęła nieestetyczne zjawisko Mendoga i t. d. Zdania co do gry i wystawy są i muszą być podzielone; dla nas zostaje najwyższego uznania godnym eksperyment, próba wprowadzenia „Legionu“ na scenę. Przedstawia on tyle trudności i możliwości w interpretacyi, że dalekie jeszcze pokolenia będą z temi zagadnieniami się borykać. Najważniejsza — zrobić początek. Nad zagadnieniem inscenizacyi całego „Fausta“ pracowano w Niemczech dziewięćdziesiąt lat, od próby ks. Antoniego Radziwiłła, podjętej około r 1820, do Maksa Reinhardta, i ten dopiero w roku 1911 zadanie rozwiązał. Doświadczenia nad wystawieniem „Hamleta“ mają za sobą tomy całe historyi — teraz znowu Gordon Craig w teatrze moskiewskim Stanisławskiego nowe, oryginalne dziełu szekspirowskiemu dał wcielenie. U nas umieją albo zachwycać się bezkrytycznie, albo bezwzględnie potępiać p. Solskiego za grę i wystawę. My inaczej rozumiemy ducha całości i wiele szczegółów gry — bądźmy jednak wobec szlachetnych usiłowań sprawiedliwi. Takich zadań, jak uplastycznienie „Legionu“, nie rozwiązuje się za jednym zamachem, a scena krakowska okazała najwięcej inicyatywy i wysokiej ambicyi artystycznej w Polsce; gdy szczytem dramatu warszawskiego pod inspiracyą p. Kotarbińskiego jest wystawienie „Grubych ryb“, a sceny lwowskiej, w obecnej najlepszej jej fazie (przed nowym kontraktem p. Hellera) wystawienie dzieła Ibsena, teatr krakowski jest pionierem. Pod tym względem nic nigdzie u nas się nie robi. Jestem zdania, że dekoracye „Legionu“ powinny być więcej symbo-

liczne, że wiele scen miało zbyt realistyczną plastykę, że instrumentacya głosów nie została wydobyta, ale kwestye te wymagają studyów teoretycznych, których u nas nikt nie uprawia, wymagają doświadczeń, kosztów, sił aktorskich odpowiednich, a o te z pewnością nie łatwo. P. Solski pokusił się o wielką rzecz — i obyż repertuar „bieżący“ jak najczęściej podobnemi błyskawicami rozświetlał.

Repertuar ten miał kilka momentów interesujących rozmaitego rodzaju. Natura aktorska więcej w sobie kryje różnorodności, niż innego śmiertelnika, stąd częstsze w niej dla naszego wzroku sprzeczności i częstsze niespodzianki. Można je napotkać, gdzie widz najmniej przygotowany. Ostatnią np. premierą teatralną była farsa godna trzeciorzędnego Varieté, p. t. „Opiekuj się Amelią“, i główną rolę grała p. Zarzycka, artystka, o której zdawało się, że najwyżej w tego rodzaju sztuczkach jest możliwą; nazajutrz znalazłem się na „Nocy Listopadowej“ i z najwyższem zdumieniem słyszałem rolę Nike z pod Cheronei, po p. Arkawin wygłoszoną przez tęże p. Zarzycką wprost wybornie, szczególnie za pierwszem zjawieniem się, z powagą uczucia, znakomicie modulowanym głosem; świadczyłoby to, że p. Zarzycka mogłaby mieć przyszłość na scenie — niekoniecznie jako bohaterka ze sztuki p. Feydeau. Kopalnią takich możliwości był talent p. Mrozowskiej i jej publiczność zawdzięcza sporo emocyi. Były one dosyć tanie; z wyjątkiem ról w sztukach Shawa, Staffa, były natury różnorodnie wirtuozowskiej. Żałować można, iż wielki talent p. Mrozowskiej, zamiast skupić się w rodzaju odpowiadającym subtelnej, nerwowej, do ról w sztukach Wedekinda, Wilde'a etc. stworzonej indywidualności, woli rozpraszać się, fosforyzować i gasnąć — byle olśnić chwilą, podrażnić „sposobem“, stojącym na pograniczu między sztuką a sztuczką. Takiem wirtuozostwem wielostronnych „sposobów“ stała rola w fabrykacie „Kobieta i pajac“. Wzlotem zaś ambicyi szlachetnej indywidualności, było zagranie roli lady Makbet. Staliśmy przed nieporozumieniem. Niepospolita inteligencya p. Mrozowskiej zdaje sobie dobrze sprawę z natury tej potężnej postaci i gra ją z przejęciem, z powagą, wywołując chwilami wrażenie bardzo dramatyczne; zapoznaje jednak, że „Makbet“ to nie dramat, lecz tragedya, i to tragedya w rodzaju Ajschylosa, Wyspiańskiego. A różnica to olbrzymia. Tragedya, to misteryum religijne, postawienie duszy człowieka w obliczu duszy świata; stąd konieczność głębi i monumentalności, pozbawionej wszystkich przypadkowości i cech drugorzędnych. Ów religijny głos duszy, ów styl monumentalny gasł, gdy artystka swoją lady Makbet uposażyła w typowe cechy neurasteniczki, w wielkiej scenie somnambulizmu wystudyowane z kliniczną dokładnością. To dramat, ale nie tragedya w metafizycznem znaczeniu. Chwalebny to był wysiłek ze strony p. Mrozowskiej, ale wolimy — gdy wróci do nas — widzieć ją bodaj w rolach takich, mało u nas znanych pisarzy, jak Strindberg, Wedekind, Maeterlinck. Wracając do „Makbeta“, trzeba jeszcze raz podnieść potęgę kreacyi p. Sosnowskiego. W nim był właśnie duch religijny, człowiek, walczący z odwiecznem złem, próbujący je zabijać samem złem, aby nareszcie być zdruzgotanym przez Przeznaczenie. Całości jednak „Makbeta“ scena nam nie dała: brakowało atmosfery

wielkiej tragedyi, a wiele szczegółów, np. sceny z wiedźmami, wprost raziły.

Dzięki występom p. Wysockiej, przeżyliśmy kilka wieczorów pod tchnieniem wielkiej sztuki, jakkolwiek w najwybitniejszych swych rolach artystka nie występowała. Po matce Makrynie z „Legionu" zadziwiła biegunowością swego talentu: odtworzeniem realistycznej postaci żony Fedia Protasowa w sztuce pośmiertnej Tołstoja „Żywy trup". Jako sensacya chwilowa sztuka ta obleciała Europę, jakkolwiek nie przynosi nic nowego ani do charakterystyki autora, ani natury rosyjskiej; nużący naturalizm autora, który tak utrudnia czytanie ostatnich jego dzieł, w tej sztuce nosi w dodatku wszystkie cechy brulionu, więc rozwlekłości, powtarzań, nieumotywowań. Całość — jeszcze jeden protest przeciw bezrozumowi społeczeństwa, etyce zdawkowej sądownictwa, protest tym razem o słabych podstawach, bo ciśnięty w oczy światu przez człowieka nieszczęśliwego wprawdzie, ale będącego ofiarą także własnego nałogu. Protestować mogą tylko skrzywdzeni, walczyć — silni, ofiary zaś namiętności mają prawo do współczucia, ale brakiem woli osłabiają wszelką swą argumentacyę przeciw społeczeństwu wymierzoną. P. Weychert zna typy rosyjskie doskonale i jego Protasow był uosobieniem tego niepokoju, miotającego człowiekiem z doli w niedolę, jego ból — jakkolwiek nie z Dostojewskiego głębi płynący — miał przejmujące tony, w scenie zaś, skierowanej przeciw sądownictwu, wywarł wrażenie silne.

Z tłumaczeń przesunął się sprytny fabrykat spektaklowy, „Oficer gwardyi", Molnara; ze wznowień — dawno niegrany utwór Szyllerowski: „Intryga i miłość"; p. Jarszewska, ożywiona piękną ambicyą popisywania się nietylko w „karnawałowej" sztuce, miała sposobność okazania stylu i sentymentu, który dawniej byłby łzy wywołał; na tej stylowości Szyllera zbywało całości.

Dość przypadkowem — widzimy — jest życie bieżące naszego teatru. Oryginalną sztukę przyniosło jedną: Staffa „To samo". W jednym z poprzednich numerów pisał o niej sprawozdawca lwowski; odzwierciedlił wiernie powagę, z jaką we Lwowie słuchano i traktowano to dzieło autora „Skarbu". Wsłuchując się w nie w Krakowie, trudno było oprzeć się wrażeniu, że poeta był wobec publiczności złośliwym. Zdawał się mówić do niej: nie chciałaś, inteligencyo polska, przyjmować utworów natchnionych całą moją poezyą i powagą myślową, tak, że Warszawa żadnej mojej sztuki nie zna, a i dla Lwowa i Krakowa okazały się zbyt mało popularnemi, więc masz oto coś w sam raz dla twojego intelektu i smaku. Prezentuję ci bagienko rodzime — w niem większe znajdziesz upodobanie, niż w świecie szlachetnym „Igrzyska"; będziesz w swoim żywiole.

Sztuka ta nie jest Staffem i Staff nie stoi za tą sztuką, mimo że starano się udowodnić, że jestto „tosamo", co dotychczasowa jego twórczość. Pp. Mrozowska, Solski, Weychert grali doskonale.

Ze sztuki i z życia.

O „Pochód wawelski“ Szymanowskiego.

Od Kapitolu do skały tarpejskiej nigdzie na świecie nie jest tak blisko, jak w Polsce. Żadne społeczeństwo kulturalne nie jest tak pochopne do zmieniania swych sądów o tych samych ludziach, tych samych zjawiskach — i to w kierunkach biegunowo sobie przeciwnych. Uprzytomnijmy sobie, jaka za naszej pamięci przeszła galerya ludzi, o których rano wołano: biało! wieczorem: czarno! jednego dnia: geniusz, zbawca! a tuż niebawem zakopywano go we wspólnej mogile bezimiennych, lub w specyalnym dole błota. Charakteryzuje to dostatecznie głębię naszych sądów, szczerość entuzyazmów, no i odwagę przekonań. Bo wszelkiemu słabemu sumieniu towarzyszy tchórzostwo. Niech tylko na boga chwili, albo nawet nietylko chwili ktoś rzuci się z dostatecznym tupetem — jak łatwo zaimponuje, uchwyci jeśli nie cel swój, to masę widzów za łeb, sterroryzuje, wywoła stokrotne echo: strącić! strącić! Kochać, wielbić — większa to rozkosz dla wielbiącego, niż dla wielbionego, ale do takiej rozkoszy zdolne tylko jednostki o wielkich sercach; tłuszcza woli atawistyczne okrucieństwo, które dawniej przejawiało się w szarpaniu, kamienowaniu,. a jeszcze dawniej: w zjadaniu „wroga“ — wyładowywać przynajmniej wołaniem: ukrzyżuj go! I oto około boga chwili poprzedniej, albo nietylko chwili, robi się pustka. Przekonywa on się, ile warte uwielbienie tłumu — ile warta przyjaźń ludzka — ilu jest ludzi rycerskich, gotowych głowę nadstawiać za przyjaciela, lub za dobrą sprawę — ile warta nasza Królowa-opinia...

Kontrasty takie, krzywdy takie działy się od wieków, dzieją się wszędzie, ale tragedyami bywają u nas częściej, niż gdzieindziej. Z bardzo prostego powodu. Paryż — Londyn — Berlin: miasta milionowe, o licznych zróżniczkowanych warstwach społeczeństwa. Tam człowiek z talentem, z duszą, znajdzie należytą ocenę i posłuch jeśli nie u tej warstwy, to u drugiej, jak nie u klasy panującej, to u dojrzewającej kulturalnie masy, która nie jest związana tradycyami, ma wrażliwość, zapał. U nas w najinteligentniejszem mieście polskiem, w Krakowie, mamy garstkę tylko znawców, drugą garstkę snobów, potem mrowie analfabetów — nie wyjmując rozmaitych pp. radców. A garści te Ateńczyków żadnego wprawdzie Partenonu jeszcze nie wotowały, zato ilu Fidyaszów unieszczęśliwiły! Ateńczycy ci nie wydali jeszcze ani jednego Sokratesa, iluż zato Meletusów!

Świeżo doznał na sobie zmienności losów Wacław Szymanowski.

Żył artysta długie lata w Krakowie, obcy „zwartej większości“, samotny. Rzucił malarstwo, które przyniosło mu najwyższe odznaczenia, rzucił Paryż, który odznaczył go był, jak żadnego dotąd rzeźbiarza polskiego — zamknął się w pracowni, wśród cichych marzeń i morderczej pracy, gdyż uśmiechała mu się Chimera, mara wielkości Polski — i tę chciał zakląć w kształt i brąz, tę chciał rozpiąć nad wzgórzem wawelskiem, by jako ów znak biblijny świeciła narodowi. Kto głowę podniesie — ukojenie, zdrowie stąd będzie czerpał. Ot, chimera artysty! Nie należał p. Szymanowski do „naszych znanych“, „naszych sympatycznych“. Nie

wznosił toastów na bankietach, nie przesiadywał w kawiarniach z dziennikarzami, nie figurował w fejletonach. Surowy anachoreta pracy, dla ideału żył swego, marę gonił.

I opanował swą wizyę.

Jednego dnia Kraków, Polska cała dowiaduje się via Wiedeń, że Szymanowski wystawił „Pochód wawelski". Tryumf rzeźbiarza niebywały, zarazem tryumf sztuki polskiej, gdyż dzieli go z nim najwyższy żyjący malarz polski; tryumf sztuki narodowej, gdyż treść, ujęcie, temperament — wszystko to w każdym atomie odmienne, niż u innych narodowości, a nie ustępuje im pod względem doskonałości technicznej, wszystko to własne i polskie. Depesza o powodzeniu za depeszą. Literaci, krytycy, ekscellencye, osoby z ludu i z dworu, wszystko to pielgrzymuje do Secesyi, by widzieć polskich wielkoludów. Kolonia polska, bezpośredni świadek tryumfu rodaka, rośnie w dumę. Trzeba uczcić rodaka. Zaproszenia, bankiety, mowy. Jednego dnia artysta zostaje zaskoczony niespodzianką: Koło polskie, najwyższa reprezentacya narodu, przesyła mu wyrazy hołdu i uznania. Chwała Bogu! Marzenie się zrealizuje, „Pochód wawelski" będzie Pochodem na Wawelu.

Ale ręce umiejące tylko ściągać z Kapitolu, — czuwają.

Kilka ledwie tygodni od apoteozy minęło — gdzież jej nastrój, gdzie jej przewidziany, spodziewany skutek?

Zjawiły się owe ręce.

Stare, znane. Zawsze się zjawiają, gdy trzeba tłumić jakiś entuzyazm w narodzie, jakąś nową myśl twórczą, jakiś blask, rozlewający się po świętem wzgórzu narodowem. Od tego gotowe zapłonąć serca!

To nie przypadek, że artykuły przeciw „Pochodowi" pojawiają się w „Czasie".

O tem, że pierwszy artykuł, z pod pióra Ekscellencyi Pinińskiego, został zamówiony, redakcya uprzedza. Artykuł drugi, z pod pióra dra Szydłowskiego, nie jest zapewne robotą na obstalunek, nie odmawiam dobrej wiary młodemu autorowi, ale istnieje pewien dobór, istnieje konsekwencya z przebywania na podwórku „Czasu". Jeżeli ktoś w pierwszej młodości nie jest zdolny do porywu entuzyazmu, do intuicyi współtwórczej, a tylko obnosi się z konwencyonalną, oficyalną miarą i wagą — nie gratulujemy mu, choć „Czasowi" można nabytku gratulować.

I jest metoda w owem opiekowaniu się „Czasu" wielkiem dziełem sztuki. Redakcya drukuje naprzód wiadomości z Wiednia o wielkiem, bezwzględnem powodzeniu arcydzieła polskiego. Czytelnicy, o ile wierzą redakcyi, stają się zwolennikami pracy p. Szymanowskiego. Stopniowo — odwrót; zjawia się głos p. Pinińskiego. Czemu do niego właśnie redakcya zwróciła się po opinię, a nie do kogoś, znanego, jako zwolennik ustawienia Pochodu na krużgankach Wawelu? Na tem właśnie polega system. Dalej. Ekscellencya pisze z wielkiemi pochwałami: „Zaliczam się do tych, którzy artystyczną wartość Pochodu bardzo wysoko cenią". „Dla wielkiego talentu rzeźbiarskiego autora Pochodu mam nietylko uznanie, lecz szczery podziw" i t. d. — p. Piniński jest tylko przeciwny umieszczeniu dzieła na miejscu przez artystę wymarzonem. — Po tej opinii drukuje się artykuł p. dra Szydłowskiego, który nietylko przemawia przeciw ze-

spoleniu dzieła Szymanowskiego z Wawelem, lecz wogóle przeciw dziełu, odmawiając mu wszelkiej wyższej wartości artystycznej. Dla p. Pinińskiego „Wacław Szymanowski jest artystą pierwszorzędnej miary“. „W dobie dzisiejszej jest niezawodnie Szymanowski najświetniejszym naszym rzeźbiarzem, a nawet jedynym (? Red.) pierwszej miary artystą, którym na tem polu możemy się poszczycić“. P. Szydłowski dekretuje już: „Szymanowski bynajmniej w dziele swem nie ujawnił specyalnych zdolności do kształtowania tak wielkich plastycznych form“ — „nawet w swym szkicu nie okazuje bardziej interesującego, istotnie po rzeźbiarsku pomyślanego całokształtu“ i t. d. Po takiem stopniowaniu sądów i zamknięciu dyskusyi, można czytelnikom „Czasu“, wierzącym swemu sumieniu dziennikarskiemu, powinszować.

Jest plan w tej kampanii i jest konsekwencya. Ostatecznie i p. Piniński i p. Szydłowski zdążają do jednego celu praktycznego: by nie dopuścić umieszczenia pomnika na murach wawelskich.

Czytelnicy pamiętają, o co chodzi. Dziedziniec wawelski jest jednym z najpiękniejszych pomników architektury z tą swoją galeryą, ujętą na wysokości drugiego piętra w prześliczne, smukłe kolumny. Brak mu jednakowoż czwartej ściany; tę część, niegdyś zajmowaną przez kuchnie i stajnie królewskie, już za czasów austryackich przerobiono, przetworzono w budynek szpitalny, bez stylu, bez charakteru, pamiątkowy chyba ze względu na barbarzyństwo gospodarzy. Te budynki poszpitalne Szymanowski pragnie usunąć, w wolne miejsce — zamiast czwartej ściany — wsunąć galeryę, stylowo zupełnie odpowiadającą trzem pozostałym ścianom, a na niej stanąłby „Pochód“, wizya przeszłości, wyszłej z jednego skrzydła gmachu, by w drugiem zniknąć — fala płynna — korowód duchów, groźnych i majestatycznych — dzieje bohaterskie narodu, śnione przez Wawel, wędrujące w śnie kamiennym.

Pomysł, upajający swą poezyą, wcielony w potężne swą wymową, cudne swym rytmem postacie. Na owem podwyższeniu, na tle błękitnej atmosfery, ów pochód gigantów snułby się przed oczyma widzów, jako sen na jawie, już zdala widzialny, jako straż i orszak patronów Akropolu, serce podnosząc swym majestatem, oko pieszcząc swemi liniami, w dusze się zapadając, jako forma niespożytego piękna. Swoi i obcy wędrowaliby tutaj, by nietylko w katakumbach sarkofagi, ale i owych sarkofagów mieszkańców zmartwychwstałych widzieć: przeszłość narodu unieść nie jako tchnienie prochów, ale i jako kształt artyzmu, rzeźbiący duszę.

Tu jednak pojawia się opozycya pp. Pinińskiego i Szydłowskiego. Skąd będziemy oglądać ów Pochód? pyta pierwszy. Z tarasy, dźwigającej figury, oczywiście nie; będzie zamknięta. Z wewnątrz więc, z odległości? Ależ byłby wówczas niezrozumiały i niewidzialny („jak piękny biust, ustawiony na dzwonnicy“); „ale gdyby nawet przypuścić, że wskutek olbrzymich rozmiarów mogłoby się przecież z odległości odróżnić nieźle poszczególne postacie, to przecież widziałoby się tylko ten rząd figur, które się znajdują ze strony patrzącego: z figur, znajdujących się z drugiej strony, dostrzegałoby się tylko ułamki“...

Rozumowanie wspaniałe swojem pragnieniem dostrzegania i zro-

zumienia na pierwszy rzut oka, sprowadzające się ostatecznie do nienowego postulatu, by dzieło sztuki było ostrygą, którą odrazu bez trudu można połknąć. Że dzieło będzie niezrozumiałe — być może; analfabetów mamy i zawsze będziemy mieli nawet wśród najwyższej inteligencyi; ale że będzie niewidzialne? Zaświadczcież przeciw temu wy! postacie na wszystkich niebosiężnych kolumnach, na wszystkich fryzach i frontach! Te ostatnie są, prawda, płaskorzeźbami, ale obejrzenie płaskorzeźby wysokiej trudniejsze jest chyba, niż rzeźby figuralnej, o gigantycznych rozmiarach, rysującej się na tle lazuru i krużganków.

P. Szydłowski widzi inną przeszkodę: niezgodę architektonicznej oprawy pomnika z architekturą dziedzińca wawelskiego. P. dr Szydłowski szeregiem poważnych dzieł — których nie znam — dał już dowód poważnego znawstwa, ale warto przypomnieć, że owe arkady, mające stanowić podstawę pomnika, ukształtował p. Zygmunt Hendel, który trochę się zna na architekturze i na Wawelu, bodaj dlatego, że od przeszło 20 lat na tem polu pracuje, od przeszło 10 lat wgłębia się w tajniki Wawelu, jako kierownik dzieła odnowy.

Nie o autorytet jednak chodzi, lecz o ideę sztuki żywej. W ostatecznem rozumieniu argumenty przeciwników p. Szymanowskiego opierają się na ich doświadczeniu, niezgodnem z pierwiastkiem nowości, jaki artysta chce światu narzucić. Krytycy owi patrzą oczyma przeszłości, formuł, rutyny, na śmiały poryw twórcy, urągającego dotychczasowym formom. Nie można — powiadają — ustawiać dzieł sztuki tak wysoko, nie będą przemawiać, t. j. wywoływać artystycznego wrażenia...

Wielcy bogowie, ileż razy słyszeliście już podobną argumentacyę i to z ust „znawców“, i to nie byle jakich. Śp. Winckelman i Lessing twierdzili, że nie można rzeźbić figury o otwartych ustach — przyszedł pewien Rude i dał Geniusza („Marsylianki“) o ustach rozwartych, jakby z nich sto gromów miało wypaść. P. Piniński jest zdania, że nie można figur ustawiać zbyt wysoko; mieszczanie w Calais, dzisiejsi, żywi, byli oburzeni, gdy niejaki p. Rodin zażądał, aby jego apoteoza figuralna dawnych mieszczan z Calais została ustawiona na tak niskim postumencie, iżby postacie rzeźbione prawie zmieszały się z tłumem, weszły niejako w życie, stanowiły część życia. Co za idea — nieprawdaż? Postacie bohaterskie, wmieszane w dzisiejszy tłum mieszczański! Temuż p. Rodinowi zarzucano, że jego figury nie są w geometryczną figurę ułożone; Szymanowskiemu zarzuca się, że jego kompozycya jest nieskoordynowaną. Zarzucają mu nadmiar szat — ciekawa rzecz, co powiedzieliby stróżowie, gdyby tych szat nie był dał. Stare, stare to jak świat zarzuty wobec każdego nowatora, każdego artysty-twórcy, wnoszącego nowe formy; stęchłe formuły doktrynerów lub dusz filisterskich, które zarzucają n. p., że nie można będzie „Pochodu“ odrazu objąć okiem. Hipolit Taine w swoich wykładach o „Rzeźbie w Grecyi“ doskonale wytłómczył, czemu architektoniczne i rzeźbiarskie dzieła Hellady były stosunkowo małe, odrazu dawały się ogarnąć wzrokiem. Dzisiaj tego warunku nie stawiamy żadnej świątyni, żadnemu monumentowi; każde takie dzieło musimy okrążyć i... studyować, tak jest, panowie, studyować uczciwie, jeśli chcemy mieć coś więcej, niż

impresyę, dobrą dla połykacza ostryg lub wojażera pędzącego z karawaną Cooka.

Inna kategorya zarzutów odnosi się wrogo do utworu Szymanowskiego, gdyż naruszyłby nietykalność Wawelu. Ha, jeśli w ten sposób mamy rozumować, pocóż dyskusya nad wartością dzieła artystyczną. Trzeba odrazu powiedzieć: my, c. k. konserwatorowie, nie pozwalamy na żadne zmiany, ważniejsza jest zasada konserwatorska, niż dzieło niewiadomo jakiego geniusza. Wypada tylko zapytać p. Pinińskiego, który z taką dumą uderza w swą tekę konserwatora: gdzie były sumienia konserwatorskie, gdy świątynię wawelską przyozdobiono nowemi dziełami rzeźbiarskiemi i malarskiemi, które chyba nie wszystkie mogą się równać z monumentem Szymanowskiego. Czy wnętrze katedry nie podlega owemu „tabu“ konserwatorów, a świętością nienaruszalną są tylko śp. kuchnie i stajnie, za czasów królewskich nigdy niewykończone artystycznie, za czasów austryackich do reszty zeszpecone, dziś zohydzające tylko Wawel? Wszak panowie wiedzą dobrze, że prędzej czy później ten budynek będzie musiał być usunięty, i czyż istotnie inna przybudówka godniej spełni swoje zadanie, niż Pochód?

Argumenty, skierowane przeciw umieszczeniu Pochodu na arkadach wawelskich są tak nikłe, że mimowoli myśl musi poszukiwać innych motywów nagłej tej niechęci sfer „Czasu“. P. Piniński woła, by rzecz traktowano ze stanowiska wyłącznie artystycznego; metoda „Czasu“, wskazująca wyraźnie na kampanię, budzi jednak aż nadto uprawnioną nieufność. I oto lwowska „Sztuka“ zwraca uwagę: pierwszą krytykę nieprzychylną dzieła Szymanowskiego napisał we Wiedniu... sekretarz hr. Lanckorońskiego. Nie tu miejsce na zajęcie się osobą p. Lanckorońskiego; przyjdzie czas przyjrzenia się i temu „mecenasowi“ sztuki, ale — jak pisze organ lwowski — obcej. Z tego źródła wyszło hasło przeciw Szymanowskiemu; padło w dzienniku półoficyalnym, mającym stosunki z „najwyższemi“ sferami...

Teraz chyba stanowisko „Czasu“ zrozumiemy.

Tak jest. Rozumiemy teraz, jakie tu wpływy wchodzą w grę, o co się właściwie rozchodzi.

Szymanowski chce Wawel uświetnić dziełem żywem, burzącem może stare pojęcia pp. mecenasów, ale będącem tryumfem sztuki i to tej, która budząc podniosłe uczucie, entuzyazm narodowy, sprawia, co mówi Schiller: weil es die Schoenheit ist, durch welche man zu der Freiheit wandert.

Musieli przeto wpoprzek się położyć — gasiciele.

Czy to po raz pierwszy?

Wszak na kartonie zastygły, zamiast płonąć światłami witraży, przeznaczone dla Wawelu pełne grozy, wstrząsające duszą polską, wizye Stanisława Wyspiańskiego...

Jest we wszystkiem, co się u nas dzieje, system.

I wynikiem tego systemu: prowadzenie artysty, którego pod pierwszem wrażeniem na Kapitolu się wieńczyło — na skałę tarpejską.

„Czas“ swoje zadanie spełnia dobrze.

A opinia narodowa?

Powołani w pierwszym rzędzie do zabrania głosu pp. artyści milczą. „Krytyka“ była jedynem pismem, co otworzyło swe łamy zwalczaniu starych koteryj, torowaniu drogi wolnemu Związkowi artystów. Świeżym talentom i ideom chciała torować drogę: skończyło się na tem, że w wolnym Związku rozlegają się głosy, iż artyści powinni się zorganizować w cech średniowieczny. Gdy jednego z największych artystów polskich odsądza się od miana rzeźbiarza, gdy traktuje się sprawę Wawelu — artyści nie mają nic do powiedzenia.

A cóż wszyscy owi mężowie publiczni, którze we Wiedniu podpisali adres zbiorowy do mistrza? Czy podpis ich ma jakieś znaczenie poważne, czy w drodze z Wiednia do Lwowa zmienili swoje przekonanie estetyczne, jak to nieraz się dzieje z politycznem?

Najbliższa pokaże przyszłość.

Los „Pochodu“ Szymanowskiego jest jedną z prób nietylko artystycznej naszej kultury. Pokaże się, czy zacieśniła się, czy rozszerzyła w Polsce odległość, dzieląca lekkodusznie Kapitol od skały tarpejskiej. Pokaże się, czy natchnienie na Polskę zawsze ma spływać ze źródeł „Fremdenblattu“ i „Czasu“. Pokaże się, czy więcej kochamy przeszłość nawet w najmniej wartościowych jej surogatach, czy tę sztukę wielką, to piękno nieśmiertelne, które — raz jeszcze powtórzymy słowa Schillera — prowadzi do swobody. *Tadeusz Bezimienny.*

SPRAWOZDANIA.

Marcelina Kulikowska: Frania. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“.

Drobne nowelki, których myśl krąży bezustannie około śmierci. Świat przedstawia się autorce, jako zbiorowisko nędzy, brutalstwa, bezducha, w najlepszym razie: nierozumienia się wzajemnego. Ludzie są sobie wzajem obcymi, niechcący jeden drugiemu depce kwiat duszy. Zapomnienie przynosi chwilowa ucieczka od życia, ale za tem oderwaniem się od rzeczywistości — idzie śmierć.

Istotką przez życie skrzywdzoną jest sierota Frania. Raniona przez macochę, uwierzyła w „prawdziwą mamusię“; dziecinnemi, rozegzaltowanemi oczyma widzi jej zjawę na oparach Wisły — idzie do niej i ginie.

Pani marszałkowa czarowała swą urodą całą Ukrainę. Nagle rak zaczyna toczyć jej wnętrzności. Wobec pokojówki robi próbę, jak będzie wyglądać w trumnie: każe się otoczyć kwiatami, welonami, resztką sił pragnie przetrwać w pamięci czarem piękna.

Babcia dogorywa. Wnuk z pod poduszki wyciąga klucze, by zabrać jej książeczkę kasową.

„Mamzelka“ przyjmując służbę bony, „musi zatajać“, że ma dziecko i to nieślubne. Na widok szczęścia cudzych dzieci — piekielne znosi katusze.

W takich obrazach przedstawiało się autorce życie. Ni jednej próby rozproszenia tych cieni.

Jest jednak i druga tragedya.

Organizacya artystyczna autorki nie była doskonałą. Obrazki wyżej scharakteryzowane są szare. Z wyjątkiem „Pani Marszałkowej“, robiące wrażenie samym tematem, inne są opowiadaniami o wypadkach, nie ich wcieleniem. Gdzieniegdzie przytem komentarz, prowadzenie czytelnika za rękę.

Dusza szamocząca się autorki, a wznosząca się nad swój ból, by odczuwać ból istnienia wogóle — to najwięcej ujmuje, napawa serdecznem współczuciem.

To samo wrażenie pozostaje po kartkach jej pamiętnika („Z dziejów duszy“. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“). Przemawia tu zgasła tragicznie autorka z większą bezpośredniością, silniej też działa. Wrogość życia i bezsiła własna—koło przeklęte, z którego śmierć wyjściem. Nieraz dla męczarni swej znajdowała obraz myślowy istotnie mocny. „Nietzsche wszystko przejrzał, przenicował, zniszczył... a potem dostał obłędu. Nie można w oczy patrzeć rzeczywistości, doznaje się zawrotu głowy“. Charakterystyczne, jako subjektywne odczucie Nietzschego. Czasem ów ból znajduje wyraz liryczny prawdziwie piękny, bo wypływający z prawdziwej rozpaczy osamotnienia:

A kiedy przyjdę do mojego domu,
Któż drzwi otworzy,
I na schylone, smutne czoło moje
Rękę położy?
A kiedy siędę przy ogniu wieczornym,
Któż przy mnie siędzie,
Gdy duch ogniowy wszystkie żale swoje
Śpiewać mi będzie?

W tem szamotaniu się swojem autorka niezmiernie jest typowa dla pewnej kategoryi dusz kobiecych. Zdobywa się na chwile buntu myślowego, np. gdy kwestyonuje podstawowe pojęcia „cnoty“ kobiecej, właściwie panieńskiej, zamknięcie sobie przez nią życia. Brak jednakowoż siły do przemyślenia buntowniczych idei, do wysnucia z tego świeżego źródła dzieła sztuki. Wraca więc do szarzyzny i szamotania się—i w tem bolesna jej tragedya...

Edw. Paszkowski: Rozbitki. Z kroniki kresowej. Warszawa, Gebethner Wolff.

Chodziło o przedstawienie społeczeństwa kresowego niejako w przekroju...

Reakcyoniści, sprzedawczykowie i zahukani pracownicy uczciwi, żubry i utracyusze, różnego gatunku działacze pozytywni, zimni i obojętni na wszelkie kwestye społeczne i narodowe, a idealiści ślamazarni, niedołężni; mężczyźni zepsuci — niemrawi, kobiety w niewoli tradycyi i przesądów, bierne, obłudne, poziome... Całe pokolenie duchowo wyblakłe, zdemoralizowane beztroskim bytem na żyznym czarnoziemiu pól ukrainnych.

Niezaradność, grynderstwo i gnuśność, materyalizm elementarny i tchórzostwo polityczne, zatrważająca jałowość duchowa i kulturalna —

oto cechy wybitne naszych „niepoprawnych“. Na zdegenerowane szczątki szlachty kresowej czycha smok zagłady ekonomicznej i zruszczenia.

Perspektywy smutne niezmiernie, pomimo usiłowań pokazania ze strony autora, że odnowienie tej warstwy leży w rzeszach dzierżawców, oficyalistów i szlachty uboższej, dorabiającej się grosza. Do ruchu rewolucyjno-opozycyjnego odnosi się autor z wyraźną niechęcią i potępieniem — kresem jego marzeń liberalizm umiarkowany i połowiczny.

Treść i temat powieści stanowi w tym wypadku rzecz najważniejszą. Tendencya, przesiąkając rzecz do dna, tworzy jedyną dość słabą więź luźnych epizodów kroniki kresowej, jak słusznie sam autor ją nazywa. Tłumy osób czynnych wyprowadzone są miękko, bez plastyki.

Na „Rozbitków“ złożyło się kopiowanie i kombinacya cokolwiek dowolna szczegółów z obserwacyi autorskiej, zabarwionej publicystycznemi refleksyami; materyał, to — nie artyzm wytrawny.

Dr. E. W.

Tadeusz Rakowiecki: Szkice krytyczne o twórczości Żeromskiego. Nakładem autora. Warszawa 1910.

Zawarte w tej książce szkice o „Popiołach“, o „Walgierzu“, o „Dziejach grzechu“ są nierównej wartości. Najwięcej nic nie mówiących sformułowań w pierwszym szkicu o „Popiołach“; bezwartościowe są wywody o „Walgierzu Udałym“; najlepsze jeszcze pod względem myślowym uwagi o „Dziejach grzechu“, lecz fałszywe metodycznie, bo autor obchodzi się z dziełem sztuki, jak z systemem filozoficznym, jakby Żeromski nie powieść napisał, lecz traktat o „wolnej woli“.

Nieliczne znajdujemy w książce twierdzenia zupełnie trafne, przeważna ich część wymagałaby sprostowania i polemiki.

Dorywczo tylko i przygodnie możemy — ze względu na brak miejsca — te sprawy na marginesie książki p. Rakowieckiego potrącić. Oto n. p. „Popioły“. Autor nieopatrznie wikła się w terminach subjektywizmu i objektywizmu, syntezy i t. d. Subjektywizm raz oznacza u niego sposób artystycznego ujmowania zjawisk, innym razem pewien kierunek epistemologiczny i t. d. Ciągle też raczy nas „syntezą“ — a termin ten nie oznacza dlań pogodzenia czegoś, zlania organicznego różnych elementów, lecz tylko istnienie obok siebie różnych pierwiastków. Stąd ogólniki, że „Popioły“, to „synteza duszy polskiej jednostkowej i zbiorowej i ziemi...“ etc.

Nie wydaje mi się też rzeczą uzasadnioną tłómaczyć tytuł przez „relikwie, święte popioły narodu“; Żeromski nie widzi w legionistach „rycerzy świętych, apostołów-męczenników“. Widzi bowiem zawsze bohaterstwo zmieszane z krzywdą. Czyn dodatni ma ciemne strony. Dzieła więc legionistów podobne były do tych gruzów aryańskiego kościółka („Popioły“, I, 9): ofiary i bohaterstwa istniały, istniały dobre myśli, wszystko znikło nie w pamięci historyka, lecz w uczuciach ludzkich. Z czasów tych zostały w sercach tylko popioły. Taki punkt widzenia jest właśnie dla Żeromskiego charakterystyczny. W tem oświetleniu zrozumiałem będzie, że twierdzenia p. R. o syntezie, zlaniu się indywidualizmu, patryotyzmu i humanizmu u Żeromskiego są nietrafne, podobnie jak twier-

dzenia, że Żeromski widzi w chaosie „wysoki porządek, głęboką jedność, prawdziwy „kosmos“. Żeromski właśnie nie może pogodzić tych rzeczy, pełen jest sprzeczności, widzi, że nowe idee niosą z sobą i zbawienie i krzywdę, że bohaterstwu też towarzyszy krzywda. Da się zastosować do Żeromskiego zdanie Nietzschego, że dzisiejsi artyści „żądni wszystkiego, co... sprzeczne samo z sobą“.

Niechże mi p. R. pokaże zlanie się patryotyzmu i humanizmu w owej scenie u „wujaszka“ Nardzewskiego, kiedy u niego gości komisarz Hibl. Nardzewski jest patryotą. W bezsilnej rozpaczy strzela z pistoletu do celu, gdy mu komisarz opowiada o krakowskiej uroczystości hołdowniczej dla Habsburgów, lecz protest podnosi przeciw przywiezionym przez Hibla humanitarnym zarządzeniom o stosunku pana do chłopa. Tomek Zalesiak zostanie oćwiczony. Ponury głos bębna sołtysowego kończy wybuch patryotycznych uczuć szczerych i głębokich.— To ma być synteza patryotyzmu i humanizmu! Albo ów kulig, w czasie którego się rodzi miłość Rafała do Heleny; chłopi za czerwony złoty rozzuci i napół rozebrani przenoszą na tęgim mrozie sanie przez rzekę, a zawadyackie, tęgie życie krzesze tymczasem hołubce na brzegu rzeki. Rafałowi tańczącemu z Heleną zdaje się, że to już nie zabawa. ale pląsanie za szczęściem. — To ma być synteza indywidualizmu z humanitaryzmem! Przykładów dalszych możnaby bezlik podać.

Nie możemy tu wdawać się w dalsze szczegóły, przejść musimy do uwag autora o „Walgierzu“, podnieśliśmy bowiem zarzut ich bez wartości. Z trafnej uwagi o animizmie Żeromskiego wysnuwa autor dalsze wnioski, że w „Walgierzu“ przedstawione jest starcie pogaństwa z chrystyanizmem, że Żeromski jest „monistą, poganinem“, że staje po stronie wróża i widzi „obcość niemiecką poganizmu“, choć wie, że „to zgwałcenie ówczesnej naszej polsko-słowiańskiej natury“ było konieczne dla rozwoju. Otóż Żeromskiemu nie chodziło o ten motyw walki pogaństwa z chrześcijaństwem. To tylko ów rys tragiczny w jego psychice, któryśmy już poprzednio wskazali: Żeromski przekonany jest o konieczności nowego ruchu, lecz widzi, że droga jego prowadzi przez krzywdę. Dlatego płacze nad starym, zdeptanym wróżem: dzieje się krzywda w imię nowych idei. Nie jest też „Walgierz“ walką między indywidualizmem a uniwersalizmem. Powody opuszczenia króla przez Walgierza leżą w tem, że Walgierz nie wie, co cześć dla cierpienia i krzywdy, zna tylko bezwzględność walki. Dopiero, gdy sam poznał cierpienie, dokonywa się u niego przemiana (rozdz. VI), uznaje biskupią litość dla cierpienia i wraca do króla, nie widzi już w nim słabości. P. R. wpadł jeszcze na myśl doszukiwania się w „Walgierzu“ — alegoryi!!! Walgierz, to naród polski, Cudna, to złota wolność, Wielimierz, to... Hohenzollerni i t. d. Z tem chyba nie będziemy polemizować!

Najmniej opozycyi budzą uwagi autora o „Dziejach grzechu“. Budowa szkicu bardziej zwarta, znać pewne pogłębienie, oczytanie w nowych filozofach, większą ścisłość w używaniu pojęć, lecz mści się na pracy ów błąd metodyczny, któryśmy wytknęli na początku. Stąd przeważna część teoretyczych wywodów o wolności woli, konieczności i t. d. mogłaby odpaść. Tylko filozoficzny traktat można tak krytyko-

wać. Ale winy okupuje cały szereg trafnych spostrzeżeń; po przeprowadzeniu nieszczęśliwej antytezy „Popiołów“ („dzieje cnoty“!) i „Dziejów grzechu“ wskazuje autor główne zagadnienie tej powieści: „unde sit malum“? i trafnie powiada, że „celem Żeromskiego było pokazać, jak w obecnie istniejących warunkach dobro przeradza się w złe, jak marnują się najcenniejsze skarby duchowe. Powieść jego, to historya pohańbionego dobra.“ Równie słusznem twierdzenie, że Żeromski nie dostrzega „granicy bezwzględnej“ między dobrem i złem. Mniej zadowalają końcowe uwagi, w których autor znów powraca do kwestyi indywidualizmu i uniwersalizmu; polemiki wymagałoby również powiedzenie, że przyczyny zła widzi Żeromski: 1) w braku siły woli i entuzyazmu, 2) w wadliwym ustroju społecznym. Zgoda na punkt drugi, lecz pierwszy fałszywie ujęty. Niestety, brak miejsca nie pozwala na szczegółowe przeprowadzenie zastrzeżeń.

Na końcu książki mieszczą się dwa artykuły dziennikarskie: „Z powodu artykułu Micińskiego“ i „Żeromski a myśl europejska“.

Dr. K. S.

R. Woerner: Henrik Ibsen (1873—1906), München 1910, Beck'sche Verlagsbuchhandlung.

Tom pierwszy tego dzieła, poświęcony wcześniejszej twórczości Ibsena, pojawił się w r. 1900; niedawno wyszedł tom drugi, omawiający współczesne dramaty, od „Związku młodzieży“ do „Epilogu“. Na 350 przeszło stronach omawia autor poszczególne utwory, okoliczności, towarzyszące powstaniu, tło i „modele“, kreśli sylwety postaci naczelnych i znaczenie utworów, zestawia i porównywa z uprzednią twórczością sceniczną — francuską Augiera i Dumasa młodszego, wykazując stopniowe uniezależnienie się Ibsena od ich techniki — z niemiecką Henryka Kleista, Grillparzera, Hebbla.

Książka poświęcona analizie; cechą jej znamienną metoda, nie dążąca do uproszczeń, nie sprowadzająca do cech wspólnych kosztem właściwości odrębnych, lecz śledząca właśnie te załamania i zwroty myśli i formy, doszukująca się różnic. Stąd wynika operowanie materyałem znacznie bogatszym spostrzeżeń, bogactwo większe omawianych problemów, bo autor nie schematyzuje. Woerner dalej nie retoryzuje, nie stara się przekonywać, więc nie powtarza pewnych rzeczy, nie kładzie nacisku. Zaczepia o pewne problemy i od jednych przechodzi do drugich. Niemiłą może być zrazu pewna lapidarność, oschłość i twardość, lecz gdy się przywyknie, wysuwa się dla czytelnika na plan pierwszy obfitość problemów, wczucie się w myśli i postacie i rzeczowość nie tracąca czasu na słowa. Nastawianie odmiennie i rozwiązywanie zagadnień i ujmowanie ich z innej strony — n. p. optymizm „Wroga ludu“ i zwątpienie w „Dzikiej kaczce“, sympatye dla „Wolnego pogaństwa“ w Rosmersholm (?), a przypatrzenie mu się bliższe w „Hedzie Gabler“ — oto linia łamana, po której idzie myśl zasadnicza Ibsena. Nasuwa się jednak pytanie: czy nie możnaby uwydatnić silniej jednolitości myślowej dzieł Ibsena, czy różnice nie polegają silniej na przedmiotach twórczości i ich wyborze, niż na samym Ibsenie? — W dramatach wcześniejszych zaprząta Woernera głównie sprawa techniki pisarskiej, w osta-

tnick — postawienie ich na tle życia. Trwałe rezultaty książki, to uwydatnienie ewolucyi symbolu u Ibsena (str. 200—201) — zrazu paralelność akcyi i symbolu, jako przydatku wyjaśniającego w „Dzikiej kaczce“, dalej dualizm charakterów, tłómaczonych i symbolicznie i realnie („Pani morza“, „Mały Ejolf“), wreszcie złączenie się obu pierwiastków w „Solnessie“ i „Epilogu“. Dodaćby tu należało symbole całości, pokrywające się z akcyą w „Brandzie“ i „Peer Gyncie“. Dalej świetne psychologiczne sylwety Stensgarda z „Związku młodzieży“, Jadwigi z „Dzikiej kaczki“, subtelne oświetlenie stosunku Rosmera do Rebeki z Rosmersholmu — oto najpiękniejsze ustępy, nie wszystkie bowiem dla braku miejsca możemy tu omówić. Są jednak i rzeczy, na które zgodzić się trudno — i tak n. p., Rebeka, jako symbol Germanów pogańskich, i wysunięcie na plan pierwszy w „Rosmersholm“ sprawy chrześcijaństwa.

Na zakończenie wspomnieć należy o wzorowem operowaniu materyałem biograficznym, nie używanym dla celów anegdotycznych, lecz mającym za cel umiejętne ogromnie oświetlenie dzieł. Słowem, bardzo rozumna książka Woernera daje bardzo wiele tak pod względem faktów, jak i metody i dlatego zasługuje ze wszech miar na przeczytanie.

Włodz. Jampolski.

NOWE KSIĄŻKI.

Poezye. Jan Pietrzycki: O Erosie i winie. Przekłady z Safony, Anakreonta i poetów polsko-łacińskich. Wyd. II. Lwów, Księg. L. Chmielewskiego. — Wacław Wolski: Arcana. Warszawa, Księg. St. Sadowskiego. — Ludomir Benedyktowicz: Zaklęte jezioro. Poemat w 7 pieśniach. Kraków, druk. Aleksandra Rippera. — Thule: Altnordische Dichtung und Prosa. Jena, Eug. Diederichs. — Jan Lemański: Jasełka. Warszawa, Księg. E. Wende i Sp. — Adama Mickiewicza Pisma T. III. Wyd. prof. Kallenbacha. Brody, Księg. F. Westa. — Kalendarz wieczny. Wydał Jan Łoś; Adryana z Wieszczyc Wieszczyckiego Sielanki albo Pieśni (1634 r.), wydał St. Rachwał. Kraków, nakł. Akademii Umiejętności. — Miecz. Finkelstein-Ziębowski: Pieśń kobiety. Warszawa, Księg. Jana Fiszera. — Czesław Ciepliński: Przemiany. Kraków, Księg. D. E. Friedleina. — Jan Szymański: Poezye. Kraków, Gebethner i Sp. — Six Lyrics from the Ruthenian of Taras Shevczenko. Also The song of the merchant Kolashnikov from the Russian of Michail Lermontov. Renderends into English verse with a bibliographical skerth by E. L. Woynich. London, Elkin Mathews, Vigo Str.

Historya. Dr Ign. Schipper: Studya nad stosunkami gospodarczymi żydów w Polsce podczas średniowiecza. Lwów, nakład funduszu konkursowego im. Wawelberga. Skład gł. w Księg. B. Połonieckiego. — Dr Ernest Łuniński: Napoleon. Jego życie i czyny w obrazach. IX zeszytów. (Legiony i Księstwo warszawskie). Warszawa, Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. — Jakób Bojko: Okruszyny z Gremboszowa. Lwów, wyd. „Macierzy Polskiej“. — Dr Maryan Kukiel: Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej. Poznań, nakł. Zdzisława Rzepeckiego i Sp. — Emil Olivier: Ze wspomnień ministra. Wstępem poprzedził

Fr. Rawita Gawroński. Lwów. — Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. T. XI. K. M. Morawski: Ignacy Potocki. Cz. I. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Oswald Balzer: Skartabelat w ustroju szlachectwa polskiego. Kraków, Akademia Umiejętności. — Cecylia Łubieńska: Sprawa dysydencka 1764—1766. Monografij w zakresie dziejów nowożytnych, pod kierunkiem Szymona Askenazego, tom XIII. Warszawa, Gebethner.

Wychowanie. Pedagogika. M. Mazanowski: Szkice pedagogiczne. Kraków, Księg. S. A. Krzyżanowskiego. — M. E. Boole: Przygotowanie dziecka do wiedzy ścisłej. Przeł. M. Sadzewiczowa. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Gospodarstwo. J. Froń: Ogród warzywny w małem gospodarstwie i przechowywanie warzyw. Lwów, nakład Macierzy Polskiej.

Grafika. Dessins de Rouveyre: Mort de l'amour. Avec, en appenice, une prose de Jean Moréas. Paris, edition du Mercure de France. — Ludwik Stasiak: Polska plastyka średniowieczna. Kraków.

Dramat. Ks. Fr. Navarra: Tragedya 1893 i dramaturgia 1910 r. Kraków, Gebethner. — William Shakespeare: Dzieła dramatyczne w 12 tomach. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Leopold Staff: To samo. Dramat w 3 aktach. Lwów, Księg. Polska B. Połonieckiego. — F. Lubierzyński: Illuzye. Komedya. Kraków, Gebethner. — Eug. Polender: Koleżeńska miłostka. Warszawa, Księg. K. Idzikowskiego. — Michał Flamm: Przemiany. Dramat w 3 aktach. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Andrzej Galica: Robert Szporn. Dramat w 4 aktach. Kraków, Tow. wydawnicze „Książka".

Sztuka. Literatura. Michał Sobeski: Interludya. Z pogranicza sztuki i filozofii. Kraków, wydawnictwo „Książnicy naukowej i artystycznej". Gebethner i Sp. — St. Pigoń: O księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego Mickiewicza. Kraków, Gebethner i Sp. — Cezary Jellenta: Grający szczyt. Studya syntetyczno-krytyczne. Kraków, S. A. Krzyżanowski. — Hipolit Taine: Filozofia sztuki. Przełożył A. Sygietyński. 2 t., 48 ilustracyj. Lwów, Księg. Polska B. Poł nieckiego. — Kazania sejmowe Skargi. Wydał i przedmową poprzedził Ign. Chrzanowski. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Mich. Waligóra: Za duchem wieszcza. (Kilka nowych myśli o Mickiewiczu). Kołomyja, Księg. M. Żyborskiego. — Aleks. Brückner: Jana hr. Potockiego prace i zasługi naukowe. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Helena d'Abancourt de Franqueville: Linia i plama w malarstwie. Kraków, odbitka z „Krytyki". — Tad. Grabowski: Juliusz Słowacki. Żywot i dzieła na tle współczesnej epoki. T. II. Kraków, Gebethner i Sp. — Ida Boy-Ed.: Charlotte von Kalb. Jena, Eug. Diederichs. — Stendhal: Reise in Italien. Jena, Eug. Diederichs. — Prof. Roman Dyboski: Romantyzm a krytyka dzisiejsza w Anglii. Kraków, Księg. Spółki wydawniczej Polskiej. — Dr Wiktor Hahn: Rok Słowackiego. Księga pamiątkowa obchodów, urządzonych ku czci poety w r. 1909. — Tenże: Pamiętnik zjazdu historyczno-literackiego im. Juliusza Słowackiego we Lwowie. Lwów, nakład Komitetu obchodu setnej rocznicy urodzin poety. — Prof. Dr R. Dyboski: Alfred Tennyson. Jego życie i dzieła. Kraków, Księg. Spółki wydawniczej polskiej. — Ludw. Stasiak: Rewindykacye własności naszej. Kraków, Gebethner i Sp.

Filozofia. Psychologia. Nauki przyrodnicze. Alfred Binet: Dusza i ciało. Nakład Polskiego Tow. nakładowego. Kraków, Księg. St. A. Krzyżanowskiego. — Dr A. Wróblewski: Przyrodniczo-naukowa teorya moralności. Kraków, nakł. „Czystości". — Dr R. Radziwiłłowicz: Zagadnienia psychologii. Kraków, Spółka

nakładowa „Książka“. — Thomas Huxley: Zasady fizyologii. W opracowaniu prof. dra Rosenthala, przełożył dr Ad. Lande. Warszawa, Księg. G. Centnerszwera i Sp. — Dr Wł. Horodyski: Pojęcie stosunku przyczynowego. Wyd. II. Kraków. Gebethner i Sp. — P. Jaurès i P. Lafargue: Idealistyczne a materyalistyczne pojmowanie dziejów. Kraków, wydawnictwo „Życie“. — K. Kautsky: Etyka w świetle materyalistycznego pojmowania historyi. Kraków, wydawnictwo „Życie“. — S. Newcomb: Astronomia dla wszystkich. Przełożył R. Merecki. Warszawa, nakład H. Lindenfelda. Księg. G. Centnerszwera i Sp.

Powieść. J. Weyssenhof: Znaj pana. Warszawa, Gebethner. — Włodzimierz Perzyński: Wiosna. Nowela. Warszawa, Księgarnia E. Wende i Sp. — Wiktor Hugo: Człowiek śmiechu. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Kap. Danrit: Człowiek-ptak. Powieść dla młodzieży. Warszawa, E. Wende i Sp. — Wł. St. Reymont: Ave patria. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Zygm. Kisielewski: Wędrowiec. Warszawa. nakł. J. M. Muszkowskiego. Księg. G. Centnerszwera. — W. Gąsiorowski: Bem. Powieść historyczna z 19 w. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Publicystyka. Stefan Żeromski: O przyszłość Rapperswilu. Kraków, nakł. wydawnictwa „Życia“. — Dr Z. Daszyńska-Golińska: Alkoholizm w Galicyi i jego znaczenie. Warszawa, wyd. „Zdrowia“. — J. Orka: Kobieta w sejmie i gminie. Warszawa, Księg. Powszechna. — S. Posner. J. K.. S. Mielgunow: Pamięci Ant. Zaremby. Moskwa. — Leon Wasilewski: Ukraina i sprawa ukraińska. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“. — H. Ławska: Lud polski a parlament austryacki. Kraków, wydawnictwo „Latarni“. — L. Kulczycki: Bankructwo narodowej demokracyi w Galicyi. Kraków, Księg. St. Krzyżanowskiego.

Biblioteka Powszechna Zuckerkandla. Romanowski: Łużeccy. — Bernatowicz: Pojata. T. II. — Charakterystyki literackie: Kazimierz Przerwa Tetmajer. — Ibsen: Pretendenci do tronu. — Bracco: Nowele. — Prévost: Nowele. — Carikow: Za poręką. — Gra w szachy. Teoretyczny i praktyczny przewodnik gry szachowej. — Byron: Manfred, poemat. — Gautier: Romans pewnej mumii. — Lagerlöf: Opowiadania. — Nowele szwedzkie. — B.: Sport pływacki. — Jeske-Choiński: Sąd Boży. — Fredro: Pierwsza lepsza. komedya. — Czirikow: Na progu życia. — Mikszath: Błyszczące ślady. — Tołstoj: Wyprawa. — Lagerlöf: Skarb pana Arnego. — Szekspir: Sen nocy letniej. — Szajnocha: Szkice historyczne. VIII.: Powieść o niewoli na Wschodzie. — Wedekind: Narodziny wiosny. Kraków, Księg. W. Zuckerkandla. Złoczów.

Druk ukończono 31 stycznia 1912 roku.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca Wilhelm Feldman — Drukarnia Literacka w Krakowie.

KRASIŃSKI.

(f) Dzięki literaturze romantycznej pierwszej połowy XIX wieku naród przeżył wyobraźnią, co narody zachodnie przeżyły historycznie. Nie miał naród polski wielkiej rewolucyi, jaką przebył angielski i francuski. Demokracya nie walczyła z arystokracyą, nie prowadziła króla na szafot, nie dekretowała praw człowieka, nie stworzyła wielkiej księgi swobód ludowych, którą zwycięska reakcya miała po pewnym czasie skonfiskować, by po daremnych wysiłkach znowu ją oddać ludowi. Tego wszystkiego u nas w rzeczywistości nie było: było natomiast w poezyi narodowej. W niej proklamowano wolność i równość dla wszystkich Polaków, potępienie wypalano na czołach arystokracyi, lud stawiano na piedestale, jako główną siłę narodu, uświęcano rewolucyę, jako wichr ducha, do najświętszych dążący celów ludzkości. W braku życia historycznego poezya była terenem walki najwyższych idei, jakie przez wiek wstrząsały Europą, a Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński i inni kształtowali fantazyę narodu, tak, że ten bez krwi rozlewu zdobywał te doświadczenia, jakie z rzek czerwonych wynosił Zachód. Doświadczenia bezpośrednie czynił naród w zakresie historyi swojej politycznej; ale po roku 1831 znowu poeci najgłębiej przeżyli owe doświadczenia i rezultaty ich także narzucali narodowi, łącząc je z przeżyciami losów całej ludzkości w jednej syntezie, która u przedstawicieli narodu ujarzmionego, i to dzięki słabości i zdradzie klasy szlacheckiej, musiała się wyrazić jako rewolucyonizm; społeczny i polityczny; na ziemi własnej — w związku z rewolucyą europejską.

W tej walce duchów Krasiński odcina się od chóru wielkich i małych, wyraża zasadę wręcz im przeciwną: jest ojcem i patronem tradycyonalizmu polskiego.

Od dziecka prowadzi życie cieplarniane, obce realnemu bytowi, jego troskom, pracom, potrzebom. Żył ciągle wśród dawności akcesoryów, tradycyj, wyobrażeń; ojciec — człowiek lichy, Po-

lak lichy — podsycał ten nastrój, w którym jedyną jeszcze dla siebie znajdował gloryę; stan chorobowy genialnego potomka starego rodu, skazanego na wymarcie, wyolbrzymiał suggerowane sobie, w fantazyi poetyckiej stokroć uszlachetnione piękno przeszłości, potworności oraz niebezpieczeństwa oderwanej od tradycyj teraźniejszości. Duch czasu był jednak zbyt silny, by nawet młody arystokrata mógł mu się oprzeć; dusza prawdziwego poety wrodzonym sobie darem intuicyi odgadywała czczość żywotów starych rodów, a żywiołową potęgę twórczą idących z nizin warstw i idei niehistorycznych; szlachetna, egzaltowana, à la Walter Scott rycerska dusza młodzieńcza nie mogła się pogodzić z oportunizmem, cechującym arystokracyę wobec najeźdźców kraju rodzinnego, rwała się w fantazyi do szabli, do czynu, który — o ileby nastąpił — musiałby nawiązać do zasady rewolucyi. Z tych rozłamów wewnętrznych wyrosły dwa dzieła, cechami prawdziwego geniuszu naznaczone, ale także cechami myśli zupełnie cieplarnianej, rozdartej, targającej wyobraźnię walkami prawdziwie dramatycznemi, i rozpaczliwem jest ich zakończenie, wzywające w pomoc Boga miłości chrześciańskiej. Z czasem walka ta dramatyczna się uspokoiła, miłość przemieniła się u poety w zasadę.

Zasada to u Krasińskiego, nie uczucie, wyrozumowanie, nie serca potrzeba. Krasiński nie jest chrześcianinem z duszy i ciala, jak św. Jan lub św. Franciszek z Assyżu. Nie jest też mistykiem, który w irracyonalnych porywach duszy łączy się z bóstwem i światem, kocha do stanów wizyonerskich, cierpi do stanów stygmatycznych. Był umysłem teoretycznym, czując nawet mocno, miał głowę zawsze chłodną; marzeniom nie puszczał cugli, ujmował je w system. Idee swoje wypracowywał powoli, brał je z książek i od przyjaciół; zagłuszał swoją prawdziwą naturę, idącą za pierwszym popędem intuicyi poetyckiej, narzucał jej dyrektywy z zewnątrz. I tak np. obrońca przeszłości — był najwymowniejszym oskarżycielem jej przedstawicieli. Nikt bodaj nie przedstawiał arystokracyi, jako zbiorowiska zgnilizny, małości, tchórzostwa, prawie bez wyjątków, jak autor „Nieboskiej"; najlepszy z jej grona, hr. Henryk, także pozbawiony jest wiary, miłości i siły do życia. Jedynym, który poecie w tym poemacie imponuje, jest Pankracy; widzimy w nim potęgę, w przedostatnich słowach — potęgę twórczą. Ale trwoga zdekadenciałego syna starych rodów cofa się przed tym brutalnym okazem życia; deus ex machina pojawia się w ostatniej chwili, by rzucić nie wynikające bynaj-

mniej z ducha utworu przykazanie miłości. Taksamo w „Irydyonie“ rozważając w formie dramatu rzymsko-greckiego stosunek Rosyi do Polski, uległ w pierwszej chwili naturalnemu instynktowi polskiemu: instynktowi walki z wrogiem bezwzględnej; Irydyona otoczył wszystkimi blaskami geniuszu i poświęcenia; zasadę nienawiści uświęcił jako zbawienną wobec wroga i płodną; dał bohaterowi tryumf wieków: widok Rzymu, pełnego gruzów, pod panowaniem mnichów o twarzach, napiętnowanych ubóstwem duchowem. W ostatniej jednak chwili przestraszył się wynikającej stąd zasady rewolucyjnej i do poematu przyczepił zakończenie, nawołujące do miłości i ofiary.

Obcy prawdzie poeta, z biegiem lat coraz bardziej oddalał się od życia, pełen lęku, niechęci, wstrętu, ale i w swoim świecie arystokratyczno-zachowawczym nie znalazł realnych podstaw dla swojego tradycyonalizmu. Do późnych lat znajdujemy w listach najsmutniejsze świadectwa, wystawiane arystokracyi, ale bez tej logicznej konkluzyi, którą byłaby dążność do Polski nowej, ludowej. W rozpaczliwych rozterkach, pełen anarchii duch czepiał się systemów filozoficznych, będących spekulacyami oderwanemi od rzeczywistości. Nie uznawał pracy nowoczesnej, ekonomicznej i naukowej; konstruował na podstawie Schellinga, Hegla i Cieszkowskiego systemy religijno-metafizyczne, zwiastujące nadejście epoki Chrystusa w dziejach; chciał ją sprowadzać apostolstwem dobrej woli, czystego ducha. Nie dobra wola, nie wiara w ducha jest tutaj błędem, ale ich zupełne oderwanie od życia, przeoczenie, że duch wciela się tylko potrzebami człowieczemi, drogami ziemskiemi, głową i ręką twórczego człowieka. Duch, miłością napełniony, musiał tymczasem skołatanemu poecie zastąpić Polskę realną, jej walki i cele realne. Pełnił poeta wielkie posłannictwo, wypalając w duszach słowo: Polska, ale słowo to zarazem ogałacał z cech konkretnych, poza ziemię je przenosił. I tak powstał „Przedświt“ i cykl „Psalmów“, w których haszyszowa miejscami, o upajającej piękności poezya, rozpuszczona jest w subtelnym gazie, napełniającym balon — do ucieczki właśnie od żywej Polski. Znajduje poeta potężną retorykę słowa na napiętnowanie zbrodni, popełnionych na Polsce i małoduszności, w samejże Polsce panującej; na balonie swoim potrafi wznieść Polskę między gwiazdy, ale gdy przychodzi do budowania jej na ziemi — nie śmie wychodzić poza granice tradycyonalizmu.

„Z szlachtą polską polski lud“ — woła, zatrzymując stale

tradycyjną stanowość w narodzie, nie mogąc sobie nawet wyobrazić narodu „wolnych, równych Polaków"; przez chwilę wierzy, że „w poświęcenia świętej dumie — poprowadzi lud do bitwy — kto prowadzić lud ten umie — szlachta Polski, Rusi, Litwy"; nie wysnuwa jednak stąd żadnych konsekwencyj, gdyż byłyby rewolucyjne, i przenosi walkę w świat wewnętrzny. Stąd historyozofia „Przedświtu", upatrująca w Polsce ofiarę za zbawienie ludzkości; ponieważ ofiara do najświętszych ma prowadzić celów, przeto błogosławić należy wszystkim spowodowującym ją warunkom, zatem także „ojców winie", a wszelki krytycyzm wobec przeszłości „to potwarz, to bluźnierstwo"; zbawienie zaś całe — w przeobrażeniu duchowem. Rzecz jasna, że taka rezygnacya z robienia historyi prowadziłaby w konsekwencyi do tołstoizmu — i to bez Tołstoja. To bowiem najprzykrzejsze, że kąpiąc zmęczoną głowę w eterze najbardziej wygórowanego idealizmu, poeta zamykał oczy na teraźniejszość żywą i przyszłość żywą. Pisał wspaniałe maksymy moralne i widzenia eleuzyjskie: nie widział jednak obok siebie chłopa pańszczyźnianego, nie nazwał po imieniu jego krzywdy, nie stosował idealistycznych zasad ogólnych w praktyce, nie miał nic do powiedzenia narodowi, jak zwalczać konkretną niewolę reakcyi Paskiewicza, Metternicha, Bacha; nie hartował narodu, nie uzbrajał go na jutro. A przyszłość? W ekstatycznych widzeniach „Przedświtu" rozpływa się ona całkowicie w mgłę różową; żadnej formy ideału przyszłościowego nie umie wyobraźni narodowej narzucić. Prawda; spotykamy tu obraz kobiety pełnoprawnej — zdziwienie nasze minie jednak, gdy wspomnimy, że poemat cały pisany w towarzystwie kobiety „wyzwolonej" nie w najlepszem słowa znaczeniu. W innym utworze spotykamy jeszcze wizyę Polaków, podtrzymujących końcami swych szabel zachwiane nad głową papieża sklepienie kościoła św. Piotra.

Naród żywy, człowiek żywy, pod grozą kwietyzmu i zatraty przyjąć nie może tego systemu myślowego, wyrosłego ze zdwojenia duszy, z anarchii i rozpaczy, jako samousprawiedliwienie i samoocalenie. Zemścił się też ten system przedewszystkiem na samym poecie. Krasiński tak długo tłumił w sobie porywy serca, jedyne to źródło poezyi tak zarzucał racyami politycznemi, rodowemi, kościelnemi, aż zasypał je prawie całkowicie, czysty zdrój natchnienia w retorykę przemienił i publicystykę. Przeracyonalizował swą poezyę, i z czasem on, wielki twórca, jeden z najgłębszych znaw-

ców, przestał rozumieć Słowackiego. Zemścił się ten rezultat na poecie, czyniąc go po śmierci patronem wszystkich podpór reakcyi; i on, który katolikiem był „liberalnym“, nienawidził jezuitów, nienawidził caratu, służby u mocarstw rozbiorowych — bywa nadużywany, jako tarcza właśnie dla tych wszystkich spraw. Zemścił się ten system na tej części dzieła jego żywota, która mu była najdroższa: potomność musi odrzucić jego tradycyonalizm, zostawić jego poezyę; odwracać się często od myśliciela — cenić mistrza formy; ironia to, ale aż nadto zrozumiała, że ten, co chciał kuć czynów stal — daje tylko pajęczynę snów i marzeń.

Ale sny i marzenia niektóre tak są piękne, że niezmiernie zubożałoby życie, gdyby ich zabrakło. Zwiększył niemi Krasiński duszę naszą, prowadził ją w krainy nadziemskie, w które tem częściej należy zaglądać, im bardziej realizm życia zmusza nas do przebywania na nizinach i wśród trzęsawisk. Drogim się staje ten poeta, gdy jest poetą, odrywa się od tendencyj stanowości i dnia; dla zagłuszenia świata i siebie snuje muzykę serca, zamyka dobrowolnie oczy, by tem jaśniej widzieć ideały. Snem jest jego Polska, wyolbrzymiona do znaczenia absolutu metafizycznego i moralnego.

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem — domem — obyczajem,
Państwa skonem — albo zjawem,
Ale Wiarą — ale Prawem!

Sen to poetycki, ale jeden z tych snów, które podobne są do słońca: gdy nawet zachodzi, czarownie załamują się jego promienie, marzymy o niem, tęsknimy do niego. Kwestya mesyanizmu polskiego dotąd wcale nie jest załatwiona. Jeżeli cel jakiś przerasta czyjeś siły — nie znaczy to jeszcze, by cel ten był zły. Nie była Polska Chrystusem, nie jest mesyaszem narodów, niemniej wielkiem jest serce, które tę misyę wyśniło, i pomniejsza naszą teraźniejszość i przyszłość, kto odciąga od tego źródła energii, jaką jest wysoki ideał moralny. W roku śmierci Krasińskiego wyszły, dziwnym trafem, dwa dzieła, które poeta byłby potępił, jako szatańskie, ale których ze świadomości myślącego człowieka nikt dzisiaj nie wykreśli: Marxa „Krytyka ekonomii politycznej“ i Darwina „O powstawaniu gatunków“. Dzięki tym dziełom poznajemy lepiej, niż Krasiński, układ życia, jego mechanizm i drogi; z tem musimy się liczyć, chcąc utrzymać się w walce

o byt. Ale one nie przesądzają o uczuciach naszych, nie wzbraniają stawiać sobie celów etycznych. Z innych, niż Krasiński, wychodząc założeń, innemi drogami, wolno jednak wraz z nim w dążeniach jednostki, narodu i ludzkości wskazywać na światła najodleglejsze, najwyżej nad życiem świecące. Niewolnikiem jest i zostanie, kto nie umie wznosić się bodaj czasami ponad „życie", niewolnikiem zwierzęctwa — kto tylko na stronie zwierzęcej buduje: prędzej czy później będzie też omyłki swojej ofiarą.

„Bo cel światów — szlachetnienie".

Piękno to wysokie ów ethos nastrojów poety. Nigdy prawie nie miał słuszności w punktach wyjścia, w tendencyi, ocalającej tradycyonalizm — miał słuszność w nawoływaniu do podniosłości i doskonalenia się. I po stokroć miał słuszność, gdy przenosząc kryterya moralne do życia narodów, wskazywał na głęboką niemoralność, na jakiej się opiera cały ustrój Rosyi, i pragnął dla swego narodu podstaw czystszych. I po stokroć miał też słuszność, gdy — sam człowiek rozdarty i słaby — na progu każdej myśli, każdego czynu stawiał dobrą wolę. I spełniał swoje zadanie poety narodowego, gdy wlewał wszystkimi środkami swej poezyi wiarę w serca, że „prawem naszem — zmartwychwstanie".

Nie nowe to struny w harfie poezyi świata, a nawet polskiej. Nawet olbrzymie w pomyśle i sile jego dzieła: „Nieboska" i „Irydyon" nie należą do tych, co wyzwalają; nie pólbóg-Prometeusz w tych świątyniach przebywa, dumny i hardy twórca swych losów człowiek, lecz człowiek rozdwojony, który się ostatecznie łamie, korzy, poddaje autorytetowi. Nie jestto jeszcze niewola, ale droga niebezpieczna... słabych prowadzi do niej; w Polsce groźniejsza ona, niż wszędzie na świecie. Uginał się poeta i łamał pod ciężarem swojego urodzenia, ofiara świata wyczerpanego i małodusznego, który sam nie zdolny do zdobycia swobody — jemu ów pęd prometejski, tworzący z własnej jaźni, w pełnej swobodzie, odebrał. Ale z tego, co Krasiński zostawił, dosyć jeszcze zostaje kart, z których jaśniejący da się spleść wieniec chwały. Wąski w kwestyach historyi, dał jednak idee i piękności wiekuiste. W gigantycznych dziełach „Nieboska" i „Irydyon" szlachetne i potężne są przeżycia, jakie artysta daje, choć ich konkluzye odsuwamy; w innych dziełach upaja nas nieraz dźwięk cudny mowy polskiej, której był mistrzem, póki się

nie zmanierował, unosi czar marzenia. Dosyć tytułów do miejsca tam, gdzie jego wielbiciele jednostronni nie chcą widzieć Słowackiego: w Westminsterze polskim.

UWAGI HUGONA KOŁŁĄTAJA

w sprawach duchowieństwa katolickiego w Polsce.

W drugiej połowie w. XVIII-go, jak gdzieindziej, tak i w Polsce, poddano bezwzględnej rewizyi wszystkie niemal panujące wyobrażenia o dotychczasowych stosunkach społecznych. Olbrzymi ruch emancypacyjny zdefiniował na nowo „prawa człowieka", utworzył teoryę państwa nowoczesnego, odmienił radykalnie psychikę ludzkości. W krytyce istniejącego stanu rzeczy, w układaniu nowych programów, nie mogła być pominiętą kwestya tak ważna, jak sprawa duchowieństwa wogóle, jak w szczególności dalszy jego stosunek do zadań państwa, do pracy narodowej. Jednym z najgłówniejszych w tym kierunku reformatorów w Polsce był Hugo Kołłątaj. Uwagi, jakie wypowiedział w tej sprawie w różnym czasie i różnych okolicznościach, nie straciły do dzisiaj aktualności i znaczenia.

Należy z góry zauważyć, że Kołłątaj, sam duchowny katolicki, nie zerwał z Kościołem, jak to czynili inni duchowni reformatorowie w owym czasie, jak uczynił między innymi Stanisław Staszic. Jak w całej swojej politycznej działalności, tak i w tej sprawie, Kołłątaj, działacz przedewszystkiem praktyczny, nie chciał być burzycielem, ale tylko reformatorem. Mimo tego ściągnął na siebie najcięższe zarzuty i — rzecz znamienna — ze strony wykluczających się opinii. Al. Linowski pisze w ohydnym paszkwilu, że „był człowiekiem, w którego duszę natura najgwałtowniejsze wlała namiętności, a które z powołania kształcił w szkole zwodniczej hypokryzyi, w szkole świątobliwości bez obyczajów, w szkole panowania nad ludźmi opinią, w szkole przewrotności, mającej za cel swych igrzysk ciemność i prostotę rodzaju ludzkiego, słowem że był księdzem, długo w szkole rzymskiej ćwiczonym". Król znowu w znanej „Obronie", podpisanej imieniem Mik. Wolskiego, wyraża się o nim, jako o złym księdzu dla księży; wiadomo także, że gdy Kołłątaja mianować chciano podkanclerzym, wystąpili przeciwko temu niektórzy biskupi, uważając go za najniebezpieczniejszego dla wiary. Reakcyjna część społeczeństwa, wrogo usposobiona dla sprawy reformy i obrony narodu, rozsiewała o nim rozmyślnie najpotworniejsze pogłoski, których ślad prze-

chował się w Pamiętniku osławionego Lichockiego, prezydenta miasta Krakowa. Czytamy tam między innemi: „A wtem przybył do Krakowa JM. Ks. Hugo Kołłątaj, kanonik katedr. i podkancl. kor., około którego jak bąki lub muchy uczepiło się za wiele pozornych patryotów, zapaleńców i moich nieprzyjaciół kilku... Ci czynni patryoci, wyzuci z wiary katolickiej, rzucili się z dyspenzą prałacką Ks. Kołłątaja na kościoły, z nich srebra, monstrancye, kielichy, zabierali, topili, relikwie SS. Pańskich i kości z relikwiarzów srebrnymi nożami niby orzechy łuskając wydłubowali i rozrzucali, wszystkie obrządki wiary św. wyśmiewali, bluźnili i inne nieprzyzwoitości i zgorszenia wierze katolickiej dopełniali".

O ile chodzi o istotne w rzeczach wiary poglądy i przekonania Kołłątaja, daje temu wyraz własny jego testament, pisany na kilka lat przed śmiercią, którego prawdomowność nie podlega wątpliwości, jak się okaże w dalszym ciągu. Pisze tam Kołłątaj: „Chociaż obowiązki religii łączą człowieka prosto z samym tylko Bogiem i nie podlegają żadnym względom ludzkim, gdy atoli zwyczaj mieć chce, ażeby każdy gotujący się w drogę wieczności oświadczył swe w tej mierze przekonania, a złośliwa potwarz wystawiła mnie tylekrotnie w oczach świata za obojętnego lub targającego te święte obowiązki; przeto oświadczam najuroczyściej, że w tej wierze, w której byłem zrodzony i wychowany, żyłem i pragnę umierać; że do utrzymania jej czystości przykładałem się rzetelnie, że wszystkie w tej mierze dysputy i wątpliwości uważałem za próżne, za szkodliwe towarzyskiej spokojności. Ta wiara nigdy nie była ciężarem dla mego rozumu. Dochowałem ją nieozięble wśród filozofii i czystych moralności prawideł, na dowód czego, zaczynając pisać ten testament, powtórzyłem wyznanie wiary katolickiej co do słowa wedle przepisu zboru trydenckiego, abym dowiódł, że od zwyczaju ludzi stanu mego nie chciałem się oddalić przez żadną osobliwość. Tak, uczyniwszy zadość zwyczajowi, przekonanie moje zostawuję Bogu, któremu są znane wszystkie skrytości serca mego..."

Słowa testamentu wymagają niejakiego objaśnienia. Kładzie w nich Kołłątaj nacisk na czystość religii, na wartość filozofii i czystych moralności prawideł, nareszcie na stosunek osobisty do Boga. W tem świetle stają się zrozumiałe wyrażenia jego w pismach i listach całego życia, które uważał za zgodne z czystą nauką katolicyzmu, jak niemniej szeroka tolerancya wobec innowierców, daleko idący krytycyzm wobec legend teokratycznych i niewątpliwe stosunki z wolnomularstwem, którego słownikiem nieraz się posługuje, jak n. p. w owem lapidarnem powiedzeniu:

„lżej dla mnie nierównie dożyć aż do końca w prześladowaniu i nędzy, jak ugiąć kolano przed szatanem głupstwa, zazdrości i kłamstwa“, — przypominającem tak żywo legendę o Hiramie. Co zaś jest bardzo charakterystyczne, to nieugięta w tego rodzaju poglądach Kołłątaja konsekwencya, od pierwszych zaraz występów w życiu publicznem po powrocie z Włoch aż do ostatnich chwil żywota. Tem ciekawszem byłoby poznać wpływy i czynniki, które urabiały umysł jego w latach nauki, o czem niestety za mało posiadamy wiadomości źródłowych.

Pierwszy znany druk polski Kołłątaja: „Kazanie o gorliwości chrześcijańskiej“, wypowiedziane w Warszawie w dzień św. Stanisława r. 1776-go, przedstawia takie same poglądy religijne autora, jakie znajdujemy w niedokończonem kazaniu z okresu sejmu wielkiego (Rkp. Ossolineum) na temat psalmu: „W czasie kłopotu ukryje mnie w swoim namiocie, w skrytości przybytku swego ukryje mnie, osadzi mnie na skale“, jakie nakoniec znajdujemy w cytowanym ustępie testamentu. Wyjmujemy z kazań niektóre ustępy: „Mówmy prawdę zawsze... a tak wykonamy prawo chrześcijańskiej gorliwości; mówmy tak. jak ją mówił Stanisław (t. j. z narażeniem siebie), a zachowamy prawidła chrześcijańskiej gorliwości... Trzy są błędy (przeciw prawdzie), które nas w tak smutne wprawiają uprzedzenia: bojaźń ludzi, która na złość rozumowi pozbawia nas śmiałości; roztropność świata, która sprawuje, że się trzymamy występnego milczenia i nie śmiemy wydać się, że do nas należy obrona prawdy; grzeczność, — nie wiem jakiego rodzaju, — która pogodzić usiłuje prawdę z kłamstwem i podobać się ludziom ze szkodą pierwszej... Gorliwość całą dobroć i ważność bierze od miłości bliźniego, która nie jest nadętą... Mamy dziś wielu takich, którzy gorliwość udają i przekonywać umieją, że prawdę bez bojaźni mówią, ale nic rzadszego, jak naleść tych, którzyby prawdę łączyli z miłością bliźniego... Mściwa złość pod pozorem gorliwości wszystko sobie za wolne i prawne wystawia, cokol wiek do wykonania dzikiej pasyi zdatne widzi; jej zapędy nieraz głupie rozburzały pospólstwo i o tysiączne świat przyprawiały nieszczęśliwości brała ona krzyż Chrystusów do rąk dla tem pomyślniejszych krwi ludzkiej rozlewów, który pokoju i cichości jest zawsze znakiem...“ „Życie człowieka było zawsze stanem niestateczności, pełne niepewności, bojaźni, odmian i trosków... Wpośród zdradliwej ciszy nie dostrzegamy nigdy tego momentu, w którym zaczyna fermentować przyczyna najstraszliwszej burzy... Ale jakiejże są natury obrony, które Bóg obmyślił dla cnotliwych? Czyż wystawił jakie niedostępne mury przeciw nieszczęściu? aby nimi odłączył dobrych od złych, aby zasłonił ich od pospolitych

przypadków życia? Nie wiemyż, że cnota, talent i zasługa są jeszcze bardziej na zazdrość i nienawiść wystawione. Ach, nie to jest, co sobie religia zamierza. Są to starania świata, któremi religia nigdy się nie zatrudnia. Obrona, którą Bóg cnotliwym gotuje, jest wcale innego rodzaju. Serce człowieka, nie stan jego zewnętrzny, staje się stróżem jego spokojności... Przez nadzwyczajną moc umysłu, którą ich obdarza, osadza ich, iż tak powiem, na skale, o którą najgwałtowniejsza burza, chociażby uporczywie uderzała, przecież jej poruszyć nigdy nie zdoła...“

Podobne poglądy wypowiada w listach do późniejszego prymasa Michała Poniatowskiego (rękopisy Akad. Umiej.): „Opatrzność dała mi w podziele duszę czułą, edukacya utworzyła we mnie podobneż serce; wpajano mi od młodości szkaradność obłudy, chydzono dwoistość, zalecano statek w przedsięwzięciach i śmiałość w wykonaniu. Wszystko to utkwiło głęboko w sercu mojem, a ja, wychodząc na teatr działania w społeczności, przysiągłem Bogu i swemu sumieniowi nigdy nie wykraczać przeciw dopiero wyliczonym maksymom, które uformowały we mnie jeden, że tak powiem, sentyment postępowania między ludźmi... Charakter śmiały, determinacya silna i niełatwe komukolwiek oświadczenie się — są to skutki moich postępków niezmienne; dobre i złe roboty moje z tego wypłynęły źródła, takim więc byłem i takim już na zawsze będę, względem mnie, mych przyjaciół i mych dobroczyńców, takim będę względem robót publicznych i prywatnych... Być poczciwym i mieć świadectwo własnego sumienia, jest to rzecz od nas zawisła, ale opinia ludzi o nas nie jest w ręku naszych...“

Takie właśnie przestrzeganie zasad czystej religijności, którą Kołłątaj w sferze uczucia godził z katolicyzmem, w sferze rozumu utożsamiał z filozofią, naraziło go na potwarze, ucisk i prześladowanie. Przyczyniły się do tego w najwyższym stopniu względy natury politycznej, walka z zakorzenionymi nałogami. Kołłątaj używa często wyrazów: filozofia, wiara i religia. Ponieważ nadaje im znaczenie nowe dla ówczesnej umysłowości polskiej, wypada się nad nimi zatrzymać. Filozofię uważa za dorobek czysto umysłowy ludzkości. Przez badanie i doświadczenie wzrasta poznanie „praw przyrodzonych“, tworzy się w społeczeństwie „porządek fizyczno-moralny“. Umysły oświecone obejmują w całej pełni poznane prawdy, które stanowią dla nich filozofię czyli naukę o wszechistności, a zarazem stają się regulatorem działania wewnętrznego i zewnętrznego. Filozofię zdawał się uważać Kołłątaj za wystarczający autorytet dla ludzi oświeconych, za dostateczny drogowskaz i światopogląd życiowy. Filozofia jednakże nie jest dostępną dla ludzi

nieoświeconych, a nawet dla oświeconych może wydawać się za zimną, niezaspokajającą rozumu i uczucia. Dla tych potrzebna jest wiara, albo filozofia i wiara. Zarówno filozofia, jak i wiara, mogą się łączyć i powinny się łączyć z religią. Filozofia jednoczy się zazwyczaj z religią czystą, choć nie wyklucza objawionej; wiara idzie zazwyczaj w parze z religią objawioną. Religia bardziej jeszcze niż wiara odpowiada potrzebie uczucia, dla każdego zatem człowieka jest poniekąd koniecznością. Gdy jednak ludzkość narażoną jest na częste błędy i ułomności, świat jej wyobrażeń podlega równolegle pomyłkom i wypaczeniom: filozofia zatraca rozsądek, wiara zamienia się w obłudę, a religia w fanatyzm. Najdzielniejszym środkiem przeciw tak szkodliwym przemianom jest jednolite oświecenie powszechne i towarzyszące mu uczucie sprawiedliwości społecznej, oba oparte na prawdzie, z prawa przyrodzonego wydobytej.

Tą drogą (t. j. prawdą) szedł w Europie Sokrates, nauczyciel i prawodawca obyczajów ludzkich — pisze w prześlicznej „Przemowie do Prześwietnej Deputacyi“, tą Chrystus w Azyi, bohatyr prawdy, prawodawca i zbawiciel całego świata. Uległ człowiek pod zemstą i obłudą zabobonu greckiego, ale Filozofia stała się nauką wszystkich oświeconych narodów. Umarł na krzyżu zbawiciel ludzi, lecz Ewangelia jego stała się nauką wszystkich narodów, regułą obyczajów, wzorem praw... Wielu bardzo Wiarę i Religię biorą za jeden wyraz — mówi w „Prawie politycznem narodu polskiego“. Wiara nic innego nie jest, tylko skłonienie rozumu pod powagę i upewnienie czyjeżkolwiek.... dzieło rozumu przekonanego za pomocą ufności (łac. fides) w przekonywającym. Wiara różni się od doświadczenia, bo doświadczenie nie zasadza się na żadnej powadze, ale na przekonaniu zmysłów... Wyraz religia bierze znaczenie od obowiązku, któremu się człowiek poddaje; i tak ligare znaczy wiązać... a zatem nowy czyli ściślejszy obowiązek znaczy religię; tym to wyrazem wszelkie ściślejsze obowiązki ku komukolwiek Łacinnicy nazywali religią: religio in parentes, religio in patriam i t. d... Wiara jest (zatem) dziełem rozumu, skłonionego pod powagę drugiego, religia jest dziełem serca, ściślej obowiązanego komukolwiek. Dlatego też u starożytnych Łacinników religia miała swoje znaczenie nawet w obowiązkach pogańskiego wyznania... Religia czyli obowiązek, który się należy Stwórcy od stworzenia, jest dwojaka: naturalna i objawiona... Ludzie, lekko o rzeczach sądzący, mieszając z religią fanatyzm i zabobonność, odjęli jej wiele powierzchownej przyjemności w oczach tych zwłaszcza, co w rozróżnienie prawdy od fałszu zagłębiać się nie lubią... lecz rozsądna filozofia i dobre prawodawstwo umie ją szanować i znać za dzieło wyższe nad

ludzi... Lubo wiara chrześcijańska jest najdzielniejszym środkiem zachowania człowieka w obrębach sprawiedliwości i ludzkości, źli jednak nauczyciele, stawiając obok jej fanatyzm i zabobonność, za pomocą obłudy lub nieoświecenia pomieszali to czyste szczęśliwości ludzkiej źródło, a im dalej od pierwiastkowego odeszli ducha, tem okropniejszych wypadków często bardzo stawali się przyczyną. Dlaczego niemałym jest rządu krajowego interesem starać się o doskonałych nauczycielów wiary Chrystusowej, doskonałych nie tylko ze strony gruntownej nauki, ale nadto ze strony czystych obyczajów.

Czy tego rodzaju poglądy Kołłątaja, w połączeniu z naukowym poglądem na takie tematy, jak: piekło, potop, aniołowie i t. p., z najzupełniejszą tolerancyą i poszanowaniem dla innych wyznań, każą go uważać za całkowitego katolika, czy tylko za deistę, nie tu miejsce rozstrzygać. Faktem jest, że Kołłątaj sam, kierując się prawidłami rozsądnej filozofii i czystej religijności, uważał się za katolika, z kościołem nie zrywał, credo soboru trydenckiego w testamencie podpisał. Chodzi nam bardziej o to, jak odnosił się w życiu publicznem do duchowieństwa katolickiego, jak pojmował zadania jego i obowiązki, w jaki sposób stosunek jego do narodu usiłował zreformować.

Już pierwsze prace publiczne Kołłątaja w Komisyi edukacyjnej i przy reformie Akademii krakowskiej pozwalają nam określić jego w tej sprawie przekonania i postępowanie. Był Kołłątaj bezwzględnym rzecznikiem jednolitego rządu, opartego o wolę i dobro powszechności. Rządu w rządzie nie rozumiał i nie uznawał, oceniał rząd ze stanowiska świeckiego, teokracyę potępiał i uważał za nieszczęście ludzkości. Wypowiedział to jasno w rozprawie III-ej „Rozbioru krytycznego zasad historyi o początkach rodu ludzkiego", które to dzieło wyszło w wiele lat po śmierci autora, choć pod koniec życia usilnie zabiegał o jego wydrukowanie. Poglądy, uzasadnione ostatecznie w dziele wymienionem, są jednak dokładnie zarysowane w pracy młodości. Duchowieństwo było dla niego stanem „służebnym i dobroczynnym", podobnie jak nauczycielstwo i wojskowość, nie mogło być jednak rządem, który należy do powszechności i powinien mieć charakter świecki. Rząd duchowieństwa nazywał teokracyą i nie miał dla niego dość słów przygany. W dziele, o którem mowa, przedstawiał wprawdzie odległe dzieje ludzkości, jednak, jak widać z listów do S. B. Lindego (rkp. Ak. Umiej.), nie bez wyraźnej myśli o teraźniejszości. Pisze tam, że szczęśliwe były rządy patryarchów, gdzie ojcowie rodzin sprawowali razem kapłanów, rządców i gospodarzów obowiązki, póki „obłuda i sztuka zwodnicza nie wzięła miejsca należnego prawdzie i nie osiadła na tronie Boga"... Rząd

nowy, teokratyczny, stał się przyczyną wielu dogmatów w religii i skaził jej pierwiastkową czystość i prostotę. Od Mojżesza zaczęła się teokracya na piśmie. Dla całego tego rządu było tylko pożyczone imię Boga, reszta sprawowana być musiała przez ludzi. Póki ci ludzie, idąc za głosem sumienia, rządzili wedle prawideł zdrowego rozsądku i własnej poczciwości, dodając tylko sankcyą swym odpowiedziom i rozkazem w imieniu Boga, póty rząd takowy, choć urojony i zasadzony na samych dobrowolnych przypuszczeniach całej społeczności, był znośnym i mało szkodliwym, bo był w samej rzeczy sprawowany przez dobrych ludzi; lecz jak tylko rozkazujący w imieniu Boga skorzystali z łatwowierności ciemnego i niedołężnego człowieka, rząd takowy tyle dopuszczał się nadużyć, ile tylko doradzał szczególny interes, okryty mniej więcej pozorami, wsparty obłudą. Nadużycia wszystkich ustanowień ludzkich idą zawsze stopniami: obłuda korzysta z każdej okoliczności, a jej śmiałość postępuje coraz dalej w miarę, jak się udają pierwsze kroki; cofa się ona nieraz gdy jest dostrzeżona, przybiera na siebie wieloraką postać, okrywa się niezliczonymi pozorami; interes ludu, jego nieoświecenie, prawda nawet sama, są często jej narzędziami; pozwala ona sobie zwodzić pod pozorem dobra większego, umie dzielić swą naukę na tajemną i otwartą, na naukę oświeconych i zupełnie ciemnych.

Stojąc tedy nienaruszenie na stanowisku potrzeby jednolitego rządu świeckiego, pragnął odpowiednio uformować edukacyę publiczną, do czego znalazł doskonałą sposobność, dzięki poparciu Michała Poniatowskiego zająwszy w świeżo utworzonej, a tyle sławnej Komisyi edukacyjnej pierwszorzędne miejsce, stawszy się do pewnego stopnia jej głową moralną. Pierwsza ta w Europie rządowa organizacya oświaty publicznej przynosi Polsce zaszczyt, jako dzieło wielkiego rozumu i gorącego serca, dzieło tem większe, że „trzeba było (w jej sprawie) na każdym sejmie pasować się z nieoświeceniem, uprzedzeniem i chciwością sejmujących; trzeba było nieustannie prawie pasować się z fanatyzmem władzy duchownej; trzeba było doświadczać co moment złych skutków rozprzężonych między sobą części wykonawczego rządu, który, zamiast pomagać, przeszkadzał wszędzie“ (list do T. Czackiego). Dzieło Komisyi edukacyjnej powiodło się tak dalece, że przetrwało nawet rozbiory; w dziejach szkolnictwa polskiego przytaczane bywa jako wzór, a przecież poczęte było i przeprowadzone całkowicie w duchu świeckim, chociaż — rzecz oczywista — duchowieństwu zachowało wielkie prawa, a religii największe poszanowanie. Duchowieństwo musiało się jednak podporządkować władzy świeckiej edukacyjnej i zachowało jedynie wpływ, powołaniu swemu właściwy i należyty. Jest to tem znamienniejsze, że orga-

nizatorowie Komisyi, w pierwszym rzędzie Kołłątaj, przystąpili do swojego zadania z całą świadomością celów i środków. Świadczy o tem choćby list Kołłątaja do Lindego w podobnej sprawie za czasów Księstwa Warszawskiego: „Jeżeli Komisya edukacyjna w czasie anarchii mogła zupełnie być wolna od księżego wpływu, choć miała księży w swem gronie, byłoby śmiesznością, gdyby wam teraz przyszło upaść przez wpływ takowy“.

Przykład Komisyi edukacyjnej miał ogromny wpływ na organizacyę szkolnictwa polskiego w okresie porozbiorowym aż po powstanie listopadowe. Nie dotykał tylko Galicyi, w małym stopniu zaboru pruskiego. W szczególności Tadeusz Czacki, organizator liceum krzemienieckiego, był we wszystkich swoich pracach edukacyjnych bezpośrednio zależnym od Kołłątaja. To samo da się powiedzieć o Janie Śniadeckim, rektorze szkoły głównej wileńskiej, który kształcił się na pedagoga i organizatora pod okiem Kołłątaja w Krakowie, a w czasie robót na Litwie pozostawał z nim w ciągłej korespondencyi. Nie usunęła się od wpływu Kołłątaja warszawska Izba edukacyjna i tamtejsze liceum, dzięki oddziaływaniu osobistemu i listownemu na S. B. Lindego. Myśl utworzenia narodowo-rządowej świeckiej szkoły publicznej w Polsce jest tedy w najwyższym stopniu własnością Komisyi edukacyjnej oraz najgorliwszego stróża jej wskazań, Hugona Kołłątaja. Po powstaniu listopadowem odmieniły się warunki, wielkie dzieło upadło. Gdy po latach warunki ułożyły się szczęśliwie dla Galicyi, zapomniano już o wielkiem dziele, zasada świeckości szkoły przyszła z zewnątrz, właściwości narodowych nie umiano wprowadzić. Nić dobrej tradycyi, ze szkodą dla szkoły, została przerwana.

Listy wzajemne Kołłątaja, Czackiego i Śniadeckiego dowodzą niezbicie, jak dokładnie zdawali sobie sprawę z potrzeby szkoły świeckiej i narodowej, rozumnie religijnej, wolnej od fanatyzmu i nietolerancyi, jak ostrożnie musieli postępować z duchowieństwem, ażeby dzieło samo przez fałszywe donosy i intrygi nie upadło. „Zakonnicy z natury swego powołania (pisze Kołłątaj do Czackiego) mają potrzebę odstręczać młodzież od szkół świeckich i wprawiać ich w odrazę pod różnymi pozorami od edukacyi, która nie jest w ręku zakoników... Żebyś JWPan miał wyobrażenie, jak zakonnicy i księża płaszczą się tylko przed jego urzędem, lecz mu się nie poddają, muszę słów kilka powiedzieć o tych gadaninach, jakie się po Wołyniu rozchodzą po odbytej jego wizycie. W Łucku, gdzie wszystkie łatwości ofiarowano, bardzo z wielkim niesmakiem mówiono o tem, że JWPan napierałeś się klasztoru trynitarzów, żeś chciał wchodzić w układy o edukacyą kleryków po seminaryach, żeś

wymagał ofiary ósmej części od wszystkich duchownych na fundusz edukacyjny. Wszystko to wystawiają sobie jako dzieła irreligii, które podkopują prerogatywy stanu duchownego. W Dubnie, za jakieś wyłajania bernardynów i za groźbę zamknięcia ich szkółki, zostałeś JWPan frankmasonem i ateuszem...“ Wiadomo także, jakie miał trudności Śniadecki z jezuitami na Białej Rusi (Por. M. Balińskiego Pamiętniki o Janie Śniadeckim). Nie mógł ich w żaden sposób nakłonić, ażeby przyjęli program nauczania, wzorowany na Komisyi edukacyjnej, a przepisany dla obszaru szkolnego na Litwie i Rusi, ażeby w wyższym stopniu uwzględniali język polski w wykładzie, ażeby nauczycieli swoich posyłali na kilka lat do szkoły głównej wileńskiej, ażeby używali przepisanych podręczników. W pierwszej chwili zagroził im przez wizytatorów, że, jeśli poprawa rychło nie nastąpi, będzie zmuszonym odbierać szkoły zakonnikom,... bo nakoniec jezuici, będąc poddanymi państwa, podlegać winni rządowi krajowemu, który nie jest rządem zakonnym. Później próbował łagodnej perswazyi, ale i to nie poskutkowało. Przeciw nakazom rektora „szkoły polskiej“ znaleźli pomoc u ministrów rosyjskich, nie dopuścili nawet do reformy bazylianów i zachowali stałą niechęć ku Śniadeckiemu, której skutki nieraz musiał odczuwać. Jakie zaś było wychowanie w ich twierdzach obskurantyzmu, pisze o tem Czacki do Kołłątaja: „Stracił przez nich Zygmunt III Szwecyę, Stefan Moskwę, ale oni w tych klęskach władzy swej nie stracili. Rzuciłem oko na Białą Ruś... Obywatele od nich wychowani są głupszymi i niemoralniejszymi od naszych prowincyi, otóż jest owoc ich wychowania, otóż smutna wieszczba“.

Bez ogródek pisze Kołłątaj na ten temat do S. Lindego w r. 1809 i 1810 czyli w latach organizowania szkolnictwa w Księstwie Warszawskiem. Organizatorowie napotykali na przeszkody ze strony duchowieństwa, szczególniej ze strony arcyb. Woronicza, który umiał posuwać się aż do dennucyacyi, jak to uczynił później ze Stanisławem Potockim po napisaniu przez tegoż „Podróży do Ciemnogrodu“. Uwagi swoje podaje Kołłątaj poufnie. Myśli, jakiebym miał względem urządzenia edukacyi w tym kraju, chętnie komunikować będę, ale tylko w obrębie naszej przyjaźni (list z 3. II. 1809), bo takie jest moje położenie, że do niczego mieszać mi się nie wypada; dość dla mnie, że dożyłem tego czasu, w którym wolno mi jest naleść się na tej ziemi i nazwać ją moją ojczyzną... A widzę (list z 17. II. 1809), że arcybiskup przez jakiś czas będzie się mieszać do wszystkiego, cokolwiek fanatyzm i obłudę wspierać może; ja zaś nadto stary jestem i zanadto spokojności potrzebuję, żebym miał rozpoczynać spory z obłudą i fanatyzmem; wolę więc zemknąć się z drogi i zostawić czasowi tryumf prawdy nad głupstwem... Gdy mi WPD. do-

nosisz, że JP. Wolski (eksksiądz nauczyciel prześladowany przez duchowieństwo) wyszedł dobrze w swym interesie (list z 21. III. 1809), nie chciałem go trudzić niepotrzebnemi uwagami nad celami arcybiskupa. Lecz gdy teraz donosisz o niepewnym losie Izby edukacyjnej, gdy inni opisują mi ostatnią audyencyą tego prałata, którą miał u króla, postrzegam, że on seryo zamyśla podkopywać fundamenta nowego rządu i oświecenia publicznego. Dobranie jej członków należałoby tak urządzić, żeby z nich jedni byli dość poważnymi i mocnymi protegować dobre widoki, żeby drudzy około nich zdolni byli z pożytkiem pracować. Ci, którzy mają protegować, jak niegdy Komisya edukacyjna, powinni być śmieli, z powagą oprzeć się arcybiskupowi i jemu podobnym, a nawet odsunąć go zupełnie od wszelkiego wpływu. Ale cóż teraz powiecie, kiedy ogłosiliście sami ustawę o dozorach, do których dopuściliście biskupów po departamentach? Daj kurowi grzędę, to on i więcej chce... Nie byłożby to głupstwem, gdyby WPDobrodzieja chciano oddalić od miejsca, które tak pożytecznie dla dobra nauk posiadasz? Któregokolwiek księdza w czarnej sukni ubierz w ponsy, a będziesz miał z niego arcybpa dzisiejszemu podobnego, lub nawet godniejszego. Lecz gdy stracisz Lindego, nie najdziesz prędko drugiego... Jeżeliby tak miało wypadać (list z 14. IV. 1809), aby koniecznie ktoś z wyższego duchowieństwa musiał zasiadać w Izbie edukacyjnej, tedy trzeba wyszukać, jeżeli jakiego najdziecie, prawdziwie światłego biskupa; lub jeżeli nie najdziecie, szukajcie głupiego, byle był dobry człowiek, a nie fanatyk; zawsze starać się o to, żeby więcej biskupów nie zasiadało, a między świeckimi wyszukiwać ludzi takich, którzyby byli w stanie dać protekcyą objektowi... Widać jednak, że wasza ustawa o dozorach pierwsza obudziła myśl biskupom, aby się starali podgarnąć pod siebie edukacyą publiczną. I niech tylko p. Stanisław (Potocki) temu wcześnie nie zapobieży, pokażą mu zęby i znudzą go tak, że wszystko nareszcie porzuci... Warto przypomnieć, że Kołłątaj pod tym względem zradykalizował się, bo jeszcze za sejmu czteroletniego prezesurę Komisyi edukacyjnej zostawiał prymasowi.

Do ważnych środków, przez które świeckość szkoły miała być utwierdzoną, a oddziaływanie etyczne na ogół młodzieży zapewnionem, należała wprowadzona przez Komisyę eduk. nauka moralności czyli inaczej wykład religii naturalnej. Przedmiot ten był nauczany starannie we wszystkich klasach. Religia objawiona, w danym wypadku katolicka, była nauczana w klasach niższych w szkole, w klasach wyższych w kościele. Na naukę moralności uczęszczali uczniowie wszystkich wyznań.

Kołłątaj pragnął, ażeby nauka religii objawionej miała nauczycieli

światłych i uczciwego życia. Dlatego starał się i częściowo wprowadził w czyn, ażeby nauczyciele duchowni pobierali należyte wykształcenie. Dążył tedy do utworzenia przy szkole głównej krakowskiej seminaryum głównego dla kleryków. Jan Śniadecki, wzorując się na Kołłątaju, starał się później o to samo w Wilnie, przyczem natrafił na niesłychane trudności ze strony władzy duchownej. O ile zaś nauczyciele księża mieli nauczać przedmiotów świeckich, żądał, ażeby ukończyli potrzebne nauki w szkole głównej. I ta sprawa niełatwą była do przeprowadzenia z powodu oporu duchowieństwa. Usiłowania Kołłątaja miały cel dwojaki: naprzód, ażeby wszystka młodzież i wszystko nauczycielstwo wychowywało się pod opieką publiczną rządowo-naukową, przez co jednolite wychowanie młodego pokolenia w szybszym czasie mogłoby być dokonanem i zdrowy duch obywatelski przywróconym; powtóre, w stosunku do duchowieństwa, pragnął wychowanie i wykształcenie duszpasterzy poprawić, zreformować, z duchem narodowym zjednoczyć, a co za tem idzie, zyskać rozumnych pracowników nad szeroką rzeszą współwyznawców, chętnych i pomocnych rządowi edukacyjnemu w pracy nad oświeceniem powszechnem.

Dążenia Kołłątaja nie były dyktowane jakąś specyalną żyłką reformatorską, lecz były oparte na głębokiej znajomości własnego narodu i dziejów ojczystych, wypływały z przekonania o konieczności poprawy. Mało było ludzi w Polsce, którzy mieli tak dokładną znajomość historyi krajowej, w szczególności w zakresie edukacyi, jak ją posiadał Kołłątaj. Świadczą o tem choćby te okruchy, jakie wydano z papierów pośmiertnych, a między nimi: Pamiętnik o stanie duchowieństwa katolickiego polskiego i innych wyznań w połowie XVIII. wieku i Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III-go. Wiedział także o tem, jak ogromną rolę odgrywało w przeszłości duchowieństwo w sprawie wychowania narodu, jak szkodliwych skutków stało się przyczyną; gdy zaś nie mogło mu być tajnem, że wpływ duchowieństwa będzie i w przyszłości bardzo pokaźny, chciał, ażeby to duchowieństwo pod opieką czynników świeckich należyte pobierało nauki, ażeby możliwość podobnej szkody na przyszłość usunąć i odwrócić. (Dok. nast.).

Michał Janik.

CO TO JEST ROSYA?

(Dokończenie).

Demagogia biurokratyczna rozporządza innymi jeszcze środkami. W celu kupienia mas dla swych ideałów i dla wzmocnienia swej pozycyi posuwa swój liberalizm tak daleko, że zmniejsza okradanie sołdata i nieludzkie z nim obchodzenie się. Mając na względzie stań umysłowy i kulturalny ludu rosyjskiego nie byłoby dziwnem, gdyby to „ideowe" polepszanie barszczu i kapuśniaku w koszarach i ta zmniejszona doza „mordobicia", jaka spada na sołdackie „roże", nie odnosiły tego skutku, o jaki stanowi rządzącemu w Rosyi chodzi. Niepospolity talent Gorkiego i innych rosyjskich belletrystów kazał nam wierzyć na słowo, że lud rosyjski jest kopalnią niepospolitych darów umysłu i serca, silniejsza jednak rzeczywistość ponura i ohydna otrzeźwia i do wręcz przeciwnych wniosków zniewala. Ów wyidealizowany przez powieściopisarzy lud rosyjski w swej tępości umysłowej jakiejś kłody, w swem duchowem odrętwieniu, przytem zezwierzęcony, jeszcze długo będzie bezpłatnie dzierżawionym przez popów i urzędnictwo, jeszcze długo spełniać będzie rolę ślepego wykonawczego narzędzia wszelkich machinacyj, choćby najpodlejszych, urzędnictwa i popów, tych odwiecznych naturalnych sprzymierzeńców, tej nierozdzielnej dwójki hultajskiej. Trudno o tem nie wiedzieć, więc wie o tem biurokracya rosyjska i to jest właśnie źródłem owego głośnego frazesu Stołypinowskiego: „Nie nastraszycie!" To opieranie się do pewnego stopnia na ciemnocie i barbarzyństwie mas ludowych ośmiela biurokracyę i wydanie religijne tej biurokracyi pod postacią popów do walki zaczepnej z inteligencyą i z europeizmem, który pomimo wszelkich stawianych tam i przeszkód nie mógł nie przeniknąć do Rosyi drobniuchnemi szczelinkami. — Najważniejszem ustosunkowaniem w tem wszystkiem jest to, że biurokracya rosyjska, ażeby nie uronić nic ze swego stanu posiadania, potrzebuje indolentnej, charłackiej, barbarzyńskiej, społecznie uwstecznionej, nie spojonej, poważnionej ludności, gdyż tylko taka ludność potrafi znosić biurokratyczne pasorzytnictwo, bo tylko taka ludność jest obezwładnioną i bezsilną, ile razy zamierzy otrząsnąć się z biurokratycznego polipa. Ale taka właśnie ludność, spreparowana według gustu i potrzeb biurokracyi i jaka przez tę ostatnią gorliwie i starannie jest hodowaną, nie posiada żadnej zdolności i siły oporu dla najazdu cudziemskiego kapitału, stającego się państwem w państwie; tak

zwany pokojowy, ekonomiczno-polityczny podbój takiej ludności jest bardzo tanim tryumfem. Historycznie wytworzone warunki życia rosyjskiego, koniecznościowo podtrzymywane przez biurokracyę, są fabryką i hodowlą na wielką skalę wszelkiego rodzaju karyerowiczów, gnuśnych malwersantów i synekurzystów, charłaków, wałkoni wyzutych z wszelkich ambicyj i popędów społecznych. Tłuszcza ta ciśnie się do żłobu państwowego, nie marząc o niczem innem, jak tylko o tem, by miliardowe budżety Rosyi rozchwytać. Drugą stroną tego medalu jest wychowywanie odchodzących od przytomności desperatów, samobójców, maniakalnych przewrotowców. Takie zdziczałe skorrumpowane stado ludzkie, taki Łazarz społeczny, gdzie walka klas, rodzin i jednostek posunięta jest do absurdu, nie może wytrzymać ani przez chwilę i nie wytrzymuje współzawodnictwa na żadnem polu, czy to wojennem, czy pokojowem z każdem europejskiem społeczeństwem zamożnem, inteligentnem, wyszkolonem, zaprawionem do energicznego, sprawnego i solidarnego działania.— Każdemu człowiekowi myślącemu i świadomemu wiadomo dziś, że t. zw. protekcyjne cła, taryfy protekcyjne i premie wywozowe niczego nie protegują, nie uzbrajają i nie uodporniają ekonomicznie społeczeństwa; jest to tylko napychaniem kieszeni jednej kategoryi i gromady wytwórców kosztem innej i kosztem konsumentów. Każdemu świadomemu dziś też jest wiadomem, że przy dzisiejszej technice i obfitości pieniędzy fabryki stały się koczownikami z łatwością przeskakującymi kordony i inne mizerne szlabany. Myślący wie również, że przypływ i odpływ kapitału nie zna kordonów i zależy przedewszystkiem od przewagi wytwórczości i przetwórczości nad spożyciem. Należy też sobie uświadomić istnienie różnic pomiędzy kapitałami, z których każdy inną spełnia rolę w życiu społecznem, inne znaczenie i wartość przedstawia. Istnieje kapitał antispołeczny, tępy, gnuśny, bierny, wyniszczający, jakim jest kapitał lichwiarski, istnieje kapitał inteligentny, społeczny, pracowity, czynny, wytwarzający placówki dla pracy i inteligencyi, ochraniający lub pomnażający dobra społeczne; istnieje też kapitał zaborczy, wyzyskujący pozakrajowe źródła bogactw. Wszystko to należy sobie uprzytomnić, jeżeli się chce zrozumieć położenie dzisiejszej Rosyi. Ludność Rosyi i jej rząd są w szponach zagranicznego kapitału biernego, pod postacią dziewięciu miliardów (rubli) długu państwowego. Pozostają one również w szponach zagranicznego kapitału czynnego i zaborczego pod postacią nowych miliardów, wyzyskujących przebogate płody naturalne Rosyi. Ludności rosyjskiej pozo-

stawia się w tym procesie rolę widza, rolę konsumenta, lub w najlepszym razie rolę płatnego pomocnika, w wyśrubowaniu dla zagranicy z Rosyi dywidendy. To też za granicę odpływa z Rosyi ogromna rzeka pieniędzy. Jest to to samo, jakby ze zranionej „aorta ascendens" wylewała się pulsująca krew. Pomnażające się sztaby złota w skarbcu państwa rosyjskiego ledwie mogą nadążyć, ażeby podtrzymać walutę złotą i utrzymać kurs pieniędzy na oznaczonym poziomie. Śruba podatkowa przeciągnięta jest przy niskiej kulturze technicznej ludności ponad jej zdolność płatniczą. Zniewala do tej przesady podatkowej konieczność spłacania amortyzacyi miliardowych zewnętrznych pożyczek państwowych, na którą to amortyzacyę zużywa się blizko połowa budżetu. Pożyczki te zewnętrzne nie byłyby klęską, gdyby tkwiły w inwestycyach kraju i obarczały zamożną ludność, lecz zaprzepaszczone zostały one na nieprodukcyjne wojny, na tuczenie łapowników biurokratycznych, na kosztowną, fantazyjną pseudo-ekspansywną politykę na dalekim Wschodzie dla dogodzenia karyerowiczowskim zapędom wpływowych dygnitarzy. Lwia część reszty budżetu zużywa się na zabezpieczenie biurokracyi i pompy podatkowej za pomocą wojska i policyi. Ochłapki zaledwie budżetu zużyte być mogą na cele kulturalne, inwestycyjne, wzmacniające i uzdrawiające kraj. Syndykaty zagranicznych przedsiębiorstw przemysłowych, handlowych, wysysających Rosyę i jej ludność obok przeciążenia podatkowego sprawiają rosnącą wciąż drożyznę, a ta obniża skalę życia, zuboża ludność i ją ubezwładnia. Przemysł i handel rosyjski jest pobijanym u siebie w domu przez immigrujący przemysł i handel cudzoziemski, a gospodarze Rosyi chodząc na obroży obcego kapitału i obcej polityki, żadnymi traktatami handlowymi ani żadną polityką ekonomiczną zapobiedz temu nie mogą.

Ten stan rzeczy zrodził znamienny, utopijny i desperacki pomysł Stołypina, zmierzający do nacyonalizowania przemysłu i handlu w Rosyi. Jedynem lekarstwem w tem położeniu byłoby zreformowanie Rosyanina, wychowanie nowego typu Rosyanina, lecz to groziłoby obaleniem okopów świętej biurokracyi. Niepodobieństwem jest dla niej na to się zgodzić, więc Rosya nadal musi chorować na trawiącą gorączkę i konsumpcyę ciała. Więc musi być Rosya żywcem zjadaną przez obcy kapitał, będący wcieleniem skoncentrowanej obcej energii.

Historycznie wytworzona psychika rosyjska jest tego rodzaju, że nią biurokracya tuczyć się może i przez długi czas jeszcze bę-

dzie. W nizinach, jeżeli nie odnajdujemy ślepej, odruchowej, rozpaczliwej, wybuchowej samoobrony, łamiącej wszelkie szranki i ustanowione normy, to odnajdujemy zwierzęce poddanie się, poganizm religijny, lub to, co Niemcy nazywają „Humanitäts-Dusel“, pod postacią marzycielskiego, oderwanego od realnego życia idealizmu, będącego objawem samokojenia wyczerpanej, umęczonej duszy. U wierzchołków natrafia się na moralny nihilizm, na filozoficzny sceptycyzm, posunięty do absurdu, na rodzaj filozoficznej bigoteryi, zasklepionej w zawiłościach oderwanych formułek, omijających realne problematy życia. Rdzeniem umysłowości i duchowości rosyjskiej staje się przysłowiowa bierność, wyrażona w osławionym okrzyku rosyjskim „niczewo“! w przysłowiowem „wsio tryń-trawà“. W myśl takiej filozofii życia niema różnicy między złem i dobrem; wszystko jedno, czy być apostołem czy opryczmikiem Maliutą Skurłatowym. Ponieważ za apostolstwo biją, a za „oprycznikostwo“ płacą, więc lepiej zostać Maliutą Skurłatowym, którego ród trwa i nigdy nie zanikał w Rosyi, począwszy od Iwana Groźnego. Na takiem dekadenckiem podłożu duchowem grzyb biurokratyczny oczywiście bujnie się pleni i jego stan posiadania na długo jest zabezpieczony. Stan ten rozkładu Rosyi trwać musi aż do katastrofy ostatecznej. Równowaga budżetu rosyjskiego jest, obcy kapitał żerujący w Rosyi rośnie i wykazuje olbrzymie dywidendy, a ludność rosyjska, zamieszkując przebogaty kraj ubożeje, głód jej staje się zjawiskiem chronicznem. U kresu tego procesu znajduje się bezpłodna „chlebowa rewolucya“ zrozpaczonego pospólstwa. W tem położeniu rzeczy biurokracya, już dziś mniej rządząca we własnem imieniu, a więcej rządząca w imieniu zagranicznego kapitału, którego jest kamerdynerem, odegra rolę pogromcy niewolników, chodzących w jarzmie obcego kapitalistycznego najazdu; będzie się to pretensyonalnie nazywało „utrzymywaniem ładu społecznego“. Jeżeli tę rolę poskramiacza niewolników biurokracya odegra pomyślnie i zgodnie z życzeniami matadorów giełdziarskich, pozwolonem jej będzie pozostać na posterunku, w przeciwnym razie otrzyma gremialną dymisyę od dyplomatów i feldmarszałków zagranicznych, będącą uwerturą rozbioru Rosyi. Rosyi odradzającej się, Rosyi usamodzielniającej się, Rosyi emancypującej się z pod zaborczego zagranicznego kapitału i ekspansyi byłaby wypowiedzianą wojna, którą musiałaby przegrać. Taki sam los oczekuje Turcyę, która, jak Rosya, będąc ponętnym łupem, jest słabą.

Kierunek rozwoju historycznego, gdy trwa dość długo, nabiera

rozpędu i na obstalunek nie może ulegać zmianie. Świadomość, że u kresu tego kierunku znajduje się zagłada i zatracenie Rosyi, nie wystarcza bynajmniej, by rozwój w tym kierunku powstrzymać lub pchnąć go na inne tory. Rozpęd rozwojowy jest utrwalony dziedzicznością popędów i charakterów, jest zabezpieczony tradycyą nieprzepartą, naśladownictwem tego, co było i tego, co się zastaje około siebie, gdy się przychodzi na świat. Wytwarza to rodzaj determinizmu historycznego. Gdyby było inaczej — narody, państwa, kraje nie mogłyby ginąć i ulegać zagładzie, a wiadomem jest z historyi, że narody, państwa, kraje mają swoje mogiły i cmentarze. To też Rosyi nie zbawią szlachetne wysiłki garstki patryotów rosyjskich, wychowanych w słońcu europejskiej kultury. Nie zbawią dlatego, że pojawiają się zbyt późno i w zbyt małej liczbie. Nie zbawią oni Rosyi, jak nie uratowali Polski Kołłątaj, Kościuszko, Komisya Edukacyjna i zabiegi innych spóźnionych i nielicznych. Każdy dzień życia Rosyi notuje nieustający szereg porażek i nieudałych wysiłków jej patryotów. Natomiast na całej linii mnożą się tradycyjne, rutyniczne, nałogowe popisy rujnujących metod politycznych, zasilanych przez skorumpowany, wychowany przez biurokracyę motłoch rosyjski, liczebnie niewyczerpany. W warunkach, kiedy całą siłą pary dla wzmocnienia kraju krzewić trzeba rozmyślnie tłumioną wszechstronną kulturę ludności, kiedy dla politycznego wzmocnienia Rosyi jej heterogeniczne składniki spajać trzeba na gwałt wciąganiem ich w wir uwspólnionych interesów, to zamiast tego tłumi się samorodne nawet i samorzutne wysiłki kulturalne i dogryza się chude resztki „inorodców“ i „okrain“ — w tem przekonaniu zapewne, że to wzmacnia. I ten idyotyzm polityczny uprawia się zapamiętale w obliczu tylu poglądowych lekcyj, jakie już historya wielokrotnie udzieliła, pouczając, że ciemięstwo nie wzmacnia, nie spaja i nie jednoczy, lecz jest klinem politycznym, który rozsadza i osłabia. Przykładem chociażby sąsiednia Austrya. Lecz idyotyzm polityczny Rosyi jest koniecznością historyczną, przeto jest nieuniknionym, niezależnie od wyników, do jakich może doprowadzić. Ciemięstwo to inorodców i okrain nawet wzmogło się, co jest w zależności od liczebnego wzrostu dekadentów w Rosyi, umiejących żyć tylko z ciemięstwa i w zależności od hańbiących porażek na Dalekim Wschodzie. Najsłabsi i najmniej odporni ponoszą lwią część kosztów wszelakich klęsk, przeto bicie zdanych na łaskę i niełaskę inorodców, tuczenie niemi kanalii i tłuszczy rosyjskiej staje się rodzajem kompensaty i dostarcza

oprawcom złudzenie siły. Takiem zachowaniem się politykujące sfery rosyjskie upodobniają się do tego nieokrzesanego, pijanego szewca, który pobity i wyrzucony z szynku powraca do domu, by wytłuc słabszą od siebie żonę i dzieci, i natłuc trochę mebli i garnków.

W tym procesie zatracania się Rosyi rozgrywa się jeden z końcowych aktów wielkiej tragedyi dziejowej, której osnową jest bój na życie i śmierć germańskiej i słowiańskiej rasy, obfitujący w zadziwiające szczegóły. Dziedzictwo słowian stale od wielu wieków kurczy się i dzieje się to na mocy wyrazistych ułomności tej rasy, które ją upośledzają w walce o byt z innemi rasami. Dziedzictwo to kurczy się przeważnie na rzecz rasy germańskiej, z którą świat słowiański najdawniej i najwięcej się stykał. „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht“ dla tej prostej przyczyny, że rasa jest na tyle poważnym czynnikiem historyi, że może być zaliczoną do naczelnego czynnika. Przy jednakowych położeniach geograficznych i jednakowej przyrodzie terytoryum różne rasy do odmiennych doprowadzą wyników. Zatem upadek słowiańszczyzny, zapoczątkowany w najdawniejszych czasach, trwający dotychczas i nie ukończony, przypisać należy grzechom istotnym rasy słowiańskiej. Wszelkie inne teorye wyjaśniają ów upadek w bardzo niewystarczający sposób. Że cały szereg ułomności jest znamieniem rasy, to przekonywa o tem niespożyta trwałość niemal wieczystość tych ułomności. To, co o słowianach pisał przed XI wiekami Lew Mądry lub Maurikios, dotychczas utrzymuje się w sile, i dziś jeszcze stwierdzić się daje. Lew Mądry, mówiąc o słowianach, zaznacza, że wolą swobodny i niezbyt zatrudniony żywot prowadzić, niżeli wielkiemi zachody o doborowe jadło lub bogactwo się starać. Dzisiejsza gnuśność i wałkoństwo słowiańskie zatem rzucały się w oczy już w tych odległych czasach. Maurikios zaś takie słowianom wystawia świadectwo: „Wiele niezgodnych jest książąt, a plemiona słowiańskie niczyich rozkazów nie słuchają, a między sobą ciągle się swarzą i nienawidzą“. Rys ten jak jaskrawa nitka przewija się przez cały ciąg dziejów słowiańszczyzny. Chcąc głośno wyspowiadać rasę słowiańską z jej grzechów dziejowych, trzeba się przygotować na długą listę i to grzechów śmiertelnych. Niema i nie było większych idyotów politycznych, niż byli i są nimi słowianie. Niezdolność organizacyjna jest inną ułomnością rażącą. Stykając się przez całe stulecia ze zorganizowanymi politycznie najezdnikami, mając przed oczami poglądowe nauczanie, jaką przewagę ta organizacya daje najezdcom słowiańszczyzny, nawet w widokach samoobrony okazy-

wali się słowianie niezdolnymi do organizacyi. Dość wcześnie powstałe za Zachodzie państwo Majmona było przemijającą, nieudałą próbą. Z drugiej strony wszystkie polityczne organizacye słowiańskie okazały się nikłe, nietrwałe, niezdolne wytrzymywać próby ogniowej w współzawodnictwie politycznem z innemi pokrewnemi organizacyami. Niemałą ułomnością słowian był również brak przedsiębiorczości i wytrwałości wojennej. Grecy z tego powodu nazywali znanych im słowian ludem „gołębim“. Więcej byli oni „gęślarzami“ niżeli wojownikami. Wojna nazywała się u nich „potrzebą“. Bez organizacyi i bez animuszu wojennego więcej biernie niż czynnie odpierali wojenne najazdy, chroniąc się wraz ze swym dobytkiem w niedostępnych moczarach i mokradłach. To też po ziemiach słowiańskich nieustannie odbywały się wojenne spacery przeróżnych zdobywczych ludów. Wojny, prowadzone z musu przez słowian, noszą na sobie wyraźne piętno połowiczności, dając obraz wojen ani logicznie zaczętych, ani logicznie zakończonych. Dzieje słowiańszczyzny są dziejami politycznych absurdów; cechuje je we wszystkiem niewytrwałość, połowiczność, jakieś dziejowe ni w pięć, ni w jedenaście, nieudolność zbiorowości słowiańskiej obok świetnych przymiotów oddzielnych postaci historycznych, których prace i czyny zbiorowość zawsze potrafiła ześwinić i zmarnować. Znamiona te mają za podstawę wady rasy, nie zdolnej ani panować, ani być z kretesem wytępioną, niezdolną ani żyć, ani przyzwoicie umrzeć, przeżywającej wciąż jakiś splot pogrzebu z narodzinami. To też od czytania dziejów słowiańszczyzny bezustannie przewracają się najcierpliwszemu czytelnikowi flaki. Osobliwością tych dziejów jest i to, że społeczności słowiańskie zawsze były ujarzmiane i pokonywane przez nich samych, a nigdy lub bardzo rzadko za sprawą sił zewnątrz działających, które tylko zbierały dla siebie plony samobójczych zapędów słowiańszczyzny. Hasło generała Bema: „gdy zechcemy, to będziemy silni“ — tylko teoretycznie daje się pomyśleć, w praktyce bowiem słowianie okazują się niezdolnymi „chcieć“, o które wszystko się rozbija. Że wszystkie te pobieżnie zaznaczone wady są cechami rasowemi, świadczy o tem nietylko ich starożytność i trwanie do ostatnich chwil, ale i to, że są one właściwe wszystkim warstwom i stanom społecznym i wszystkim odłamom rasy słowiańskiej, choć nie wszystkim w jednakiej mierze.

My Polacy w obliczu naturalnej agonii Rosyi, jednego z głównych ciemięzców i pustoszycieli Polski, nie mamy ani jednej łzy do uronienia, choć i radować się też nie można z takiego powodu.

I z Rosyą uzdrowioną i z Rosyą konającą nie oczekuje nas nic innego, jak zagłada. Nie chcemy, jak większość najętych dziennikarzy i publicystów być kosmetykiem, który kłamie i osłania brudy życia polskiego; natomiast chcemy być mydłem, które te brudy czyści. Z tego tytułu decydowaliśmy się już nieraz na zagrażającą życiu kąpiel błotną na trzęsawisku życia polskiego. Nie oglądając się na konsekwencye dla nas, wskazywaliśmy, że naród polski jest narodem ginącym a nie odradzającym się, gdyż to jest logicznem i nieuniknionem następstwem całego szeregu czynników przeszłości i teraźniejszości dziejowej. Jedynie wzgląd, by nie radować nadmiernie i niezasłużenie wrogów narodu, powstrzymywał nas od zbyt szczegółowych charakterystyk na powyższy temat. Rosya, mając wszelkie zewnętrzne dane do bujnego rozkwitu, ginie po słowiańsku, t. j. nie na mocy nieszczęść i trudności zewnętrznych, lecz na mocy własnych upadlających grzechów. Ginie ona, jak Samson, pod gruzami świątyni słowiaństwa, której podtrzymujące filary własnoręcznie spustoszyła. Zatracenie Rosyi nasze zatracenie tylko przyśpiesza, robi boleśniejszem i utrwala. Przymusowe współżycie ze zdziczałem, skorumpowanem społeczeństwem rosyjskiem, oparte prócz tego na stosunku ofiary do oprawcy, mogło nas tylko jeszcze więcej uwstecznić, zubożyć, zdemoralizować niż to miało miejsce w okresie rozbiorów. Wszystko to jest podstawą wszechstronnej niemocy, a niemoc taka prowadzi do zagłady. Agonie narodów i ras trwają całe stulecia. O tej agonii rozstrzyga rozmiar uzdolnienia do walki o byt narodowy, wykazanego w historyi. Rozstrzyga o tem również ustosunkowanie stopnia odporności na ilość; jakość sił wrogich, trawiących ten byt i przemagających. Konjunktury te dla rasy słowiańskiej i poszczególnych jej odłamów narodowych nie upoważniają tylko do snów o potędze. *Szpon.*

OD REDAKCYI.

Przeczytawszy w zakończeniu wywodów autora twierdzenie o czekającej nas zagładzie, zaprotestowaliśmy przeciw niemu z całą stanowczością. Autor, wybitny pisarz warszawski, odpowiadział na to w liście. Powołuje się na dowody rzeczowe, bliżej nieokreślone, następnie pisze: „Pod względem wychowawczym pożytecznem jest uświadomić na tym punkcie i budzić wstyd z tego powodu, gdyż to podniecą jeszcze instynkt samozachowawczy i urażoną miłość własną. Słowianin leniwy tylko podniecany gniewem zdobywa się na czyny, a nic go tak nie gniewa, jak zniewalanie i popychanie do czynu“.

Zdecydowaliśmy się umieścić głos autora, gdyż „Krytyka" nie ma za zadanie służyć jakiejkolwiek partyi, szanować czyjekolwiek lenistwo duchowe, lub komukolwiek pochlebiać, lecz pobudzać do energicznego myślenia i działania w celu wyzwolenia naszego. Nie uważamy też za stosowne ukrywać depresyi i pesymizmu, jakie ogarniają pewne umysły, intenzywnie odczuwające ucisk moskiewski, a nie widzące ze strony społeczeństwa pracy odrodzeńczej tak energicznej, jakiej gorące dusze się domagają, jaka jest naszym obowiązkiem. Praca ta jednak się odbywa, a ma grunt pod sobą coraz szerszy i niewyczerpany. Pracować trzeba zawsze, choćby się jak najpesymistyczniej było usposobionym, tembardziej trzeba, że obejmując całokształt życia narodu, spokojnie można powiedzieć, że nie giniemy, lecz idziemy naprzód. Przekonanie to jest nietylko sprawą wiary, lecz płynie też ze zbadania i przemyślenia całego rozwoju XIX wieku. Uczony, daleki od uczuciowego traktowania życia, Ludwik Krzywicki, opracowując dzieje kultury polskiej od końca XVIII do końca XIX wieku, okres ten nazywa wiekiem odrodzenia. Niecierpliwie oczekujemy wyjścia dzieła Krzywickiego. Nie ulegajmy tylko wrażeniom chwili; ogarniajmy myślą szerszy zakres doświadczenia dziejowego. Czem była Polska ginąca i Polska z początku XIX wieku, bez mieszczaństwa, bez przemysłu, z ludem nędznym i biernym, z minimalną ilością szkół, druków, a czem jest dzisiaj. Ilościowo nie jest Francyą, której ludność by się zmniejszała; jest nas 23 milionów; jakościowo przedstawia obraz narodu nowożytnego, zróżniczkowanego, a coraz bardziej uświadomionego. Wystarczy wskazać na postępy chłopa we wszystkich trzech zaborach, na obudzenie się do roli dziejowej robotnika w Królestwie, na Śląsku, w Galicyi. To są siły niezniszczalne.

Nie usypiajmy się tylko tanim optymizmem. Zdawajmy sobie sprawę ze wszystkich naszych kroków; wszystkie są za powolne, wiele jest wstecznych. W ostatnich czasach ponieśliśmy niejedną klęskę i to nie z powodu polityki wrogów, lecz z własnej winy. Na Śląsku pruskim skutkiem robót klerykalnych polskość nie postępuje; w Galicyi proces uprzemysłowienia się kraju idzie naprzód, ale pieniądz i przedsiębiorczość Prusaków przechodzą w kilku powiatach zachodnich w politykę zaborczą. W Królestwie za nieszczęście narodowe uważamy antysemityzm, odsuwający od współpracy żywioł, któremu nowożytny ruch ekonomiczny i kulturalny — jak wykazał świeżo Sombart — dużo zawdzięczają. W polityce naszej we wszystkich trzech zaborach zamało jest samoistności; natomiast występuje ta w formie najmniej pożądanej, gdzie najmniej jej potrzeba: w stosunku do innych narodów, z którymi wspólne interesy nas łączą. Wogóle zamało jeszcze u nas kultury,

demokratyzmu, przedsiębiorczości ekonomicznej, spiżu charakterów, woli świadomej; powtarzamy to ciągle, od lat, prawie na każdej stronicy pisma naszego. Objawem zatrważającym jest upadek u ostatniego pokolenia — dzięki stańczykom i obecnym organicznikom warszawskim — naszych aspiracyj państwowych; one muszą być dyrektywą naszych robót ekonomicznych i kulturalnych. Od pewnego czasu budzi się jednak i na tym punkcie lepsza świadomość; na ogół zaś, porównując stan obecny ze stanem z przed lat 100, 50, a nawet 25 (kiedy chłop i robotnik nie byli jeszcze siłą), nie ma absolutnie powodów do zwątpienia.

Drukujemy zatem głos autora — do pobudzenia myśli, lecz nie podzielamy go, i zamiast opuszczać ręce powtarzamy: pracować, pracować, pracować.

Jeszcze jedno. Autor zna społeczeństwo rosyjskie i wraz z nim trudno oprzeć się pesymizmowi w poglądach na Rosyę. Wyciągamy też z tych stosunków jedyną logiczną konkluzyę: musimy od Rosyi się oderwać. Oderwanie się Polski leży w interesie także lepszych żywiołów Rosyi, która nie będzie wówczas wydatkować sił na ujarzmianie drugich. Sprawa wolności Polski jest — jak dawniej — sprawą wolności dla wszystkich, a gorzkie nasze słowa prawdy nie mają na celu zohydzania lepszych żywiołów rosyjskich; słowa te — jak mówi Mickiewicz — niechaj żrą i palą nie was, lecz wasze okowy. Nie podzielamy nareszcie pesymizmu autora odnośnie do słowian; przykład Czechów, Słoweńców, wykazuje, że walka z Niemcami jest możliwa. A więc: walczmy.

PISARZ I CZYTELNIK [1].

W wirze spraw, rzeczy i namiętności, w chaosie myśli bezładnym i zwichrzonym, na wielkim gościńcu bytowania ludzkiego szukają siebie wzajem, wzajem tęskniący za sobą — pisarz i czytelnik.

— Gdzie jesteś pisarzu? — woła czytelnik. Od lat wielu czekam na ciebie, szukam, nie znajduję. Idę w kierunku głosu i hasła, które rzucasz; znajduję maszkarę, automat, który za naciśnięciem sprężyny wyrzuca ze siebie co dzień albo co tydzień, albo co mie-

[1]) 18 lutego r. b. odbył się w Paryżu „Wieczór Literacki“ (Journal Parlé) na dochód Bratniej Pomocy uczącej się w Paryżu Młodzieży Polskiej. W wieczorze tym uczestniczyli: pani B. Ostrowska oraz panowie: Stefan Żeromski, Wacław Sieroszewski, Artur Górski, Bol. Leśmian, Zygmunt Zaleski, Maryan Kukiel, Antoni Lange, Władysław Günther, Wład. Tatarkiewicz. Artykuł „wstępny“ p. t. „Pisarz i Czytelnik“ odczytał p. Stanisław Posner.

siąc tę samą ilość poczernionego papieru. Wszak jesteś ponoć pisarzu potęgą, wszak powiedziano, że żyjemy nietylko we wieku krwi i żelaza — ale i w wieku papieru. Mocarzem mógłbyś być, pisarzu: zło karać i plenić, smutek rozpraszać, nadzieję wlewać w spragnione serca ludzkie. Czem jesteś, pisarzu? W państwie twojem — w prasie — żali słusznie mówią ludzie, że śnieżno-biała kula Prawdy i Piękna w rękach twoich, niby kominiarza dłoni — przekształca się w brudno-szarą bryłę? żali prawda to, że w państwie twojem — niby w wielkim piecu, każdy objaw życia największy i najczcigodniejszy przesmaża się w sensacyę? Żali prawda, że w państwie twojem — niby w wielkiej klatce, tokują w świętokradzkim zespole nieświadome liryczne słowiki, surowe krytyczne sowy i drapieżne handlowe jastrzębie?

Gdzie jesteś pisarzu?

Na fali życia łódź moja płynie bez steru. Na grzbiecie jednego bałwana strzela w górę, to znowu na grzbiet innego, kłębiącego się niżej, spada, i tak co chwila: jedne teorye zastępują drugie, jak poglądy, wskazania czynu zamieniają inne, jeszcze nie spłowiałe, prawie że świeże i młode.

Przyjdź i oświeć — pisarzu! Przyjdź i naucz. Przyjdź — objaw prawdę.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po drugiej stronie gościńca, oddzielony od pierwszego murem papieru, przesądów i nieporozumień, w zamyśleniu i z troską na czole kroczy inny wędrowiec.

— Gdzie jesteś czytelniku? woła pisarz. Lata czekam na ciebie. Oddaję ci treść i sól życia. Z myśli moich snuję długie nici, które czas i przestrzeń objąć potrafią, a do ciebie trafić nie mogą. Z serca posyłam strzały we krwi skąpane — ale one odbijają się o kamienną, zda się pierś twoją i wracają. Gdzieżeś ty? Mówisz, iż mnie szukasz? Z czem do mnie przychodzisz? Z ciekawością wyczulonego na nowinkach umysłu? Czy nie rozumiesz, że słowo, które tobie niosę, jest słowem jedynem, które raz tylko mówi się w życiu, które cicho spływa z ust rozmodlonych, bratniego szukając ucha; słowem, które jest ofiarą i czynem. Wszak brata szukam w tobie, w sobie — ciebie, w tobie — siebie znajdując...

Gdzie jesteś czytelniku? W atmosferze milczenia twego, w rozrzedzonem powietrzu obojętności więdną myśli moje, płowieją kwiaty. które mi przeznaczenie tobie w darze nieść każe. Uczyń, aby droga nasza wspólną była, droga świadomych życia i ideału, rzeczywistości

i marzenia towarzyszów. Twoją to rzeczą uczynić rozziew między życiem i marzeniem mniejszym i krótszym, przybliżyć panowanie Prawdy i Piękna, w organizmu łspoecznego żyły wlać nową krew, nową moc, ochronę i młodość.

— — — — — — — — — — — — — — —

Czy się spotykają pisarz i czytelnik, taki pisarz i taki czytelnik?

Życie zbliża ich do siebie wzajem.

Życia szczyty i niziny, rzadkie radości, częste troski i smutki. Życie wypełnione walką, rzadkiemi zwycięstwy prawdy, częstem pohańbieniem prawa, krzywdą, bolem.

Zbliża — krzywda ziemi Chełmskiej, której los okrutny nie pozwala być sobą. Ziemi Chełmskiej katusze, kajdany, więzienia, ekspedycye karne. Pratulinu dawnego wspomnienie i przyszłego zapowiedzi, Neronowego cyrku widziadła... A jednocześnie — wyżyny ofiary, poświęcenia, pokory serc mężnych i czystych, pozwalające wierzyć, że zabiegi, więzienia, męki — rozbiją się o charakter, o wolę spiżową chłopa chełmskiego, który przetrwał i wytrwa. Zagrzewaj „pisarzu“ pióro swoje — miecz swój. Przybywaj „czytelniku“ — słowo pisarza w czyn zamieniaj: współczuj, umacniaj, tajnemi drogami porozumienia polskiego, utwierdzaj, podnoś, pomagaj. Czeka na cię chłopski zagon, twardy, wyboisty, ciężki w uprawie, głębokim jeno pługiem na nim orać należy.

Gdzie jesteś czytelniku?

Życie skuwa pisarza polskiego i polskiego czytelnika nietylko łańcuchem polskiej sprawy. Siedmdziesiąt lat temu niedarmo mówił Stanisław Worcell, że gdziekolwiek walczono o wolność, tam wszędzie Polska była. To też gdziekolwiek walczą o wolność niewolnicy, tam wszędzie jest, jeżeli nie czyn bezpośredni polski, to w każdym razie myśl polska.

Z jaką radością myśl ta witała zwycięstwo socyalistów niemieckich. Cztery miliony głosów socyalistycznych w urnach wyborczych Rzeszy niemieckiej! Raduje się myśl polska: a może to zwycięstwo oznacza osłabienie despotyi pruskiej, postęp niejaki demokratyzacyi, może osłabienie związku ze wschodnim sąsiadem? Może popękają trochę łańcuchy prusko-rosyjskiej przyjaźni i mocnej Wilhelmowej opieki nad niewzruszalnością despotyzmu rosyjskiego? Może ustanie płacz dzieci polskich we Wrześni. Cztery miliony głosów — mówi pisarz polski, który pamięta jeszcze ostatnie lata praw wyjątkowych, kolonię banitów niemieckich w Zurychu, dwu posłów

w parlamencie, demoniczny śmiech Bismarcka, więzienie Ploetzensee, gdzie sterał siły swoje Franciszek Morawski, cierpiała Marya Jankowska, cierpiał socyalista niegdyś, Stanisław Mendelsohn... Ile pracy, ofiary, wytrwałości mieszczą w sobie lata, które socyalistów niemieckich od owych smutnych dzielą chwil? Ile też te lata mieszczą rozczarowań, wzlotów i upadków, postępu i cofania się! Ileż mrówczej wytrwałości, pracowitości — ta wyspa koralowa bezustannej pokornej pracy milionów dla wspólnego celu, który nie jest nawet na obłoku zawieszonem marzeniem!

Życie tułaczy naszych prowadzi od tryumfów socyalistów niemieckich ku dalekiej, perskiej stronie, gdzie zespołem dwu latronów — ginie wolność starożytnego narodu, któremu słodki Hafis niegdyś śpiewał, który w ciągu ostatnich lat piętnastu w ciężkim trudzie zatłukł Nasredina, wygnał Mehmeda Alego, stworzył zaczątki konstytucyjnego układu politycznego, podwaliny kładł pod nowe życie, na prawie oparte.

Nadzieje patryotów perskich, ściśniętych między młotem rosyjskim a kowadłem angielskiem, budowane były na antagonizmie rosyjsko-angielskim, na konieczności dla Anglii ze względu na Indye posiadania bufora wobec Rosyi — i tym buforem była Persya, zawsze mogąca liczyć na Anglię, gdyby chciała być u siebie wolną i europejską. Ale 1907 staje układ między latronami. Ministeryum liberalne Asquitha i Lloyd George'a, Edward VII zapominają o dawnych antagonizmach — w obliczu niebezpieczeństwa niemieckiego — i odtąd liczone są dni Persyi: południe zagarnia dla siebie Anglia, północ jest przedmiotem grabieży rosyjskiej. Pod protektoratem Rosyi próbuje nowego zamachu stanu Mehmed Ali. Odparty, powoduje — otwartą politykę zaczepną Rosyi. Na ulicach Resztu i Teheranu kozacy, jak w Warszawie i Łodzi, grabią i mordują. Pod pozorem ukrócenia anarchii wewnętrznej, jak za dawnych przedstuletnich czasów, za Katarzyny i Fryderyka, Rosya żąda od dygnitarzy perskich zgody na czyny swoje, na podziałową politykę, na mordy i łupiestwo. Naczelnik kościoła perskiego wleczony za nogi po mieście ku przerażeniu tłumów ulicznych; czterech braci wiszących jeden za drugim na tej samej szubienicy... — Znasz te sceny pisarzu polski? Słyszysz serce swoje, czytelniku?

— — — — — — — — — — — — — — —

Czytelnik i pisarz, szukający się wzajem po gościńcach myśli na rozstajnych drogach czynu spotkali się pewnego dnia — nie wiedząc, nie przeczuwając spotkania. I nie na gościńcu. Pod da-

chem raczej, jakże mocnym, za żelaznym, jakże gościnnym progiem. Dobrze wiedzieć, jak to było — dobrze zapamiętać. Odtąd bowiem trwa przyjaźń, braterstwo tych, co się gonili, nie znajdując.

Rząd rosyjski zapragnął, jak niegdyś Faraon egipski, porachować niewolników swoich. Zarządził spis ludności. Miało to się odbyć wedle zachodnich wzorów, bez jawnego, ni tajnego nadzoru. „Obywatel" otrzymuje listę — wypełnia ją, jak chce, nikt nie sprawdza „prawdziwości politycznej" słów jego. Pełno było cyrkularzy tej treści. Tłómaczono je w prasie europejskiej, jako dowody europeizacyi sąsiada i sojusznika.

Z tym spisem ludności wiązali poważne nadzieje Unici. Uważali, że gdy zapiszą siebie do rubryki katolików, żadna siła, ani pisarz gminny, prawosławny, ani wójt gminny, z urzędu prawosławny, ani sędzia gminny, z urzędu prawosławny, ani naczelnik straży ziemskiej, ani sam nawet gubernator nie będą mogli uważać ich za prawosławnych. Rząd, który zapewniał wszystkich, że pozostawia swobodę zapisywania do kart wszystkich danych bez ograniczeń i nadzoru — dla gubernii unickich wydał tajne rozporządzenie, sporządził tajne listy. Nakazano rachmistrzom, aby nie pytali o wyznanie i puste rubryki miały być wypełniane w Lublinie i w Siedlcach. Unici dowiedzieli się o podstępie i odmówili wogóle odpowiedzi na pytania rachmistrzów. Gdy ich władze męczyły, przenosiły się wsie całe — było to w styczniu — starcy, kobiety, dzieci do wsi sąsiedniej; gdy ich śladem przyjeżdżali strażnicy, przenosili się dalej. Całe powiaty były w ciągu dni kilkunastu w ciągłym ruchu. Ludzi chwytano, bito. Unici nieledwie na śmierć zatłukli pewnego komisarza włościańskiego. Skuto ich w liczbie sześćdziesięciu i pognano do Białej, później osadzono w krwawej turmie siedleckiej, gdzie nocami słychać jęki z dawien dawna; zastygłe w murach tej ciemnicy jęki dręczonych powstańców, unitów, socyalistów, szlachciców, jęki księży, chłopów, robotników i żydów... Była sprawa. Znaleźli się adwokaci w Białej, w Siedlcach, w Warszawie.

Obroniono Unitów. Ale zanim się to stało — w celi więziennej, gdzie w kajdanach siedział starzec unicki, siwowłosy starzec, przez całe więzienie za świętego uważany, spotkali się pisarz polski z polskim czytelnikiem. Słuchali. Słuchali. Przeżyli godzinę, jakiej nie zapomnieć. W toku dochodzenia śledczego widoki uwolnienia unitów uległy pogorszeniu. Akt oskarżenia opiewał, że pewnego dnia unici, opierając się strasznym nahajom władzy więziennej, po-

bili strażników, rzucili się do „samoobrony“ i „musieli zostać zakuci w kajdany“, i osadzeni w ciemnych celach o chlebie i wodzie. Pogorszyło to sytuacyę unitów i pod względem wymiaru kary. Przybyła szersza „zbrodnia“, przybywało kilkadziesiąt lat ciężkich robót.

Adwokat chciał zrozumieć historyę tej nowej zbrodni i pytał starca. Dowiedział się, że pewnego dnia strażnicy otworzyli wrota celi i zaczęli wyganiać wszystkich na korytarz. My starzy zrozumieliśwa — panoczku — czego chce psia wiara. To był dzień „tabelny“ i gnali naród do cerkwi. To też my — starzy — zostali w celi i powiedzieli, że nie pójdziewa. Ale młodzi — ta — nie znający porządków ani kalendarza—poszli. Dopiero, jak obaczyli, że są w cerkwi, a nuż cofać się, a nuż uciekać. Pognała za nimi straż więzienna, herodowe plemię. Kto szablą, kto kluczykiem więziennym tłuc zaczęli. Rany głębokie na szerokość ręki porobili im w bokach, a komu i na głowie... Potem, gdy wszyscy już pokotem leżeli na korytarzu zatłuczeni kolbami, rękojeściami szabel, butami okutemi żelazem — i nic prócz jęku słychać nie było, a niekiedy i modlitwy przedśmiertnej — nałożyli wszystkim kajdany, zlewali wodą, która się ze krwią naszą mieszała i strugą czerwoną płynęła— i zawlekli do szpitala. Odtąd już było w kajdanach żyć nam wolno...

Słyszeli pisarz i czytelnik. Mimowoli zaciskali pięści. Serce ich biło jednako...

Adwokat chciał zajrzeć w głąb duszy unickiej i mówił: „Straszne nam rzeczy opowiadacie, ojcze! Przybędzie znowu kilkadziesiąt lat ciężkich robót. Po co, dlaczego, czy warto, dla takiego głupstwa marnować tylu ludzi, skazywać na mękę i hańbę i poniewierkę, wrogów serce cieszyć, zemstą ich poić? Wszak, gdybyście byli poszli do cerkwi — cóżby wam było? Do serca nikt nie zajrzy. Ostalibyście, jakeście byli — przy swojej wierze“...

Starzec podniósł wybladłe na słońcu i mrozie, na ostrym wietrze jesiennym, małe i wypalone oczy na adwokata i cicho ale stanowczo rzecze: Panoczku — ja stary, pamiętam wszystkie czasy, dwa razy byłem na zesłaniu w Ołoniecku, ślub brałem w lesie, trzydziestu czterech ludzi pochowałem temi oto rękami w boru pod

jałowcowym borem — namordowali mnie dosyć, raz kolbą cztery zęby wybili, niesłyszę na jedno ucho — ale jak do cerkwi nie chodzić. to ani razu...

Zamilkł starzec. Zamilkł adwokat. Pisarz i czytelnik spojrzeli na siebie. Nie wiem, co w oczach ujrzeli. Nic nie mówiąc podali sobie ręce. Długo tak stali jednym złączeni uściskiem. Tam w tej mrocznej celi męczennika stanęła między nimi przysięga. Ten chłop unicki prostem słowem przekreślił całe światy myśli ludzkich; obalił rachunki zawrotne kompromisów życiowych, zagłuszył syrenie wołania oportunizmów; z głębin ich duszy wydobył na jaśnię ich świadomość. Kryształ ofiary. Ten starzec unosił ich serca w górę, na mleczne, wieczne drogi Prawdy i Piękna.

Z celi więziennej razem już wyszli pisarz polski i czytelnik polski.

Czy odnaleźli siebie wzajem? Czy tęsknota znalazła wreszcie słowo? Czy słowo czynem się stało?

O tem opowie przyszłych dni historya! *Stanisław Posner.*

PRZEGLĄD.

W imię prawdy faktycznej.

W przypisku redakcyjnym do artykułu „Współcześni politycy polscy, XXXI Aleksander Babiański“ (Krytyka, luty 1912, str. 78) powiedziano m. i., że partya konstytucyjno-demokratyczna, jako partya rosyjska, „nieraz przy całym swym zmyśle równouprawnienia, staje w poprzek naszym interesom, np. gdy głosowała za językiem rosyjskim w ustach przewodniczących rad miejskich przyszłego samorządu, albo gdy głosowała za upaństwowieniem kolei warszawsko-wiedeńskiej“.

Twierdzenia te opierają się na niezupełnie dokładnych informacyach. Na podstawie całkiem wiarogodnych danych, t. j. sprawozdań stenograficznych z posiedzeń Dumy, otrzymujemy inny obraz postępowania partyi k.-d. w wymienionych sprawach. A mianowicie:

1) Frakcya k.-d. czyli tak zwani „kadeci“ głosowali za przyjęciem *en bloc* projektu prawa o samorządzie w Królestwie Polskiem, podobnie jak i większość opozycyi wraz z Kołem polskiem.

2) Co do poprawki posła od „ludności rosyjskiej“ w Warszawie, Aleksiejewa, o używaniu przez prezesów rad miejskich wyłącznie „języka państwowego“, t. j. rosyjskiego, to „kadeci“ głosowali przeciwko niej. Poprawka ta przeszła większością centrum („październikowców“), nacyonalistów i prawicy.

3) Za upaństwowieniem kolei Warszawsko-Wiedeńskiej frakcya K.-D. istotnie głosowała ze względów zasadniczych, ponieważ program partyi obejmuje także upaństwowienie wszystkich kolei żelaznych. Jednakże głosowanie to nosiło całkiem inny charakter, aniżeli głosowanie większości dumskiej, kierującej się jedynie zachłannością nacyonalistyczną. Przedewszystkiem w deklaracyi odnośnej posła Niekrasowa frakcya K.-D. wyraziła zastrzeżenie i żądanie, ażeby przy skupie nie zostały pogwałcone prawa miejscowych współpracowników. Prócz tego w sprawie skupu zostawiono t. zw. wolność głosowania, tak iż niektórzy „kadeci“ wstrzymali się od głosowania i wyszli z sali, w tej liczbie Rodiczew i oczywiście Babiański.

W przypisku redakcyjnym zaznaczono, że „zasadniczo poseł polski może należeć tylko do stronnictwa polskiego“. Jestto jednocześnie zarzut przeciw Babiańskiemu za należenie do „stronnictwa rosyjskiego“.

Otóż, wobec danych okoliczności i stosunków faktycznych, muszę wziąć w obronę posła Babiańskiego.

Został on wybrany w gubernii rdzennie rosyjskiej, w gubernii permskiej, jako kandydat, postawiony przez partyę konstytucyjno-demokratyczną.

Partya ta nie jest partyą narodowo-rosyjską, ale tylko wszechrosyjską partyą, stojącą wprawdzie na gruncie państwowości rosyjskiej, jednakże bez uprzywilejowania jednej narodowości z krzywdą pozostałych. Pod hasłem równouprawnienia członkami tej partyi są ludzie, należący do rozmaitych narodowości: nietylko Rosyanie, ale także Ukraińcy czyli Małorusi, Łotysze, Estończycy, Ormianie, Gruzini, Tatarzy, Żydzi i t. d., a także Polacy. W pierwszej Dumie z sześciu posłów od Petersburga, wszystkich należących do partyi konstytucyjno-demokratycznej, Pietrażycki był Polakiem, a Winawer żydem z Warszawy. Ze stania na gruncie państwowości rosyjskiej nie można chyba robić zarzutu partyom, wchodzącym do składu ciał prawodawczych państwa rosyjskiego. Przecież i Koło polskie godzi się z państwowością rosyjską.

Gdyby Babiański chciał koniecznie należeć do „stronnictwa polskiego“, musiałby chyba sam jeden, w liczbie pojedynczej, stanowić osobne stronnictwo. Przecież trudno od niego wymagać, ażeby się zaliczał do szeregów bądź co bądź reakcyjnego Koła polskiego, grawitującego od czasu do czasu w stronę nietylko październikowców, ale także nacyonalistów i kanibalów narodowościowych (t. j. skrajnej prawicy), a natomiast czującego wstręt do niesprzeniewierzających się zasadzie równouprawnienia „kadetów“.

Nie zapominajmy, że podczas dyskusyi w sprawie samorządu w Królestwie Polskiem Koło polskie uważało za konieczne zaznaczyć wyraźnie swe zaprzeczenie zasady równouprawnienia w stosunku do pewnych grup ludności tego samego kraju, gdy tymczasem Babiański, chociaż nie należący do „stronnictwa polskiego“, starał się ratować honor imienia polskiego.

Na zakończenie muszę się zastrzec przeciwko przypuszczeniu, jakobym ryczałtowo zaliczał wszystkich członków Koła polskiego w Dumie do reakcyonistów i przeciwników równouprawnienia. W łonie Koła pol-

skiego znajdują się przedstawiciele dążności postępowych i bojownicy równouprawnienia, bolejący z pewnością nad niektóremi postanowieniami tej grupy politycznej. Niestety, sławetna „dyscyplina partyjna“ knebluje im usta. *Prof. J. Baudouin de Courtenay.*

Petersburg, (30 stycznia) 12 lutego 1912 r.

OD REDAKCYI.

1. Wiadomość o głosowaniu kadetów za używaniem przez prezesów Rad miejskich wyłącznie języka rosyjkiego, wzięliśmy z pism warszawskich. Obecnie ją cofamy.

2. Kadeci, głosując za upaństwowieniem kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, przyczynili się do skrzywdzenia nas. Nie zmienia tego wzgląd, iż czynili to ze względów „zasadniczych“. Zasadą partyj opozycyjnych powinno być, aby atrybucyj zwalczanego przez siebie rządu nie powiększać, lecz wszystkiego mu odmawiać. Zasada kadetów prowadzi do centralizacyi, a tej Polacy muszą się kategorycznie sprzeciwiać.

3. Przynależność p. Babiańskiego do partyi K.-D. rozumiemy, ale jeszcze lepiej rozumielibyśmy posła, prowadzącego politykę „wolnej ręki“, tembardziej, że będąc w opozycyi, nie może przecie ogółowi przynosić tych korzyści, jakie się ma z należenia do wielkiej partyi, gdy ta jest rządzącą. Zaznaczyliśmy zresztą, że przyłączamy się do słów szacunku, z jakim p. Baudouin de Courtenay traktuje działalność posła Babiańskiego, nie zmienia to jednak przekonania, że polityk polski powinien pracować przedewszystkiem wśród Polaków w Polsce, bodaj bez zaszczytu należenia do Dumy; wobec rozbicia postępu warszawskiego, p. B. miałby nawet piękną rolę.

4. W kwestyi stania na gruncie państwowości rosyjskiej zgadza się p. B. z Kołem polskiem, ale — my się z tem Kołem nie zgadzamy.

Ostatni spis ludności w Galicyi.

Przemożne niestety *veto* c. i k. austryackiego rządu utrudnia nam w niesłychany sposób ścisłe, cyfrowe ujęcie wyników gospodarki społecznej w naszym kraju. Brak nam urzędowych dat galicyjskiego handlu w obrębie austro-węgierskiej monarchii, nie znamy ani wielkości naszego wwozu ani też wielkości wywozu z krajowych rynków, bo rząd centralny wbrew tylokrotnie wyrażonym życzeniom Sejmu nie chce uznać „prowincyi“ za gospodarczą jednostkę. Cokolwiek bądź się mówi o zalewaniu Galicyi wyrobami niemiecko-czeskimi, o haraczu opłacanym przez naszych konsumentów kartelowi żelaza, baronom węglowym i węgierskim agraryuszom, brak tym wywodom i żalom wymownego świadectwa — urzędowych cyfr. Galicya może się czuć upośledzoną i wyzyskiwaną — ale urzędowa statystyka nie dostarcza jej oręża do walki o byt z innymi krajami, również reprezentowanymi w Radzie państwa, i mniejszych jedności nad „obie połowy monarchii“ — wcale nie uznaje!

Prawo do wiedzy o sobie — kraj nasz dopiero wywalczyć sobie

musi, tymczasem zaś, zanim wiedzieć będziemy dokładnie, ile się w kraju naszym wytwarza i spożywa pracy rąk ludzkich, przyjrzyjmy się dostępnej nam już teraz statystyce najważniejszego w gospodarce społecznej czynnika — statystyce ludnościowej.

Spis ludności — połączony ze spisem zwierząt domowych — odbywa się na podstawie ustawy z dnia 29 marca 1869 w Galicyi — jak i w całej Austryi co lat 10 — zawsze według tych samych prawnie ustalonych przepisów [1]). Jednolitość ta daje nam możność dokładnego rozeznania się bodaj u samychże podstaw naszego bytu. A wobec utrudnień, jakie nam są czynione w gospodarczej oryentacyi, daty ludnościowe stają się dla nas najważniejszemi wskazówkami.

I zaraz na wstępie uderza nas fakt zasadniczy: dwie cyfry rozwoju ludności o ogromnym od siebie odstępie. Przyrost naturalny ludności w Galicyi, t. j. nadwyżki urodzonych nad zmarłymi, wynosił w ostatniem dziesięcioleciu 1,191.282, przyrost realny t. j. przez spis wykryty tylko 713.448. Różnica między temi cyframi, to strata ludności przez emigracyę.

A zatem 477 tysięcy ludzi $^2/_5$ całego przyrostu ludności w Galicyi, to „nadliczbowi“, którzy w ojczystem społeczeństwie nie znajdują pomieszczenia — nawet za cenę zdrowych rąk do pracy. Czemu tym krociom, wypędzonym w świat, dozwolonem nie zostało, by stworzyły sobie byt wśród swoich? Przeludnienie?! ale to właśnie przyczyna, którą nam zrozumieć należy, nie zaś skutek! Pytać się właśnie musimy, dlaczego Galicya, mając 102 mieszkańców na 1 km^2, jest już przeludnioną, podczas gdy w znacznie gęściej zaludnionych krajach, jak n. p. Niemcy, braknie rąk do pracy. Przeludnienie, to widocznie nierozwinięta, spętana i wadliwa organizacya produkcyi i konsumcyi, której wszystkich braków w Galicyi nie pozwala nam dokładnie rozpoznać brak odrębnej statystyki handlowej.

Wielkość strat przez wychodźtwo wzrasta z każdem dziesięcioleciem i gdyby stała w wyłącznej zależności od ekonomicznych czynników, sądzićby należało, że staczamy się niechybnie w przepaść. I tak ubyło ludności wskutek wędrówek:

od roku 1880—1890	61.421
„ „ 1890—1900	302.826
„ „ 1900—1910	477.834

Ale cyfry te, tak strasznie smutne, mieszczą w sobie przecież jakiś poszum zwiastowania lepszych czasów. Emigracya — to dowód, że masy wyszły z biernego poddawania się uciskowi, że podejmują walkę z losem na razie w kierunku najmniejszego oporu. Wzrastająca cyfra wychodźtwa może być wynikiem nietylko wzrastającej nędzy, ale również dobrze wzrastającego poczucia własnej godności, wzrastającego niezadowolenia z dotychczasowych warunków bytu. Że tak właśnie jest u nas, widzimy to we wzmożonym udziale Galicyi wschodniej w emigracyi. Nie

---

[1]) Por.: Najważniejsze wyniki spisu ludności i spisu zwierząt domowych według stanu z dnia 31 grudnia 1910. Podali Dr Stan. Kasznica i Dr Marcin Nadobnik. Wiadomości stat., tom XXIV.

ulega wątpliwości, że od czasów strejków rolnych płace robocze w Galicyi wschodniej znacznie się podniosły, a przecież ubytek emigracyjny wynosił od 1890—1900 tylko 133.610 głów, w ostatniem dziesięcioleciu zaś prawie dwa razy tyle!

Galicya wschodnia po raz pierwszy bardziej ucierpiała wskutek emigracyi, niźli zachodnia, a ponieważ nie miasta, ale wsie, zamieszkałe tutaj przez ludność obrządku grecko-katolickiego, dostarczają wychodźców, zwiększona emigracya przedstawia się jako wzmocnienie żywiołu rzym-kat. we wschodniej połowie kraju. Ludność rzymsko-kat. straciła ze swego naturalnego przyrostu przez wychodźtwo tylko 4·64%. ludność grecko-kat. 7·21% i dlatego też cyfra procentowa ludności rzym.-kat. we wschodniej części kraju podniosła się w ostatniem dziesięcioleciu z 23·51% do 25.31%.

Tylko we Lwowie mieście. gdzie wzrośli gr.-kat. i żydzi a dalej w powiatach peczyniżyńskim, doliniańskim i podhajeckim wskutek podniesienia się cyfry procentowej samych gr.-kat. spadł procentowy udział rzym.-katolików. Znaczny przyrost ludności rzym.-kat. w powiecie lwowskim zdaje się wskazywać, że drożyzna miasta zmusza pewną część ludności do przesiedlania się w najbliższe wioski. Przemysłowa praca, która się tu poczyna skupiać, posługuje się też chętniej polskim niźli ruskim robotnikiem.

Na ogół skład wyznaniowy ludności galicyjskiej dziwną wprost wykazuje trwałość. Spisy dawniejsze zdawały się oznajmiać, że ludność rzym.-katolicka ma pewne tendencye opóźniania się w rozwoju liczebnym, że natomiast procentowy udział żydów szybko się wzmagać będzie — leczspis ostatni wyrównał w zupełności prawie te drobne wahania. I tak procentowy udział 3 głównych grup wyznaniowych wynosił:

	1869	1890	1910
rzym.-kat.	46·08	45·40	46·52
grecko-kat.	42·53	42·23	42·08
żydzi	10·58	11·63	10·87

W przeciągu lat czterdziestu zaszły tu zatem w wyznaniowym układzie ludności zmiany zupełnie nieznaczne. Jest to tem dziwniejsze, że każda z poszczególnych grup wyznaniowych posiada rozmaite poruszenia i różne tempo naturalnego rozwoju. Ludność grecko-kat. zatrzymała dotychczas niezmiennie swą ogromnie wysoką cyfrę urodzeń (46 urodzeń na 1.000 mieszkańców) i swą ogromną śmiertelność. Ludność rzymsko-kat. natomiast — zarówno jak i ludność żydowska wykazuje znaczne zmniejszenie liczby urodzeń oraz znaczne zmniejszenie śmiertelności. Uwidocznia się tutaj stwierdzony już wielokrotnie przez statystyków fakt, że rozwój ludności zależy nie od jej właściwości plemiennych, lecz od sposobu życia i złączonej z nim kultury. Polacy, którzy we wschodniej połowie kraju stanowią przeważnie miejską ludność i żydzi, będący w masie swej wyłącznie miejską ludnością, otrzymują w przeciwstawieniu do grecko-katolików, zamieszkujących przeważnie wieś, pewne wspólne cechy rozwojowe.

Emigracya, która w ostatniem dziesięcioleciu zabrała ludności, mającej największy przyrost naturalny t. j. żydom, największą część, a rzym.-

kat. o przyroście najsłabszym, najmniejszą część naturalnego przyrostu, utrzymuje procentowy skład wyznań w Galicyi w faktycznej trwałości. Brak nam w zupełności tego nagłego i silnego przeobrażenia pewnej grupy stosunków, któraby stanowczy wpływ wywarła na życie reprezentującej ją ludności. W Poznańskiem np. świetny rozwój kooperatyw i spółek włościańskich przerzucił poza obręb kraju ludność żydowską, reprezentującą drobny handel, w zachodnich Niemczech świetny rozwój górnictwa stworzył ogromne wyspy językowe polskie i t. d. Galicya ma tylko mniejsze i większe „wahania“, które dają w końcu niezmieniony skład procentowy wyznań wśród znacznego przyrostu ludności.

W roku 1900 wzrosła faktycznie ludność Galicyi z 7,315.939 na 8,029.387 czyli o 9·8%. Jestto przyrost procentowo nieco słabszy, niż w ubiegłem dziesięcioleciu, ale wyższy od przeciętnego przyrostu dla całej Austryi (9·2%). I jeżeli znaczny ubytek emigracyjny — naturalny przyrost Galicyi wynosi bowiem 16% — dowodzi, iż rozwój gospodarczy kraju pozostaje znacznie w tyle poza jego rozwojem ludnościowym, poza ilością pracy, jaką by mógł rozporządzać, to rozwój faktyczny nakazuje już wprost starać się o zorganizowanie wytwórczych sił kraju, o zdobycie dla rosnącej ludności możności bytu i kultury.

Przeprowadzony równocześnie ze spisem ludności spis bydła, statystyka jednego z najważniejszych źródeł dochodu w naszym kraju rolniczym — wykryła niestety smutne wyniki dotychczasowej polityki gospodarczej na tem polu. Tu już niema mowy o postępach hodowli, które — chociaż o słabem tempie — poprzednie spisy przecież jeszcze wykryły. Przytoczone cyfry jaskrawie już świadczą o jej upadku.

Rodzaj zwierząt domowych	Ilość zwierząt domowych:			Przybyło, względnie ubyło zwierząt domowych w %		
	1890	1900	1910	1880-890	1890-900	1900-910
bydło rogate .	2,448.006	2,718.545	2,505.079	9·1	11·1	— 7·9
owce	630.994	437.697	358.953	3·6	—30·6	— 18·0
świnie . . .	784.500	1,254.909	1,835.464	16·3	60·0	46·3

Stan bydła rogatego ukazuje zatem ogromny ubytek. Cofnął się prawie że na poziom z r. 1890 — przewyższa go tylko o **2·3**%, podczas gdy ludność kraju w tym czasie wzrosła aż o 21·5%! Wzrost nierogacizny, aczkolwiek wysoki w stosunku do okresu 1890—1900 również się obniżył, gdyż wynosił poprzednio 60·0%, obecnie tylko 46·3%.

Zły stan bydła krajowego, w którego obronie wiedeńskie Koło polskie głosuje za każdem, najdalej nawet idącem ograniczeniem wwozu bydła z zagranicy, za zakazem wwozu mrożonego mięsa, zadziwić nas musi. Wszakże dla „podniesienia krajowej hodowli“ narzucono nam tak wysokie ceny mięsa, że czynią one uboższej ludności mięsny pokarm

albo zupełnie niedostępnym albo zabierają jej cały dochód w wydatku na pożywienie; wszakże dla organizowania handlu bydłem, który miał również ożywić hodowlę, idą rok rocznie miliony podatkowych pieniędzy! W czemże leży bezowocność wszystkich ofiar?

By znaleść odpowiedź na to pytanie, uprzytomnić sobie musimy daty z r. 1902 ze spisu gospodarstw i przypatrzyć się liczbom, podającym nam rozdział bydła między poszczególne kategorye gospodarstw w Galicyi.

Spis z r. 1902 wykazał, iż połowa bydła, przeszło prawie milion pięćset tysięcy sztuk należy do gospodarstw najmniejszych, co najwyżej 5-hektarowych. Otóż jest rzeczą pewną, że 896 tysięcy karłowatych i małych gospodarstw, mających jednę lub dwie sztuki bydła, żadnych korzyści ciągnąć nie może z wysokich cen mięsa, że bydłem nie handluje, a co najwyżej odsprzedaje trochę mleka.

Jedna sztuka bydła lub dwie — to inwentarz, nie towar!

Zakaz wwozu bydła, wysokie cła od mięsa i wędlin nie leżą więc w interesie galicyjskich drobnych hodowców, którzy przeważną część bydła skupiają w swem ręku. W ich interesie leży za to tania cena paszy! Galicyjski hodowca, to małorolny gospodarz, który gotówką, zarobioną na pańskim łanie, kupuje zimą pokarm dla bydła. Przezimować o własnem — nie jest w stanie. I dlatego to wysokie cła zbożowe, uchwalone staraniem Koła pols. w 1906, uniemożliwiają galicyjskim rolnikom hodowlę bydła, prowadzą do rabunkowej gospodarki! Chłopu — brak zimą pieniędzy na zakupienie paszy, chronionej cłami, sprzedaje więc z nadejściem chłodniejszej pory inwentarz i przychówek. Wysoka cena targowa na razie go nęci, ale sprzedawszy raz młode bydło już z niej po raz drugi nie skorzysta. A często swój zarobek z jesieni, ze sprzedaży, podwójnie zwrócić musi z wiosną, przy zakupie!

Polityka agrarna, którą dotychczas w interesie rolniczej Galicyi prowadziło wiedeńskie Koło polskie, leży w interesie owych 5 tysięcy wielkich właścicieli, którzy są już hodowcami, bo posiadają przeciętnie około 50-ciu sztuk bydła — i prawie trzecią część krajowych łąk i pastwisk. Sprzedając bydło i paszę — korzystają z ceł agrarnych w całej rozciągłości. Lecz że polityka przez nich dotychczas prowadzona nie leży w gospodarczym interesie kraju — o tem wymownie świadczą ostatnie spisy. *Dr Hel. Land.*

Szkoła i wychowanie.

(Praca nauczycielska. — Walka nauczycieli o poprawę bytu. — Reforma szkolnictwa. — Strejki szkolne. — Ruch wychowawczy. — Ze spraw śląskich).

Kto śledzi bodaj powierzchownie objawy życia publicznego w Galicyi, ten musiał zauważyć w latach ostatnich wielką przemianę stosunku szerokich warstw społecznych do nauczycielstwa. Gdy przed niespełna dziesięciu laty sprawami szkolnictwa, przedewszystkiem szkolnictwa ludowego, zajmowały się nieliczne zresztą pisma zawodowe, a t. zw. „wiel-

kie dzienniki“ ograniczały się jedynie do podawania suchych dat ze sprawozdania c. k. Rady szkolnej o „stanie publicznej oświaty“, to dziś niema prawie pisma, któreby spraw tych pod szczególniejszą nie brało rozwagę, nie oświetlało ich z punktu swego widzenia, nie udzielało kierunkom publicznego wychowania swych mniej lub więcej szczęśliwych wskazówek i rad. Co więcej jeszcze, niektóre pisma („Kuryer lwowski“, „Głos“, „Goniec“) utworzyły specyalne dodatki, poświęcone sprawom nauczycielskim, w całym kraju rozszerzyła się akcya urządzania „wieców oświatowych“, na których roztrząsano najrozmaitsze sprawy, szkolnictwa i wychowania publicznego dotyczące, a „autonomiczni“ delegaci do c. k. Rady szkolnej uczuli się nagle zwolnieni od „urzędowej tajemnicy“ i ogłaszają publicznie sprawozdania ze swoich czynności, nie szczędząc im wysoce krytycznych okraszeń. (M. Konopiński: „Sprawozdanie delegata m. Krakowa do c. k. Rady szk. krajowej. Kraków 1910).

Różni różnie próbują wyjaśnić te wysoce znamienne objawy. Dla jednych przyczyna szerszego zainteresowania się sprawami szkolnictwa tkwi w samopoczuciu wstydu wobec innych krajów koronnych, gdzie kwestye wychowawcze i szkolne już dawno stoją na czele spraw społeczno-politycznych, dla drugich przyczyną jest rozbudzenie ruchu ludowego i tegoż związek ze sprawami oświaty publicznej, dla innych wreszcie: wewnętrzna organizacya nauczycielstwa i ułożenie jasnego zawodowego programu w nawiązaniu do warunków społecznego życia.

Wszystkim tym zapatrywaniom nie można odmówić słuszności, wszystkie one zrobiły w społeczeństwie szeroką bruzdę, którą poszło później uświadomienie w sprawach szkolnych, ale — naszem zdaniem — przyczyna ostatnia oddziałała tu najsilniej i jej mamy do zawdzięczenia, że wychowanie i oświata publiczna wychodzi zwolna z roli kopciuszka, stając się dźwignią wszelkich działań społecznych.

Organizacya nauczycielstwa w przeciwieństwie do przyczyn innych, które wypłynęły bezwiednie lub są wypadkową układu stosunków politycznych — działa celowo, stwarza siłę, która zmusza, by się z nią liczono i stąd taki znakomity jej wpływ i taki skutek. Przed miesiącem byliśmy świadkami powszechnego wiecu nauczycielskiego we Lwowie, imponującej manifestacyi, która była właśnie widomym wyrazem tej wzmożonej organizacyi nauczycielskiej i rezultatów, bezpośrednio z niej płynących. Zbytniej wiary w szczerość wyznań posłów „wszystkich“ stronnictw politycznych, prześcigających się w słowach sympatyi dla nauczycielstwa ludowego, pokładać nie możemy, ale bądź co bądź, są one dla nas dosadną ilustracyą wpływu, jaki „uplastyczniona“ siła organizacyi nauczycielskiej na „sfery decydujące“ wywarła, dla samego zaś nauczycielstwa jest zachętą, by sile tej nie pozwoliło osłabnąć w myśl przepięknych słów, przez toż nauczycielstwo wypowiedzianych:

„Nie zejdziem z pola, bo los nasz,
„Na twierdzach stać i czuwać,
„Niezłomnie, chlubnie pełnić straż
„I wstęgi zórz rozsnuwać...
„I dobro zdobyć własnych chat,
„I dolę wwieść w próg ludu,

„Gdy tam pod lipą tyle lat
„Czekają darmo cudu...“ [1])

Przechodząc od słów do czynów, skonstatować należy, że lubo wiec nauczycielski odbył się pod takiemi pomyślnemi auspicyami, to przecież wynik jego, w pozytywnem tego wyrazu znaczeniu, przynajmniej na razie przedstawia się mniej pomyślnie. Już sam p. marszałek, przyjmując deputacyę wiecową, wyraził obok swej przysłowiowej „życzliwości“ zarazem obawę, czy „w granicach budżetu“ będzie możliwem spełnienie w całości materyalnych postulatów nauczycielstwa, a co dopiero odroczona sesya sejmowa daje tej „marszałkowskiej obawie“ dosadny wyraz.

Z punktu autonomicznego „pomyślny“ a dla nauczycieli nieszczęśliwy fakt, że rząd centralny zrzucił cały ciężar utrzymania szkolnictwa ludowego na kraje, daje nam sposobność do porównania, jak poszczególne kraje wypełniają ten swój najważniejszy obowiązek: zapewnienia bytu ludziom, szerzącym podstawy nauczania publicznego. Wszystkie prawie sejmy w Austryi zajmowały się w obecnej sesyi sprawą doraźnego polepszenia bytu nauczycieli przez wyznaczenie im dodatków drożyźnianych, ale tylko dwa sejmy, galicyjski i morawski doprowadziły sprawę do końca. Dla scharakteryzowania różnicy w tych uchwałach wystarczą następujące cyfry: Galicya, licząca blisko 8 milionów mieszkańców, daje nauczycielom 2,453.009 K, Morawy, liczące niespełna 3 miliony mieszkańców, dają 2,216.660 K.; w Galicyi dodatki drożyźniane wynoszą 100—250 K., na Morawach 100—400!

A nie trzeba sądzić, że Morawy, które choć są krajem o wiele bogatszym od Galicyi, mają budżet roczny bez deficytu. Przeciwnie — i tam jak w Galicyi zamyka się budżet deficytem, który łata się uchwalaniem nowych podatków i podwyższaniem dodatków krajowych. A jednak Morawy w wyższym stopniu spełniają swój obowiązek względem nauczycieli, nie oglądając się na ofiary, jakie z tego tytułu muszą na ludność nałożyć. Mały kraj, w którym podobnie jak u nas panują spory narodowościowe, zdobywa się na daleko znaczniejsze polepszenie bytu swych nauczycieli, bo rozumie i czuje, że sprawa rzetelnej oświaty publicznej dominować powinna nad wszystkiemi innemi, a oświatę taką szerzyć może tylko zadowolony z swego losu i obywatelskiemi prawami wyposażony nauczyciel.

Co do definitywnego uregulowania płac nauczycielskich, to sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Sejmowa komisya szkolna odłożyła ją do jesieni, czekając na projekt.. krajowej Rady szkolnej. Kto zaś wie, z jaką „życzliwością“ odnosi się do nauczycielstwa ta władza, której najwyższy zwierzchnik publicznie, w Sejmie nazwał „rozwichrzonemi jednostkami“ nauczycieli, dopominających się polepszenia bytu, ten owym projektem przyszłości zbytnio entuzyazmować się nie będzie. Co najwyżej zniesioną zostanie najniższa (czwarta) klasa płac i podwyższone zostaną dodatki pięcioletnie, czyli system łataniny uzyska dalszą prolongatę.

---

[1]) Lemiesz: „Pobudka“. Pamiątka wiecowa, jednodniówka ilustrowana. Lwów 1912.

Ze sprawą bytu nauczycielstwa łączy się ściśle i reforma całego ludowego szkolnictwa. Postulat ten nie od dzisiaj rozbrzmiewa w prasie i na zgromadzeniach, w ostatnim czasie przyjął go do swego programu i „krajowy Związek naucz. lud.“, najpoważniejsza dziś organizacya nauczycielska w kraju. Bo też reforma taka, i to gruntowna, sięgająca do podstaw, jest konieczną, jeżeli myślimy na seryo o kulturalnem podniesieniu narodu w kraju, i o „odrodzeniu“ sięgającem daleko w przyszłość. Dzisiejszy system, zwany „erą Bobrzyńskiego“, przemocą wtłoczony w program nauczania tak w szkołach ludowych jak średnich, nie tylko stoi w rażącej sprzeczności z ideami postępu i wymaganiami nowoczesnych zasad pedagogicznych, ale bez wszelkich obsłonek usiłuje oświatę publiczną cofnąć wstecz, zakres jej ścieśnić lub uczynić przywilejem pewnych warstw społecznych, szkołę zamienić w narzędzie polityki i sprzymierzonego z nią klerykalizmu. W tym duchu czynniki decydujące i powolne im „organy wykonawcze“ pracują nadzwyczaj intenzywnie, tak że dorobek lat ostatnich, rozumie się: in minus wykazuje niezwykle jaskrawe rezultaty. W szkole tłumi się wszelki indywidualizm, gasi zapał, szablon czyni się wszechwładnem bożyszczem, „ład i porządek“ utrzymuje się kosztem łamania lub koszlawienia charakterów. Kwiatki takie, jak dwutypowość szkół i libcrya szkolna wyrosnąć mogły jedynie na galicyjskim gruncie, a obrońców takiego systemu wyprodukować zdołała wyłącznie atmosfera niebywałego pomieszania pojęć na polu pedagogii i oświaty publicznej.

Doba ostatnia przyniosła nam jeszcze jeden znamienny moment, wyrosły na tem samem podłożu a mianowicie strejki szkolne wśród uczącej się młodzieży. Objaw to może nie nowy, ale obejmujący prawie równocześnie kilka ognisk naukowych w kraju i już z tego samego względu na baczniejszą zasługujący uwagę. Przed kilku laty byliśmy świadkami strejków szkolnych w Tarnopolu, później w Brzeżanach i Sokalu — były to jednak wypadki sporadyczne, odosobnione, ze ściśle lokalnych stosunków wynikłe (podobnie jak i strejk w Bohorodczanach w lutym b. r.), podczas gdy strejki obecne w Przemyślu, Kołomyi, Stryju, Drohobyczu, Wadowicach (i w Suczawie na Bukowinie) to objawy o cechach wspólnych, mające silne ugruntowanie w umysłach młodzieży i tem samem zdolne wzbudzić zaniepokojenie wśród szerokich kół społeczeństwa. Tak strejk młodzieży w Kołomyi pociągnął za sobą nawet akcyę rodziców, a z Krakowa dochodzą złowróżbne wieści, że organizuje się systematyczny ruch strejkowy, mający w sposób planowy objąć kraj cały.

Strejki szkolne oceniać można z dwojakiego stanowiska: 1) jako akt samoobrony młodzieży, nie znajdującej innego środka ochrony przed surowością, względnie niesprawiedliwem postępowaniem nauczycieli. 2) jako wyraz samowoli i bezkarności, przeradzającej się w bunt przeciwko władzy. W pierwszym wypadku jest strejk czemś w rodzaju „zła koniecznego“ i spada ciężarem winy przedewszystkiem na nauczycieli, — w drugim wybrykiem niewłaściwie urabianego charakteru, przedwcześnie rozbudzanych aspiracyi życiowych, płochości wreszcie albo złego przykładu, dawanego młodzieży. Obydwa wypadki, choć w przejawach różne,

stoją przecież względem siebie w przyczynowym związku, jeden może być wypływem drugiego, a choć np. w buncie, mającym aspiracye terorystyczne na celu, leży spora wina po stronie młodzieży, przecież opinia publiczna zwykła tę młodzież usprawiedliwiać, przywodząc na jej korzyść mnóstwo łagodzących okoliczności.

Tak się ma sprawa i z obecnymi strejkami szkolnymi — i nie bez racyi. Stosunek zasadniczy wychowawcy do wychowanka jest ten, że pierwszy z natury rzeczy nadaje mu ton i kierunek. Dobrocią i wyrozumiałością nauczyciel ujmuje ucznia, wiedzą i taktownem zachowaniem wzbudza w nim należny sobie szacunek.

Uczeń powinien w swym nauczycielu uznawać wyższość moralną i umysłową, powinien wierzyć w jego bezstronność i do pewnego stopnia liczyć na życzliwość. Tylko wówczas stosunek nauczyciela do ucznia jest prawidłowy i sam przez się staje się współczynnikiem wychowawczym.

U takiego nauczyciela uczniowie zawsze „chcą się uczyć“, taki nigdy nie będzie miał powodów do skarg i utyskiwań. Bo wszak on gra na pierwszych skrzypcach, do których dostraja się cała kapela. Jego indywidualność musi ciążyć nad zbiorową psyche wychowanków. Starszy wiekiem, umysłowo dojrzały i zrównoważony, zasobny w wiedzę i doświadczenie życiowe — nauczyciel winien być tym, który ogniskuje na sobie uwagę uczniów, jako wzór, godny naśladowania i na odwrót winien na nich niejako suggestywnie oddziaływać. Nauczyciel powinien młodzież prowadzić i uszlachetniać, podobnie jak ogrodnik, który podpiera i osłania wątłe, giętkie i kruche sadzonki, który je szczepi i pielęgnuje. Nauczyciel powinien być rzeźbiarzem, który z niekształtnego bloku wyczarowuje tętniące życiem piękno.

Jeżeli tedy za koszlawe latorośle winimy ogrodnika, jeśli za nieudolne dzieło sztuki ganimy artystę, to jest rzeczą słuszną, sprawiedliwą i logicznie najzupełniej usprawiedliwioną, że odpowiedzialność za wypaczanie młodzieży ściągamy na jej wychowawców.

Skoro więc młodzież nie wykazuje postępów w danym przedmiocie, to przepisać to należy przedewszystkiem temu, kto ten przedmiot wykłada. Ma to zwłaszcza tam pełne zastosowanie, gdzie chodzi o masową nieudolność, jak np. w kl. VII. gimnazyum w Kołomyi, gdzie nieproporcyonalnie wysoki procent uczniów, otrzymał stopień ujemny! Taki opaczny wynik znajduje swój wykładnik w wartości etycznej lub psychicznej dotyczącego nauczyciela. Jakiż to bowiem mistrz być może, który psuje taki procent materyału? Jakiż to nauczyciel być musi, który po pięciomiesięcznej nauce z takim przychodzi rezultatem? Na ogólną liczbę uczniów, 82% nie zdołało w dostatecznym stopniu opanować wykładanego przezeń przedmiotu. Cobyśmy np. powiedzieli o krawcu, który nabrał sukna na płaszcz, a wykroił zeń ledwie ciasną kamizelkę?

Przyjąwszy zatem, że taki nauczyciel jest względnie uczciwym człowiekiem, to musi się go uznać „fuszerem“, który z dydaktyką i pedagogią nie ma nic wspólnego. Jego „zdolności“ powinny go same odsą-

dzić od dalszego spełniania funkcyi nauczycielskich. Atoli stokroć gorzej wypadnie sąd takiego pana, gdy powód ujemnej klasyfikacyi będzie tkwił nie w jego zawodowych kwalifikacyach. jeno w szczególnej mizantropii w odniesieniu do młodzieży. Gdy bowiem w pierwszym wypadku wina byłaby połowiczną, gdyż polegałaby na właściwościach biernych, to w drugim posiadałaby już wszelkie znamiona świadomej i celowej krzywdy.

Czyż więc można się dziwić młodzieży, że w takich warunkach, pozbawiona zaufania do nauczyciela i strwożona o najbliższą przyszłość, malującą się na tle niesumienności profesora w jak najczarniejszych barwach, — chwyta się środków reagowania, kolidujących z regulaminem szkolnym? Czyż można się dziwić młodzieży krewkiej, niedoświadczonej, wrażliwej i pochopnej do czynów, że za niezasłużone pokrzywdzenie odpowiada protestem? Czy można ją bezwzględnie potępiać za to. że przeciw bezprawiu, czy bezsumienności zamanifestowała koleżeńską solidarność, acz z naruszeniem t. zw. dyscypliny?

Jaki posiew, taki plon, — jakie hasło, taki odzew!

Cóż wreszcie pozostawało uczynić młodzieży przeświadczonej o niezasłużonych prześladowaniach ze strony nauczyciela? Wszak w Kołomyi już w zeszłym roku próbowano uciec się do powagi dyrektora i dwóch studentów-delegatów jawiło się u niego z lojalnem zażaleniem. Obydwóch p. dyrektor wydalił z zakładu za naruszenie dyscypliny i nie zadał sobie najmniejszego trudu zbadania sprawy. Czyż więc na taką ewentualność mieli się narażać i teraz?

Mamy tu więc do czynienia z obroną t. zw. „autorytetu", tradycyą uświęconej najwyższej instancyi we wszelkich przejawach naszego społecznego życia. Wprawdzie Multatuli powiada, że „autorytet jest to duży, czarny pies", którym niańki ze znakomitym skutkiem zwykły straszyć dzieci, — ale paradoksy jego na szczęście nie dotarły jeszcze do naszego kraju, więc żyjemy ciągle jeszcze dniem wczorajszym. I „duży, czarny pies" ma swe honorowe miejsce nawet w systemie edukacyi i wychowania.

Obrońcy autorytetu i opartego na nim ładu i porządku mawiać zwykli ze zgrozą, coby to było, gdyby młodzieży pozostawiono sąd o zdolnościach i postępowaniu nauczycieli. Anarchia, przewrót, tryumf partactwa, lenistwa i samowoli.

Trudno głosom tym nie przyznać słuszności; zaznaczyć jednak należy, że racyonalność zawartych w nich obaw leży nie w samem rozwiązaniu zawiłego problemu, ale w warunkach kształtujących nasze życie społeczne i w nieprzystosowaniu naszych umysłów do tak pojętego stosunku młodzieży do nauczycieli. W innych społeczeństwach rzecz to już dawno przesądzona; celowe wychowanie przeniosło ją z dziedziny abstrakcyi w rzeczywistość i tem samem rozwiało wszelkie starcze obawy. Dla przykładu przytaczamy nader charakterystyczne uwagi, wypowiedziane na ten temat przez znanego angielskiego pisarza Lakfadia Hearn'a w dziele p. t. „Irumo" [1]) (Frankfurt n. M. Rütten i Loening 1907),

---

[1]) Lackfadio Hearn: „Z pamiętnika angielskiego nauczyciela w Japonii".

opisującem stosunki w współczesnej Japonii, szczególniej na polu szkolnictwa.

„Uszom Europejczyka albo Amerykanina — pisze wspomniany autor — wyda się to dziwnem, gdy powiem, że surowości ze strony nauczyciela japońskiego nie ścierpieliby sami uczniowie. A nie jest to wynikiem bezkarności, lecz wysokiej kultury narodu, wszczepianej już w dzieciństwie. Japońscy uczniowie żądają i mają zapewnioną wolność i niezawisłość, która w naszem pojęciu jest przeciwieństwem „koniecznej karności“.

„U nas i w sąsiednich krajach nauczyciel wyklucza ucznia; w Japonii zdarza się często wprost przeciwnie, że uczniowie wykluczają nauczyciela. Każda publiczna szkoła jest tam rzecząpospolitą, w której dyrektor i nauczyciel stoją jedynie w stosunku prezydenta do gabinetu. Wprawdzie mianowanie nauczyciela zawisłem jest od wydziałów oświaty i prefektury danego dystryktu, ale w praktyce nauczyciel jest dopiero wówczas pewnym posady, gdy zdobył sobie zaufanie i szacunek młodzieży, gdy wobec niej okazał wartość swego charakteru.

„Dość często słyszy się zdanie, że młodzież nie dorosła do oceny nauczyciela i pozostawienie jej swobody w tym kierunku doprowadzićby mogło do karygodnych wybryków, — ale są to zdania wyłącznie obcych przybyszów, przywykłych do surowej karności w szkole, stosowanej w ich ojczystym kraju. Pewne niemieckie pismo w Yokohamie zażądało zaprowadzenia w szkołach japońskich kary chłosty, co — rozumie się — powitano podziwem i politowaniem. Ja sam na podstawie moich osobistych spostrzeżeń stwierdzić mogę, że ile razy w japońskiej szkole objawiła się jakaś niechęć uczniów do nauczyciela, tam zawsze słuszność była po stronie uczniów. A niechęci nie objawiali uczniowie przez jakieś gwałtowne wystąpienia przeciw nauczycielowi, albo obraźliwe zachowanie, — po prostu bojkotowali szkołę, dopóki niepożądany nauczyciel nie ustąpił. I podziwiać trzeba, że osobiste uczucia uczniów w wypadkach takich bardzo rzadko główną grają rolę. Nawet niesympatycznego z zachowania nauczyciela otaczają uczniowie szacunkiem i są względom niego posłuszni, jeżeli tylko mają przekonanie o jego zawodowych zdolnościach i sprawiedliwości. A obserwacya dziecięca rzadko się myli w ocenie uzdolnienia, jak i w poznaniu partyjności.

„Mógłby ktoś powiedzieć, że jeśli nie niechęć, to miłość i przywiązanie uczniów do nauczyciela może popełniać błędy. I na to mam przeczącą odpowiedź na następującym przykładzie. W jednej szkole japońskiej żądali uczniowie usunięcia nauczyciela chemii, a w zażaleniu wyrazili się tak: „Kochamy go bardzo, bo jest dobrym dla nas i czyni wszystko co może, aby nam przyjść z pomocą, ale przecież nie uczy nas tak, jakbyśmy chcieli. Często nie umie odpowiedzieć na nasze pytania, ani wyjaśnić eksperymentów, które przed nami czyni. Nasz poprzedni nauczyciel umiał to wszystko. My musimy mieć innego nauczyciela!“

„I przeprowadzone dochodzenia wykazały, że uczniowie mieli słuszność. Młody ów nauczyciel ukończył z odznaczeniem uniwersytet i posiadał chlubne polecenia, ale przecież nie miał gruntownej znajomości przedmiotu, które wykładał, ani praktycznego doświadczenia. W Japonii

żaden tytuł naukowy ani patent nie pokrywa nieudolności faktycznej, a nauczycielem może być ten tylko, kto pracą wykazuje, że posiada wiedzę i umie ją wszczepiać w umysły drugich".

Oczywiście nie mamy zamiaru stosunków japońskich przeszczepiać „bez żadnych zastrzeżeń" na grunt galicyjski, przytoczyliśmy jednak powyższe uwagi dla zaznaczenia, że nawet problemy zbyt ryzykowne i pozornie szkodliwe mogą przecież w życiu praktycznem pomyślne przynieść rezultaty, jeżeli mają ku temu odpowiednie warunki.

O stworzenie takich warunków stara się też cała nasza współczesna pedagogia. Ostatni zwrot ku szczegółowym badaniom duszy dziecięcej, t. zw. pedologia i psychologia eksperymentalna — to podstawowe momenta reformy publicznego wychowania i nauczania, której dziś domagają się wszystkie warstwy społeczne. Sprawa staje się coraz bardziej aktualną a najlepszym wyrazem jej żywiołowego ciążenia nad chwilą obecną była zeszłoroczna uchwała sejmowa, wzywająca Radę szkolną krajową do zwoływania ankiet w różnych kwestych wychowawczych.

Rzecz w zasadzie dobra i pożądana, sparaliżowaną jednak została w wykonaniu. Rada szkolna przesiała przez sito swej „urzędowej opinii" „zaproszonych" członków ankiety, a gdy mimo tego wyniki obrad nie odpowiadały jej zamysłom (protest przeciwko szkołom dwutypowym, oświadczenie się za usunięciem języka niemieckiego ze szkół lud.), zaprzestała wogóle zwoływania ankiet i odłożyła sprawę ad calendas graecas. Dopiero pod naciskiem opinii publicznej, a w szczególności krajowego komitetu naucz. przypomniał jej ten obowiązek poseł German w formie interpelacyi na ostatniem posiedzeniu skończonej właśnie sesyi sejmowej. Przypuszczać należy, że Rada szkolna zastosuje się do tenoru tejże interpelacyi już w najbliższej przyszłości, aby jednak wyniki ankiet miały istotne znaczenie i odpowiadały nowoczesnym wymaganiom pedagogii i nauczania, musi powołać do ich składu mniej „c. k. inspektorów" i innego rodzaju „urzędników" szkolnych", a więcej prawdziwych znawców szkolnictwa, nauczycieli znanych z prac pedagogicznych, wreszcie redaktorów pism zawodowych.

Ruch, rozbudzony w Galicyi w kierunku wyzwolenia szkoły z pod panowania bezdusznego szablonu, a przystósowania do życia, nie pozostaje bez wpływu i na sąsiedni Śląsk, gdzie w latach ostatnich znacznie rozwinęło się szkolnictwo polskie, walczące dziś całą forsą o odrębny, narodowy charakter. Walkę tę wszczęli nauczyciele galicyjscy, emigrujący na Śląsk pierwotnie w celu poprawy swej doli, dziś jednak już zbudziło się samopoczucie narodowe i u „rodowitych" nauczycieli śląskich, a za ich pośrednictwem przenosi się na lud.

O stosunkach szkolnych na Śląsku trudno sobie wyrobić pojęcie na podstawie suchych sprawozdań różnych Towarzystw oświatowych i bojowniczo lub żałośnie brzmiących artykułów dziennikarskich. Szkół polskich w ostatnim dziesiątku lat przybyło istotnie wiele, ale równocześnie przybyło znacznie więcej szkół niemieckich i czeskich, stosunek więc nie polepszył się wcale, ale owszem pogorszył. Trzeba to sobie powiedzieć jasno i wyraźnie, tem przeświadczeniem, acz

smutnem, lecz prawdziwem wzmacniać siły do walki i potęgować ofiarność na oświatowe cele Polonii na kresach.

Ale zapominać przytem nie należy, że ofiarność w znaczeniu materyalnem jest to tylko półśrodek i na długą metę trwać nie może. Polacy na Śląsku, jako najliczniejsza część ludności tegoż kraju (mamy na myśli Śląsk cieszyński) mają prawo domagania się od rządu takiej samej opieki nad swemi szkołami, jaką mają szkoły niemieckie i czeskie. Więc walka musi się skierować na drogę praw i ześrodkować w tych centrach, gdzie prawa stanowią.

I oto w ostatnich dniach byliśmy świadkami najradykalniejszej formy tej walki: obstrukcyi posłów czeskich i polskich w Sejmie opawskim. Wrogów na granicznej miedzy pogodziła chwilowo zapowiedź wspólnej klęski, gotowanej przez większość niemiecką, mianowicie: odebranie gminom prawa układania terna przy mianowaniu nauczycieli stałych, a przeniesienie tegoż prawa na Wydział krajowy, oraz utrakwizacya szkół z urzędu przez Radę szkolną krajową, po wysłuchaniu jedynie opinii zastępstwa gminnego.

Pod wpływem tej wieści zakotłowało na całym Śląsku, bo zamierzona ustawa godzi w najistotniejsze podstawy samorządu, w prawo stanowienia o swojej szkole, utrzymywanej z grosza podatkowego całej ludności, przedewszystkiem o szkole dla dzieci polskiego ludu, którą podstępem chce zniszczyć sejmowa większość niemiecka. W ziemi cieszyńskiej odbywają się też publicznie wiece, protestujące przeciw temu gwałtowi i zapowiadające użycie jak najenergiczniejszych środków.

A przecież środek jest tylko jeden. Zmusić Koło polskie, tradycyjną podporę rządu do porzucenia lojalnego stanowiska, do zejścia z drogi „moralnego podboju“ wobec dynastyi, a podjęcia męskiej obrony praw i godności narodu, którego jest rzekomą reprezentacyą. Lud śląski ma dość siły i środków ku temu [1]). *K. T. Broniec.*

Jeszcze Zjazdy młodzieży.

XXV Zjazd Zjednoczenia.

„Rok obecny jest rokiem jubileuszowym dla najstarszego Związku młodzieży polskiej — Zjednoczenia zagranicznego. Organizacya ta, przed laty skupiająca całą młodzież polską, studyującą zagranicą, po rozłamie na XXII Zjeździe łączy w sobie te żywioły — które do roku 1908 odezwy swe podpisywały mianem „młodzieży demokratyczno-narodowej“ — a od tego czasu na mianie „młodzieży narodowej“ poprzestają. Okres lat 1908—1911 w życiu tego odłamu młodzieży był okresem zupełnego

---

[1]) Jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, większość niemiecka w Sejmie śląskim cofnęła projekt utrakwizacyi szkół i odebrania Radom gminnym prawa nadawania prezenty na posady nauczycielskie — pod naporem solidarnej akcyi ludności czeskiej i polskiej, jakoteż i jej przedstawicieli w Sejmie. Fakt ten, który przyjmujemy z żywem zadowoleniem, nie usuwa przecież obaw naszych na przyszłość.

prawie zaniku pracy politycznej: zerwanie z dawnymi mistrzami tych, którzy za cel swój uważali współpracować z nimi, którzy na błędy, winy nawet swych wodzów oczy wprost siłą sobie zamykali — pociągnęło za sobą upadek energii, zniechęcenie, cechujące w owym czasie prawie całość naszej patryotycznej opozycyi anti endeckiej. I tylko zdrowa praca wśród wychodźców — prowadzona szczególnie w Niemczech — dalej sprawne funkcyonowanie maszyny organizacyjnej świadczyło o życiu młodzieży Zjednoczonej. Jednak chmury, zbierające się nad sprawą szkolną już oddawna — zamiary, nie od dzisiaj powzięte przez panów z endecyi, oddały kolosalną usługę młodzieży — otworzyły jej, oczy na wartość polityczną niedawnych wodzów i przyjaciół. I rozpoczął się w roku 1911 zdrowy ferment — na teren zagadnień życia zagranicznego naszej młodzieży weszła sprawa szkolna, dalej sprawa wojska polskiego. Jeżeli ta pierwsza tylko teoretycznie urabiała ludzi — jeżeli jej skutkiem było absolutne zerwanie najsłabszych nawet węzłów uczuciowych między tą młodzieżą, a p. Dmowskim i S-ką — rzucenie hasła walki z nimi (vide odezwa do młodzieży Zarządu Zjednoczenia rok 1911), to sprawa „wojskowa“ miała rolę stokroć poważniejszą: wytworzyła teren zdrowej pracy rewolucyjnej — przetworzyła koła sportowe, Sokoły na organizacye czynne — gdzie nie jest rzadkością broń palna — zwróciła uwagę na ostateczny kres wszelkich usiłowań rewolucyjnych — walkę orężną.

I Zjazd XXV Zjednoczenia, zdaje się, rozpoczął szereg Zjazdów, poświęconych budowaniu nowej myśli — dyskusya nad referatem jednego z jego najpoważniejszych uczestników — omawiającego program młodzieży narodowej w życiu młodzieży jasno to wskazywała. Poruszono tam potrzebę wychowania niepodległościowego o podkładzie demokratycznym, zwrócono uwagę na rolę kwestyi społecznej w życiu narodów — a, co po zatem idzie, na potrzebę uwzględnienia tej sprawy w wychowaniu młodzieży. Jednak zmiana oblicza młodzieży narodowej szczególnie zaznaczyła się w dyskusyi i rezolucyi wiecu w sprawie chełmskiej. Nie słychać tam było biadań na ucisk Polaków, nie proklamowano „żałoby narodowej“ — wyraźnie, silnie podkreślono charakter właściwy sprawy chełmskiej — jednego z etapów dziejowej walki między Rosyą — a Polską, stwierdzono, iż jedyną odpowiedzią na to może być akcya, mająca na celu przygotowanie walki zbrojnej o niepodległość — a za obowiązek narodowy uznano niesienie w lud chełmski hasła wolnej, trójjedynej Rzeczypospolitej ludowej.

I sprawy inne, nie mniej ważne zostały zgodnie z tym ogólnym charakterem załatwione; rozumiejąc rolę Muzeum Rapperswilskiego i znając stan jego obecny — powzięto uchwałę, wyrażającą wdzięczność i wyrazy sympatyi „opozycyi“, zarazem postanowiono energicznie poprzeć T-wo Przyjaciół Rapperswilu.

Ostro bardzo, bo pod hasłem walki o Skarb Narodowy zapowiadała się decyzya Zjazdu w sprawie jednej bodaj z najważniejszych dziś dla irredenty polskiej — w sprawie Skarbu Narodowego. Sprawą tą Zjednoczenie rok już z górą się zajmuje — nie jest ona sprawą doryẉczo załatwianą — zbyt drogą i odpowiedzialną jest ona na to —

i tylko w poczuciu braku zainteresowania ze strony starszego społeczeństwa młodzież ją przeprowadza. Porozumiawszy się jednak co do niej z pełnomocnikiem p. pułkownika Miłkowskiego — jakoteż zasięgnąwszy informacyj u władz skarbowych — otrzymawszy pewne ustępstwa, nie zobowiązując się do niczego — młodzież Zjednoczona uchwaliła składkować na Skarb Narodowy i za składkowaniem agitować, by w ten sposób zainteresować szersze sfery społeczeństwa tą zapomnianą instytucyą, a w ten sposób zwalić panujące dziś wśród władz skarbowych przekonanie o tem, jakoby skarb był instytucyą „emigrancką". — Jednak krok ten nic nie zmienia tendencyi młodzieży: zmian odpowiednich w ustawie podkreślających niepodległościowy charakter instytucyi — jakoteż poglądu na bojową rolę Skarbu — w przeciwieństwie do tych, którzy, korzystając z niego do niedawna — uważali go za fundusz pomocniczy w pracy tajnej organiczno-oświatowej.

Słów jeszcze parę o oryentacyi politycznej młodzieży Zjednoczonej w życiu młodzieży. Na skutek może zrażenia się do niedawnych swych wodzów — młodzież Zjednoczenia za cel postawiła sobie podzielenie młodzieży na dwa obozy: niepodległościowców i antiniepodległościowców i to konsekwentnie stara się przeprowadzać — stąd ostra walka przeciw Związkowi post. Mł. Pol., który wyraźnie zdeklarował się, jako organizacya łącząca ludzi, pragnących „zdemokratyzować państwo rosyjskie". Natomiast mimo nienazbyt różowych stosunków z Filarecyą — stosunek do niej zdeklarowano, jako wyczekująco-przyjazny, wyczekujący — na skutek stosunku Filaretów dla Związku, któremu Zjednoczeniowcy chcą przy współudziale wszystkich grup niepodległościowych wypowiedzieć walkę na śmierć i życie.

Teraz jeszcze mały dodatek, tyczący się prądów wśród młodzieży narodowej, które przejawiły się na Zjeździe. Otóż w dyskusyach jawnych — a nie w komisyach — dawała się odczuć różnica między prądem radykalniejszym, czującym pewne sympatye do socyalizmu — jako idei — i prądem, który nazwałbym „solidarystycznym", który względem socyalizmu ze względu na jego stanowisko w życiu narodu, na hasło walki klas, dalej na tendencyę, mimowolną niejednokrotnie, wzmocnienia centrali państwowej — zajmuje stanowisko niechętne. Jednak różnica ta, wobec stanowiska młodzieży narodowej, uznającej potrzebę skupienia sił niepodległościowych, a nie traktującej siebie, jako zawiązku przyszłego jednego stronnictwa, nie zdaje się zapowiadać żadnych walk wewnętrznych — raczej zmaganie się ideowe dwóch prądów, co dla wychowania młodzieży wielkie znaczenie mieć może.

A więc, nie starczość, a nowe, rozpoczynające się życie — nie słabość, a poczucie siły budzącej się, nie ugoda, a owszem — uświadomienie sobie wyraźne stanowiska Polski w środkowo-wschodniej Europie cechowały XXV jubileuszowy Zjazd Zjednoczenia. I mamy głęboką nadzieję, że nie neougodowców, nie endeków, nawet nie bezwładną i słabą opozycyę patryotyczną, a szereg pracowników, co stworzą lub zasilą silny ruch ludowy, robotniczy, demokratyczny, bez doktryny, niepodległościowy, w swej oryentacyi politycznej antirosyjski, wyda dzisiejsze pokolenie zjednoczeniowe. I dlatego na tem większą uwagę życie zagra-

nicą młodzieży naszej zasługuje — i istnieje potrzeba kontroli tego życia, by to, co się tworzy, na manowce nie poszło! *Z. D.*

Drukujemy powyższe sprawozdanie, otrzymane od jednego z przedstawicieli „Zjednoczenia“, który się skarży, iż sprawozdanie Krzesławskiego (Nr II. „Krytyki“) było częściowo mylne. Drukujemy je, gdyż sympatycznym jest nam nastrój jego ogólny. I my jesteśmy przekonania, że sprawa niepodległościowa musi iść przed sprawą społeczną. Nie możemy jednak „Zjednoczeniu“ oszczędzić zarzutu, że ideału społecznego zgoła nie ma. Tak dzisiaj żyć nie wolno. Dalej faktem pozostaje, iż pozostając w organizacyi „Ogniwa“, Zjednoczenie ponosi odpowiedzialność za jego kroki, nieraz reakcyjne. Wogóle mamy wrażenie, że sprawozdanie powyższe jest zbyt różowe i uogólniające. Red.

SPRAWOZDANIA.

Jerzy Sorel: Złudzenia postępu. Przełożył dr Emil Breiter. Kraków, wydawnictwo „Książnicy naukowej i artystycznej“. Księgarnia Gebethnera i Sp.

Czy postęp społeczny istnieje? Jakie są jego teorye — kryterya — drogi?

Sorel, poddając krytyce pojęcie postępu, zaczepia kolejno o cztery ostatnie stulecia kulturalnej Francyi, a opierając się o źródła, dowodzi, że pojęcie postępu, któremu współcześni przypisują charakter teoryi naukowej, objektywnej prawdy nieomal, powstało w sferach wysokiej, dworskiej arystokracyi, rozwinęło się w XVIII wieku u encyklopedystów, a doszło do szczytu w XIX wieku wskutek propagandy demokratycznej. Ważną jest okoliczność, że zrodziło się ono w łonie społeczeństwa lekkomyślnego, bogatego, intellektualnie rozwiniętego, które z najwyższą niechęcią znosiło kajdany chrystyanizmu.

Doktrynę postępu, spopularyzowaną przez encyklopedystów, przejęła zwycięska burżuazya w epoce rewolucyjnej i złączyła ją następnie w jednę oficyalną teoryę z zasadą ewolucyi.

Od połowy XIX wieku teorya ta stała się wygodnym płaszczykiem, w który ubiera się oficyalna demokracya, zapewniając wszystkich, że ona jedynie urzeczywistnia doskonałą organizacyę społeczną.

Dla utrzymania tej organizacyi wynajmuje całą armię urzędników i literatów, którzy spełniając rolę małych świętych lub kapłanów demokracyi zmierzają do ogarnięcia ruchu proletaryackiego w ramy postępującego, względnie postępowego społeczeństwa.

Z tą organizacyą i z jej organami walczy uświadomiony proletaryat, walczy syndykalizm. Bezpośrednim czynem rozbija on wszelkie usiłowania niepowołanych opiekunów, a wewnętrzną organizacyjną pracą wykuwa swój światopogląd, swoich wychowawców stwarza i filozofów.

W książce Sorela znajdujemy pogłębioną analizę prawie wszystkich wybitnych pisarzy społecznych Francyi przed i porewolucyjnej, z indywidualnem nawskróś i oryginalnem określeniem stosunku organizującego się moralnie proletaryatu, który obejmując w spuściźnie po epoce kapitalistycznej wszystkie jej zdobycze techniki, przetrawia je i organizuje w nowym światopoglądzie prawnym.

Nowa moralność i nowe prawo — to dwie kolumny, na których podźwignąć i oprzeć się musi społeczność wojowników — producentów. Dzieło Sorela wyrosło z gruntu francuskiego, stopnia dojrzewania tamtejszego proletaryatu i zniechęcenia tamtejszego do parlamentaryzmu i rządzącej tamże demokracyi. Nasze stosunki są od francuskich dalekie — nie wolno nam jednak pozostawać odnośnie do wyrastających na zachodzie prądów myślowych ignorantami! Sorel jest umysłową potęgą, w krajach romańskich wpływ wywiera olbrzymi. Dotąd słyszeliśmy tylko o nim — teraz przemawia wprost, po raz pierwszy w przekładzie polskim.

Simon Newcomb: Astronomia dla wszystkich. Wykład popularny zjawisk niebieskich. Przełożył z angielskiego i według II wydania niemieckiego uzupełnił R. Merecki. Ze słowem wstępnem S. Diksteina. Warszawa. Nakład H. Lindenfelda. Księgarnia G. Centnerszwera i Sp.

Thomas H. Huxley: Zasady fizyologii. W opracowaniu prof. dra J. Rosenthala. Przełożył z IV. wydania niemieckiego dr Adam Lande. Warszawa. Nakład H. Lindenfelda. Księgarnia G. Centnerszwera i Sp.

Z prawdziwem zadowoleniem witamy pojawienie się obu tych książek. Nazwiska autorów, metoda ich i ścisłość angielska, przepuszczona przez bogactwo wiedzy niemieckiej, ilość wydań w obu tych językach, gwarantują, że pod względem naukowym podręczniki te stoją na wyżynie swego zadania.

Nie może być zadaniem takiego pisma jak „Krytyka", popularyzacya nauk matematycznych i przyrodniczych. Z żalem musi sobie redakcya odmówić drukowania rozpraw na ten temat. Z tym większym naciskiem poleca swym zwolennikom studyowanie podobnych dzieł, jak oba wyżej wymienione. Pospolicie mają nasze popularyzacye obrzydliwą wadę: wulgaryzują naukę, sprowadzają ją na najniższy poziom umysłów, potrzebujących dogmatów i przesądów bodaj „naukowych". Dzieła powyższe dają wiedzę w formie przystępnej, bez obniżenia jej charakteru.

Tłómaczeniu oddają fachowcy wysokie pochwały.

Dr Majer Bałaban: Skizzen und Studien zur Geschichte der Juden in Polen. Berlin. 1911.

Interesująca z rozlicznych względów historya Żydów w Polsce znalazła w ostatnich czasach u nas kilku dziejopisów, jak Kraushar, Schorr, Łuniński, Schipper, którzy podają bądźto pewne zdarzenia, bądźto historyę lokalną, bądź wreszcie monografię poszczególnych osób ze świata żydowskiego. Z pomiędzy nich tak obfitością swych prac w tym kierunku, jakoteż erudycyą i wybornem znawstwem przedmiotu wysunął się dr Majer Bałaban, autor „Żydów lwowskich" i całego mnóstwa drobniejszych rozpraw, drukowanych jużto osobno, jużto w rozmaitych czasopismach, na jedno z pierwszych miejsc.

Dr Bałaban, mieszkaniec Lwowa, bada też najdrobiazgowiej i przedstawia z największą precyzyą i umiłowaniem dzieje Żydów przedewszystkiem w tem mieście. Specyalnością zaś jego jest kreślenie drobnych, rodzajowych scen i obrazów.

Obie te charakterystyczne dla niego cechy uwypuklają się wcale dokładnie i w niedawno wydanym w języku niemieckim zbiorku jego szkiców i studyów.

Są to więc drobne, rodzajowe obrazki z życia Żydów polskich przeważnie XVI i XVII wieku. Autor nie zapuszcza się w jakieś głębsze dociekania ogólniejszej natury, z wyjątkiem chyba jednego szkicu, w którym wykazuje na przykładzie rodziny Józefowiczów, że i Żydzi mogli być nobilitowani, nie zmieniając swej wiary. Michał bowiem Józefowicz, poborca ceł na Litwie, senior i sędzia wszystkich Żydów litewskich, otrzymał szlachectwo w r. 1525 na rynku krakowskim przy sposobności złożenia hołdu przez Albrechta Pruskiego. Inne studya, czy to najazd żydowski na dwór szlachecki w Czyżykowie Wacława Śliwnickiego, celem odebrania zaległych podatków, czy to sprawa autentyczności legendy o rzekomym jednodniowym królu polskim Saulu Wahlu, czy wreszcie awanturnicze przygody Pinkasa Lazurowicza, chorążego szwedzkiego, skazanego później za swe rozliczne sprawki na karę śmierci na szubienicę, przedstawiają różne drobne epizody z bujnego życia XVI czy XVII stulecia.

Z szczególnem umiłowaniem, jak się rzekło, autor odnosi się do historyi Żydów lwowskich; kilka też szkiców poświęcił im w swym zbiorku, jużto kreśląc sylwetkę potentata lwowskiego, mającego stosunki i wpływy nawet na dworze królewskim doktora Izaka Nachmanowicza, jużto opowiadając o przybyciu i osiedleniu się we Lwowie i Zamościu kolonii portugalskich Żydów, handlujących winem, jużto opisując smutne dzieje dwu braci, Chaima i Jozuego Reizesów, skazanych na śmierć na stosie za usiłowane zachęty, by jeden z neofitów porzucił świeżo przyjętą wiarę chrześcijańską.

Obok ciekawego przyczynku do dziejów Frankistów, mianowicie oficyalnego protokołu ich dysputacyi, odbytej we Lwowie od 17 lipca do 10 września 1759, podanego w większych wyjątkach, autor pomieścił tu jeszcze dwa epizody z dziejów żydów lwowskich, mianowicie wyświetlenie legendy o Złotej Róży i opis tumultu przeciw Żydom, jaki powstał w r. 1664.

Wszystkie te szkice o tak różnorakiej treści są pisane barwnie i zajmująco, choć może trochę z nazbyt jednostronnym optymizmem, możnaby chyba tylko kwestyonować wybór niektórych z nich, przeznaczonych dla publiczności niemieckiej. Zresztą nie rozpisuję się dłużej, bo autor już ma w literaturze polskiej wyrobione imię, a treść wydanych po niemiecku szkiców już przeważnie polskim czytelnikom jest znana.

Dr Bron. P.



J. F. Millet: „Do młyna“. Wydawnictwo „Krytyki“.

DRUK. LITERACKA KRAKÓW



J. F. Millet: „Zbieranie kłosów“. Wydawnictwo „Krytyki“.

DRUK. LITERACKA KRAKÓW

Tadeusz Miciński.

MIŁUJCIE, ZWALCZAJĄC, WROGÓW SWYCH!

(Z powieści „Ksiądz Faust“).

Było to latem — walczyłem, wiodąc oddział Kurpiów, wśród puszczy Kampinowskiej... Powstanie było w pełnej sile.

Szczególnem okrucieństwem względem nas odznaczali się starowiery.

— I koloniści niemieccy, dodał Piotr.

Zachmurzył się Ksiądz.

— Jeśli waćpan wszystko wiesz dokładnie, mówić nie potrzebuję. —

Piotr zamilkł, jakby Harpokrates, bóg milczenia, nie tylko palec położył mu na ustach, ale ściągnął je olbrzymią żelazną kłódką. Istotnie, opowiadający, jak medium zamknięty w swej aurze, nie znosi budzenia go dźwiękami obcymi. Widać było, że ksiądz zapada w mediumizm swych myśli.

— Był oddział ze samych starowierów. Straszni fanatycy... nas mieli za wcielonych dyabłów, służących Antychrystowi. Wieszali bez pardonu każdego powstańca. Nieraz torturowali.

Wtem pikiety doniosły mi, że ten właśnie oddział starowierów, którzy idąc na ochotnika stali się wieszatielami, kąpie się w wielkim stawie pobliskiej wsi.

Zrozumiałem niezwykłą sposobność, gdyż obecności mego oddziału nikt z nieprzyjaciół nie podejrzywał. Owszem, sądzili, że znajduję się o mil dwadzieścia, gdzie byłem dnia onegdajszego. Wziąłem jedynie oddział kawaleryi, każąc Kurpiom pieszym iść forsownym marszem przez lasy naprzełaj.

Co pary w końskich płucach gnał szwadron kawaleryi, t. j. około 80 ludzi zbrojnych w najlepsze sztucery, piki i szable.

Przelecieliśmy jak wicher przez wieś.

Wypadliśmy przed staw — który był głęboko wśród wzgórz.

Jeszcze nie było widać kąpiących się.

Starowiery zachowali się z dziwnem, jak na wojnie podjazdowej, niedbalstwem.

Nie postawili czat.

Kazałem kawalerzystom mym coprędzej okrążyć i łańcuchem zagarnąć staw.

Na me silne gwizdnięcie nagle wdarli się ku wzgórzu, celując ze sztucerów w gromadę hałasującą, chlupiącą się w wodzie z dzikiem radosnem rozuzdaniem. Spiekota bowiem była straszna, samo południe.

Ujrzeli nas, jakby Demonów śmierci. Nastała martwa cisza.

Nie mogli uchwycić broni, ta była w kozły złożona nieco zdala od brzegów na łące.

Zresztą strzelać w górę pod słońce... nie przydałoby się na nic.

Staliśmy, biorąc ich na cel jak kaczki. Dwadzieścia strzałów dając na minutę, mogliśmy w ciągu minuty położyć tysiąc sześćset trupów.

Około tysiąca ludzi wynosił ich pułk.

Zawyli brodacze... poukłękali wszyscy w czarnym grząskim mule i zaczęli się modlić do nas z rękami wzniesionymi.

— Batiuszki, pomiłujtie!...

Cobyś pan wtedy zrobił na moim miejscu, będąc dowódcą oddziału? —

Zaświeciły oczy Piotrowi, zbudziła się w nim nagle furya walki. Srogie oczy Walkiryi z lancą lecącej zabłysnęły mu fosforem piorunującym.

— Wystrzelałbym bez pardonu co do jednego... ha! mieć naraz kilkuset takich katów!... wystrzelałbym mierząc nie w głowy, ale w środek ciał, aby długo męczyli się, ginąc na skwarze.

Miałbym uznanie dla wojska właściwego, które spełnia swą powinność... takich bym wziął do niewoli i wypuścił, odjąwszy broń. Tych zaś — — nie, nie!... wstrętne mi jest miłosierdzie, gangrenujące duszę polską... Walka straszliwa, bezwzględna, sroga...

— Wiem. I ja czułem to samo. Zanadto dobrze znałem historyę Rzymu i kondotjerów renesansowych, abym nie pochwalał bezwzględności czynów, kiedy idzie o naród.

Ale musiałem tu liczyć się z duszą narodu polskiego. Zapytałem chłopów mych, którzy jak posągi nieruchome, stali czekając sygnału.

— Co zrobić, jak myślicie, chłopcy? zapytałem.

— Zakłuć, zarąbać psiewiary, odrzekli hurmem.

To nie mówił Król Duch narodu. Tłum zawsze ma instynkta niższe, niż jednostki, z których się składa.

Ogarnął mię wielki mistycyzm przyszłości.

Zrobiłem wielki krzyż nad tym tłumem starowierczym.

Kazałem broń zabrać, złożoną w kozły.

Zażądałem przysięgi od starowierów, że dobrowolnie wstąpiwszy do wojska — dobrowolnie wyjdą z szeregów.

Niewiadomo czemu wszyscy — i moi dzielni Kurpie, którzy już przybyli od lasa, gotowi walczyć, — mieli też łzy w oczach.

A to było z radości, że dusza zaprzeczała faktom źwierzęcości.

— Pozwól mi rzec, Księże, co sądzę: Dusza gubi wszystko w Polsce. Za górnie, za mistycznie, za niemożebnie chcemy mieć życie. I dlatego życie realne przeobraża się u nas w taką nędzę.

Minęły czasy tych wiejskich idyll, które opisywał Lenartowicz: sianożęcie, kościołek, zbieranie malin... W Polsce zabrudziło się życie ziemne, bo gdzieś na niebie malowano freski... Zemściły się ideały... Upokorzenia młodości w gimnazyum, nędza rodziny, najbrutalniejsze traktowanie idei odrodzenia przez tłum żniserów, sądzących świat z wyżyn automobilu, gumowej dorożki i prosperującej kamienicy...

Trzeba silnej żelaznej pięści, którąby samych Polaków umiała utrzymać w karbach. Ta pięść musi wznosić jednocześnie bramę wolności i posłuszeństwa. Czy w czasach waszych znano tę mękę, gdy wojownicy zmieniali się w bandytów, a naród niewalczący — w gromadę tych brudnych brązowych antylop, zwanych Guanaki, które kopią, kąsają i plują, kiedy do nich podejść z zamiarem rozwarcia bram ogrodzenia?...

— Bandytyzm w powstaniu? a jakże miało być inaczej? naród, który nie zwycięża, musi chemicznie rozłożyć się na tchórzów i rzezimieszków. Chyba, że głęboka wiara utrzyma ludzi i nawet wzniesie na wyżyny rozwoju jeszcze doskonalszego, pracy pełnej ofiary i zaparcia się.

Dlatego u nas jest to i tamto, i było tamto i to.

Wiele utworzyło się band, które pod firmą powstania, napadały na dwory i rabowały co się dało.

W lasach Hrubieszowskich jedna taka banda rozgościła się u zamożnego obywatela w Stryjeńskiej Woli.

Wziąłem pięćdziesięciu konnych i przebyliśmy w trzy godziny dzielące nas pięć mil.

Ta hołota jednak nie zapomniała umieścić pikiety. Byli to niegdyś tędzy żołnierze.

Podchodziłem do pikiet w mundurze swym polskim pułkownika — ale dostawszy raz w swe ręce takiego wartownika, łamałem mu karabin o kamień i kazałem go aresztować.

Była tu, jak dla starowierów, spiekota — tylko — ze wstydu na policzkach.

Wziąłem dwóch mych żołnierzy najmłodszych, po lat piętnaście, dzieci zatem, wszedłem do pałacu, który huczał od gwaru — ale ujrzawszy, iż na pierwszem piętrze odbywa się orgia, posłałem po czterech starszych żołnierzy i wachmistrza. Malców mych postawiłem u wejścia na dole. Z żołnierzami wkroczyłem na górę, rozwarłem drzwi.

Kilkudziesięciu bandytów z orzełkami u czapek buzowało przy stole, na którym obok mięsiw i antałów z winem leżały nagie dziewki folwarczne. Można było je odróżnić po grubych stopach i potężnych torsach od delikatnych panien, które były zalane łzami.

Strasznym był widok ich ojca obywatela, który powiesił się na żyrandolu, nie mogąc tego przeżyć.

Wyuzdanie przelewało się poza wszystkie tamy. Tylko dowódca ich siedział ponury z głową opuszczoną. Słyszałem, iż był to człowiek, który wściekł się i zawziął w sobie na los, a to z powodu, że tyfus plamisty zabił mu niedawno żonę i troje dzieci. Ten w swoim rodzaju bajroniczny Lara, mszczący się na Panu Bogu, mógł wzbudzać litość, ale nie było już dla niej miejsca w mym znieważonym honorze polaka.

Cztery karabiny kazałem wymierzyć w łby najbliżej siedzących — i wstąpiwszy do sali, donośnie krzyknąłem:

— Waruj, łajdactwo! —

Porwał się tylko dowódca ich, spojrzał na mnie i z flegmą wymierzywszy sobie z krucicy w usta, wypalił. Usta wypełniły się dymem i krwią, runął. Nastało milczenie.

Krótko, nie szczędząc barw na odmalowanie nikczemności wykazałem im co uczynili ze sprawą Polski.

Jednemu za drugim kazałem wychodzić.

Każdemu z nich ździerałem szlify, wachmistrz zaś — chłop sześciu stóp i ośmiu cali — wychodzącego brał za kark i zrzucając

ze schodów, uderzał nogą uzbrojoną w ostrogę tak, żeby rana szła od krzyża aż do pięt.

Folwarcznym dziewkom kazałem rozdać medaliony z Matką Boską i puścić wolne.

Owe panienki zaś — wszystkie stały się siostrami miłosierdzia.

— —

Tejże samej zimy resztki mego oddziału, pędzone jak dzikie źwierzę po kniejach i moczarach Polesia, zajęły wzgórze pod Mozyrzem. Jest to tak zwana Poleska Szwajcarya. Szerokie góry okryte lasami, pełne jarów — nad rzeką Prypecią...

Dopadli nas Rosyanie.

Ukryci za pniami zwalonych drzew i mając plecy zasłonięte lasem, a na przodzie trzy granatniki, czuliśmy się bezpieczni.

Rosyanie rozsypali się tyralierką, lecz my choćby już z natury położenia, byliśmy górą.

Pułk kozacki ukrywał się w lasku, lękając się granatów. Nagle widzę zdecydowali się na atak, okrążając nas pochyłością wzgórza, które z jednej strony łagodnie zniżało się ku dolinom.

Kazałem porucznikowi artyleryi, który był panną z wysokiego rodu, przyjąć granatami, podpuściwszy kozactwo na trzysta kroków.

Tyralierzy rzucili się na nas — było ich kilkanaście rot. Siła ogromna, jak na stu dwunastu strzelców.

Ale dawaliśmy sobie rady, nie dopuszczając do ataku na bagnety.

Nagle słyszę, granatniki milkną. Widoczna zdrada.

Tyralierzy rzucają się na nas jak wściekli. Odpieramy ich z najwyższym trudem.

Ale już widzę nad sobą wspaniałych oficerów kubańskiego pułku, ich czerwone koszule, olbrzymie bermyce — w jednej chwili mnóstwo spis, chmura szabel, kilkaset wystrzałów ku nam z góry od siodeł końskich...

Skomenderowałem oddziałowi cofanie się do lasu, sam jednak zarzuciwszy na siebie opończę zabitego czerkiesa, zwróciłem konia do owej panny i ujrzawszy ją w objęciach kubańskiego oficera blondyna, wypaliłem mu w skroń.

Ona nie broniła się — porwałem ją na siodło. Nie uśmiechaj się pan, (Piotr nie uśmiechał się wcale) umiała ona palić z armat, jak wy z papierośnic — lecz teraz nie miała niczego prócz szabli, którą jej wydarłem z nadwichniętej ręki.

Nasi Kurpie, walcząc już tylko tyralierką, ostrzeliwali się znakomicie.

Rzuca się na mnie z pół seciny kozaków, chcąc brać żywcem.

Wąwóz dziwnym trafem pozostawał otwarty, ale był stromy.

Nie było rady — z pod szabel kozackich wykręciwszy konia, rzucam się z koniem i z nią w śniegiem zasypany jar. Leciałem w powietrzu ze trzy piętra. Aby jednakże koniowi nie złamać kręgosłupa — skoczyłem oddzielnie z mym ciężarem, konia trzymając za uzdę.

To lecenie w powietrzu było dziwną chwilą — zapomniawszy czy nie mogąc uprzytomnić, że mam przy sobie zdrajczynię, ścisnąłem ją w tym śmiertelnym skoku, jak najdroższą istotę.

Runęliśmy aż po uszy w śnieg.

Za nami posypały się gradem kule, ale nie trafiając.

Na szczęście koń nie uszkodził się również. Wychlusnął szczupakami na brzeg wzgórzysty, my ciągnąc się za uzdę doszliśmy do konia i wtedy brzegiem urwistym wśród gęstego lasu, znikaliśmy z oczu wyjącym z wściekłości kozakom, którzy nas ostrzeliwać już nie mogli.

Niestety, ujrzałem, że krew sączy się z wronego — kula mu rozdarła biodro.

Wyszliśmy na drogę. Wśród zapadających ciemności leciałem, jak upiór z ballady, trzymając przed sobą na siodle zdrajczynię.

W sercu nie było mi do ballad. Ojczyzna skonała na tym wzgórzu. Zatrzymałem konia. Wśród nocy nasłuchiwałem moich strzelców. Głucha cisza. Widocznie wyginęli. Nigdy rzymsko-katolicki porządek świata nie wydał mi się więcej niedorzeczny.

Walczyły we mnie dwa uczucia — jedno, to obwiesić na tręzli pannę, konia i siebie. Drugie — uczucie najwyższej ciekawości, co mogło heroiczną kobietę skłonić do zdrady?

Koń spływał krwią, trza maszerować. Wtem usłyszeliśmy głuchy tętent. Pogoń! Zostawało tylko znowu webrnąć w śnieg tak głęboki, że aż po kolana i wszyć się w gęstwinę lasu.

Marzłem, gdyż byłem nawet bez kożuszka wojskowego, zrzuciłem go w czasie bitwy. Opończa czerkieska zleciała mi w czasie naszego spadania.

Chciała mi panna oddać swój kożuszek.

Ma się rozumieć, kazałem jej milczeć.

Uszy i stopy miałem już jak w kleszczach ściśnięte.

Mogła teraz bez przeszkody czynnej z mej strony zawrócić się i uciec — lecz owszem, pomagała mi brnąć przez huszczę.

Ubrana cieplej odemnie, na nogach miała futrzane buty, czego jej mocno zazdrościłem.

Za kołnierz i za rękawy sypały się grudy zlodowaciałe. Po skrzypieniu śniegu poznałem, że było już ponad piętnaście mrozu.

W ciemnościach nieraz padamy na łeb w zdradnych poleskich kępach, które wystają z bagna na łokieć. Chodzi się jak po gąbkach, osunąwszy się zaś — nogi lecą w głęboki dół.

Koń znosił wszystko, lecz stękał jak człowiek niesiony po operacyi chirurgicznej i utykał. Nie mogąc wytrzymać tych jęków, porwałem go za szyję i zapłakałem.

— Waćpan nie poświęcaj się dla sprawiedliwości, rzekła mi towarzyszka, strzel do mnie bez zwoływania na mnie sądu. Jestem winna, to chyba jasne. Weźmiesz sobie wtedy mój niepotrzebny kożuszek i moje futrzane buty.

Życie twe, pułkowniku, więcej jest warte od twej cnoty.

Oto mam rewolwer, pozwól mi, że zakończę ze sobą.

— Waćpani ulubił się ten oficer, spytałem ostro, idąc dalej w śnieg.

— Zamilczę chyba. Bo jeśli powiem, to wyglądałoby na usprawiedliwianie. Winna jestem bezwzględnie.

— Któż to był?

— Mój brat.

— Po Adamie i Ewie?

Przepuściła zły koncept.

— Pochodzę z rodziny mieszanej. Według Mikołajewskiego prawa córki były katoliczkami za matką, synowie prawosławni.

Mój brat oddany do korpusu; potem bił się z Bucharą i Afganistanem, zapomniał o tem, że Polska istnieje.

I wy o nim chcieliście zapomnieć.

W czasie bitwy nagle poznałam go — i on mię poznał, bo krzyknąwszy: Anielcia! pędził ku mnie... W jednej chwili porwał mię w objęcia... Wśród łez szczęścia zapomniałam, że kanonierzy stoją bezczynni — wtem brat mój zaśmiał się dziko i z rewolweru powalił trzech moich kanonierów — jednocześnie ściskając mię lewą ręką, abym nie mogła się bronić.

Runęła chmara kozacka, ukryta w dąbrowie — i te trzysta kroków dzielących nas przebyli w minutę.

Rzekłam bratu memu:

— Włodziu, jesteś najpodlejszym z ludzi. —

On mi odrzekł: — Wiem. Ale Polski nie cierpię. —

I byłam pomszczona, kiedy twoja kula, pułkowniku, przebiła mu oko i mózg. Biedny Włodzio!... —

Nie odzywaliśmy się więcej.

Las wydawał się nie mieć końca.

Tem lepiej dla nas.

Nie łatwo znajdą kozacy trupy miatieżników. Obojętnie myślałem o śmierci. (Dok. nast.).

W WALCE O ŚWIATOPOGLĄD.

II. MONIZM A FILOZOFIA.

(Ciąg dalszy).

C) Skromność, głębia i ścisłość myśli naukowców.

a) Uczeni przyrodnicy — nawet ci, co właściwie mogą mieć zaledwie dalekie pretensye do nauki ścisłej, jak antropolodzy, paleontolodzy i t. p. — a za nimi i szerszy ogół ich wyznawców są dzisiaj głęboko i święcie przekonani, że to oni i tylko oni reprezentują na świecie poważną i trzeźwą myśl, rozum, objektywizm, słowem ścisłość pojęciową [1]). I to nietylko w zakresie poszczególnych gałęzi wiedzy specyalnej, bo o tę nam tutaj nie chodzi i tam ich kompetencyi nikt nie kwestyonuje, ale i pod względem światopoglądowym. Ich o naukę wsparte zapatrywania na świat i przekonania są ścisłe, naukowe, realne, pozytywne, zaś ten, kto się od nich oddala, kto nie wierzy, że świat jest tylko zbiorem faktów przyrodniczych, ten czyni to dlatego, że ma słabą głowę, poddaje się mrzonkom, jest metafizykiem (coś w rodzaju osławionego u chłopów „sufragana), nie stoi na poziomie myśli naukowej, ulega nastrojom, niema sił oprzeć się tradycyi, przesądom, popada w reakcyjność, jest wstecznikiem, boi się światła, lub nawet świadomie, faryzeuszowsko popiera ciemnotę i t. d. Haeckel wyraźnie pisze o „absurdach“ Platona, o „podwójnej buchalteryi“ i jezuityzmie Kartezyusza, a Ostwald umieszcza w swych „Annalen der Naturphilosophie“ artykuły, na proch ścierające Kanta. Jest to wysoce

[1]) Charakterystyczne jest pod tym względem stanowisko matematyków, którzy, mając tysiąckroć większe od przyrodników prawa do nauki ścisłej, są jednak — może właśnie dlatego — o wiele wstrzemięźliwsi i filozoficzniejsi.

skromne, głębokie i ścisłe. No i naukowe... Albowiem szczytem wszelkiej mądrości jest powtarzać na tysiąc sposobów: atomy się ruszają, a człowiek jest blizkim krewnym małpy.

Filozofowie przechodzą zazwyczaj nad zjawiskiem tem do porządku dziennego w milczeniu, z pobłażliwem wzruszeniem ramionami i uśmiechem fechtmistrzów, niezwykłych bić się z dziećmi. Wiedzą aż nadto dobrze, iż rzeczy te się mają akurat na odwrót, że myśl poważną, ścisłą i świadomą siebie można znaleść jeszcze od biedy w scholastyce chrześciańskiej i neo-tomizmie współczesnym, ale napróżno byłoby jej szukać w wolnych kompozycyach światopoglądowych przyrodników. Postępowanie to — zupełnie naturalne — ma jednak ten skutek, że istotne przesądy, mrzonki i urojenia wolnomyślicielskie krzewią się bez przeszkody w oprzyrodniczonych głowach. Ludzie ci naprawdę wyobrażają sobie (jeżeli wogóle kiedy o tem myślą), że np. Plato — uczony, Plato — matematyk, Plato — twórca metody analitycznej, bez której wszyscy przyrodnicy dzisiejsi nie mieliby co robić, Plato, który dał pierwsze jej zastosowanie do ruchów ciał niebieskich, w którego szkole matematyka stała tak wysoko. a astronomia bezpośredniego jego ucznia, Eudoxusa, poprzez Hipparcha i Ptolomeusza (skąd jej nazwa) panowała aż do czasów Kopernika, albo że twórca geometryi analitycznej, Descartes, lub Kant, jeden z twórców hipotezy mgławic i t. d. — że wszyscy ci i tym podobni myśliciele tylko dlatego nie zadawalali się np. atomizmem drogiego monistom Demokryta, empiryzmem Bacona, lub materyalizmem XVIII wieku, że nie umieli ściśle, naukowo myśleć, że ulegali mrzonkom lub coś w tym rodzaju! Doprawdy, że pomimo głębokiego przekonania o uczciwości dążeń monistów niemieckich, trudno się czasem dziwić zarzutom i twierdzeniom tak niefortunnie konkurującego z nimi związku Keplerzystów o świadomem fałszowaniu przez nich prawdy i spekulowaniu na ciemnocie mas: pozory są za tem.

Albowiem jak właściwie przedstawia się zblizka ta ich osławiona ścisłość i naukowość? Weźmy znów na pierwszy ogień dla przykładu p. Wróblewskiego — człowieka, którego odczyt „o religii“ i jej naukowem traktowaniu był, jak sam autor pisze, „entuzyastycznie przyjmowany“ w Wiedniu. P. Wróblewski mówi we wspomnianym powyżej artykule: „Z powodu braku jasnego wyobrażenia, czem jest ów „duch“ nauk duchowych... itd.... wynika ogromna niejasność, nieokreśloność i wieloznaczna symboliczność terminologii tych nauk“. O terminologii, używanej przez monistów i p. Wró-

blewskiego—jakkolwiek terminologia ściśle odbija ścisłość pojęć— zarówno, jak o wszystkich kwestyach drugorzędnych, choćby najważniejszych, mówić nie będziemy: za dużoby ich było — i poruszymy tylko dwa punkty zasadnicze, mające podstawowe znaczenie w każdym światopoglądzie[1]). Pierwszy jest tak banalny, że aż wywołuje pewne zażenowanie.

b) Kamieniem obrazy dla wszelkiego monizmu jest, jak wiadomo, niezaprzeczalny, empiryczny fakt istnienia dualizmu ducha i materyi. Jak sobie o ścisłość naukową wsparci moniści przyrodniczy z faktem tym dają rady?

P. Wróblewski, który jest tutaj typowy, a przytem, jak zaraz zobaczymy, mądrzejszy od Haeckla, roztacza przed nami bardzo szczegółowy, choć czysto fantastyczny obraz „naszego aparatu mózgowo-nerwowego, którego funkcyą jest nasze życie psychiczne", powiększonego do rozmiarów fabryki, czy nawet „krainy fabrycznej", i oprowadzając nas po niej, opowiada, cobyśmy w niej ujrzeli. I oto w pewnej chwili okazuje się, że „znajdujemy tam „ś l a d y pamięciowe w r a ż e ń"; a niezadługo potem, że „wszystkie te (już!) w y o b r a ż e n i a powiązane są i usystematyzowane w grupy... za pomocą transmisyj" („włókienek nerwowych"—czyli n e r w y łączą z sobą w y o b r a ż e n i a); wreszcie „rozpoznamy wciąż się przesuwający po przestrzeniach fabrycznej krainy krąg światła ś w i a d o m o ś c i". Przez proste przeto powiększenie mózgu nasz monista ujrzał w nim w końcu myśl, świadomość, która miała być zrazu tylko jego funkcyą!... Resztę wywodów, wraz nawet z tem pojęciem funkcyj, możemy pominąć. Jak wiadomo, pierwszą podstawą ścisłości jest jednoznaczność pojęć: mózg właśnie dlatego nazywamy mózgiem, że nie jest on świadomością, a świadomość jest tylko sobą, a nie mózgiem. W y o b r a ż e n i a mózgu jeszcze nikt w ręku nie miał. Taki sposób ustanawiania jedności byłby bardzo łatwy: według niego np. ciepło byłoby piecem, piec — zdunem, zdun — ludzkością, ludzkość — kulą ziemską i t. d. aż do skutku; a otrzymaną jedność możnaby potem nazwać materyą, energią, czy jak kto chce inaczej od „rzeczy samej w sobie" aż do nie-do-rzeczy,

[1]) Nie możemy się tylko powstrzymać od uwagi, że niema żadnych specyalnych „nauk duchowych" ani „wiedzy duchowej", jak p. W. pisze. w przeciwstawieniu do nauk i wiedzy matematyczno-przyrodniczej. P. W. ma zapewne na myśli to, co nazywają naukami humanistycznemi (Geisteswissenschaften), zresztą bowiem każda wiedza i nauka jest duchowa, gdyż jest usystematyzowanym zbiorem powszechnie obowiązujących sądów.

tylko już niema poco mieszać do tego nauki — jako że nie będziesz wzywał imienia Boga twego nadaremno! — i mówić o ścisłym światopoglądzie naukowym.

Nie zatrzymywalibyśmy się tutaj nad tą tak oklepaną — moniści darują, ale inaczej nazwać tego nie sposób — naiwnością, jak ich poglądy na stosunek zjawisk fizycznych do psychicznych, gdyby nie to, że jest ona, jak mówimy, typową dla ich sposobu myślenia też naukowego i dowodzi niezbicie, że t. zw. dzisiaj monizm przyrodniczy nie jest niczem innem, jak tylko ś. p. metafizyką materyalistyczną. Nielepiej bowiem od p. Wróblewskiego radzą sobie z zagadnieniem powyższem jego najwięksi i najsłynniejsi współwyznawcy.

Smutnej pamięci autor „Siły i materyi“, którego nazwisko nasza „Myśl niepodległa“ z czcią dotąd wspomina i wszystkiemi wielkiemi pisze literami, Ludwik Büchner bierze pod tym względem dosłownie rekord bezmyślności. Oto jak streszcza zapatrywania jego bezstronny i sprawiedliwy Külpe: „W stanie nieuleczalnej konfuzyi znajdują się różnorodne wynurzenia Büchnera. Oznajmia on zrazu, że siła i materya zarówno jak materya i duch, są to tylko nazwy dla dwu różnych stron, albo sposobów ujawniania się tej samej istoty, której właściwa natura jest nam nieznaną. Przeciwko temu ściśle monistycznemu twierdzeniu występuje wkrótce potem inne z niem sprzeczne, że materya istniała na długo przed duchem i że ten ostatni istnieć może tylko na podłożu materyi organicznej. Zgadza się to przedziwnie z twierdzeniem późniejszem, że niema żadnej materyi bez ducha i że materya kryje w sobie siły nietylko fizyczne, ale i psychiczne. Kiedyindziej znowu dusza występuje jako pojęcie zbiorowe dla całokształtu działalności mózgu, jak oddychanie jest takiem pojęciem dla działalności organów oddechowych... Obok tego pomieszania pojęć, będącego chyba nie do przewyższenia...“ i t. d.

Ale i sam mistrz Haeckel nie lepiej sobie radzi. Z całym spokojem umysłu nietkniętego wątpieniem Kartezyuszowem wkłada on duszę poprostu w komórkę — w każdą malutką komóreczkę malutką duszyczkę: komórki się mnożą, powstają w nich tkanki, nerwy, cały człowiek — i duszki się jakoś składają i łączą: z dusz komórkowych („Zellseelen“) powstaje dusza tkankowa („Gewebeseele“), dusza nerwowa, czy nerwów („Nervenseele“), wreszcie cała dusza ludzka. Cóż może być prostszego i zrozumialszego! Dusza ta tworzy się przytem przez zmieszanie się dusz („Seelenmischung“) komórek jajka i ciałka nasiennego. I to wszystko nie żarty! to wszystko na początku XX w.

w książce, której tysiące egzemplarzy krąży po świecie, tłómaczone na wszystkie cywilizowane języki, nie wyłączając i polskiego! Czyż nie jest koniecznością i nawet obowiązkiem oświetlać tę oświatę?

Znakomity fizyk petersburski, Chwolson, w pracy pod nieco dziwacznym tytułem: „Hegel, Haeckel, Kossuth i dwunaste przykazanie“ (nie będziesz mówił o tem, czego nie rozumiesz!) wykazał Haecklowi brak zrozumienia podstawowych pojęć fizyki współczesnej i sąd swój ostateczny w takich zawarł słowach: „Wyniki, do których dochodzimy, są straszne, ale to wprost straszne! Wszystko, dosłownie wszystko, co mówi, oznajmia i utrzymuje Haeckel, skoro się zetknie z kwestyami fizykalnemi, polega na nieporozumieniu, albo świadczy o nieznajomości rzeczy najelementarniejszych nie do uwierzenia. Nawet o prawie, które sam ogłosił za gwiazdę przewodnią swej filozofii, nie posiada on bodaj elementarnych wiadomości szkolnych. I zbrojny w podobną kompletną ignorancyę, uważa on za możliwe twierdzić“ i t. d. (chodzi mianowicie o to, że uczony Haeckel zakwestyonował, jak wiadomo, drugie twierdzenie podstawowe termodynamiki, dotyczące t. zw. entropii). Jeśli uwzględnimy na dodatek, że w myśl powyższych wywodów o duszy w komórce, ów monizm Haeckla nie jest właściwie monizmem, ale najoczywistszym i tylko niezgrabnie zamaskowanym, a więc naiwnym dualizmem, i jeśli dodamy do tego jeszcze inne tym podobne naukowe i filozoficzne „sprawki“ Haeckla, o których niema tu po co pisać, to obraz ścisłości, głębi i naukowości światopoglądu tego „myśliciela“ i wodza monistów będzie już kompletny.

To też obecny wódz monistów, Ostwald, od innej strony bierze się do rzeczy. „Przezwyciężył“ on już materyalizm naukowy i jest wogóle człowiekiem świeższej daty, którego nie można i nawet nie wolno stawiać na równi z Haecklem. Są wszelkie oznaki, że wraz z nim monizm przyrodniczy z fazy materyalistycznej wstępuje w fazę pozytywistyczną, która, jak się to postaramy udowodnić, musi go doprowadzić, jako prąd społeczny, do bankructwa. Dla antimechanisty i energetyka Ostwalda, zjawiska duchowe są tylko objawami pewnej swoistej, mało dotąd znanej energii psychicznej i, jako jeden z rodzajów energii, wchodzą wraz z innymi do tego wszechogarniającego układu energetycznego, jakim jest byt cały, i wszystkim jego podlegają prawom. Jak łatwo spostrzedz, mamy tu do czynienia z bezwiedną oczywiście grą słów, która polega cała na dwoistości pojęcia energii. Z jednej strony energia jest czemś ściśle określonem, wielkością objektywną, wchodzącą

w skład formuł fizyko-matematycznych (jako „praca, lub to, co z pracy powstaje i w pracę może być zamienione"); z drugiej — jest w jej pojęciu coś z siły, zaś pojęcie siły pierwowzór swój ma w woli i z niej pierwotnie treść swą czerpie. W ten sposób powstaje złudzenie, że energetyka rozwiązuje bez reszty kwestyę stosunku ducha do materyi.

I oczywiście rozwiązuje „naukowo". Bo nie ma to wszystko broń Boże! być jakąś tam metafizyką, lecz tylko i wyłącznie ścisłem twierdzeniem doświadczalnem. A że tam prawo zachowania energii w zastosowaniu do zjawisk psychicznych nieco bruździ, to drobnostka. Wundt, Riehl i t. d. są innego zdania, uważając filozofię przyrody Ostwalda za metafizykę czystej wody.

O stu innych zarzutach przeciw temu sposobowi rozwiązywania zagadnienia: duch-materya możemy nie mówić. Wszystkie powyżej streszczone poglądy są poglądami ludzi, którzy nie doszli jeszcze do uświadomienia sobie potrzeby i istoty parallelizmu psycho-fizycznego.

c) Drugi punkt, który poruszyć chcemy, choć równie elementarny, jak poprzedni, jest bardziej złożony. Całokształt wiedzy przyrodniczej, powiada p. Wróblewski, a wraz z nim i wszyscy wogóle naukowcy, stanowi „najpewniejszy dla nas wyraz podstaw bytu i jego przejawów". W dalszym ciągu jednak zmuszony jest przyznać, że wiedza przyrodnicza nie wisi w powietrzu, ale „opiera się na pewnych założeniach, przyjętych... a priori, jako hipotezy", że jej „monolit" ścisłych praw, faktów i metod, „wspiera się na nieco mglistych założeniach, mających charakter metafizyczny". Dowiadujemy się wprawdzie, że metafizyki tej jest bardzo niewiele i „prócz tych założeń, więcej (jej) w nauce nie potrzebujemy", dlaczego jednak ma być jej tylko trochę, dlaczego tej, nie innej, i dlaczego, skoro jest, nie należy i jej rozwijać, badać, doskonalić i t. d., o tem „pismo milczy". Bo nawet nie wszyscy moniści, nie wszyscy zahipnotyzowani naukowcy doszli do tego stopnia samopoznania, aby przyznać, że nauka ma jednak podstawy, a nie sama, przeciwnie, jest podstawą zarazem pierwszą, jak ostatnią. W każdym razie „metafizyka", jak mówi nasz monista, i w nauce jest również, a wobec tego cóż stanowi ów „najpewniejszy dla nas wyraz bytu": nauka i jej prawdy, czy to, co jest od nauki głębsze, jej „metafizyczne" założenia? Dla naukowca, p. Wróblewskiego, odpowiedź jest jasna: nauka — lecz dla czego? Albowiem owe „założenia metafizyczne", owe „hipotezy" i sama „możność ich stawiania" znowu

nie wiszą ze swej strony w próżni, lecz uwarunkowane są przez konstrukcyę „aparatury mózgowej“ człowieka. A „aparatura mózgowa“? zapytamy... Toż mózg jest tylko objektem przyrodniczym, którego „aparaturę“ bada i określa nauka, a do nauki potrzeba założeń — przypuśćmy, że „metafizycznych“, na których nauka się wspiera, tych samych założeń, których ilość i rodzaj ma określać dla nas ta sama „aparatura mózgowa“ do której określenia potrzeba nauki, a do nauki założeń i t. d. w kółko. Bez nauki nie wiedzielibyśmy wogóle, że istnieje „aparatura mózgowa“, ale założenia — przypuśćmy, że „metafizyczne“ — nauki, czyli nasze świadome pojęcia, mają źródło w tej samej „aparaturze mózgu“, o której bez nauki jeszcze nic nie wiemy. Więc jakim sposobem możemy się o niej wogóle dowiedzieć? i co jest ostatecznie owym „najpewniejszym dla nas wyrazem bytu“: nauka, mózg, metafizyka, czy „aparatura“? Napróżnobyśmy na to szukali odpowiedzi; ścisłość naukowego myślenia naukowców błyszczy tu w całej pełni. Tylko poco potem wymyślać Heglowi od metafizyków? Czem jest lepszy ten mózg, który się sam sobie w nauce i jej podstawach uświadamia od powracającej do siebie idei? i gdzie tu jest rzekomy empiryzm przyrodników?

Cała powyższa gmatwanina — razem z niewiadomo po co zamieszaną tu metafizyką — ma głębsze znaczenie: dosłownie to samo spotykamy bowiem u wszystkich materyalistów, i wszystkich wstydzących się już skompromitowanej nazwy materyalizmu monistów przyrodniczych, i wszystkich, nie przyznających się do nadużywanej i nieokreślonej nazwy monistów-naukowców, albo scientystów. Chodzi tu mianowicie o to, że każda nauka poszczególna, jak wiadomo, przyjmuje z góry i operuje na wiarę całym szeregiem założeń podstawowych, których właściwej istoty i znaczenia sama już nie bada i badać niema zresztą poco, jako to pojęcia zasadnicze albo kategorye: rzecz, zmiana, zależność, substancya i t. d., aksyomaty, jak: wszystko ma swoją przyczynę i t. p., oraz pojęcia szczegółowsze, jak siła, materya, energia i inne. Pojęciami temi i aksyomatami zajmuje się podstawowa nauka filozoficzna, gnoseologia albo teorya poznania, i aby ufundować jakikolwiek — że użyjemy trywialnego wyrażenia — kupy się trzymający światopogląd, przez nią przedewszystkiem przejść należy. Światopogląd większości monistów przyrodniczych i wolnomyślicieli, a zwłaszcza Haeckla i jego wyznawców, jest światopoglądem ludzi, którzy nie doszli jeszcze do ocenienia potrzeby i znaczenia krytyki władz poznawczych—teoryi

poznania. I dlatego mówimy o nich, że światopogląd ich jest metafizyką; lecz nie z tego, że jest nią, czynimy im zarzut, jeno z tego — jaką: bezwiedną, naiwną, dogmatyczną, słowem poprostu kuchenną, tak zupełnie, jak jest kuchenna łacina. Całe ich stanowisko jest kiepsko pomyślanem i jeszcze gorzej przeprowadzonem stanowiskiem z przed roku 1690, w którym się ukazała główna praca założyciela teoryi poznania, Locke'a: „An Essay concerning human Understanding", czyli stanowi w sferze myśli ot coś w tym rodzaju, jak w antropologii kości jakiegoś Homo, czy tam Pithecanthropus primigenius, który jest wprawdzie bardzo szanownym objektem badań naukowych, lecz żywy i chodzący po świecie w znaczniejszej ilości egzemplarzy byłby tylko niebezpieczeństwem dla naszej kultury, a niebezpiecznym jest nawet i wtedy, gdy cień swój poprzez wieki rzuca na niektóre głowy, sądzące potem, że czaszkę jego mierząc, wzbogacają nietylko wysoce pożyteczną swą specyalność, ale i **bezpośrednio** świat ducha i kultury.

Co jest wart światopogląd — a szykują się go rozpowszechniać w Polsce pod nową etykietą, pod staremi zaś oddawna już rozpowszechniają — który na zasadnicze pytanie o stosunku ducha i ciała nie posiada innych, niż takie, jak powyżej, dziecinne odpowiedzi, i który w takim stoi stosunku do wiedzy filozoficznej, teoryi poznania i logiki w najszerszem znaczeniu wyrazu, jak ten, którego próbkę powyżej widzieliśmy?... *On* ma być objektywnym, ścisłym i naukowym!.. *On* wspiera się na wiedzy!... no tak, ale na tej, która *wie* o świecie, lecz nie wie jeszcze nic o samej sobie.

d) I tak będzie zawsze z wszelkim światopoglądem, który się zechce obejść bez filozofii, albo ją zastąpić. Z przesądami tymi należy raz zerwać. Takiej filozofii, którąby stała w przeciwieństwie do nauki, którąby nie uwzględniała skrupulatnie wyników wszystkich — nietylko przyrodniczych — gałęzi wiedzy ludzkiej, któraby nie brała pod rachubę zależności ducha od ciała np., powodowała się mrzonkami, lub czystem uczuciem i t. d. — niema. Rzekoma ścisłość, rzeczowość i naukowość światopoglądu naukowców jest zwyczajną bajką; światopogląd wogóle nie może być całkowicie ścisły ani naukowy, gdyż każdy światopogląd — o czem jeszcze poniżej — musi zawsze uwzględniać pierwiastki uczuciowe; ale maksimum możliwej tu do osiągnięcia ścisłości pojęciowej można znaleść tylko, jedynie i wyłącznie w światopoglądzie filozoficznym. I jeśli ktoś nie poprzestaje na tem, co mówią mu o świecie nauki przyrodnicze, to przedewszystkiem ze względu na tę właśnie ści-

słość pojęciową, ze względu na logiczną niemożność poprzestania na danych nauki: najskrajniejszy idealizm, dualizm lub spirytualizm w filozofii nie inne mają źródła.

Zadaniem nauk wogóle, a przyrodniczych w szczególności, nie jest bynajmniej dawać światopogląd, ale dostarczać materyału *do* światopoglądu. Wszystko, co nauki te czynią, co czynić mogą i czynić powinny, sprowadza się do wykrywania związków przyczynowych w świecie doświadczenia. I z tego punktu widzenia nauka ma prawo, a nawet obowiązek wtrącać się do wszystkiego, lecz w swoich granicach. Albowiem wszystko można i należy traktować naukowo, ale naukowe traktowanie wszystkiego nie jest wszystkiem. Życie w nauce bez reszty się nie mieści. Można i należy badać naukowo poezyę, sztukę, religię, moralność i t. d. aż do samej nauki włącznie, ale najświetniejsze nawet wyniki tych badań nie zastąpią ani jednego poematu, ani jednego uczucia religijnego, ani jednej prawdy moralnej i t. d. — przeciwnie, nauka musi to wszystko z góry otrzymać, by módz i mieć co badać. I nauka istotnie ścisła i poważna, nie ta latająca po świecie z językiem i „dobrą nowiną“ monistów i innych wolnomyślicieli, że się atomy ruszają, a człowiek jest blizkim krewnym małpy, wie o tem doskonale i światopoglądów par force nie propaguje. Co więcej! zdaje sobie coraz wyraźniej sprawę, że nietylko nie jest jej zadaniem tworzyć światopoglądy, ale że wogóle nie ma ona do czynienia z niczem innem, jak tylko ze związkami zjawisk, że więc nie rozwiązuje żadnych „zagadek wszechświata“. Znany fizyk sorboński, Emil Picard, w swej pracy „La science moderne et son état actuel“ mówi: „Należy przyznać, że całkowita objektywność nauki jest chimerą; stworzona przez nas i zapomocą naszych organów, wiedza nasza jest „na naszą miarę“ i będzie zawsze w jakiś sposób zależną od naszych stosunków ze światem zewnętrznym. Spora więc doza złudzeń mieści się w poglądach tych, którzy uważają, że nauka ma nam znaleść rozwiązanie zagadek wszechświata. Ilość podzielających ten pogląd zda się zmniejszać między uczonymi; być może, iż wzrasta zato wśród tych, dla których nauka jest tylko przedmiotem dysertacyi i którym chodzi przedewszystkiem o to, aby jednemu bóstwu przeciwstawić drugie“.

Nie nauka przeto, ale filozofia, przeszedłszy szczęśliwie przez fazę krytycyzmu i pozytywizmu, może i powinna dać nam dzisiaj nowy, możliwie całkowity i ścisły światopogląd. Ale ta „la petite science“, jak powiada Sorel, której typowymi przedstawicielami są

właśnie moniści przyrodniczy, „wydała (tak) bajeczną ilość sofizmatów, spotykanych co chwila i na każdym kroku“, że oto tutaj nie możemy pominąć milczeniem pewnego nowego przesądu.

D) Pogłoski o bankructwie nauki i prawda o jej właściwem w życiu społeczeństw stanowisku.

O ile zdaleka można się zoryentować, to od pewnego czasu znowu tu i owdzie śród inteligencyi polskiej, po pismach codziennych, a nawet odczytach obiegają pogłoski — nieomal rzecby się chciało: plotki, że filozofia, a zwłaszcza najnowsze jej prądy (bergsonizm!) podrywają i dyskredytują naukę, że otwierają wrota dawno przezwyciężonym mrzonkom, a może nawet (o, zgrozo!) religii i t. d. Już przed kilku laty pisał Stanisław Brzozowski: „Istnieją u nas jeszcze ludzie dostatecznie bezczelni i ciemni, aby módz rozprawiać o bankructwie nauki. Zbijać tego mniemania nie będę: jest to banialuka, stojąca poniżej praw do poważnej dyskusyi“. Ponieważ my tu jednak prowadzimy nietyle poważną dyskusyę, ile obracamy się w dziedzinie abecadła myślowego, możemy przeto nie być tacy dumni.

W pogłoskach powyższych jest bezwarunkowo pewna doza niejasno wyczuwanej prawdy. Przywrócenie filozofii jej dawnej roli przewodniczki życia kulturalnego połączone jest niewątpliwie z pewnego rodzaju ograniczeniem wszechwładnej dziś nauki i naukowości, ale nie nauki, jako nauki, nie wewnątrz niej samej, jeno zewnętrznych, zgoła niepowołanych zapędów uczonych, zwłaszcza przyrodników, do przewodzenia w życiu duchowem społeczeństw, w życiu inteligencyi... A to rzecz zgoła inna, zjawisko niezbędne i wielce dodatnie, jakkolwiek pewnym sferom trudno się z niem pogodzić. Jeżeli uważają niekiedy, że ziszczenie się marzeń Platona o państwowym rządzie filozofów byłoby nieszczęściem dla ludzkości, to duchowe przewodnictwo uczonych w życiu jest jeszcze zgubniejsze. Nauka — zwłaszcza w wyłącznej postaci nauk przyrodniczych — nie jest i nie może być przewodniczką życia, nauka jest tylko jego najważniejszym sługą, najpierwszem narzędziem. Zadaniem jej nie jest ukazywanie celów, lecz wynajdywanie środków. I w tym sensie właśnie jest ona zależna od życia społecznego, jest jedną z jego dziedzin i ma swą historyę, której badanie wykazuje niezbicie obecność i w niej także pierwiastków przypadkowych i irracyonalnych. Już Marks, jakeśmy wspominali, zwracał był uwagę, że ludzkość stawia sobie

tylko te zagadnienia, do których rozwiązania dorosła, na które natrafiła w rozwoju całokształtu tej rzeczywistości życia społeczno-duchowego, której nauka służy i którą również, pomiędzy innemi, stara się ująć w kategorye rozumowe. Lecz rozum nie jest wszystkiem. Z najdokładniejszej znajomości praw ruchu atomów czy przemian energii nie da się wyprowadzić najmniejszej wskazówki życia religijnego, moralnego, lub obyczajowego. Choćbym znał wszystkie przeszłe, obecne i przyszłe tańce molekuł w sobie i dokoła w pokoju, gdzie to piszę, nie powie mi to zgoła nic, jak mam przyjąć, powitać i poprosić gościa, gdy zapuka do drzwi. To bowiem należy do sfery zupełnie swoistej i odrębnej — nie nadprzyrodzonej, przeciwnie — najbardziej z wszystkich przyrodzonej, najbezpośredniejszej, najbliższej, najlepiej mi znanej, ale posiadającej swoje własne prawa — jeśli je posiada — a w każdym razie swoje własne życie — życie i prawa, skoro kto chce, nawet nawskróś empiryczne, ale sfera ta musi być pielęgnowana i rozwijana w społeczeństwie sama przez się, w sobie i dla siebie.

Fakt jest dziedziną całkiem od wartości różną. Pomieszanie tych dziedzin, zaprzeczenie samodzielności jednej na rzecz drugiej do najfatalniejszych prowadzić musi następstw, jest jednem z najzgubniejszych zboczeń oprzyrodniczonej świadomości współczesnej. W dziedzinie faktu wszechwładnie panuje nauka, lecz przed nauką idzie cała rzeczywistość. A rzeczywistość ta jest natury nietylko faktyczno-przyrodniczej, ale i duchowej, społeczno-historycznej, w której człowiek występuje jako istota, urzeczywistniająca cele i ustanawiająca wartości. Stąd do stworzenia światopoglądu nie wystarcza sam rozum i nauka, stąd w społeczeństwie istnieją i istnieć muszą i powinny niezależne dziedziny moralności, sztuki, religii, filozofii — dziedziny od nauki głębsze, bo pierwotniejsze i bezpośredniejsze. Wobec ich całokształtu, wobec tej całkowitej rzeczywistości ludzkiej nauka jest tylko, jak wogóle rozum, pierwszym doradcą, stanowi coś w rodzaju — mówiąc obrazowo — ministeryum robót publicznych i nic więcej. Cele, siły i środki prac wyrastają, jak mówimy, z najgłębszej, najbezpośredniejszej, całkowitej ludzkiej rzeczywistości społeczno-historycznej, która, jak wogóle rzeczywistość, w ramy nauki — zwłaszcza na modłę przyrodniczą — cała się nie mieści. Albo przynajmniej, zanim się przystąpi do budowania i głoszenia światopoglądu, tylko na nauce opartego i tylko naukowo wszystko rozpatrującego, należałoby, że się zmieści — udowodnić.

I o nią to właśnie, o tę całkowitą rzeczywistość zawsze w pierwszym rzędzie chodzi; innej nie znamy, a wszystko, co wiemy o świecie zewnętrznym, jest tylko rezultatem jej zbiorowego życia, osiągniętym przez jeden z organów jej — naukę. Ale organem najwyższym, bo uwzględniającym całokształt bezpośredniego życia zbiorowej rzeczywistości ludzkiej, ujmującym czas w pojęcia (Hegel) — jest filozofia. Ona stanowi przeto, że się tak wyrazimy, nauki sumienie; z jej rąk — mówiąc terminem, zapożyczonym od marksistów, otrzymuje uczony klasowe uświadomienie swoje — swej roli w państwie ducha i życia ludzkiego. Niema przeto mowy o jakiemś nauki zaprzeczaniu albo poniżaniu, lecz jeno o tem, że jeden poszczególny organ życia zbiorowego nie może sobie rościć jakichś śmiesznych pretensyi do rządu dusz, do roli ostatniej instancyi. Ostatnią instancyą życia jest tylko życie i to nieznane, o którem możemy jeno — ale i musimy — snuć przypuszczalne metafizyczne wnioski, uwzględniając każdorazowy i wciąż zmienny całokształt naszego położenia. Nie rządzi przeto i filozofia również — ona uświadamia jeno i pomaga, choć w inny, ogólniejszy i bardziej od nauki duchowo zadowalający sposób.

Zresztą, jeżeli nawet mogłaby być mowa o jakimś prymacie rozumu teoretycznego, o prymacie nauki, to w żadnym razie nie nauk przyrodniczych. Punktem wyjścia nie jest człowiek przyrodniczy, lecz człowiek społeczny, i nie społeczny, traktowany przyrodniczo, bo to już jest doktryna i abstrakcya od bezpośredniej, społecznej rzeczywistości ludzkiej. Jeżeli więc nawet i na tem stanowisku, które tu szkicujemy, można poniekąd mówić o monizmie, to nie o monizmie przyrodniczym — nie o monizmie tego, co się da w garść ująć. Ale wychowana w szkole głębokiej, ścisłej i naukowej myśli, oprzyrodniczona świadomość przeciętnego inteligenta współczesnego wierzy wyłącznie w to, co może garścią zmacać. Wyleczyć go i z tego przesądu, który owej „la petite science“ zawdzięcza, jest dzisiaj jednem z pierwszych, jeśli nie najpierwszem społecznem zadaniem filozofii.

(Dok. nast.). *Kazimierz Błeszyński.*



Z TATR.

O słońce, słońce — o święte bożyszcze!
w bezdenną otchłań zapadasz z błękitu;
krwią malowane krzesańce granitu
gasną, jak gontyn porzuconych zgliszcze;

wicher za tobą pieśń żałoby świszcze,
jęczy po ścianach krwawego granitu —
czar jakiś wziąłoś i siłę zachwytu,
o słońce, słońce — o święte bożyszcze!

Żal — zasępienie — cień tęsknic bezbrzeżnych
we mgłach się włóczą śród dolin rubieżnych,
a strop, co echem strzaskanych stuleci

we krwi swej woła, zda się szczyty dumne
zgnieść swym ciężarem — zwalić w gruzów trumnę,
zanim zagadka „Jutra“ się rozświeci.

Antoni Waśkowski.

MŁODE TALENTY.

Dla miłośnika kwiatów nie masz większej rozkoszy nad śledzenie wzrastania i rozwoju każdej roślinki. Codzień świeży cud, nowa niespodzianka. Jakież to zdumiewające, choć tak przecie naturalne. Że z czarnej ziemi wysuwa się łodyżka, rośnie, puszcza nowe pędy, wydaje coraz to inne formy — niedołężne, wiotkie, do niczego niepodobne, by nagle pewnego poranku zakwitnąć w całej krasie i skończoności... Wieczne prawo — największa tajemnica...

Rozwój talentów dużo przedstawia analogii. Są indywidualności, które pojawiają się gotowe, jak Minerwa z głowy Jowisza, odrazu uzbrojone we wszystkie znamiona swojej potęgi. Kartka z ostatniego dnia ich życia podobna jest do kartki z pierwszego — zawsze jednakowo dobra, ale przez to może mniej zajmująca, podobnie jak mniej zajmującą jest poprawna zawsze i zawsze do siebie podobna cnota. Widzowi nie pozostaje nic innego, jak klęknąć, pomodlić się i — odejść. Dla kogo twórczość jest procesem najbardziej zajmującym ze wszystkich, jakie dusza nam przed-

stawia, ten najchętniej będzie śledził talenty od początku ich drogi, poprzez wszystkie etapy poszukiwań i łamania się, poprzez wszystkie ich błędy, już przez to ciekawe, że są to *ich* błędy, nie cudze zalety, aż do dojścia do całkowitej dojrzałości, która nie jest niczem więcej, jak ostatecznem, tryumfalnem znalezieniem swego ja we formie i treści.

Kilka zbiorów nowel, wyszłych w ostatnich czasach, sprawiają taką przyjemność zamiłowanemu w śledzeniu rozwoju piękna czytelnikowi. Mylić może się najwprawniejsze oko, ale wszystko przemawia za tem, że młode te pędy będą kiedyś uwieńczone wspaniałemi koronami, że śledzić je w drodze tej rozwojowej warto i należy, tem bardziej, że teraz już dosyć w nich przykuwającego wzrok uroku.

Najwięcej, zdawałoby się, skończonym w swoich kreacyach jest Piotr Choynowski[1]). Talent prawdziwie nowelistyczny, więc w drobnej formie daje nie powieść streszczoną, ani też wykrawek z kroniki dziennikarskiej — za co się zwykle u nas poczytuje nowelę — lecz pewien indywidualnie odczuty kąt życia, z którego jednak roztacza się widok na całość. Powieść prowadzi nas na szeroki gościniec, kędy życie przewala się ogromnym taborem; nowela skromnie staje na uboczu, jednostkę lub epizod przedstawia, ale nie w zamknięciu, lecz z perspektywą na sprawy większe i największe, będące przedmiotem eposu powieściowego. Nowelą będzie obszerna powieść, opiewająca małe losy ciury życiowego, nie dlatego, że ciura, ale że nie wie, o co i jak się walczy w obozie; powieścią jest niejedno krótkie opowiadanie Żeromskiego, dające nam w odbiciu miniaturowem duszę świata. Choynowski pisze nowele. Na szeroką wodę się nie puszcza, ale daje odczuwać głębie i burze niedalekiego oceanu. Ośmioletni Janek zostaje w domu sam, jako świadek niesnasek między matką a ojcem z powodu życia poza domem, jakie ojciec prowadzi. W takich chwilach „awantury" starsza siostra stawała między rodzicami, płaczem, krzykiem przyprowadzała ich do porządku; teraz jednak dorastającą dziewczynę rodzina zabrała, gdyż zadużo zaczynała rozumieć, i chłopaczek zostaje sam, ze swojemi marzeniami dziecięcemi o królowaniu, które nagle przerywa brutalna kłótnia rodzicielska. Odczuwamy doskonale duszę Janka, jego trwogę, ból, modlitwę, krzyk w gardle

---

[1]) Piotr Choynowski: „Zdarzenie". Nowele. Kraków. Spółka nakładowa „Książka".

zdławiony na widok ojca, uderzającego matkę ubóstwioną. Autor urywa; — to jest nowela, malująca epizod życiowy, ale z którego domyślamy się całego szeregu dramatów. Podobnym epizodem jest „Zdarzenie“. Panicz o kipiącej młodości, któremu przyszłość się uśmiecha wszystkimi czarami, uściskiem obejmuje łaszącą się doń dziewczynę na leśniczówce; narzeczony jej, fornal, trzaśnie go biczyskiem, posiecze mu twarz, zostawi szalejącego i sam popędzi, zwaliwszy dziewczynę na wolant. Tragedya dla wszystkich teraz może dopiero się rozpocznie, ale z nią weszlibyśmy na szeroki szlak życia; autor dał nowelę.

Owładnął tą sztuką Choynowski w wysokiej mierze. Zaklina w ciasną formę szmat życia słowem silnem, zwięzłem. Na 25 stronicach noweli „Czyn“ dał więcej życia, niż niejeden autor w tomie obszernym, a przecie treść formy nie rozpiera, gdyż jest nowelistyczną; z dni rewolucyi obraz, ale przedstawiający nie rewolucyę, lecz życie kamienicy warszawskiej. Student i zachodząca doń panienka, stróża syn Karol i narzucająca mu się Lodźka ze sklepiku; ten Karol, który całym ogniem dzikiej swej natury kocha ową panienkę i ocala ją przed znalezieniem w łóżku studenta, poświęcając dumę swoją i życie... Autor unika frazeologii i liryzowania. Zdarzenia w ogromnych skrótach toczą się, przewalają, dają pełnię prawdy.

Ale...

„Tworzyć poetycko znaczy: odbijać świat na gruncie indywidualnym“ — czytaliśmy niedawno w Hebblu. I dalej: „Zaletą wyższych natur jest, że świat widzą zawsze w sposób symboliczny“. Choynowski opowiada „Zdarzenia“. Coby nas one interesowały, gdyby za niemi nie ukrywała się indywidualność moralna autora? jego sposób ujmowania świata? symbolika, której owe zdarzenia są widocznymi znakami?

I tu właśnie występuje fakt, że Choynowski jest jeszcze poszukiwaczem, stawającym się; stąd obowiązek krytyki a przyjemność miłośnika — śledzenia jego rozwoju do zupełnej dojrzałości.

Szukając syntezy duchowej młodego autora, jeszcze najwięcej jej ujrzymy w traktowaniu życia jako fatum ironicznego.

Ukrywa młody realista wszelki subjektywizm, ale filozofia jego wyraża się w malowaniu wypadków. Oto „Altruista“. Sam tytuł — ironia; poznajemy naiwnego urzędniczka pocztowego, który zakochuje się w pewnej panience, marzy, tęskni, idealizuje, aż ją posiadł w pełni szczęścia, z którego się budzi na wiadomość, że

ona — za pieniądze. Czy nie za dużo naiwności? „Barowska“ daje kontrast małżonki zahukanej, skwaśniałej w świętem pożyciu rodzinnem, i siostry jej, wrącej sokami życiowymi, która pije szczęście młode, niepoświęcone przez księdza. „W cukierni“ jest szerokim obrazem, pisanym może pod tchnieniem „Gałki łojowej“ Maupassanta. Cała „górka“ małej cukierenki zajęta jest problematem, czy p. Sikorski przypnie rogi p. Ignacemu; podbechtuje adonisa, wyśmiewa ofiarę, a post festum otacza p. Ignacego tkliwością i współczuciem. Ironia autora występuje tutaj najwięcej zgryźliwie, figury szczególne pełne są plastyki. Ta ironia życia uderza autora najwięcej; jako organizacya chłodna, podkreśla on ją z dyskrecyą, bez liryzmu i patosu, ale jako główny swój kąt patrzenia na świat. A obok tego tonu występują jeszcze inne, niewyraźne, zatarte. Próba noweli czysto psychologicznej, w formie stylizowanej („O smutnym rycerzu“), bajka poetyczna („O czarownem zielu“) przekraczają talent autora, pełnego mocy w realistycznem malowaniu zdarzeń i nieskomplikowanej psychologii (pyszne obrazki ze świata dziecięcego!); realizm ten, zależny miejscami to od Żeromskiego, to od Maupassanta, kocha się jeszcze tak dalece w nagim fakcie, że zapomina często o stosunku do ogółu życia, o sensie symbolicznym faktów. Z tem wszystkiem dał już w pierwszym tomie p. Choynowski więcej, niż zadatki; skupiony, muszkularny, prosty talent stworzył kilka nowel mocnych, obiecując znacznie więcej.

Występujący z tomem opowiadań p. Zygmunt Kisielewski[1]) jest przedewszystkiem poetą. Jemu fakt nie wystarczy; kąpie go w uczuciowości rozgrzanej, patetycznej, oświetla ogniem idei i ideału, rzuca na tło malownicze, dalekie od banalności powszedniego życia. Realizm codzienny męczy go: realistyczna nowelka „W parku“ jest forsowaną anegdotą bez przekonywującej prawdy; przygody zwyczajne przestają u niego być zwyczajnemi, szukają związku z symbolicznemi siłami przyrody, dążą do pewnych imperatywów. Człowiek zajmuje go nie jako ognisko procesów naturalnych, lecz także, jako czynnik społeczny, to znaczy moralny. W pojęciu tej moralności autor daleko odbiega od kategoryj tradycyjnych. „Panna Róża“, ośmnastoletnia warszawianka, pokochała egzaltowaną fantazyą starszego od niej o dwadzieścia lat

[1]) Zygmunt Kisielewski: „Wędrowiec“. Warszawa. Nakładem J. M. Muszkowskiego. Księgarnia G. Centnerszwera i Sp. Przedtem ogłosił autor powieść „Świty“, zawierającą tesame znamiona charakterystyczne, w mniejszem tylko bogactwie, niż „Wędrowiec“.

więźnia politycznego, „męczennika“, lekarza; rzuca mu się na szyję, przyjeżdża doń do Zakopanego. Tutaj poznaje jednak cygana artystycznego, pełnego wichru i ognia twórczego — serce budzi się naprawdę i pada w objęcia młodego malarza; a że tamten piekielne będzie znosił męki — ha, prawo do życia, do wyżycia się, jest silniejsze. Ale — uważajmy — prawo to jest okupione nie naturalną potrzebą szczęścia, lecz szczęścia wspólnego w miłości i pracy. Do takiego szczęścia potrzeba mocy, choćby miała deptać po ludziach. Szkoda tylko, że panna Róża tej zdolności do pracy wspólnej niczem nie udowadnia.

Głębiej wypowiada się autor w „Wędrowcu“ (drukowanym w „Krytyce“). Tytuł symboliczny radby i z treści uczynić symbol. Jakoż jest ona nim poniekąd. Przeciwstawione sobie dwa światy: włoski i polski. Signora Amalia oddaje się młodemu Polakowi z niegasnącem upojeniem; namiętność jej nie zna skrupułów, ni życia poza samą sobą; żywioł to okrutny w swym pędzie ślepej chuci, niszczycielski i pogański. Świrski wchłania i daje rozkosz, ale zostaje w nim zawsze jakaś reszta, jakiś niepokój, tęsknota. W tem różnica klimatów nietylko fizycznych, lecz i moralnych, Uświadamia to sobie Świrski przy spotkaniu z kolegą, ex-więźniem, suchotnikiem. Przeżywa moc cierpienia, kładącego krzyż na ramiona. Krzyż ten staje się obowiązkiem, ale i prawem, przez to ma w sobie miarę czynów. Miara ta rozszerza nieskończenie wszystkie dotychczasowe formułki: formułki o własności, miłości etc. Wyobrazicielem tej miary, mającej w swoim „krzyżu“ społecznym uświęcenie najwyższe, miał być Feliks Żwardoń; powieść ta o świetnych ustępach jest jednak najmniej przez autora przemyślana.

A szkoda: dużo tu twórczości w stawianiu zagadnienia erotyzmu, pieniądza, rasowości, posłannictwa nowego człowieka. Nie stało jednak przemyślenia autorowi; ostatnie kartki, sąd nad Karowskim, mają w sobie dużo teatralności, i to w niezbyt dobrym guście; psychologia pani Henryki (miłość do dwóch mężczyzn?) jest niepogłębiona i mętna.

Stawającym się jest dotąd p. Kisielewski, ale „Wędrowiec“ mimo sztucznego wprowadzenia filozofującego suchotnika-społecznika jest utworem niepospolitym [1]), kartki kapitalne znajdują się

[1]) Zaznaczona powyżej idea zasadnicza „Wędrowca“ (kontrast między naturą polską a włoską, prawo i obowiązek dźwigania krzyża) czynią to opowiadanie wysoce moralnem. Inaczej osądziła ck. prokuratorya i sąd krajowy w Krakowie, które w literę wpatrzone, nie w ducha, ustępy z tego utworu skon-

też w innych pomieszczonych w tym zbiorze utworach. Autor jest naturą senzytywną, liryczną, bogatą; wczuwa się w życie głęboko. maluje swe przeżycia barwami gorącemi i soczystemi. Ma na palecie słońce i śnieg, ma w umysłowości swej skojarzenia rozległe, niespodziane, świadczące o kulturze niezwyczajnej.

Z wielką powagą życiową wstępuje do literatury p. Juliusz Kaden[1]). Książka jego jest pomyślana oryginalnie. „Nowelom“ tym brak w zupełności fabuły. Żadnej intrygi, żadnych historyj na temat on i ona. Życie. uchwycone w najważniejszym swym przejawie społecznym, w pracy ludzkiej, którą nasz świat dla olbrzymiej większości przemienił w... zawód. Podpatrzył Kaden pracę w najsmutniejszej jej postaci: pożera ona człowieka, zabiera mu duszę, serce, unicestwia indywidualność, zostawia typ zawodowy. Kartki psychologii zawodowej mamy, pisane przez niezwykłego obserwatora nizin. „Druciarz“, „Praczka“, „Szklarz“, „Statysta“, nawet „Hycel“, „Śmieciarka“. — wszyscy oni występują, ale nie jako jednostki, lecz jako kategorye. Autor terminował sumiennie; zna technikę każdej roboty, opisuje ją drobiazgowo, plastycznie, ze wszystkiemi jej tajemnicami i przekleństwy, którym na imię: szarzyzna, mechanizm, bezduch. Rozmyślnie unika zajęć inteligentniejszych; trochę żywsze barwy występują w obrazach wyrobników teatralnych i muzycznych; nie ukazuje zawodów romantyczniejszych, kiedy robotnik walczy bezpośrednio z naturą, wydziera jej skarby, władzę. albo kiedy intelektem swoim dokazuje cudów. Niewolę pracy ukazuje. A przecie i w tej niewoli jest źródło bytu powszechnego, jest nieraz moc tryumfalna, jest zawsze dostojeństwo krzywdy i cierpienia. Wysuwa tę myśl autor, jakby mgłę poezyi. w zakończeniu każdego obrazu; pracowicie gromadzi stosy dowodów. z nich wyciąga konkluzye. Druciarz najedzony, rozmarzony, czuje się na siłach: „żeby zamiast drutu promień z cyferblatu słońca zdarł, i żeby onym promieniem cały świat schorzały i rozbity w całość zdrutował“. Praczka od świtu do późnej nocy haruje, dłonie jej „biegną w locie skręconym, plotą się w bezustannym wyścigu do celu — do końca początków — do czystości człowieka“. Tak jest: posłannictwo to pracy; szkoda tylko, że autor jako morał to nam

---

fiskowały. Najparadniejszem w tem wszystkiem, iż organ jezuityzmu wolnomyślicielskiego. „Myśl Niepodległa“, wywodzi stąd, że „Krytyka“ jest pismem... niemoralnem; dowód? prokuratorya ją konfiskuje. Ha, w takim razie i „Legendy“ p. Niemojewskiego są niemoralne! Tak nisko upadł redaktor „Myśli“! *Red.*

[1]) Juliusz Kaden: „Zawody“. Nowele. Kraków. Spółka nakładowa „Książka“.

przypomina; powinniśmy tę syntezę sami wyczuć z całości. Podobnie druga kategorya myślowa. Szklarz uprawia nędzne swe rzemiosło: to widzimy. Myślimy, ale to już z autorem, że oto szklarzowi zawdzięczamy, iż w domach naszych nie syczy wiatr, jest jasno, widno; szklarz czuje na końcu, ale my widzimy także „grzech jego pracy": on porozpinał te opony, które dzielą od siebie światy ludzkie, przez co pałace nie widzą suteren, sutereny prześlepiają sprawę swoją. Nadejdzie jednak dzień! „Szlochem szkła zapłaczą okienka na bruk. Krasną piwonią wykwitnie wam z szyby... okrwawiona pięść". Znowu refleksya, wypływająca z myśli życiowej, może i teoretycznej, ale nie wyrastająca organicznie z utworu.

Bo sztuka zna jedyny materyał: człowieka, duszę ludzką, nie zawód. Bo sztuka jest człowiekiem, dodanym do natury, a u p. Kadena przeważa natura rzeczy. Dokumentami naturalistycznymi są jego utwory, mijają się przeto z głównym swym celem. Do celu artysta dochodzi w jeden tylko sposób: wywołując wzruszenie. Kaden wywołuje refleksye, i to daje je od siebie. Najsilniej działa też, gdzie zapomina o swych założeniach, a przemawia środkami artystycznymi: pozostają nam w pamięci obrazki z „Music Hall", bo żywych ludzi dusze widzimy; pozostaje nam w pamięci „Statysta", kiedy autor robi wyjątek ze swej metody i daje szereg zdarzeń, historyę murarza, który statystując w „Kościuszce pod Racławicami" tak się przejął swą „rolą", iż jako kosynier zatopił kosę w bracie swym, statystującym w roli Moskala. Ładny jest „Druciarz", nawet „Hycel", ale o ileż wrażenie byłoby większe, gdyby nas autor zbliżył do nich, jako do ludzi!

Hołduje p. Kaden metodzie naturalistycznej i to nie w najlepszem jej rozumieniu. Zola przedstawiał kategorye społeczne, ale poprzez dolę-niedolę żywych ludzi. Gdzie rysy człowiecze się zatracają — zostaje tylko szemat, dobry dla statystyki. Nie uratuje go refleksya końcowa autora; jeden krzyk bolu z serca cierpiącego więcej nas przekonywa, niż najtrafniejsze rozumowanie.

Za zbiór studyów przygotowawczych uważać należy „Zawody". Autor wnosi do literatury niezmierną sumienność i powagę myślową. Czekamy jednak czegoś więcej.

Sumienność i powagę widać też w dążności do opanowania głównego narzędzia artysty-pisarza: języka. Żaden może z młodszych pisarzy nie pracuje tak widocznie nad wyrobieniem sobie własnego języka. Pełnemi garściami czerpie z wszystkich „zawo-

dów" życia, ze słowników; tworzy mnóstwo wyrazów, łamie je, nagina do oryginalnych porównań, niebywałej składni. Nie zawsze jednak szczęśliwie. Dążąc do siły i plastyki, bardzo często staje się chropawym i sztucznym oraz nieestetycznym. Nie o salonową estetykę chodzi; nikt nie użył tylu brutalnych wyrazów, co Wyspiański w „Weselu", ale tam wypływają one z rytmu rzeczy i czujemy, że naturalia non sunt turpia, u p. Kadena są czemś zewnętrznem, naciągniętem, niesharmonizowanem z całością. Błąd ten wypływa z założeń jego ogólnych: z fałszywej metody. Nie ufa wzruszeniu, pisze mózgowo. Czytałem, że p. Kaden drukował studyum o Chopinie i grał go na koncercie z powodzeniem; tem dziwniejsza, że w tem, co pisze, zbyt często mało jest muzyki, za mało stopienia różnorodnych surogatów życiowych w lawie uczucia. Gdzie to jednakowoż autorowi się udaje, posiada siłę i oryginalność, wrzynającą się w pamięć.

Rozpisałem się obszernie o wadach Kadena, gdyż widzę w nich więcej zalet, niż w cnotach wielu młodych. Autor jest dzisiaj ofiarą fałszywej metody, jutro może nas obdarzy dziełem skończenie wielkiem. Ma dar oryginalności. Ma idee i wiedzę życia. Literaturze naszej, która mimo mnóstwa autorów-socyalistów dotąd nie wyszła z salonów inteligenckich i szlacheckich, urozmaiconych conajwyżej mansardą cyganeryi, p. Kaden mógłby z czasem dać powieść o robotniku polskim, epopeję pracy. To jego powołanie. Oby!

Przeglądając raz jeszcze trzy te nowe tomiki, widać mimo różnicy wyrabiających się indywidualności, pewne cechy wspólne. Autorzy są młodzi. Wnoszą bezkompromisowość, idee własne, poważną wolę społeczną. Wśród zalewającej nas powodzi robótek damskich, fabrykatów gazeciarskich, serc zakatarzonych i żonglerów, którzy zamiast do cyrku trafili do fejletonu, są to natury o surowym artyzmie, niecałkiem skrystalizowane, ale już twórcy. Wszyscy są pod niezaprzeczonym wpływem Żeromskiego, bez jego głębin mają w sobie spójnię wewnętrzną i dążą do harmonii. Co ich jeszcze łączy, to zdrowa, bujna, młoda zmysłowość. Trzeba być świętoszkiem jezuickim lub wolnomyślicielskim, by nie uznawać w zmysłowości wielkiej, prężnej potęgi życiowej; pytanie tylko czy się ją przetapia w hypokryzyę i lubieżność, jak to widzimy w wielu utworach np. Sienkiewicza, czy w siłę, harmonizującą pełnię człowieczeństwa. Część to ogromna życia; młode talenty sięgają w życie głęboko, ale nie poto, aby w niem zatonąć, lecz by mu się przeciwstawić: ironią, ideałem, porywem bohaterskim.

Z miłością i zainteresowaniem należy śledzić dalszy rozwój kwiatów-talentów. *F. Kreczowski.*

JEAN-FRANÇOIS MILLET I JEGO „EPOPEJA PÓL".

„Zarzucają mi, że nie odczuwam piękna przyrody. I owszem, widzę dokładnie i odczuwam urok zorzy wieczornej i słońca zapadającego gdzieś daleko ponad polami; ale nie mogę nie widzieć dokładniej jeszcze sylwetki koni w pługu, dymiących parą i oracza, który przystanął tuż przedemną na chwilę, aby się wyprostować i odetchnąć".

Słowa te, w których się mieści cały program jego sztuki, pisze człowiek o twarzy Tołstoja, oprawionej w lwią grzywę Zeusa z Otricoli, twórca, którego dzieła stanowią jednolitą całość, są poczęte z jednej wielkiej myśli i ujęte w styl pełen oryginalności i powagi.

Człowiekiem tym jest Jean-François Millet. Jest Francuzem, lecz mało ma łacińskiej krwi w żyłach. Wychowała go Normandya, kraj łąk zielonych, jabłoniami usianych i łanów żyznych, obrzeżonych skałami, o które wiecznie biją fale oceanu, kraj zamieszkały przez lud ciężki, poważny, pracowity, — lud, który z charakteru przodków swych, wikingów, zachował surowość obyczajów i patryarchalną prostotę.

Millet wzrósł wśród takiego kraju i otoczenia, jako najstarszy syn zasobnego fermera. Chłopca, który z pośród rówieśników wyróżniał się tylko marzycielskiem usposobieniem, nie myślano posyłać do szkoły. Pasł trzodę i oprzątał konie, a tylko w długie zimowe wieczory mały Millet zabierał się do nauki. Rozpalano wielki ogień na kominie, babka zasiadała przy ognisku, rozkładała na kolanach ogromny wolumin Biblii, który od dwóch wieków przechowywał się w rodzinie i wskazywała malcowi litery. Gdy lekcya poszła gładko, w nagrodę mógł obejrzeć drzeworyt, tekst ilustrujący.

W niedzielę zaś chodził do wuja-proboszcza i od niego uczył się rozumieć łacinę i wielbić Wirgila.

Przyroda Normandyi, Biblia, Wirgil, nauki wuja-księdza i babki. jansenistki z tradycyi: to był świat, w którym kształciły się myśl i oko Milleta. Dość wcześnie zaczął rysować przedmioty i postacie, które go szczególnie uderzyły. Nie zwracano na to zbytniej uwagi: wszakże i stary Millet w wolnych chwilach lepił z gliny i wyrzynał z drzewa zabawne figurki. Gryzmolenie Jana Franciszka było w zgodzie z tradycyą rodzinną.

Zwolna gryzmoleniu temu zaczęli się ludzie dziwić, bo przechodziło granice tego, co zwykle we wsi widywano. Ośmnastoletni już chłopak narysował postać starego sąsiada, wracającego z kościoła i uchwycił tak wiernie ruch i podobieństwo, że zdziwiło to nawet ojca, który, podumawszy niewiele, zabrał go z sobą do Cherbourg, do znajomego malarza, aby ten osądził, czy warto chłopca uczyć.

Millet miał szczęście. Malarz, do którego się zwrócono, był starym dziwakiem, ale niezłym pedagogiem. Gdy mu przedłożono rysunki Milleta, spojrzał na niego z pod oka i zadecydował, że w chłopcu tkwi materya na artystę. Zatrzymał go u siebie i posyłał do muzeum miejskiego kopiować parę niezłych obrazów flamandzkiej i holenderskiej szkoły. Prócz tego mógł Millet szkicować do woli psy, kozy i kury, od których roiło się na podwórku.

Nauka ta nie potrwała długo. Po roku ojciec umarł i Millet wrócił do domu, objąć gospodarkę. Przez zimę 1835—36 r. pozostał w rodzinnem Gruchy — i dopiero z wiosną, bardziej na naleganie babki, niż z własnej ochoty, powrócił do Cherbourg i zapisał się do szkoły, w której uczył niejaki Langlois, malarz kościelnych obrazów, ale bywalec, który długie lata kształcił się w Paryżu, u barona Gros, ilustratora wojen napoleońskich, i odbył nawet obowiązującą podróż do Włoch,—czem niemało imponował prowincyonalnemu światkowi.

Dziwna rzecz—nawet i tej małomiasteczkowej wielkości zaimponował talent nieśmiałego i niezgrabnego wiejskiego parobka. Po paru latach, w czasie których Millet pomagał mistrzowi w dokonywaniu obstalunków na portrety i obrazy kościelne, Langlois uznał, że młodemu malarzowi potrzeba już tylko udać się do Paryża, dla nabycia „ogłady“ i „wykwintu“, czego mu już jedynie do tytułu artysty brakowało.

Gdy brak środków uniemożliwiał Milletowi udanie się do stolicy, Langlois wystarał się u rady miejskiej o stypendyum i sam wyprawił w drogę ucznia, który najchętniej byłby pozostał w Cherbourg, lub malował dalej w swem rodzinnem Gruchy.

Z trwogą i niechęcią w sercu wyjeżdżał w styczniu 1837 r. do Paryża, tego nowoczesnego Babilonu, o którym babka opowiadała mu rzeczy niepokojące i wprost straszne.

„Był to późny styczniowy wieczór. Brodząc w zabłoconym śniegu wtoczył się rozklekotany omnibus w wąskie ulice miejskie. Gęsta mgła, przez którą przedzierały się mętne płomyki latarń, hałas, turkot, tłok uliczny i zaduch miejski doprowadziły mnie prawie do omdlenia“.

Tak opisuje Millet swoje pierwsze wrażenia.

Nie wiele uległy one zmianie po dłuższym pobycie w stolicy.

Dziesięć lat, które w niej spędził, należą do najcięższych w jego życiu. Wrażliwy a nieśmiały, przyzwyczajony do bezpośredniego obcowania z naturą i do życzliwego otoczenia ludzi, znanych od dzieciństwa, czuł się nad wyraz nieszczęśliwy i samotny w wielkiem mieście, w którem ludzie tak obojętni żyją obok siebie, gdzie w wąskich uliczkach brak słońca, brak powietrza.

W tem środowisku tak bardzo obcem, żyjącem w sposób tak chaotycznie skomplikowany, tak niezrozumiały dla jego prostej, naiwnej natury — znał jeden tylko gmach, gdzie znajdował upragnioną ciszę i odbierał wrażenia niemniej silne, niż te, które mu wryło w mózg jego wieśniacze dzieciństwo. Gmachem tym było muzeum Luwru.

W cichych, pustych w dzień powszedni salach czerpał naukę owocniejszą, niż ta, którą mu dać mogły pracownie współczesnych mistrzów. Upodobań nie dyktowała mu żadna teorya estetyczna, bo ich nie znał. Idąc za głosem instynktu, godziny spędzał przed Prymitywami; szczególniej Incoronazione Fra Angelica wzbudziło w nim zachwyt nieopisany. Bił czołem przed tytanicznym Michałem Aniołem, podziwiał tętniące życiem płótna Rubensa, a Poussin wydawał mu się nieskończenie wielki. Natomiast Velasquez i szkoła francuska XVIII wieku, to wielkoświatowe, subtelne, wykwintne malarstwo, nie mogło w nim wzbudzić ani odczucia, ani zrozumienia.

Z równym chłodem odnosił się do współczesnej sztuki francuskiej. Była to epoka zaciętej walki dwóch światopoglądów, dwóch temperamentów. Wyobrazicielem jednej grupy był klasyk Ingres — przedstawicielem drugiej — romantyk Dalacroix.

Ingres, temperament rozważny, spokojny, z wytrwałą zaciętością studyował anatomię ciała ludzkiego i kanony jego wymiarów. Realizm, objektywna obserwacya badacza, uwidoczniają się szczególniej w studyach portretowych i aktach, przez niego robionych. Imponują one i dziś tą nieomylną ścisłością konturu i modelacyi, tym nieugięcie pewnym rysunkiem, niedarmo przez Ingres'a nazywanym „la probité de l'art". Natomiast jego wielkie kompozycye wieją chłodem. Ingres z charakteru swego, jak i z kierunku swej sztuki, nie mógł być malarzem ruchu, ani lubować się w kolorystycznych efektach. Rysunek zaś stawał się konwencyonalnym, nieosobistym, wzorowanym na antyku i Cinquecencie, z chwilą gdy miał komponować, a nie odtwarzać z natury.

Delacroix—to najdoskonalsza antyteza Ingres'a. Fantazya nieokiełzana, kochająca się w dramatycznych sytuacyach, w egzotycznych tematach; gienialny improwizator, działający gorącym, w purpurowych tonach skąpanym kolorytem. Ten Wiktor Hugo malarstwa był, zdaniem Ingres'a, tylko

wrzaskliwym barbarzyńcą, odroślą tej samej nienawistnej, „prostackiej“ sztuki, która wydała Rembrandta i Rubensa.

Ani romantyczny patos Delacroix, ani poprawny akademizm Ingres'a nie znalazły oddźwięku w duszy Milleta. Obrazy, które nosił w duszy: poezya zoranych pól, gwiezdnego nieba, stad wypędzanych na łąkę o mglistym świcie, — poezya pracy na roli, były to rzeczy nieznane w pracowniach malarskich Paryża. A gdyby nawet je znano, to gardzonoby tak wulgarnymi tematami. Nawet eteryczne, rozchwiane i rozszeptane gaje i przeźrocze tafle wód Corota przechodziły wówczas bez wrażenia. Pejzaż uważano za najniższą kategoryę twórczości malarskiej.

Langlois, który twierdził, że w Millecie odkrył zadatki na doskonałego malarza historycznego, polecił mu zapisać się do szkoły Delaroche'a.

Pomiędzy akademizmem Ingres'a a romantyzmem Delacroix, Paweł Delaroche wybrał — złoty środek. Ten złoty środek, tak ceniony przez Ludwika Filipa i francuskie mieszczaństwo.

Delaroche nie dawał ani „barbarzyńskiego“ kolorytu (dla publiczności każda żywsza skala barw bywa wówczas barbarzyństwem), ani nie odstręczał zbytnią powagą i tematami klasycznymi, które już wychodziły z mody. Malował wielkie kompozycye historyczne, teatralne, mało indywidualne, wykonane starannie, sumiennie, z akcesoryami i strojami utrzymanymi jaknajdokładniej w stylu epoki. Odpowiadały one w zupełności smakowi współczesnemu i zapewniały ich autorowi uznanie i powodzenie.

Jasną jest rzeczą, że tego rodzaju mistrz nie mógł odpowiadać Milletowi. Wstąpił do jego pracowni, bo nauka w Cherbourg nie nadawała młodemu malarzowi dość sprawności technicznej, — bo trzeba mu było posiąść rzemiosło malarskie, — ale z ducha nauczyciela nie zaczerpnął niczego. Nawet w technice nie poszedł w myśl Delaroche'a. Nie umiał sobie przyswoić owej zręcznej gładkości, tej łatwej, trochę konwencyonalnej harmonii linii i barw, które w wysokim stopniu przyczyniły się do popularności Delaroche'a. Uczeń i nauczyciel stanowili dwa tak odrębne światy, że do serdeczniejszego stosunku pomiędzy nimi dojść nigdy nie mogło. Delaroche uznawał wprawdzie wybitny talent Milleta, zaznaczał nieraz, że ceni jego prace, bo są zupełnie odmienne od zwykłych, szkolnych kompozycyi, ale gdy przyszły do konkursu o nagrodę rzymską — otrzymał ją kto inny. Millet rozżalony opuścił pracownię Delaroche'a i odtąd rozpoczął twórczość samodzielną.

Twórczość samodzielna — wyrażenie to brzmi bolesną ironią. Na to, aby odtwarzać te wizye, które mu się pod czaszką snuły, trzeba było pomyślniejszych warunków materyalnych. Millet nie miał żadnych

środków do życia, a natomiast miał żonę. Trzeba było pendzlem zdobywać chleb dla siebie i rodziny.

Nastał „wiek męski, wiek klęski“.

Trzeba było malować szyldy, po dwadzieścia franków sztuka: zapasy atletów dla wędrownego cyrku, dziewczynę z dzbankiem mleka dla mleczarni, konia dla weterynarza. Obok szyldów — portrety sklepikarzy. Lecz te nie miały powodzenia. Były nadto podobne, a za mało ładne. W końcu, gdy i tego rodzaju obstalunki nie dość licznie napływały, Millet udał się do kunsthändlerów, którzy zamawiali u niego pokupne scenki erotyczne w stylu Boucher.

Była to najcięższa chwila w życiu Milleta. On, wychowany w biblijno-patryarchalnej atmosferze, wśród najsurowszych obyczajów, on, instynktem człowieka pierwotnego nienawidzący wykwintnego zepsucia XVIII stulecia, aby nie umrzeć z głodu musiał malować rzeczy, któremi gardził, które go poniżały w jego własnych oczach.

Reakcya nastąpiła wkrótce. „Lepiej nosić cegłę, niż tak żyć, jak żyję“, pisał w jednym z listów. Z początku zmienił tylko sposób traktowania, posługując się utartym tematem. W salonie 1844 r. wystawił płótno, przedstawiające małego Edypa, przez pasterzy znalezionego. Zarówno sposobem ujęcia tematu, jak i pewną, wcale nieakademicką szorstkością postaci i ruchu, obraz ten zwrócił na siebie uwagę krytyków i publiczności.

W roku 1848 nastąpiło stanowcze objawienie się kierunku sztuki Milleta. Wystawił swego „Vanneur“, chłopa, przesiewającego zboże, — w dziele tem tkwi już cały późniejszy Millet, taki, jakim go znamy i cenimy.

Na ciemnem tle wnętrza stodoły, w świetle, chłop przesiewa ziarno, rękoma i kolanem nadając koszowi ruch rytmiczny. Z kosza złociste plewy lecą w górę.

Obraz ten wywołał burzę. Publiczność była zgorszona, krytycy stropieni. Położenie tych ostatnich było istotnie trudne. „Vanneur“ był dziełem tak wybitnem, że nie podobna go było zbyć milczeniem, ani odsądzić od wszelkiej wartości. Był czemś tak niesłyszanem, tak brutalnie nowem, że niemożliwem było, aby krytyka odrazu się z podobnem przedstawieniem rzeczy pogodziła i bezstronnie je osądziła.

Chłopa malowano oddawna. Zależnie od nastroju epoki, był on albo komicznym, rubasznym błaznem, pijącym i bijącym się w szynkach, krążącym w tańcu z ruchami oswojonego niedźwiedzia, — jak u Holendrów. Był uperfumowanym, poetycznym pasterzem, wzdychającym do swej Chloe, jak w epoce sielanek rokokowych. Był wreszcie — u Greuze'a np. — tematem do tyrad sentymentalno-moralnych, — lub nakoniec, jak w rodzajowych

obrazkach początku XIX wieku, malowano go po to tylko, aby wzruszająco przedstawić smutną dolę chłopską.

Ale nikomu jeszcze nie przyszło na myśl przedstawić chłopa takim, jakim jest, przedstawić go przy pracy; z grubych, ciężkich postaci stworzyć typ, mający pełen powagi i prostoty; w pracy na roli podkreślić rytmiczność, która jej nadaje szczególne, charakterystyczne piękno ruchu.

„Vanneur“ wszystkie te cechy posiadał w zawiązku. Lecz publiczność widziała w nim tylko ordynarnego chłopa, o rękach i stawach zgrubiałych od pracy, oddającego się trywialnemu zajęciu w otoczeniu realnem, nie mającem ani cienia konwencyonalnej w stylu Greuze'a, sielskiej poezyi. Dla krytyków zaś był to manifest brutalnego realizmu, podszytego może jakiemś społecznem doktrynerstwem.

Tymczasem, a sąd ten może brzmieć dziwnie na pierwszy rzut oka, Millet realistą nie jest. Z chwilą, gdy przeniósł się do cichej wioski na skraju lasów Fontainebleau, gdzie mógł wspomnienia lat dziecinnych kontrolować bezpośrednią obserwacyą, — widzimy, że zamiast stawać się niewolnikiem modelów, upraszcza ich indywidualność, zaciera wszelkie cechy drugorzędne, przypadkowe, aby otrzymać skoncentrowaną wyrazistość typu.

W postaci chłopa nie szuka barwnej malowniczości; etnograficzna strona życia ludu wiejskiego jest mu najzupełniej obojętną. Zajmuje go ogólna sylwetka postaci, zajmuje gest spokojny, prawie majestatyczny, nie mający nic z rubensowskiej dramatycznej egzaltacyi.

Millet, osiadłszy w chałuple, wynajętej w Barbizon, wziął się gorączkowo do pracy. Sztuka tak mu życie wypełniła, że odtąd historya jego wyraża się w kolejności stwarzanych dzieł.

Uderzył go szczególnie motyw, który z pośród wszelkich czynności rolnika najwięcej ma może sakramentalnej powagi i symbolicznego znaczenia: siew zboża. Powracał do niego kilka razy, zostawiając cykl rysunków i dwa obrazy olejne.

Wielka przestrzeń zoranego pola. Skiby, przewleczone broną, układają się w miękką, pulchną rolę, w której grzęzną ciężkie saboty siejącego chłopa. Siewca płachtę przewiązał przez ramię, czerpie z niej ziarno pełną ręką i z zamachem rozsypuje po roli. Szerokość kroku i rozmach ręki nadaje tej profilowej i sylwetowej postaci ruch nadzwyczaj charakterystyczny. Zdaje się ona kroczyć szybko i rytmicznie. W dali chłop włóczy broną, zaprzęgniętą w parę koni. Ze starej baszty, sterczącej na horyzoncie, porywa się stado wron i rozprasza po jesiennem, chmurnem niebie.

W obydwóch obrazach wątek i układ postaci jest ściśle ten sam.

Tylko w jednym z nich niebo chmurniejsze, sylweta siewcy bardziej przyciemniona i większa, gdy w drugim więcej pola, przestrzeni, światła, mniej na niebie kontrastów.

Po „Siewcy“ nastąpił szereg innych dzieł: obrazów, drzeworytów, rysunków. Wszystkie są pokrewne tematem, wszystkie obejmują „epopeję pól“, jak Millet ten cykl nazywał. Wszędzie ten sam nastrój powagi, spokoju nawet w ruchu.

„Allant travailler“ nazywa się niewielki, bardzo typowy rysunek, Polną drogą, napoprzek szkicu, ciągną do pracy: kobieta na osiołku i chłop z widłami na ramieniu. Poza nimi dal słońcem oświetlona. Zmienić podpis i parę akcesoryów — nie więcej, a scena się przetworzy w nastroju pełną, dziwnie szlachetną w swej prostocie ucieczkę do Egiptu.

Inny obraz — inne wywołuje przypomnienie. Zwie się on „Fin de la journée“.

Mrok. Na niebie świeci jeszcze wieczorna zorza. W dali słać się zaczynają opary. Robotnik, sam jeden w bezmiarze pól, odrzucił motykę i naciąga rękaw zwierzchniego odzienia. Ruch jego, bardzo prawdziwy, ma w sobie jednak posągową monumentalność. Takim gestem, po ukończonej walce, grecki atleta oczyszczał ramię z kurzu i oliwy.

Wiejska kobieta, bijąca masło — zdawałoby się, że to motyw do rodzajowego obrazka. Millet daje nam postać o liniach po rzeźbiarsku surowych. Do tematu tego powracał wielokrotnie, upraszczał, usuwał wszystkie anegdotyczne szczegóły tła, póki nie wydobył, nie uwypuklił zasadniczego motywu miarowego ruchu rąk, karyatydowej pionowości figury.

Ten sam karyatydowy charakter ma — w jednym z najlepszych rysunków Milleta — praczka, której towarzyszka nakłada na ramiona ciężkie zwoje mokrego płótna. Światło księżyca, przedzierając się przez mgłę, opływa kontury, zwiększa twardy, rzeźbiarski rysunek pierwszoplanowych figur. Dal, zmatowana i zamglona, stanowi dla tych postaci doskonałe tło, wyborny „repoussoir“.

Podobne tło i podobny nastrój ciszy wieczornej, jak w „Końcu dnia“ i w „Praczkach“, tylko jeszcze spotęgowany, mamy w obrazie, który ceną ogromną, jaką za niego zapłacił ostatni nabywca (750.000 fr.), bardziej, niż swemi zaletami, uczynił rozgłośnem imię Milleta,

„Anioł Pański“. W odległym kościołku, którego smukła wieża na zachodniem niebie się kreśli, „na Anioł Pański bije dzwon“. Na dźwięk ten z dzwonnicy porwały się wrony i z krzykiem niosą się nad polem. Na dźwięk ten chłop wbił w zagon widły i odkrył głowę, kobieta po-

rzuciła kosz ziemniaków i schylona, ze złożonemi rękoma, szepce modlitwę.

Głównym motywem jest tu światło, złoto-czerwone światło zachodu, które się ślizga po dymiących parą zagonach, nasyca blaskiem pożółkłe łodygi kartofliska, odbija łuną od czerwonej chustki kobiety, obrzeża promienistym konturem obydwie postacie.

Południowe słońce kładzie plamy świateł i cieni w dwóch innych kompozycyach, których motywem jest znojna praca w upalny, letni dzień. Pierwszy z nich to „Glaneuses", zbieranie kłosów. Ścierniskiem idą trzy kobiety, spracowanemi, grubemi rękoma sięgając po zgubione przez żeńców kłosy. Rytmika, tak silnie w obrazach Milleta występująca, podkreślona tu jest przez powtórzenie tego samego ruchu u dwóch obok siebie stojących kobiet.

„L'homme á la houe". Robotnik, który wśród pracy na chwilę przystanął. Potężne dłonie wsparł na motyce. Twarz ma spaloną, włosy zwichrzone, usta wpółotwarte, spojrzenie bezmyślne człowieka, któremu zmęczenie fizyczne wypłoszyło myśl z pod czaszki. Dyszy. Ogromny, znużony, straszny. Najdoskonalszy symbol wyczerpującej pracy na rozpalonem słonecznym żarem polu.

Obrazy te wywołały niemniejsze oburzenie, niż „Vanneur". Jeżeli przyzwyczajono się już po trochu do chłopów Milleta, szczególniej do pasterskich tematów, to tak potężne zsyntetyzowanie rzeczywistości, takie szorstkie przypomnienie, że praca na roli nie zawsze jest majestatycznym gestem, a bywa też wytężeniem sił aż do ich ostatecznego wyczerpania, przyjęte zostało krzykami i podejrzeniami. W Millecie, żyjącym w ustronnym Barbizon, w zaciszu domowem, zdala od wszelkich haseł i walk partyjnych, dopatrywano się agitatora rewolucyjnego, demagoga, kto wie — może socyalisty — a wyraz tem miał wówczas znaczenie mętne i zdradne.

Z tych samych względów, podejrzywając Milleta — najniesłuszniej zresztą — o jakieś uboczne tendencye, parę lat wcześniej (1857 r.) jury Salonu odrzuciło obraz „la Mort et le Bûcheron". Jestto jedna z najdramatyczniejszych i najpoetyczniejszych zarazem kompozycyi Milleta. U skraju lasu, na osypisku, przysiadł na chwilę dziad z wiązką chrustu na plecach. Lecz zaszła mu drogę śmierć — chuda, w białą płachtę owinięta, z kosą na ramieniu. Przechodząc niedbale, jakby nie warto było dłużej zatrzymywać się dla takiej biedoty, kościstymi palcami ścisnęła go za gardło. Dziad osunął głowę — już nie żyje. Na twarzy, białą szczotką okolonej, ani śladu bólu, ni walki. Zasnął, jak ptak, co nagle spada z gałęzi.

Nie podobna zrozumieć, dlaczego obraz ten, który dziś stanowi ozdobę galeryi Kopenhaskiej, tak raził ludzi z połowy XIX-go wieku. Grało tu rolę uprzedzenie do autora.

Uprzedzenie, począwszy mniej więcej od r. 1860, zaczynało stopniowo znikać; pewien dział twórczości Milleta zyskał nareszcie uznanie u publiczności.

Z pomiędzy obrazów nagradzanych wówczas pochwałami, najbardziej cenioną jest „Pastuszka, wiodąca trzodę do domu". Słońce chyli się ku zachodowi, lecz stoi jesze wysoko na niebie i z za chmurki rzuca snop światła, które rozsiewa się po przestrzeni łąki, modeluje obłoczki na niebie, białe runo na grzbietach owiec i kule mlecznych puchów wśród trawy. Przed stadem, tyłem do światła, idzie pastuszka, ładne dziewczątko w ciężkim płaszczu, migocące drutami roboty. Może żaden z pejzaży Milleta nie jest tak słoneczny, świetlany, przestrzenny, jak ten, którego nie widzi schylona nad drutami pasterka.

Krajobraz, który dotąd był prawie wyłącznie tłem, zaczyna artystę pod koniec życia szczególnie zajmować. Jestto może poddanie się wpływom długotrwałej suggestyi otoczenia. W Barbizon oddawna tworzyła się kolonia pejzażystów, a duszą ich był Rousseau, poeta leśnej ciszy, osobisty przyjaciel Milleta.

Pomimo przyjaźni, sztuka każdego z nich pozostała samodzielną. Gdy co ranek wspólnie wychodzili na studya, drogi ich rozchodziły się u krańców wsi: jeden skręcał w leśną ścieżynę, drugi dążył do światła, do pól.

Krajobrazy Milleta przedstawiają te same pola, które mu dotąd za tło do figuralnych kompozycyi służyły: uprawna rola, zaorana i usiana stosami nawozu, z porzuconą broną na pierwszym planie; ugor, w którym pług zaledwie parę zagonów skrajał, a dalej chaty i kościół z wieżyczką.

W roku 1870 musiał Millet opuścić Barbizon, gdzie „mundury pruskich ułanów zaczęły tworzyć dziwnie przykre plamy w pejzażu". Udał się do rodzinnego Gruchy, osłoniętego skałami. Z pomiędzy nich rozścielał się widok na niezmierzony przestwór oceanu. Tam powstało kilka morskich widoków, w których prawie bez wyjątku ziemia, skalne wybrzeże, występuje równie silnie, jak morze.

W latach ostatnich 1872—1875, Millet tworzył mało. Mamy z tej epoki dobry pejzaż wiosenny: kępy kwietnych jabłoni po deszczu, z tęczą na przeganianych wiatrem chmurach. Ostatni, przy którym go śmierć zastała, to ścierń po ukończonem żniwie, z rzędami stogów.

Jego żniwo ukończone jeszcze nie było: zmarł wśród projektów wielkich fresków, jakie miał wykonać na ścianach Panteonu. Chodziło

o historyę świętej pastuszki — Genowefy, którą w zastępstwie Milleta, stworzył później Puvis de Chavannes.

Millet umarł w styczniu 1875 roku. Chowano go w dżdżysty, zimowy dzień, a orszakiem żałobnym byli ci, którzy byli mu modelami do jego wielkich kreacyi. O pogrzebie nie zawiadomiono miasta, Paryża. Chłopi tylko stawili się tłumnie. W ich obecności trumna Milleta spoczęła obok trumny Rousseau, na cmentarzu tego samego kościółka w Chailly, którego sylwetka majaczeje w „Angelus".

* * *

Gdy rozważać sztukę Milleta, bije z niej źródło żywej siły. Jest w niej praca „nie na krawca miarę, lecz Fidyasza". Jakiś lud herojów powstał z przedwiekowych głębin i zawładnął ziemią — pracą. Potężne zarysy wyrastają w nieskończoność nieba. Na tle pustych pól, bezkresnych łąk, ciemne, światło jakby siejące, samotne postacie te mają nimb, jakim greckie myty otaczają dobroczynnego olbrzyma. I mają powagę patryarchów starego zakonu, co sami trzód doglądali i ziemię pługiem pruli.

Burze mijają ich życie. Jak prastare dęby stoją wrośnięci korzeniami w ziemię. Jak u dębu ciało ich mocarne, twarde, w węzły i sęki, zgrubienia i zniekształcenia — ulega tylko śmierci. Postacie ich proste, surowe, kanciaste. Ruchy ciężkie, lecz bezwzględnie celowe i tym charakterem piękne. Twarze z gruba ciosane, do zasadniczych rysów sprowadzone. Nie indywidua, lecz typ. Nie chłop francuski z pól Barbizonu, lecz człowiek, urodzaj pracą zdobywający, człowiek, bity wichrem, palony słońcem. Człowiek, którego dusza tkwi w rozkrojonej lemieszem skibie, w ziarnie siewu, w żniwnym snopie, w wełnistym runie i miękkiej przygarści lnu, którego dusza odrywa się od pracy tylko na dzwon z kościelnej wieży i nie ustaje w czynie aż do ostatniej iskierki sił.

Ażeby to wrażenie wywołać, typ uchwycić, zsyntetyzować — najpotężniejszym środkiem prostota rysunku i kompozycyi.

Często jedna tylko postać na wielkiej równinie, co jak morze zdaje się być nieskończoną, gdzie zamiast fal rytmicznie płyną skiby i zagony pod niebem, co się w olbrzymią kopułę wydyma. Czasem dwie figury łączy wspólna myśl lub praca (Angelus, Planteurs de pommes de terre). Odzież na nich, jak na świętych Giotta, opada w sztywnych fałdach, ciężka, prosta, nie tamująca ruchu i zaznaczona z lapidarną zwięzłością. Powietrze mgłą przesiąkłe, opływa, zmiękcza kontury i stopniuje dal w nieskończoność. Mrok zapada, zaciera zarysy, wydobywa podstawowe linie: horyzontu i przecinającej go, ludzkiej wyniosłej sylwety.

To samo gdy chodzi o wnętrza. Tam głównym motywem jest światło, płynące oknem lub drzwiami, czy też drżącym kręgiem otaczające kuchenną lampkę. Światło ślizga się po przedmiotach, modelując szerokie płaszczyzny, usuwając w cień detale. Pozostaje tylko ruch i ogólny charakter postaci, spokój i jednolitość kompozycyi.

Ażeby tworzyć podobne koncepcye, ażeby módz odczuć i uwydatnić duszę rzeczy, usuwając anegdotyczną przypadkowość, trzeba było tak zlać się z przedstawionym światem, jak to uczynił Millet.

Była to natura z jednego ciosu, z jednego odlewu — jak jego chłopi. Był to umysł prosty, jasny, nawet jednostronny, nie mający nic z nowoczesnych skomplikowanych załamań. Wierzył szczerze, że praca jest jedyną racyą życia, jedynym świętym obowiązkiem, — że uprawa roli jest zasadniczą formą pracy — i z tej wiary wypływał wielki styl jego siewców i kosiarzy, tak jak wiara dawała majestat fryzom świątyń greckich i kolumnowym posągom gotyku.

W pracowni jego nie widać było dzieł sztuki współczesnej. Wzdłuż ścian widniały pokrewne duchem koncepcye: kolosalne odlewy rzeźb Partenonu i sztychy z padewskich fresków Giotta, w późniejszych latach jego życia ofiarowane mu w upominku. Przyjaciel, który przywiózł je z Włoch, nie mógł wybrać nic bliższego Milletowi. Jest tam przędąca dziewczyna, która typem i sposobem traktowania zdaje się być rodzoną siostrą milletowskich chłopek. Jest pasterz, który wspiera się na kiju tym samym ruchem, co jeden z pastuchów Milleta. Jest więcej jeszcze: ten sam nastrój posągowej powagi, to samo głębokie uczucie i wymowa gestów, świadcząca o istotnem powinowactwie duchowem obydwóch twórców. I choć Millet nie może iść w zawody z genialną wszechstronnością Giotta, choć mu obcym jest potężny dramatyzm włoskiego mistrza, to jednak obydwaj należą do typu wielkich nowatorów, stwarzających w sztuce nowe światy, nowe koncepcye.

Tak, jak Giotto w swych freskach pierwszy odważył się malować ludzi współczesnych, a figury świętych ze złoconych tel i bizantyńskich tronów sprowadził w realne, ziemskie otoczenie — tak Millet pierwszy odważył się widzieć piękno w ciężkiej, znojnej pracy na roli, pierwszy stworzył istotną epopeję pól.

Konstancya Stępowska.



Ch. Baudelaire.

LITANIE DO SZATANA.

O najmędrszy z aniołów, najbardziej wspaniały,
Boże, przez los zdradzony, pozbawiony chwały,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

O książę, przez niesłuszny wyrok wypędzony,
Co wstajesz wciąż mocniejszy, chociaż zwyciężony,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Wielki królu wszechmądry niezbadanych rzeczy,
Którego ręka biegła wszelkie rany leczy,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Ty, który w trędowatym, w przeklętym biedaku
Przez miłość żądzę budzisz rajskiego posmaku,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Ty, którego kochanki, starej śmierci łono
Zrodzi młodą nadzieję — piękną i szaloną!
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Co dajesz skazanemu wzrok tak mocny, śmiały,
Że z wyżyny szafotu przeklina lud cały,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Który znasz wszelkie bezdnie i przepaści cienie,
Gdzie Bóg zazdrosny ukrył bezcenne kamienie,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Ty, którego wzrok jasny przenika zuchwale
Podziemia, gdzie w ukryciu drogie śpią metale,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Który kryjesz przepaście swą szeroką dłonią
Lunatykom, co z wyżyn pomników się kłonią,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

O Ty, który prostujesz stare kości cudem
Pijaka, co z pod kopyt podnosi się z trudem,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Ty, który by człowieka słabego pocieszać,
Nauczyłeś saletrę nas i siarkę mieszać,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

O Ty, którego wieczny znak na czole gości
Krezusa okrutnika, co nie znał litości,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Który sprawiasz, że oczy i serca dziewczęce
Ukochały łachmany i cześć niosą męce,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Podporo wypędzonych, odkrywców świeczniku,
Wisielców i spiskowców wieczny spowiedniku,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Ojcze drugi, coś ludzkie wziął w opiekę plemię,
Które Bóg Ojciec z raju wypędził na ziemię,
O Szatanie, miej litość nad mą nędzą długą!

Tłóm. Janina Kramsztykówna.

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ BELGIJSKA.

Powieści belgijskiej obcą jest z małymi wyjątkami owa subtelność psychologicznej analizy, w której celują Francuzi. Natomiast ma ona w sobie soczystość barw, bujne ukochanie zmysłowego życia, właściwe obrazom flamandzkich mistrzów, a także często owych obrazów przyziemność i ciężkość, przyczem spotykamy przeładowanie szczegółami ornamentacyjnymi, brak smaku i wytwornego umiaru. Rzadko również widnieje tutaj ów „esprit“ i owa elegancya, cechująca nawet średniej miary dzieła francuskich pisarzy. Powieść bejgijska ma swoje cechy swoiste, zasadniczo odrębne, tak samo, jak malarstwo belgijskie już od renesansu poczynając różniło się od czysto wewnętrznej ekstazy, surowej religijnej prostoty Dürera i Cranacha i od pełnych elegancyi i umiaru, lecz często powierzchownych malarzy odrodzenia francuskiego: Jana Fouquet Chantilly i Jana Perreal. Powieść belgijska jest wiernym wizerunkiem duszy tego szczególnego, z dwóch ras flamandzkiej i walońskiej składającego się narodu i tworzy dziwny amalgamat zmysłowości

i idealizmu, przyziemnych trosk i religijnej ekstazy, który tak często spotykamy w belgijskiem malarstwie, naprzykład w obrazach takiego Breughla, gdzie tematy fantastyczne, religijne i mistyczne łączą się w szczególny sposób z grubym materyalizmem i drobiazgową troską o szczegóły.

Pisarzem narodowym, łączącym w sobie te wszystkie pierwiastki duszy belgijskiego narodu, jest Kamil Lemonier. Ma on bujność i moc. często przechodzącą w brutalność, ma silne ukochanie natury, które czasami przybiera pozory zmysłowej rozkoszy z ukochania darów ziemi pochodzącej, czasami zaś wznosi się na wyżyny czystego panteizmu.

U Lemoniera mimo całej jego odrębności narodowej, często występuje pokrewieństwo z Zolą. W jego usta śmiało możnaby włożyć słowa, które wypowiada w „Dziele“ (L'Oeuvre) powieściopisarz Sandoz, a które bezspornie są wyznaniem wiary samego Zoli: Ziemio, dobra ziemio, ty, która jesteś matką nas wszystkich, jedynem źródłem Wszechżycia, ty jedyna i wieczna, po której krąży nieustannie wielki duch świata, ożywia, przenika wszystko i czyni, że drzewa i rośliny wszelakie są jako nasze siostry i bracia. Chcę się zatracić w tobie i chcę wziąść w siebie ciebie całą!

Niech inni opiewają niebo. Ja ciebie opiewać będę! Ty będziesz źródłem natchnienia i celem dzieł moich.

Uderzająco podobne są do siebie dwie powieści: „Germinal“ Zoli i „Happe Chair“ Lemoniera, obie na tle życia górników osnute. Tylko że Zola posiada większą umiejętność władania tłumem, który w jego dziełach przybiera postać jednej stugłowej hydry, ma swoją odrębną i świetną psychologię. Zola posiada również większe niżeli Lemonier zrozumienie warunków społeczno-ekonomicznych, jest bezspornie lepszym odeń socyologiem. Natomiast Lemonier większym jest artystą, silniej odczuwa naturę, barwniej maluje i plastyczniej czuje kształt rzeczy.

To podobieństwo z Zolą, ten skrajny realizm wybitnie się przejawia w powieściach społecznych w „Madame Lupar“, w której rozpusta maskowana mieszczańską obłudą i kłamstwem, tak samo jaskrawo występuje, jak w takim naprzykład „Pot Bouille“ lub „Au bonheur des dames“ Zoli. Jego „Le Possedé“, lub „L'Hysterique“ wiele mają wspólnego z „Therese Raquin“, „Naną„ i „Bête Humaine“.

Lecz mimo śmiałości i siły środków ekspressyi jest Lemonier w tych rzeczach stanowczo słabszy, niżeli w tych swoich utworach, w których bohaterem jest człowiek na tle natury malowany, zdala od wielkich miast, ognisk cywilizacyi i zepsucia żyjący.

Takich powieści jest cykl cały, który śmiało nazwać możnaby

„Pieśniami lasu“ i „Pieśniami gleby“. Lemonier roztacza w nich szereg krajobrazów flamandzkiej i walońskiej krainy, malowanych tak pięknie, że odpowiednik swój znaleźć mogą w dziełach belgijskich mistrzów pejzażu Ferdynanda Khnopffa, Van Rhysselberghe i Verheydena.

Najpiękniejszą z tych powieści jest „Samiec“ („Le Mâle“), powieść wznosząca się często na wyżyny najczystszego panteizmu.

Samiec, to kłusownik Cachaperès, piękny, silny i bezwzględny, jak bożyc leśny, lub jak potomek owej pierwotnej rasy bohaterów i półbogów, za którymi tak często tęsknią artyści w swoich snach o pięknie i o potędze. A ten las, w którym święcą się miłosne dzieje młodego kłusownika i pięknej wieśniaczki nietylko opisany jest nadzwyczajnie pod względem malarskim, lecz poprostu dźwięczy muzycznie, jako najpiękniejsza symfonia. Słyszymy zrazu przedziwne allegro budzącej się radośnie natury. Świergot wesoły ptaków, chichot swawolny chochlików, gnomów, dryjad i tysiącznych duchów, zamieszkujących owe leśne haszcze i nieśmiałą jeszcze cichą pieśń budzącej się miłości.

Później las wstępuje zwolna w rozkoszne andante lata, kiedy głosy ptaków stają się bardziej upojne i przeciągłe, zapach ziół mocniejszy, tysiączne poszumy, pogwary, szelesty niosą pieśń rodzajną życia. Aż milkną owe głosy, po lesie idzie przeciągłe echo, żałosna skarga odlatującego ptactwa i duchów kryjących się w spróchniałe drzewa, zapadających w leśne bajora, szelest cichy liści, owych złotych łez jesieni, i płacz umierającej miłości tych dwojga młodych. Aż wszystko kończy się patetycznym akordem, śmiercią kochanka i śmiercią zimową lasu, który stoi znowu głuchy milczący, kryjąc zacięcie w sobie okrutną tajemnicę zagłady i zniszczenia.

Do tego samego cyklu utworów, w których natura główną odgrywa rolę, zaliczyć można „Ceux de la Glèbe“, „Adame i Eve“ i „L'Ile Vierge“. Przeciwieństwem tych obrazów pełnych światła i bujnej szczęśliwości życia jest „Le Mort“, opowieść wysnuta zda się w owe wieczory tajemnicze, kiedy to po polach, po łąkach i po bajorach ślizga się lęk, idzie jakiś strach nieokreślony, a w gąszczy leśnej kuwika przeciągle, żałośnie sowa, budząc śmiertelne przeczucia.

We wszystkich tych powieściach uderza nas niesłychana malowniczość i plastyczność postaci. Czarne proste i wyraziste linie, któremi malowani są bohaterowie „Umarłego“ („Le Mort“) składają się na doskonałę akwafortę, chłopi z powieści „Ceux de la Glèbe“ mają potęgę, ruch i wyrazistość bronzów Meuniera.

Unikając z obawą tego płaskiego belgijskiego dyalektu, który z piękną mową francuską oddalone jedynie ma pokrewieństwo, Lemonier

potężnym wysiłkiem woli stworzył swój własny język, bardzo mocny i odrębny, lecz często przeładowany ozdobami, więc trochę ciężki. Niektórzy pisarze, jak naprzykład Malarmé stworzyli swoją własną składnię, Lemonier używa składni powszechnie przyjętej, lecz nieustannie wzbogaca swój materyał słowny, który jest zaiste imponujący, lecz czasami przytłacza nas poprostu. Mamy chwilami wrażenie, że autor kamienuje nas poprostu, nie gradem zwyczajnych brukowców, lecz drogocennych kamieni.

Mówiliśmy tutaj o Lemonierze, jako o najwybitniejszym bezspornie powieściopisarzu współczesnej Belgii. Zaznaczymy mimochodem, że jest on zarazem jednym z najzdolniejszych historyków i krytyków belgijskiego malarstwa.

Mniej jeszcze u nas od Lemoniera znanym jest pisarz bardzo ciekawy i odrębny, Georges Eckhoud. Eckhoud upodobał sobie melancholijną poezyę tego kawałka ziemi, który otacza wielkie portowe miasto Antwerpię, tych przestrzeni piaszczystych rzadką jedynie zielenią porosłych, zasnutych melancholijną mgłą liliowych wrzosów. I podobnie jak tę ziemię surową, ubogą, a jednak swoistego uroku pełną ukochał Eckhoud jej mieszkańców, ludzi milczących, przygasłych, bynajmniej nieświetnych, a których dusza ma jednak swoiste odrębne piękno.

I podobnie, jak nad tymi piaszczystymi obszarami szczególniej jaskrawo wschodzi i zachodzi słońce, tak i szare, monotonne życie tych ludzi przenika nieraz krwawy ogień namiętności. Niszczycielski płomień miłości, zemsty i śmierci oświeca bohaterów jego powieści „Les Kermess“, „Mes confessions“ „Kees Doorik“.

Ta smutna kraina, którą prawie wyłącznie opisuje Eckhoud, jest jednocześnie przytułkiem różnych tak zwanych nieużytków społecznych. Tutaj rząd belgijski osiedla przestępców, włóczęgów, tutaj są schroniska dla starców i wszelkiego rodzaju inwalidów, tutaj na tle bladego, wypłowiałego horyzontu błądzą ludzie, do cieniów raczej podobni. Jego sympatya dla włóczęgów i wszelkiego rodzaju byłych ludzi, czyniąca go duchowo pokrewnym Gorkijowi, a zwłaszcza Janowi Richepin, szczególniej silnie występuje w powieści „Drugie Widzenie“ („L'Autre Vue“). W „Nowej Kartaginie“ przenosi nas Eckhoud do wielkiego portowego miasta Antwerpii, ażeby dać obraz szalonej pogoni za pieniądzem, rozhukanych namiętności ludzkiego stada, orgii zmysłowego użycia całej tej zgnilizny i anarchii etycznej, która charakteryzuje wielkie porty Europy. Tym utworem, tak różnym od wszystkich swoich innych powieści, świadczy Eckhoud o bardzo bogatej i różnorodnej możliwości swej twórczej. Tonem zasadniczym jego wszystkich bez wyjątku po-

wieści jest surowa, wysiłkiem woli tłumiona litość, tragiczna koncepcya życia i ów cierpki patos, który widzimy w niektórych rzeźbach Meuniera, w „Supplicié“ („Umęczony“) i „Grison“ („Gaz kopalniany“).

Pisarzem wręcz przeciwnym uczuciowo Eckhoudowi jest Eugeniusz Demolder. Tam smutek, zaduma nad rzeczy doczesnych przemijaniem, blade światło dnia powszedniego i cisza uśpionych piaszczystych równin, u Demoldera blask, ruch i życia weselna świąteczność.

Przyczem nadzwyczajna malarskość tła i ludzi, która nieustannie nasuwa porównania do najbardziej malarskiego z pisarzy, Teofila Gautier.

Demolder czuje doskonale tę naczelną władzę swojego talentu, to też wybiera przeważnie tematy stylowe i malarskie, troszcząc się więcej o barwność tła, o kostyumy i obyczaje, niżeli o umysłowe i uczuciowe życie danej epoki. Z tego oczywiście płyną wszystkie wady i wszystkie zalety jego utworów: „Szmaragdowa Droga“ („La Route d'Emeraude“) „Ogrodnik markizy Pompadour“ („Le Jardinier de la Marquise Pompadour“).

Wyjątek poniekąd stanowi prześliczna, dla dzieci przeznaczona książka, „Le Coeur des Pauvres“ („Serce Ubogich“), [1]) gdzie barwność i żywość opisów łączy się szczęśliwie z głębokiem, miłosnem współczuciem. Jest to jedna z najpiękniejszych książek dla dzieci, jakie mamy w literaturze światowej, książka, która podobnie jak „Serce“ Amicisa z rozkoszą i przez dorosłych czytywaną być może.

Pisarzem, cenionym w Belgii, według nas, stanowczo przecenionym, jest Leopold Courouble. Śmiało przepowiedzieć można, że ta jego zresztą czysto lokalna sława, nie przekroczy nigdy granic Belgii. Jego dziełem kapitalnem jest „La Famille Caekebroueck“, powieść, malująca obyczajowe i rodzinne życie zamożnego bejgijskiego mieszczaństwa.

Inne jego utwory są dalszym i znacznie słabszym ciągiem tej powieści i odznaczają się wszystkie pewną flamandzką dobrodusznością i flamandzkim, dla cudzoziemców stanowczo zbyt ciężkim i zbyt trywialnym humorem.

Urok rodzinnej flamandzkiej lub walońskiej ziemi sławi cała plejada pisarzy. Przoduje im Ludwik Delattre. Jego „Marjonetki“, „Bajki z mojej wsi“ („Les Contes de mon Village“), „Romans Psa i Dziecka“ („Le Roman d'un Chien et d'un Enfant“) mają miły staroświecki wdzięk, liryzm i naiwny humor bajek Grimma i Andersena. Powiedział o nich słusznie krytyk Al. Grimmaud, że są „zarazem rozczulające i śmieszne“.

---

[1]) Książka ta ukazała się w polskim przekładzie p. Mortkowiczowej.

Maurycy des Olbiaux, Sander Pierron, Jerzy Garnier, Hubert Crains, wszyscy ci pisarze są stanowczo utalentowani, lecz zbyt zacieśniają się w opisach życia już nie swojego kraju, lecz swojej okolicy, prowincyi lub nawet wioski, ażeby pozyskać mogli sławę inną, niżeli tak zwaną „gloire du clocher“. Natomiast Jerzy Rodenbach, jak wiadomo, cieszy się sławą światową, którą głównie zawdzięcza swoim utworom poetyckim.

Lecz napisał on również kilka istotnie pięknych i poetycznych powieści. Najbardziej znaną z tych powieści jest „Umarła Bruga“ („Bruges La Morte“). Swoisty odrębny czar tego jedynego w swoim rodzaju miasta, owa nieporównana melancholia, kosztowną patyną czasu pokrywająca domostwa, kanały i obrazy starych mistrzów, przenika nawskróś tę powieść. Bohater tego utworu, Hugo, w jednej miłości łączy umarłe miasto i umarłą żonę swoją. Z przedziwną czułością ożywiając naturę, martwe przedmioty i umarłą kochankę, tworzy bardzo odrębne i silne wartości uczuciowe. Ta żałosna idylla ma w sobie delikatny, spłowiały urok owych starych gobelinów, w kościele Św. Zbawiciela w Brudze się znajdujących.

Jego „Dzwonnik“ („Le Carilloneur“) jest raczej poematem, niżeli powieścią. Ten, który odbywał tajemnicze wycieczki w głąb „Oczu“ w głąb „Luster“ i w głąb „Ciszy“ (tytuły poematów Rodenbacha) takąż samą fantastyczną wędrówkę odbył w przeszłość ukochanego swojego miasta Brugi. Złote granie dzwonów wtórzy sielance dzwonnika Borlasta, która stopniowo zamienia się w miłosny dramat, aż milkną dzwony, wygrawszy przedtem pieśń swą pogrzebową młodemu samobójcy. Treść nikła, akcya prawie żadna, tylko postacie ludzkie są wyraźne, chociaż trochę sztywne, jak owe figurki na złotych i srebrnych półmiskach flamandzkich mistrzów złotniczego cechu.

Śród nielicznej garstki piszących Belgijek, uznaniem publiczności, a nawet i krytyki literackiej, cieszą się trzy powieściopisarki: Małgorzata der Viele, Blanche Rousseau i Maria Biermé. My tego uznania podzielać nie możemy. Niema w tych powieściach ani świetnego, choć często paradoksalnego, talentu takiej naprzykład Rachilde, jej niepokojącej fantazyi i chorobliwego czaru egzotycznych roślin, niema subtelności i wdzięku Marceli Tynayere, lub choćby szubienicznego, lecz porywającego humoru Coletty Villy. Te powieści belgijskich autorek mają w sobie mdły smak pracowicie usmażonych różanych konfitur i zabójczą nudę niemniej pracowicie sfabrykowanych frywolitowych robótek.

Romans psychologiczny, jak już zaznaczyliśmy na wstępie, rzadszy

jest w Belgii, niżeli we Francyi. Do tego rzędu utworów zaliczyć możemy ciekawe niezmiernie utwory Henryka Maubel. Są to historye czysto wewnętrzne, w których akcya minimalną odgrywa rolę. To zapatrzenie się w głąb własnej duszy prowadzi autora do ostatecznych granic uczuciowej wrażliwości, do niesłychanie czujnych apercepcyi duchowych stanów.

Sny odgrywają w tych dziwnych powieściach bardzo ważną rolę; są one niezmiernie ważkie dla Maubela, bo są one według niego ujawnieniem najistotniejszych, choć często nieuświadomionych pragnień, tęsknot i nakazów duszy.

Tutaj konstatujemy ten ciekawy choć niejednokrotnie już stwierdzony fakt, że artysta intuicyjnie odgaduje i uprzedza jakąś teoryę naukową. Maubel uprzedził niejako ciekawą teoryę Bergsona, według której sny są essencyą niezrealizowanych pragnień, pożądań i wszelkich podświadomych stanów duszy.

Maubel pragnie, jak się sam wyraża, stworzyć „metafizykę uczucia, do której potrzebna jest absolutna jedność wszystkich władz duchowych“, lecz jedność ta jest możliwa li tylko na ostatnich krańcach naszej świadomości.

Henryk Maubel jest pisarzem zbyt mało znanym nietylko u nas, lecz i w zachodniej Europie: jego dzieła są zbyt intelektualne i zarazem zbyt wytworne dla szerokich mas czytelników.

Ogólnie biorąc, niema w belgijskiej powieści tych arcydzieł i nazwisk o sławie wszechświatowej, któremi szczyci się dramat i poezya belgijska, lecz jest ona bądź co bądź ciekawem odźwierciedleniem tego z dwóch odrębnych ras, flamandzkiej i walońskiej, składającego się narodu.

Ta podwójna treść duszy narodu, który stworzył epos o Till Eulenspieglu i dzieła najciekawszego z mistyków średniowiecza, Ruysbrocka Przedziwnego, dał gloryfikacyę zaświatowego bytu w dziełach Van Ecków i Rogera van der Weyde i apoteozę doczesności w obrazach Teniersa i Rubensa, jasno występuje i w belgijskiej powieści.

I dlatego właśnie, że ta powieść, podobnie jak malarstwo i poezya, taka jest charakterystyczna i odrębna, zachowa zawsze swój samoistny żywot, mimo tożsamości języka, nie utonie nigdy w ogromnej fali francuskiej twórczości literackiej.

Czesław Halicz.



PRZEGLĄD.

Ze sztuki i z życia.

(Z wędrówek Irydiona).

A kiedy padł ów głos Pański: idź i czyń! duch Irydiona przyoblekł się w ciało ziemskiego wędrowca. Syn zemsty przeanielony — anielstwo szedł siać i wszechmiłość na ziemi mogił i krzyżów; pokolenie nienawiścią dyszące przerobić w wolnych synów Niebios.

Jako że krom ciała i szat potrzebował, a bez pewnych środków szat ziemskich nie otrzymasz, duch wzniosły długo musiał błąkać się w sferach międzyplanetarnych. Spotkał go nareszcie cień poety wielkiego. błądzącego zaopatrzył i niejako Wirgili drugi towarzyszyć jął mu w bolesnych jego peregrynacyach, mających przetworzyć krnąbrną duszę pobitego narodu.

I zeszli na padół polski, trwogi świętej pełni.

— Jakimże językiem anielskim mam do nich przemawiać, do tego plemienia o twardym karku, którego serce myślą zemsty na wrogach wre niechrześcijańską, a oczy płomieniem goreją?

— Warszawa!

Zdala już syn Amfilocha ujrzał znak misyi swojej świętej. Na wzgórzu niegdyś wolnem, budynek wznosi się posępny — stoki jego gdzieniegdzie wzdymają się, jakby od ostatnich oddechów pogrzebanych tu ofiar — wzgórze całe, jakby jedna mogiła.

— O ziemio!

Przypadł Irydion, usta przycisnął do świeżych jeszcze śladów stóp męczenników.

— Synu Amfilocha!

Wirgili lekko go dotknął.

— Zali nie widzisz, że krzyżów na owych mogiłach niema? Nie chrześcijańskie tu ofiary padły, nie tutaj etap męczeństwa i posłannictwa naszego...

— Pójdziemy więc. Tutaj-ż zatem owa stolica matki po sześćkroć zabitej. Tutaj przemoc, pycha i sprosność szatana północy rozpostarła swoje panowanie, od którego śmiech zamarł nawet w gardłach dzieci, a serca mężów planowaniem walk krwawych się zatruły... Spieszmy. spieszmy... Powyjmować z rękawów sztylety, wykorzeniać z serc plany zemsty straszliwe. Słyszysz jęki aniołów, przelatujących w nocy?

— Obawiam się — szepnął Wirgili więcej do siebie. — Owe jęki aniołów zbyt przypominają melodye piosnek, które nucono za moich czasów w bezbożnych siedliskach rozpusty paryskiej... A jakie obfite! Z każdej ulicy... Czy całe miasto dzisiaj tak... jęczy?

Spójrz, spójrz! Powóz... w nim mąż, na którego czole chmura... Pod futrem ubiór jego czarny, jak plan zbrodniczy, dokoła serca tylko plama biała, jako natchnienia czystego symbol... Co on zamierza? Dokąd pędzi? Wielkie nieba — na zamek satrapy! Bracie, bracie!

Spojrzał Wirgili — poznał.

— Hrabia Henryk! Ten sam wzrok orli, czoło dumne piorunowe kryje myśli, na obliczu głębsza tylko powaga. W obecnem swem wcieleniu dojrzał próbami poprzedniego żywota, zmężniał. Dokąd-ż spieszy? Wydać bitwę przywłaszczycielowi, rozkazującemu z zamku? Owładnąć wzgórkiem, panującym nad grodem i uczynić z niego nowe św. Trójcy okopy? Dziwna... Przy boku jego — Żona. Na jej twarzy łagodność i sodycz. Blask poezyi z jej oczu świeci.

— Proszę-ż cię bardzo — mówi do niej hrabia Henryk dość szorstko — bądź mi dla generał-gubernatora więcej niż grzeczną. Z Rady wyniosłem wrażenie, że przyszłość należy do biurokracyi i tylko do niej. Z nią zresztą biedny kraj lepiej sobie radzi, niż z konstytucyami, pociągającemi za sobą rozmaite demokratyzmy. I dla tego przechrzty-bankiera bądź względną. Skoro otrzymamy koncesyę, on akcye nasze wprowadzi na wszystkie giełdy. Odrodzenie ekonomiczne przedewszystkiem!

Uśmiechnęła się żona tkliwie. I jej sprawy kraju nie są obce, a dla bankiera już od kilku miesięcy jest względna. Krew w nim prawdziwie wschodnia...

— Cóż tam Jerzy? dawno się nie pokazał.

— Pisze. Powieść nową o chwale przodków i obcych żywiołach.

— To wcale dobrze, żeś wyprosiła dlań u Boga dar poezyi. I tacy dziś potrzebni. Od czasu, jak kuzyn Stanisław z Krakowa wprowadził rzecz w modę także w naszej sferze — można niejedno zdziałać. Tylko strategicznie siły rozłożyć! A czy nie zgrywa się pan syn zanadto?

— Co oni szepcą? — zapytał Grek, jako że mowy tuziemców jeszcze nie opanował. — Wąż zemsty straszliwy pełza po ich twarzy... u męża z sykiem srogim, u niewiasty pod uśmiechem chytrym... Błyśnijmy przed nimi anielstwa szatą białą...

— Poezyo, bądź mi...

Nie dokończył duch przewodni, inna postać zajęła ich uwagę. Otulona w płaszcz ciemny, jak czarna tajemnica, przesuwała się pod murami krokiem szybkim, ale stanowczym, zwiastującym potęgę; oczu nie widać. wpatrzone w siebie, jakby w ogrom myśli światów. Za nim kilku młodych i starych, w kornej postawie, z oczyma wlepionemi w męża tajemniczego.

— Pankracy!

Mężne serce syna Grecyi zadrgało. Przeszyła je święta trwoga przed zbrodnią, która oto gotowała się w cieniu nocy. Znał nazwisko wielkiego trybuna; wiedział, że jako sam Rzym niegdyś nienawidził, tak ów wódz tłumu namiętną pała nienawiścią ku rządom imperatorów północy. Pod niebo niedawno biły jego nawoływania do walki z barbarzyńcą; oceany pruł, by zyskać odsiecz; chrześcijan-gladyatorów i niewolników w posłuszne kadry formował, by na ich czele bronić północnej Hellady. Sam raz wszedł już był między kwirytów znienawidzonego Heliogabala, poczem się odsunął, sądząc snać, że godzina jeszcze nie nadeszła.

Czyżby teraz?

Odwrócił się ku towarzyszom. Czoło wysokie, przestronne, w obecnej inkarnacyi przyozdobione włosami, jako i twarz przyozdobiona tuszą, świadczącą, iż Pankracy-Wallenrod jadał nieraz przy sutym stole dla

zmylenia pozorów; ale jak dawniej — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomięszania nie dojrzeć. Wzniósłszy ramię, wyciągnął — towarzyszący mu Leonard, wierny Blanchetti i chór lokai schylają głowy, zda się, że wnet uklękną przed tem uosobieniem wielkiego rozumu.

— Bracie — wymówił Irydion przejęty. — Anielstwo przyszedłem głosić.

Nie dosłyszał Pankracy, lub też nie rozumie tych słów.

— Widzieliście hr. Henryka? — szepce — Ja zawsze mówiłem: dwa orły z nas. Teraz on gotów moje gniazdo strzaskać...

— ...Uprzedzę! — wyrzekł za chwilę cicho, ale głosem, który dreszcz wywołał.

— Przebóg! — duch Irydiona westchnął modlitwą. Nie dopuści do zbrodni, której ten potwór zdrady gotów dokonać nad wodzem pretoryanów Heliogabala i poetycznie obcującym z nim patrycyuszem pobitego narodu. — Nie, nie, to stać się nie może.

Pankracy jednak natchnienia, idącego z góry, nie odczuł. Wpatrzony tylko w siebie i w otchłanne myśli swoje, wyrzekł dobitnie:

— Pójdę do dygnitarza pretoryanów, zaofiaruję s w o j e usługi! Cenniejsze, niż hr. Henryka. Wszak za mną cały naród!

— Poezyo, poezyo moja! — szepnął Wirgili rozpaczliwie.

— Dramat układasz! — doszedł go głos z góry.

...Słusznie. Nie na dramaty miejsce tutaj — w tym grodzie, w którym błazny zaczynają robić historyę i błazny stają się wychowawcami narodu.

— Zabłądziliśmy — oświadczył Wirgili synowi Amfilocha. — Niewola tak tutaj wyniszczyła duchy, iż nienawiść ku ujarzmicielowi i miłość Hellady inne sobie obrały siedlisko. Są tutaj mogiły, ale bez krzyży, są zgorzałe chaty, ale nie masz już zniszczonych pałaców, ni jęków aniołów — znak najlepszy, żeśmy źle trafili. Gdzieindziej twoja próba, nawróconej zemsty synu, i tam pole naszej pracy. Goreją jeszcze płomienie czarne nienawiści i zemsty w sercach ziemskich moich rodaków, i musimy zdrojem łaski je gasić, by pożar piekielny nie ogarnął świata.

— Lećmy...

...Tutaj-ż obecnie kres nasz? Prawda, gród smutny, starożytny... Zdala już dolatują dźwięki licznych dzwonów... Te dźwięki dzwonne — ileż Hieronimowi przypominają! Więc tutaj ona ziemia...

Krzyże widać — tylko gdzież mogiły? Czyżby mogiłami były owe gmachy, nad którymi krzyże sterczą, mogiłami myśli i nadziei, lub też dusz wolnych? A może, może dawno już nie walczono tutaj?

Milczał cień poety.

A może słowa jego nie dochodziły, gdyż zatopił je szum licznych głosów. Jak fale wzburzone, biły one wysoko, piętrzyły się, przewalały. Jak daleko okiem sięgnąć, nie widać było działających, wszyscy natomiast rzucali potoki słów, szumnych i górnych, wszyscy — mówcami.

— Znów błądzimy, cieniu bratni — szepnął Irydion. — Wszak ziemię ową poznać miałem po milczeniu mężów... Milczy mąż, gdy myśl go ogarnia głęboka, milczy przy dziele swojego żywota, tu zaś wszyscy mówią...

— Bracia! — krzyknął radośnie poeta. — Szum to chyba husaryi... Szyki sprawiają...

Spojrzeli.

W sali pięknego gmachu oddział bojowy. Szumny, strojny, zbrojny. Oto ułan śmiga chorągiewką; kilka krzywych szabel, na Turkach zdobytych, zabrzękło groźnie; husarz potrząsa skrzydłami, inny straszliwą prostuje dzidę. Za nimi mały, ale doborowy oddziałek kosynierów, snać przodownicy; aż dusza się raduje na widok tych włościan polskich: co za lica rumiane, co za miny od stu dyabłów, jak zadzierżyście ujęli swe kosy...

Z szlachtą polską polski lud — szepnął Wirgili.

— Bracie, bracie, nie dopuścimy, by duch buntu i krwi zwyciężył...

Młody na twarzy, ale senatorskiej snać krwi pułkownik przybiegł. Orlem spojrzeniem objął szeregi, buławą tu i ówdzie coś poprawił, gromowem słowem dodał animuszu, wzniósł nareszcie buławę ruchem hetmana potomka hetmanów.

— Poprowadzi lud do bitwy,
Kto prowadzić lud ten umie:
Szlachta Polski, Rusi, Litwy —

wymówił Wirgili w upojeniu.

— Naprzód! — zagrzmiał pułkownik. — A z ogniem, panowie Hołubca! Dziś-dziś-dziś..

— Zasłońmy oblicza, by nie patrzeć na krwawe czyny legionu — wyrzekł syn Hellady z niezapomnianym dotąd gestem rzymskim.

Pomógł mu Wirgili zasłonić oblicze, odciągnął.

Znaleźli się w jakiejś sali.

Same prawie siwe głowy. Pany radne. Senatorskie czoła powagą głębokiej myśli ozdobione, a nad wszystkimi postać dostojna a sędziwa. Oko pała natchnienia blaskiem, głos z piersi melodyjny a jakby od ołtarza. Wzniósł rękę, a słowa, z ust tryskające, w jednej chwili jakby dym mirry i kadzideł siać zaczęły.

— Na Herkulesa! — syn Amfilocha w zdumieniu aż zapomniał się i jak młodzieniec w młodej jego ojczyźnie zaklął. — Więc u was także senatory należą do spisku.. w nocnych rozmowach kują oręż zemsty?

A złotousty mówił:

— Niegodne zapewne usta moje, ale czyjeż są dosyć godne, dosyć wymowne, dostatecznie natchnione, aby wyrazić całą naszą pokorę, całą uległość, całe synowskie posłuszeństwo, wobec niezbadanych wyroków Opatrzności, która jarzmo na nas nałożyła? Nie wolno nam chcieć zmienić woli bożej, bo gdyby Polska była wolna — Skarga okazałby się fałszywym prorokiem, Koźmian fałszywym politykiem, a pani Deotyma fałszywą poetką. Ojców więc zwyczajem — czy nie zaniedbywanym zanadto? nie zdeptanym zbytnio przez młodsze pokolenie, niechcące czytywać nawet książek ks. Kajsiewicza? nie jestem powołany sądzić, nie orzekam, nie wyrokuję: od tego są prokuratorye trzech państw — może zbyt mało czujne w śledzeniu ducha bezbożności i przewrotu — nie wiem, obawiam się tylko, wzdrygam się — pomny, że duch św. dzieci różdżką karać każe. My zaś ojców zwyczajem w trzy strony trzy pokłony oddajmy, ze zbolałem sercem,

ale podniesionem czołem, ofiary win własnych, wielkich, smutnych, nieskończonych. Teraz pokrzepieni, możemy obmyśleć godny obchód ku czci poety, który nie był jak ów biedny Słowacki chory na duchu, szatański, buntowniczy, bluźnierczy, ale urbi et orbi głosił afirmacyę, poprostu powiem — gloryfikacyę, więcej rzec mogę: piękność, mądrość sumienia w stosunku do kobiety, do żony, do ludu, a lubo jako poeta zagmatwany bywa, ciemny, niezrozumiały, zato miał odwagę, tak jest! odwagę miał być sprawiedliwym nawet dla szlachty.

— Chodźmy, chodźmy — Wirgili ruchem raczej staropolskim, niż duchowym, pociągnął towarzysza.

Popłynęli do drugiej sali, odosobnionej, zacisznej, gdzie tylko paru było mężów w głębokiej kontemplacyi pogrążonych. Jeden z nich podniósł głowę, ruchem uroczystym złożył w dłoń starszego prawicę grubą, szorstką, noszącą ślady ciężkiej pracy przy pługu pokoleń całych.

— Zgoda, panowie — wyrzekł. — Oddaję wam setki tysięcy chłopstwa do wszystkich wyborów, ale koncesye, karczmy — nasze!

Szpakowaty trochę usłużnik wybiegł. Wrócił za chwilę w towarzystwie sędziwego marszałka senatu.

— Pobłogosław wielkiemu dziełu — zawołał, klękając. — Oto upragniony cud: z szlachtą polską polski lud.

— Błogosławię! błogosławię. Złotousty miał w oku łzę atramentową.

— Wirgili! Wirgili! dokądż mię zaprowadziłeś?

— Zaczynam nie poznawać Polski. Greku, szukajmy, szukajmy...

A oto zebranie. U wejścia napis: Dzień ducha. Panowie, damy, w uroczystych strojach i nastrojach. Na ustach wszystkich imię czczonego poety. Znów złotousty odprawił mszę pontyfikalną, potem położył dłoń na głowie ucznia ulubionego, któremu trudy myślowe włosy z głowy zżarły, blask odebrały oczom, na wargach tylko zostawiły wyraz cokolwiek niemiły: żabi.

Wybrany wstąpił na mównicę. Podniosłość i rozum jaśniały mu w tej chwili na czole, udzieliły się zebranym.

„Miłość w życiu Krasińskiego“ — zaczął. — Rozprawa w pięciu tomach...

Syn Amfilocha spojrzał — towarzysza nie było. Znikł w eterze.

Zdumiał się Grek bohaterski, spłynął na ziemię.

...Dzień ducha dla mnie teraz dopiero nastaje — powiada sobie. — Żali nie powiedziano mi, że tu powtórna próba moja? Mała zmiana. W jedno serce moje miały się wcielić myśli tysiąców, teraz — widzę — będą mąk tysiące. Ale dla miłości Grecyi...

Wyszedł na ulicę, na plac publiczny. Ciemności nocy były rozświetlone blaskiem ogni, jarzących się w wielu oknach. Na innych szybach widniały karty zadrukowane, jakby zwiastujące fakt wielki. Wszędzie tłumy. Uroczyście przystrojeni ludzie wracają z świątyń sztuki, spieszą do świątyń rozpraw uczonych. Młodzież obojga płci snuje się, szepce...

Nawrócony syn zemsty przystanął, natchnionem spojrzeniem objął tłumy.

— Męczennicy! zawołał głosem silnym. — Męczennicy podwójni:

bo i przemocy krwawej i krwawych myśli własnych! Ofiary! Dzieci matki zabitej! o wy, co żyjecie myślą zemsty srogiej i broń kujecie na katów ojczyzny ujarzmionej! Niewolnicy ciała, ale ducha herosy!!!

Otoczyły go tłumy zdumione.

— Co to za zjawisko? Po jakiemu on mówi?

Brutalna dłoń spoczęła na nieznanym apostole. Zaprowadziła go do dziwnej izbicy. Padło niezrozumiałe słowo:

— Protokół!

— Synem Hellady jestem, ale odrodzonym. Wyplenilem z serca zielsko nienawiści, wyzwolenie niosę, wyzwolenie zwiastuję prawdziwe!

Pan z piórem spojrzał uważnie, zaczął pisać.

— Wiem, co mnie czeka — wołał zwiastun. — Miłość swą ujrzę nieraz przebitą, konającą, a sam nie będę mógł skonać... Ale spokojny jestem. Spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych. Spokojnym — bo zwyciężę miłością i cnotą!

— Miłością i cno...?

Pan pióro odłożył.

— Można wypuścić w świat. Irydion nie będzie dziś dla nikogo niebezpiecznym. *Tadeusz Bezimienny.*

Teatr krakowski.

(x). Karnawał miniony, poświęcony — jak zwykle — muzie lekkiej, importowanej z Paryża, dał nam także kilka wieczorów, godnych zanotowania.

Przemówił po raz pierwszy w naszym teatrze nowy talent: Czesław Halicz. „Sąd“ doznał przyjęcia bardzo niejednolitego: część prasy i publiczności przyjęła dzieło z najwyższem uznaniem, inni recenzenci bezwzględnie je odrzucili. Krańcowość sprzecznych tych opinii świadczy, że stoimy przed indywidualnością pisarską, wnoszącą jeśli nie nowe, to własne, poruszające głęboko walory. Czyni to p. Halicz — i w tem zrywaniu ze starymi szablonami, w tej potrzebie wypowiadania się myślącej, głębszej duszy, widzimy wysoce dodatnią cechę. Dosyć już mamy trójkątów i czworoboków małżeńskich w życiu i na scenie, dosyć „zagadnień“, kryjących się pod peleryną cygańską. Autor ma własny świat form i uczuć, złączony z nerwami świata, w którym doprawdy się myśli, doprawdy się czuje. Urządza więc „sąd“ nad sądem naszej moralności, t. j. naszych kłamstw w stosunku do człowieka, mającego w swej przeszłości plamę, którą zmył — pokutą więzienną, ekspiacyą wewnętrzną. Za spełniony w rozwichrzeniu młodzieńczem grzech przeciw prawu własności bohater Jan odsiedział kilka lat więzienia, wychodzi potem w świat innym człowiekiem i żąda, by mu winy zapomniano, przyjęto go w skład społeczeństwa. Nadaremnie! Piętna winy nikt nie chce mu zapomnieć. Życia normalnego dlań nie masz. Wraca tedy do wykolejeńców, do ciemnego królestwa grzechu.

Robiono autorowi zarzut, że nie ukazał bohatera w walce ze światem, tylko „na łonie“ rodziny, która roztacza przed nami cały

repertuar cnót mieszczańskich: więc wygodne filisterstwo, nie chcące wzruszeniami i skandalem nadwerężyć swego świętego spokoju; karyerowiczowstwo młodego lekarza, który boi się stracić dobrą reputacyę przez spowinowacenie się z byłym złoczyńcą; doktrynera, dającego bratu akurat tyle, ile teorya układu społecznego pozwala, lecz bez krzty serca i t. d. My widzimy w tem odsunięciu Jana z szerszej areny społecznej dowód wysokiego taktu artystycznego autora. Nie konflikt społeczny chciał przedstawić, lecz etyczny. Jeśli wobec Jana w ten odpychający sposób zachowuje się własna rodzina, cóż dopiero mówić o reszcie świata! Jeśli we własnej rodzinie nie masz „cudu“ zapomnienia, dopieroż jakiem zimnem wieje „społeczeństwo“.

I tu dochodzimy do węzłowego zagadnienia sztuki. Zdaje nam się, że autor błędnie swój problemat nazwał. Z całej sztuki wynika, że nie o brak „zapomnienia“ winy chodzi (byłoby to cnotą tanią, mechaniczną), lecz o brak na świecie miłości. Z za konstrukcyi teoretycznej, suchej trochę i doktorskiej, spogląda ku nam twarz bolu pełna i troski; czemu w tym waszym świecie tak zimno... tak brak serca? I w kontraście do tego świata staje czternastoletnia siostrzyczka skazańca, która umie jeszcze kochać. Ona jedna ma w niezepsutej naturze ów kwiat czarowny, ona jedna spełnia ów cud, od którego ukojenia spływa w serce skazańca, czyni go zdolnym do życia, uczyniłby go prawdziwym w społeczeństwie człowiekiem, gdyby zimno grobowe życia — tego cudu nie zwarzyło. Wszak nawet matka, kochająca syna bardzo szczerze, dała się także zwieść wymogom praktycznym życia, ze względu np. na karyerę dorosłych dzieci nie ukazuje w jednem z niemi towarzystwie syna marnotrawnego.

Źle jest „robiony“ Sąd — być może. Wytrawny rzemieślnik sceniczny uniknąłby wielu momentów niezgrabnych, nieprzygotowanych, będących oczywistą demonstracyą doktryny, etc. Pierwszy akt jest jednak zbudowany z zadziwiającą pewnością. Szereg scen krótkich, urywanych, doskonale malujących charaktery i środowisko. Potem — dwie postacie. Siostrzyczka bohatera i matka. W pierwszej jest tyle prawdy i poezyi, że starczy za całe poematy. P. Janiczówna grała ją z dużym wdziękiem i szczerością. Z postaci matki wydobyła p. Kosmowska pod koniec sztuki rozdzierające akcenty tragizmu; kobieta po prostu kochająca i silnie, zahukana przez życie tak, że widzi syna, idącego w świat przepastny, a nie ma w sobie mocy, by go zakląć, zatrzymać, uratować — postać ta zamało przez autora wyzyskana, przez p. Kosmowską w ostatnim momencie podniesiona na wysoki stopień artyzmu. Doskonali też byli, jako miłe rodzeństwo, pp. Morozowiczówna i Kosiński.

„Sąd“ zwiastuje talent prawdziwy, o kobiecem sercu i silnym intelekcie, który jeśli zachowa to źródło poezyi, jakie biło z postaci Dosi, a zatrze pewne kanciaste doktrynerstwo, dużo literaturze może przynieść.

Wszystkie zalety, jakich brak sztuce Czesława Halicza, ma z naddatkiem sztuka Tadeusza Konczyńskiego „Straceńcy“.

Tu ani śladu nieporadności w budowie, ani jednej sceny bez

należnego efektu, ani jednego aktu bez zakończenia, składającego samo niejako ręce do oklasku, ani jednej roli, którąby nie stanowiła pola do popisu aktorskiego. Wszystko obliczone i teatralnie zajmujące. Tytuł; treść (czarny i biały charakter walczą o samicę, nareszcie szlachetny w braku innego wyjścia strzela uwodzicielowi w łeb); akcya posuwa się umiejętnie, coraz bardziej napręża uwagę, napięcie rośnie, przez cały akt ostatni wiemy, że strzał padnie i czekamy z drżeniem nerwowem: kiedy to się nareszcie stanie; rzecz w pełnem słowa znaczeniu efektowna: powodzenie zapewnione.

Nie chciałbym wobec autora być złośliwym. P. Konczyński miał szlachetną ambicyę zostania pisarzem scenicznym; terminował długie lata, wyuczył się wszystkiego, czego pilną obserwacyą i pracą wyuczyć się można — nie ma tylko tego, co z sobą na świat przynieść trzeba.

Teatr polski konsumuje co roku tyle sztuk, że dobrze robione sztuki swojskie z wielu względów mają racyę bytu. Zło nie leży w nich, ile w fałszywych miarach i wagach, jakie krytycy niektórzy á propos zaprowadzają, jak w owych czasach, kiedy Feuillet, Ohnet lub Sardou byli wielkimi autorami i przytłaczali prawdziwą poezyę, prawdziwy dramat na scenie.

Oddajmy więc warunkom teatralnym „Straceńców“, co im się należy, nie analizujmy ich zbyt szczegółowo — nie poto autor rzecz swą pisał, i nabrawszy tchu, po przygotowaniu wewnętrznem, wchodzimy do teatru, przemienionego na ten wieczór znowu w świątynię: ku uczczeniu Zygmunta Krasińskiego.

I znowu sprawdziło się, co już niejednokrotnie na tem miejscu głoszono: że posiadamy skarby nieznane nietylko w łonie ziemi, ale i na ziemi, w poezyi dramatycznej, która dotąd czeka odkrywców — wcieleń scenicznych. Mamy polski dramat jeden z najwspanialszych w Europie, a dotąd prócz fragmentów olbrzymiej pracy Słowackiego i Wyspiańskiego go nie mamy.

Grano z „Nieboskiej“ rozmowę między hr. Henrykiem a Pankracym, trzy sceny z „Irydiona“ (w katakumbach i między Irydionem a Ulpianusem).

Przemówiła cudotwórcza moc artyzmu.

Artyzmu — trzeba podkreślić: jeszcze nie wieszcza i nie dramatu.

Czarodziejem serca ludzkiego jest przedewszystkiem artysta, zaklinaczem jego tajemnic i snów potęgą kształtu i słowa. W tajniki duszy wprowadza nas, przeżywamy z nim wstrząśnienia, które nas wznoszą nad padół nędzy, czynią uczestnikami czystego człowieczeństwa i kosmosu.

Krasiński te przeżycia nam daje.

W rozmowie między Henrykiem a Pankracym przeżywamy z poetą kataklizm zderzających się z sobą dwóch światów. „Irydion“ ukazuje Krasińskiego, jako demonicznego wcielacza nietyle idei — za co „Irydion“ jest pospolicie uważany — ile dusz ludzkich. Nie idei powiadam, gdyż założenie dzieła jest zupełnie fałszywe. Bohatera widzimy więcej jako nienawidzącego Romy, niż kochającego Helladę; nie miłość twórcza jest jego myślą prawdziwą, lecz zemsta niszczycielska. Brak mu przeto z góry prawdziwego patosu etycznego, o który poecie chodzi, i łatwe

też nad nim zwycięstwo. Swoją drogą charakterystyczny dla poety jest ów pogląd, iż patryoci kraju pobitego więcej nienawiścią ku wrogowi pałają, niż miłością ku ojczyźnie. Nie wieszcz przemawia tedy z dzieła, lecz jeden z największych artystów. Jakież rozsnuł przed nami bogactwo obrazów, jaką liczbę dusz, najdziwniejszych, najbardziej złożonych — każda zasługuje na studyum — każda posągowa, językiem monumentalnym. I pomyśleć, że pisał to prawie młodzieniec, gdy za każdem słowem wieki kultury tutaj stoją, i że poezya polska miała podobne utwory już przed 80 laty. Małe zaiste postępy robimy — i jestto nie do darowania winą naszych profesorów literatury, frazeologicznych czcicieli poety, że interpretując go tendencyjnie, zamiast ukazywać jego piękności, odwrócili od niego tyle serc. Cały kult Tarnowskich z interesu partyjnego płynie; gdyby rozumieli poetę jako artystę, dawno żyłby na scenach polskich.

Tymczasem dramatów scenicznych Krasińskiego jeszcze nie mamy. Wymagają one, podobnie tak Szekspir, jak wiele najwspanialszych dramatów romantycznych, opracowania, t.j. przeżycia dramatycznego, przeżywa się je zaś tylko ze stanowiska tendencyi [1]). Wymagają one dalej warunków, jakie w ostatnich czasach swoim przedstawieniom daje np. Reinhardt. „Irydion“ na jego widowni „cyrkowej“, z aparatem kilkuset ludzi dla kilku tysięcy — kiedyż my tego dożyjemy?!

Teatr krakowski był w tem szczęśliwem położeniu, iż dla „Irydiona“ miał wspaniałe dekoracye katakumb, salę zaś Amfilocha skomponował p. Spitziar stylową. Wrażenie było przejmujące. Tłum doskonale wyreżyserowany, p. Józef Węgrzyn jako Irydion, daje się jeszcze trochę unosić głosowi i szorstkości ruchów, grał jednak pod koniec z przejęciem, wspaniały jego głos rozbrzmiewał wszystkiemi nutami walki i miłości, ironii, entuzyazmu — porywał. Sekundowali mu dzielnie p. Pytlińska, jako Kornelia i p. Maksymilian Węgrzyn w monumentalnej postawie Ulpianusa. — W „Nieboskiej“ p. Sosnowski znowu miał sposobność do okazania całej potęgi swego silnego a szlachetnego talentu. Spiżowe tony jego Pankracego nie gubiły ani jednego odcienia myśli poety, mroziły szyderstwem, ścinały chłodem demonizmu. Mniej zadawalniał p. Weychert. Inteligentnemu artyście w ostatnich czasach zdarzają się wieczory, kiedy gra bez przekonania, zacierając barwy swych postaci, skąpiąc siły nawet głosowi swemu. Tak było w „Sądzie“, tak w „Nieboskiej“, tak w „Godach życia“.

Kilkanaście miłych wieczorów zawdzięczamy gościnnym występom pani Maryi Przybyłko. Zdanie swoje o występach gościnnych jużeśmy

---

[1]) W ostatniej chwili wyszło drukiem opracowanie „Irydiona“ dla sceny „w duchu reformy teatralnej oryginalnie pojętej“, pióra B. Fellera. O ile reforma autora jest poważną, trudno sądzić, gdyż wprowadzenie sceny ruchomej nie jest nowością, o wprowadzeniu zaś recytacyi, tempa, rytmu, barwy etc. autor tylko opowiada, nie ukazuje tego. Na podstawie książki drukowanej można mówić tylko o pracy inscenizacyjnej. Ta nie może być nazwana szczęśliwą. Odrazu Prolog tak zredagowany, że treści zgoła nam nie tłumaczy; wskazówki takie, jak „Skaldy siwe rzucają przekleństwo“ dla teatru nie mają żadnego znaczenia, gdyż tekstu owego przekleństwa nie znajdujemy, i t. d.

mieli sposobność wypowiedzieć; przy tym systemie o stałym, wielkim repertuarze nie może być mowy. W braku wybitnych sił komedyowych występy pani Przybyłko były urozmaiceniem pożądanem. Talent artystki nosi wszystkie cechy szkoły warszawskiej; najlepiej jej się udają role „damskie“, jest w niej miękkość, kobiecość, poezya słabości, podniesiona umiejętnością finezyjnego dyalogu. W pewnych momentach wznosi się do wyżyny dramatycznej (III i IV akt „Godów życia“), i przy niedużym głosie wydobywa mnóstwo odcieni, stopniowanych umiejętnie, często z uczuciem, nigdy trywialnie.

Kilka doskonałych sylwetek dał w ostatnich występach p. Jednowski (biskup Wiktor, mąż z „Godów życia“, przepyszny Nieciuszko z „Aktorek“); zaczyna na siebie zwracać uwagę charakterystycznemi kreacyami p. Noskowski.

SPRAWOZDANIA.

Z filozofii sztuki.

Michał Sobeski. Interludya. Z pogranicza sztuki i filozofii. Krakww, Gebethner i Spółka.

W krótkim czasie obdarza nas autor trzecim już tomem prac, z dziedziny tak bardzo u nas zaniedbanej. Po estetyce idealistycznej, której ostatnimi przedstawicielami byli pp. Struve i Massonius; po pionierskiej pracy Witkiewicza, który w pierwszej swej fazie realistycznej walczył niestrudzenie o uczciwość formy w sztuce, w ostatniej zaś fazie o wysokość ideału, p. Sobeski odświeża gruntownie dziedzinę naszej estetyki, wnosi nowe zagadnienia i samodzielne rozwiązania. Do literatury wszedł p. Sobeski z dobrem przygotowaniem przyrodniczem, rozszerzonem przez szerokie wykształcenie filozoficzne i humanistyczne; ślady tych przeżyć umysłowych znajdujemy też w pracach jego estetycznych. Z dziedziny przyrodoznawstwa wniósł palące pytanie co do metody naukowej, z drugiej — potrzebę syntez, zaspakajających zarówno umysł, jak i uczucie. Odpowiedzi znajdujemy właśnie w ogłoszonych dotąd pracach. Gdy „Uzasadnienie metody objektywnej w estetyce“ (Kraków, 1910, Akademia Umiejętności) daje wielką jednolitą konstrukcyę ideową, pomieszcza autor w pomniejszych rozprawach, ogłoszonych w zbiorze obecnym i poprzednim („Przędziwo Arachny“) niejako szkice przygotowawcze, oraz ilustracye do tez dzieł swych zasadniczych.

W kwestyi metody wiemy, że autor jest zwolennikiem poglądu, przyjmującego objektywne kryterya estetyczne. Odrzuca estetykę psychologiczną, gdyż w najlepszym razie jest ona — psychologią, a o ile ją chce przekraczać, zmuszona jest szukać czynników objektywnych; odrzuca też estetykę normatywną, gdyż ta zbyt często przybiera wobec artysty i dzieła charakter li pedagogiczny; nie dowierzając zbytnio zmiennemu subjektywizmowi, szuka zasad niezmiennych, które miałyby

cechować dzieło sztuki. W rozprawie „Z filozofii tragedyi“ mamy szereg analiz, doprowadzających nas do konkluzyi, że gdzie ma mieć miejsce tragizm, tam muszą współistnieć wolność i konieczność: wolna droga, po której bohater kroczy samowładnie, musi być identyczna z konieczną drogą, wiodącą nieodzownie ku katastrofie. W zastosowaniu do innego problematu dochodzimy do rezultatu: że np. wolność i konieczność, to treść uczuciowa dzieła; z chwilą, gdy te uczucia ukształtują dla siebie formę, powstanie stosunek formy do uczuciowej treści, który nazwiemy pięknem. Doskonałość tego stosunku — to konkretny ideał piękna.

Należy podkreślić niezmiernie nowoczesny charakter owych poglądów dra Sobeskiego. Kwestya naukowości metod badawczych została w ostatnich czasach, jak wiadomo, poddana bardzo ścisłej rewizyi w naukach przyrodniczych, wywołała sądy Poincare'go i innych, zupełnie sceptyczne dla podstaw nauki. Poincaré mówi o „olbrzymiem misteryum świata“, którego nauka nie ujmuje i nie ogarnia — określa ona natomiast stosunki między rzeczami i one stanowią jedyną dostępną nam rzeczywistość przedmiotową. Dr Sobeski zdąża również w zasadach swych estetycznych do ujmowania stosunku między treścią a formą; ta formuła jest dziedziną nauki. Ale jak w naukach przyrodniczych poza rzeczywistością przedmiotową zaczyna się tłómaczenie tego świata, jego sensu i celu, więc filozofia — podobnie w estetyce dra Sobeskiego po zrozumieniu objektywnych warunków piękna tragicznego powstaje pytanie przyczyny wspomnianego konfliktu między wolnością a koniecznością, co ma być treścią tragedyi. Tu zaczyna przemawiać metafizyka.

Na jeden jeszcze punkt należy położyć znaczny nacisk. Porównaliśmy teoryę estetyczną autora z teoryą nauk ścisłych, znajdując analogię. Nie wolno nam jednak zapominać, że stosunki, będące przedmiotem np. nauk fizykalnych, są dostępniejsze objektywnemu badaniu, niż stosunki, stanowiące dziedzinę estetyki; twórczość, będąca cechą także badaczy ścisłych, wymogiem staje się na polu estetyki, jako współtwórczość krytyka, względnie także widza, czytelnika i t. d. „Psycholog, który nigdy nie przeżywał żadnych stanów twórczych, nie może nam nic powiedzieć o istocie przeżycia twórczego“! Słusznie. Mniej więcej to samo trzeba też powiedzieć o publiczności. Otwiera się tu szerokie pole dla intuicyi, wyrobienia gustu estetycznego — i tem większą jest potrzeba poważnej dyscypliny.

Subjektywizmu, jako takiego, autor się nie lęka. Zasadniczo porusza te pytania w studyach o Bergsonie, o metafizyce, o mistyce. Doktor Sobeski jest jednym z przedstawicieli młodszego pokolenia naukowców, które zerwało z pozytywizmem poprzedniej generacyi i sięga do głębokich źródeł spekulacyi filozoficznej. Okazuje on przytem uznania godną wstrzemięźliwość. Umysł czujny, przyzwyczajony do samokontroli pracowników przyrodniczych, nie sięga do świata pozadoświadczalnego bez potrzeby, ale gdzie fizyka się kończy — przechodzi do państwa metafizyki śmiało i z powodzeniem. Stwarza tedy metafizyczną teoryę tragedyi, uznaje intuicyonizm Bergsona, nawet mistykę, ale zaw-

sze na podstawie i pod kontrolą metody dyskursywnej, analitycznie-naukowej. Dochodzimy w ten sposób do pełni człowieka i świata.

Nietylko badacz przemawia z tych kart, lecz i indywidualność niepowszednia. Autor, operujący dawniej materyałem naukowym przeważnie niemieckim, przebył w ostatnich czasach dobrą szkołę u filozofów polskich (niektóre termina Cieszkowskiego i Trentowskiego odnowił bardzo szczęśliwie!) i francuskich; interpretuje je samoistnie i rzetelnie wzbogaca zakres naszej kultury nietylko jako uczony, lecz i jako essaista. Takie rozprawy, jak „Z filozofii tragedyi", „Idea w sztuce", „Twórczość artysty", „Drogi do metafizyki", należą przy całym swym spokoju i unikaniu efektów, do najlepszych, jakie u nas w ostatnich czasach pisano. *Lector.*

Hipolit Taine: Filozofia sztuki. Przełożył Antoni Sygietyński. Wydanie II na nowo przejrzane i poprawione. Z 48 ilustracyami. Lwów. Księgarnia Polska B. Połonieckiego.

Dzieło Hipolita Taine'a ma dla filozofii sztuki znaczenie epokowe. Wypowiedziane w niem sławne teorye o rasie, dobie i środowisku, mające stanowić podstawę rodzenia się dzieł wielkich; poddane tutaj analizie cechy (stopień zbieżności efektów, porządek ważności), mające decydować o doskonałości dzieła, o ideale w sztuce.

Teorye Taine'a wywarły swojego czasu olbrzymi wpływ na umysły i długo były kanonami nowoczesnej estetyki. Dzisiaj powaga ich znacznie zmalała. Dziś wiemy, że metoda przyrodnicza w dziedzinie piękna nie da się stosować, że czynniki analityczne, wymienione przez Taine'a, nie wyczerpują ni indywidualności artysty, ni znaczenia jego utworu. Z tem wszystkiem ma ta filozofia sztuki doniosłe znaczenie. Myśliciel z niej przemawia, niezrównany w metodyczności analizy, a przedewszystkiem pierwszorzędny artysta słowa. Bogactwo i plastyka jego stylu czynią książkę prawdziwem dziełem sztuki.

Wydanie wytworne. *Ch.*

Z niwy dramatycznej.

Dwa dramaty, ogłoszone przez Andrzeja Galicę [1]), wskazują na wybitny talent pisarski, który przy większej niż dotąd śmiałości i jaśniejszem zdaniu sobie sprawy z warunków scenicznych, mógłby tworzyć dzieła silne, o trwałem znaczeniu.

W przedmowie, poprzedzającej „Przysięgę", Wł. Orkan charakteryzuje autora, jako sprawiedliwego górala, zalicza go do „szkoły góralskiej", zacieśniając zarazem pojęcie tej szkoły do granic tematów i zwrotów językowych góralskich. Dziesięć lat temu mówiło się dosyć w fejletonach o szkole góralskiej, spodziewano się po niej dużo; czyżby

---

[1]) „Przysięga". Urywek z życia współczesnego na Podhalu, w 3-ch odsłonach. Kraków, 1909.

„Robert Szporn". Dramat w 4-ch aktach. Kraków, 1912. Spółka nakładowa „Książka".

więcej nie zostało prócz barwy etnograficznej? Zdaje się, że nie jest tak źle, jak Orkan mówi. Pisarze góralscy mają coś więcej ze sobą wspólnego: jakiś szerszy dech swobody, świeżość i bezkompromisowość; zbyt jednak wcześnie wielka ich część staje się typowymi „literatami“. Orkan zaszył się w swojej wsi i ta go chroni, na innych mści się zbanalizowane miasto.

Galica ma w pomysłach rozpęd szeroki, w obserwacyach zasób postaci silnych, w literaturze bynajmniej niewyzyskanych. O uzdolnieniu jego scenicznem świadczy najwięcej umiejętność prowadzenia dyalogu dramatycznego. Kunszt to pisarski dla teatru najważniejszy, zasadniczo różny od sztuki dyalogu powieściowego i poetyckiego. Większa część pisarzy grzeszy przeciw temu warunkowi, stąd na scenie nadmiar słów, szarych lub poetyzowanych. Galica potrafi całe charaktery malować zapomocą słów zwięzłych, mocnych, symbolizujących ruchy duszy, w czem właśnie tajemnica dyalogu dramatycznego. W „Przysiędze“ pojawia się np. parobek Kuba, który kilkanaście razy wyrzuca z ust „Tfu!“ i kilka krótkich zdań wypowiada; aktor z tej roli potrafi zrobić cacko, tyle w niej jest ekspresyi. W „Robercie Szpornie“ kilka razy pojawia się Stefka, która służyła u dyrektora i uciekła przed jego natarczywością; plastyczna, prawdziwa, przy całej ekonomii słów. Zato brak autorowi zrozumienia dla drugiego kardynalnego warunku sceny, którym jest unaocznienie zdarzeń. W teatrze nie wierzymy w to, czego nie widzimy na własne oczy. Tymczasem zarówno w „Przysiędze“, jak i w „Szpornie“ najważniejsze zdarzenia odbywają się poza naszemi oczyma. Bójka Sobka z Grzędami, zamordowanie (?) matki („Przysięga“), sceny na kopalni i między robotnikami (w „Szpornie“) — wszystko to znamy z opowiadania i albo wierzymy w to, albo nie wierzymy, a wypadki sceniczne muszą działać bezwzględnie, inaczej — niema sztuki.

Wnosi autor dzielność duchową, tematy względnie niezbanalizowane; brak mu jednak śmiałości, może doświadczenia do należytego stawiania i rozwijania pomysłów. W „Przysiędze“ mamy historyę chciwości chłopskiej; jej przeciwstawiony jest idealny Jasiek, ale zarysowuje on się wyraźniej dopiero w ostatnim akcie i to przy pomocy słów. „Robert Szporn“ ma dużo pierwiastków świeżych, przedewszystkiem górników polskich, czujących i mówiących inaczej, niż górnicy sztuk obcych, a jednak całość robi wrażenie rzeczy nie nowej, trochę ogranej, gdyż nie zdobył się autor na własne ujęcie stosunków i powtarza znaną historyę o nieludzkim dyrektorze, który z chciwości kapitalistycznej posyła na śmierć robotników, za co go spotyka kara, gdyż w nieszczęściu ginie także syn-idealista, i t. d.

Nie kopiuje autor życia, ujmuje je w silnych skrótach, nieraz aż zbyt szkicowych — to świadczy na jego korzyść; nie wznosi się jednak ponad fakt — własną fantazyą twórczą, własnem uczuciem, własnem ujęciem życia. Szkoda, że „Przysięga“ nie weszła na którąś ze scen popularnych; doświadczenie byłoby ustrzegło autora przed powtarzaniem dawnych błędów w „Robercie Szpornie“. Oba dramaty musimy przeto uważać za — materyał.

Na oryginalności nie zbywa autorowi „Przemian“[1]), z artyzmem niewiele ma wspólnego. Gorzej jeszcze. Autor pod tytułem dopisał, że dramat to „nie na scenę“, rezygnuje więc z pewnych walorów artystycznych; nie zdaje sobie jednak sprawy z walorów życiowych, o które mu się rozchodzi i o które chce walczyć. Utwór jest nastrojony na wysoką nutę ideologiczną; poświęcony „Polskiej młodzieży niepodległościowej“, chce wyrazić jej ideologię i ideologię tę rozlewa w szerokich, nieskończonych dyskusyach. Rzecz ma się bowiem dziać wśród młodzieży Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor oznacza nawet historyczną datę (obchodu Grunwaldzkiego), w utworze mamy pół tuzina studentów i studentek, którym zaciasno wśród starych form życia, wyrywają się z oków ciążącej nad rodziną szlachetczyzny, tęsknią, kłócą się, szukają ideałów, form nowych, pragną pełni życia, dla siebie i narodu, i znajdują — uzupełnienie swoje seksualne. Dwie studentki mają kochanków-studentów — i w tem tragedya dla starej matki, w tem ma być tryumf nowego życia.

Autor — powtarzamy — nie zdaje sobie sprawy z walorów ni życiowych, ni artystycznych. Obie te kategorye tyle z sobą mają wspólnego, że zarówno w sztuce, jak i w moralności gadanie jest niczem — czyn jest wszystkiem. Otóż bohaterzy i bohaterki tego utworu mają być pracownikami nowego jutra, pionierami nowych ideałów; tymczasem czyn ich widzimy tylko jeden: małżeństwo bez księdza, i to jeszcze dość tchórzliwe. Nie wiemy, o ile p. Flamm jest w swoich poglądach odosobniony, ale poglądy to liche. Łatwo upajać się frazesami na uniwersytecie, burzyć z zupełną słusznością przeszłość, rwać się, ale urządzenie sobie cichego, potem głośnego szczęścia seksualnego jako dowód nowego idealizmu — to trochę zamało. I śmieszną jest w tym wypadku mania teoretyzowania, marksizmu etc. Jeżeli młoda panna po półgodzinnej frazeologicznej dyskusyi zostaje w ciemnym pokoju z kolegą i po momencie milczenia wydaje „tryumfalny okrzyk“: Wyzwolonam! — musimy wszystkie ich tęsknoty i porywy uważać tylko za wyraz zamaskowanej seksualności, a całą tę gromadkę kłócących się, wojujących Marksem studentów za bandę operujących niezrozumiałymi frazesami samców i samic. Nie widzimy żadnych czynów, któreby kazały traktować ich z szacunkiem, a autor, jeśli nawet umiał obserwować, nie umiał przeniknąć, co się dzieje pod łupiną słowa.

Jakby na dowód, iż nietylko młodość jest niedojrzałą, poczęstował nas „tragedyą“ ks. Franciszek Navarra[2]). Czegóż niema w tej tragedyi i „dramaturgii“, czego i kogo? Jest tuzin księży z seminaryum duchownego w Kielcach, jest „Franciszek Petroniusz — tragik“ (z przeproszeniem: jako Petroniusz występuje skromnie sam autor!), występują gubernatorzy, żandarmi, „Górko — generał-gubernator“, „Pobiedonoscew — prezes synodu“; w „dramaturgii 1910 r.“ występuje: przeor paulinów, Kowalski — herezyarcha, Damazy Macoch, „Petroniusz Franc. Skarga —

---

[1]) „Przemiany“. Dramat w 3 aktach. Napisał Michał Flamm. Warszawa. Gebethner.

[2]) Ks. Fr. Navarra: „Tragedya w VI aktach z r. 1893“. Na okładce inny tytuł: „Tragedya 1893 i dramaturgia 1910 r.

dramaturg", więc znowu autor, który zaawansował na Skargę, nie przestawszy być Petroniuszem. A oto z jaką potęgą a zarazem subtelnością Petroniusz-Skarga przemawia:

SODALIS:

Coś ty uczynił nieszczęsny Damazy?!
Bogu i ludziom zniewagi — obrazy —
Czy zapomniałeś, żeś na miejscu świętem,
Nie w policyi gminnej wynajętem.
Czy wykazałeś charakter kapłański,
Stałeś się przeto narzędziem szatańskiem.
Na twoje czyny publiczność się wzrusza!
Musi być silnej woli — hartu dusza,
Aby się takim faktem nie zgorszyła
I przeciwności setne zwyciężyła.
Dając zgorszenie wstrętne narodowi,
Czem wyrządziłeś wzgardę kościołowi.
A kto ubliża kapłańskiej godności,
Ten pokazuje w sobie dużo złości.

W równie wzniosłym stylu trzymana jest całość. Znany esteta, ks. Pawelski nie omieszka zapewne o tej nowej ozdobie swego stanu napisać studyum.

Z badań literackich.

Dr. Jonas Fraenkel: Wandlungen des Prometheus. Bern. Akademische Buchhandlung von Max Drechsel.

Autor, krakowianin, wygłosił tę pracę, jako wykład wstępny („Antrittsvorlesung"), obejmując docenturę dla nowszej literatury niemieckiej na uniwersytecie berneńskim. W krótkim zarysie przechodzi dzieje, jakie przebył myt o Prometeuszu, który od zarania ludzkości, raz wcielony w postać bohaterską, prowadzi własny, odrębny żywot poetycki. Hezyod i Ajschylos narzucili go fantazyi świata, neoplatonicy i chrześcijaństwo widzieli w nim wcielenie idei w związku z ich własnemi wierzeniami; przez czas średniowiecza myt ten zgasł dla ludzkości. Goethe go wskrzesił i potężną dłonią do nowego powołał życia. Nad nim zatrzymuje się autor najdłużej, poczem przedstawia dalsze koleje mytu, który w nowszych czasach natchnął był do potężnego dzieła Zygfryda Lipinera, a przetworzeniu głębokiemu uległ w dziele mało znanego, znakomitego twórcy, Spittelera. Obce literatury autor uwzględnia mało, nawet Shelleya, nie zna zaś „Prometeusza i Syzyfa" Konopnickiej. Rozprawa powyższa, traktowana szkicowo, zasługuje na szersze opracowanie przyczem i literatura polska przez nieobcego jej rodaka powinna być uwzględniona.



SPROSTOWANIE.

W zeszycie lutowym „Krytyki" w artykule „Współcześni politycy polscy. XXXI. Aleksander Babiański" pozostały dwa grube błędy, psujące sens:

Str. 75 w. 11 od góry zamiast „Skasowanie kar śmierci" powinno być: Stosowanie kar śmierci.

Str. 77 w. 7—8 od góry zamiast „na łamach Puriszkiewiczów" powinno być: na ławach Puriszkiewiczów.

Dokończenie rozprawy p. Jana Hempla o „Doświadczeniu religijnem" znajdzie się w numerze kwietniowym.

Druk ukończono 29 lutego 1912 roku.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca Wilhelm Feldman. Drukarnia Literacka w Krakowie.